

Matka Królów

Józef Ignacy Kraszewski



calibre 0.9.27

MATKA KRÓLÓW

Tom Pierwszy

I

W roku 1421 zamek wileński dolny i górny, samo miasto i okolica wcale inaczej stały się oku podróżnego niż przed laty kilkudziesięciu, nim krzyż zapanował nad tą stolicą, a Litwa połączyła się z Polską. Z ramienia Jagiełły siedział teraz Witold na Wilnie, lecz on raczej panował w Polsce i jej królowi niż Jagiełło jemu.

Siła ducha i przewaga były po stronie syna Kiejstutowego... Starzejący król bawił się

zawsze namiętnie myślistwem, lubił długo siedząc za stołem lub wylęgając się na łożu słuchać wesołych rozmów swojego dworu, który po monarszemu obdarzał, ale rządy go nudziły. Chętnie uciekał w lasy, aby się od ich ciężaru uwolnić i zdać je na senatorów świeckich i duchownych.

Miał się też kim wyręczać. W Wilnie i na Litwie zastępował go Witold, w Polsce Leliwy i

Topory, spośród których występował już chcący władzę ująć w silne dłonie, przodujący rozumem i charakterem Zbyszek z Oleśnicy, ten który pod Grunwaldem w rycerskiej zbroi stał jeszcze przy Jagiełłą i broniąc go od napaści Dypolda Kykieryca pierwszy zadał mu cios śmiertelny.

Szybko potem z tego nadwornego pisarza Zbyszka urósł Zbigniew wielki, jeden z tych

mężów, co się rodzą do panowania i kierowania ludźmi. Czekala nań już krakowska infuła. W ciągu następnych lat panowania Jagiełłowego między

Witoldem a Zbigniewem rozegrywa się dziejowy dramat połączonej z Litwą Polski.

W potężnej prawicy litewskiego księcia, jak wszystko, tak i Wilno urosło, obwarowało się, przyzdobiło prędko.

W miejscu starej świątyni pogańskiej stał kościół katedralny, wieżyca nieforemna

Światoroha za dzwonnice mu służyła. Kilka krzyżów ponad świątyniami chrześcijańskimi wznosiły się tu i ówdzie wśród poziomych dachów domostw drewnianych.

Oba zamki wzmocnione mogły się teraz skutecznie opierać napaści krzyżowych rycerzy, ale potęga ich złamana była i lękać się tu nie potrzebowano nowego oblężenia.

Zamek górny, opatrzony lepiej, przedstawiał się jeszcze mniej więcej podobną

nieforemnych dość murów gromadą, jak przed laty. Dolny się znacznie odmienił.

Ściany i baszty, które go otaczały, już nie prości murarze, nieświadomi swej sztuki, z dzikich kamieni, ale mistrze budowniczy z Niemiec i Polski sprowadzeni przerobili i upiększyli czerwonymi wysadzając ceglami, na wzór grodów krzyżackich.

Tak samo jak dokoła miasta, grube mury w pewnych odstępach jeżyły się niższymi i wyższymi wieżami i basztami. Warowne bramy broniły wysoki, z których przystępu do nich mógł obleżony nie dopuścić. Kopane rowy głębokie zbliżyć się do nich nie dawały.

Poza okólnymi mury miasta rozlegały się przedmieścia w ogrodach, zasiane uboższymi chatami. W pośrodku miało już Wilno powyznaczane ulice, rynki, targowiska, przy których szybko wznosiły się budowle z cegły i kamienia.

Przeważały jeszcze domostwa drewniane, ale i te już, na wzór polski, powiększać się i do góry dźwigać zaczęły.

Na zamku Witoldowskim widać było ład i zamożność a surowe rządy tego człowieka, co czas miał na wszystko, wglądał sam w rzecz każdą i nie dopuszczał samowoli niczyjej.

Przy nim też nie widzimy nikogo, co by śmiał i pokusił się wyręczać go i zastępować. Nie rządzi tu ani duchowny, ni świecki ulubieniec, nie ma wpływu żona, nie wyzwala ją się słudzy.

Witold wyręcza się małymi urzędnikami, którzy sami przez się nic nie mogą.

Zamek nie odznaczał się teraz powierzchownością zbyt wytworną, oczy "porywającą, ale rozmiary jego, krzepkie mury, gęste strażę, w milczeniu i karności trzymana służba i załoga oznajmywały, że tu stolicę swą miał potężny pan, przed którym drżeli i szanować go musieli wszyscy.

Nie było prawie dnia, którego by jakieś poselstwo nie zawitało na zamek dolny, gdzie księżę ciągle przebywał. Górny służył za zbrojownię, skarbiec i więzienie.

Szeroko rozpościerały się gmachy książęce, mieszkania urzędników, dworu, czeladzi, łaźnie, piekarnie, izby dla dworskich rękodzielników i stajnie, na których zawsze kilkaset koni pogotowiu stało.

Za zamkiem ku rzece, kędy dawniej zapewne las być musiał, bo ten otaczał miasto za

Olgiardowych lat, za Giedyminowych, stały jeszcze drzewa stare i zarośla, stanowiące rodzaj ogrodu, w którym czasu letniej spieki schronić się było można.

Zwykle tu starsi urzędnicy dworu, niekiedy kobiety przy boku wielkiej księżnej zostające przechodziły się w różnych dnia porach, nazbyt od zamku nie oddalając, bo u Witolda wszyscy i zawsze na zawołanie być musieli.

Właśnie jednego pięknego, ciepłego, jesiennego poranku pod rozłożystymi drzewami w zamku zabawiała się zbiegła z teremów księżnej Julianny, drugiej żony Witoldowej, gromadka kobiet, w większej części młodych, której dziewczę nadzwyczajnej piękności, wysmukłe, czarnobrewne, z oczyma młodością gorejącymi, tryskającymi życiem, przodowało.

Śmieszki i urywane piosenki słyszeć było pod drzewami, ale męski dwór księcia zbliżyć się nie śmiał tam, gdzie same były niewiasty, które Julianna surowo trzymała, poglądał tylko chciwie je ścigając oczyma.

Wśród tego wesołego dziewcząt i starszych pań grona, rozmaicie poubieranych, na ruski, polski i niemiecki sposób, postawą, wdziękiem i śmiałym a rozkazującym obejściem się rej wiodła, w pełni wiosennego rozkwitu, wesoła, hałaśliwa, roztrzpiotana czarnobrewa. Wszystko szło za nią i jej słuchało.

Ubiór dziewczęcia powszedni zbyt wykwintny nie był. choć na chęci ustrojenia się nie zbywało zalotnemu wyrostkowi. Można było z niego sądzić, że więcej pragnęła się ustroić, niż mogła. A to, co miała na sobie, zręcznie dobranym było, aby pokryć, co zbywało.

Cały orszak wiodła przodując mu, podskakując, białymi rękami wskazując na drzewa, ciesząc się już zabawie, do której ciągnęła je za sobą.

Nawykła była snadź prowadzić swe towarzyski i rozkazywać im, bo na skinienie jej wszystkie rzucały się posłuszne.

Pod drzewami, na grubych ich gałęziach, widać było zawieszoną prostą, z mocnych nici w sznury skręconych, z deską na nich przywiązaną huśtawkę.

Ku niej, biegiem, który do pląsów był podobnym, niekiedy w kółko się obracając i śmiejąc, dążyła śliczna czarnobrewa, a biegnąc nie dawała zamknąć się ustom, i każde jej słowo chórem wesołym odzywało się między towarzyszkami.

Sukienka zielona bramowana złotem, ale dobrze wytarta, białe rąbki, na czole przepaska, naszyjnik cienki z wiszącymi na piersiach kółkami, tak umiała nieść na sobie, jak by ją klejnoty okrywały... Na małych bosych nóżkach miała trzewiczki jak suknie zielone, lecz od używania spłowiałe.

Zbliżywszy się do huśtawki dziewczę raźnie na nią skoczyło, pochwyciło dwa grube sznury, na których wisiała, i śmiejąc się wykrzyknęło:

— Hej! do roboty! hej! A rzucajcie mną wysoko, pod same obłoki! ponad drzewa, nad wierzchołki... aż do gwiazd, pod niebiosa...

Starsza niewiasta, z twarzą bladą, przeciągniętą, z zagasłymi oczyma, uśmiechniona łagodnie, ubrana ciemno, z krzyżem na szyi, tuż przy huśtawce stojąca, przerwała cicho!.

— Oh! kniahinko ty moja! Tobie się chce tak wysoko, a kto pod obłoki lata... spadać na ziemię musi... Lepiej po niej chodzić spokojnie. Od huśtawki się głowa zawraca.

— Ja bo lubię, żeby mi się w głowie kręciło, wolę wir niż martwą ciszę. Hej! hej! huku, wrzasku, biegu, lotu dusza pragnie, a tu taka w tych murach niewola!

I spojierając na zamek skrzywiło się wyraziście, jak by mu ją wyrzucało.

Dwie służebnice już z tyłu wzięły były sznury, którymi huśtawkę rozkołysać miały, ale starsza, stojąca przy niej, wstrzymywała. Rozmowa była nie skończona. Księżniczka też już nie nagliła.

— Oj ty, ty ptaszku, co ci skrzydła urosły — mówiła dalej stara. — Latałoby ci się, latało, aż gdzieś sokołowi we szpony...

— Bodaj sokół pochwycił i rozdarł, lepiej niż tak gnić za krosnami a słuchać...

Tu przerwało nagle.

— Nie strachaj mnie, Femko, nie strachaj i nie wróż tak źle.

— Ja nie wróżę, bom nie wieszczbiarka, tylko przestrzegam — odpowiedziała smutnie Femka.

Księżniczka ciągle na huśtawce siedziała.

— O, ja bym bardzo chciała, żeby mi kto kiedy powróżył! — dodała czarnobrewa. —

Naprawdę, Femko. Nie umiesz ty? Jam taka mojej przyszłości niecierpliwa i ciekawa.

— Ona tylko Bogu wiadoma — odparła Femka — a przyjdzie aż nadto rychło... Co przeznaczone, nie minie.

Wtem jedna z towarzyszek księżniczki zbliżyła się do huśtawki.

— Do wróżenia — odezwała się z miną poważną, w której się głęboka wiara malowała — nie ma jak ta stara Mecha. Ona, co tylko której przepowiedziała, wszystko się ziściło.

— Mecha? a gdzie tej Mechy szukać? — westchnęło dziewczę. — Dałabym jej chętnie podarek...

Spojrzała po sobie, pomyślała i uśmiechnęła się gorzko, może przypomniawszy, że niewiele co dać mogła.

— Gdzie jej szukać? — wtrąciło żwawo dziewczę. — Mecha teraz zawsze siaduje pod kościołem. Wszyscy na nią mówią, że poganka jest i że dlatego tylko od drzwi kościoła nie odchodzi, bo tam dawniej ten ogień wieczny się palił, któremu ona posługiwała. Poganka nie poganka, ona wszystko wie, czyta w wodzie, z twarzy, z ręki jakby z pisma klecha.

Księżniczce aż rumieńce wystąpiły na twarzyczkę.

— Zula, ty dziecko moje, pierścionek mieć będziesz ode mnie, tylko mi tu sprowadź Mechę.

Mnie się zdaje, że jak ona wyprorokuje, to i prędzej przyleci co nowego.

Femka jakoś przecząco głową kręciła.

— Czarownica! poganka! — szepnęła — jeszcze urok jaki rzuci.

— Ja się tam uroku nie boję, krzyżyk pobłogosławiony na piersiachnoszę, a tak bym tę zaklętą przyszłość znać chciała...

— A jak w niej co złego siedzi? — spytała Femka.

— No, to będę czekać złego a odzegnwać! — dodało dziewczę uparte.

Towarzyszki jej szeptały pomiędzy sobą. Księżniczka ciągle na huśtawce siedziała. Biegła tak do niej, spragniona rozrywki, a teraz się już jej całkiem odechciało; myślała o czym innym! o przyszłości!

Skoczyła z deski, na której się była tak wygodnie umieściła.

— No — zaśmiała się Femka głaszcząc ją po ramionach — a tak ci się chciało podlecieć w obłoki?

— Po cóż lecieć, kiedy nie dolecę! — tęskno westchnęła dziewczyna — nogi przykute do

ziemi.

Femka odwróciła się.

— Ja bym już huśtawkę wołała niż wróżenie. Trzeba z niej korzystać, póki jest, bo kto wie, czy długo będzie.

Wiecie, że nasz ksiązę powiesić ją tu kazał, gdy u nas w odwiedzinach był król Jagiełło.

— Ach! Cóż? stary dziad huścić się kazał? — parsknęła księżniczka.

— Ale nie! Tylko tak lubi patrzeć, gdy się dziewczęta i chłopcy wysoko huśtają. Siadywał

tu godzinami, mając z tego zabawę wielką. Oka z nich nie spuszczał stary. Ksiązę Witold umyślnie dla niego powiesić ją kazał, a teraz, gdy się go nie spodziewa, albo on, albo księżna odczepić każe, aby nie było swywoli. Używajcie, póki jest.

Zamyślona księżniczka znowu wskoczyła na siedzenie, porwała za sznury, spojrzała na swe służebne i pograżona w dumach jakichś rzuć się w powietrze kazała.

Lecz, choć tak milcząca o czymś marzyła, piękna jej twarzyczka wcale smutnego nie

nabrała wyrazu, jak gdyby nie umiała czy nie mogła się zachmurzyć. Nadto była młodą, szczęśliwą czy życiem upojoną.

Femka przyglądała się jej milcząca, a niekiedy jak dziecku poklaskiwała rękami. Oczy

księżniczki tymczasem zwracały się ciągle w tę stronę, z której obiecana Mecha przyjść była powinna.

Posłanej po nią Zuli ani jej widać nie było.

Wtem Femka coś w dali palcem ukazała.

Zza murów mignęła naprzód biała z pasami czerwonymi sukienka, potem szare płachty

kobiety, która z dala wcale do

żebraczki podobną nie była.

Słusznego wzrostu, wyprostowana poważnie, cała białawą zasłoną pokryta, która od głowy

do stóp po niej spływała, szła śmiało niewiasta niemłoda już, której twarz ponura, pomarszczona, postrach i poszanowanie wrażała.

Rysy jej niegdyś piękne wiek uczynił groźnymi, tak się głęboki żal i boleść na nich wyryły.

Siwe, długie włosy rozpuszczone spadały jej na ramiona, a spod płótna, które ją okrywało całą, widać było na czole zwiędły wianek z ruty i liści dębowych...

Był to znak dziewictwa i kapłaństwa starej Mechy.

Chociaż ją wiedziono przed oblicze księżniczki, wcale się tym nie trwożyła, szła krokiem pewnym, rzucając oczyma ciemnymi spod powiek jakby płaczem zakrwawionych. Zobaczywszy ją, księżniczka dała znak służkom i z niecierpliwością płochego dziecięcia, nie doczekawszy się, nim rozkołysana zatrzyma się huśtawka, zuchwale skoczyła na ziemię. Femka blisko stojąca pochwyciła ją w objęcia.

Stara Mecha stała przed nią, ciekawie się przypatrując, a usta zaciskając coraz mocniej.

Nie strwożone groźnym jej obliczem dziewczę zbliżyło się napastliwie.

— Dobra ty moja — rzekło przymilającym się, dźwięcznym głosem — będziesz ty mnie wróżyła?

Wejdalotka milczała potrząsając głową.

— A tobie na co wróżby moje? — odezwała się żalobnie — albo to ci los nie wywróżył już przyszłości? Rodziłaś się na starym kunigasów zamku w Holszanach, ojcowie twoi ludziom panowali i ty będziesz królować.

Potrząsała głową wpatrując się w piękną księżniczkę, która gorące w nią wlepiła oczy.

— Na co tobie wróżby moje — dodała — kiedy krew wróży i liczko wróży?

Dziewczęta ciekawe cisnąc się dokoła otaczały Mechę i swoją panią, wyciągały główki, przestraszone nieco, usiłując najmniejszy szept pochwycić.

Mecha opornie, z niechęcią i wzdraganiem odpowiadała księżniczce. Ta zdjąwszy

pierścionek z palca, bo nic innego nie miała do podarowania starej, podała go jej z uśmiechem, ale Mecha nie przyjęła. Z lekka odtrąciła jej rączkę mrucząc smutnie.

— Tobie on, krasawico, będzie wkrótce potrzebniejszy. Zarumieniła się księżniczka.

— Na co?

— A do czegoż by były dziewczętom pierścionki, jeśli nie na to, by je mężczyznom dawały?

Cicho było dokoła, słuchano i czekano, co dalej powie Mecha, ale ta spuściwszy oczy

szeptwała coś sama do siebie czy do niewidzialnych duchów — i nieprędko głowę podniosła.

Twarz się jej całkiem zmieniła.

Wstąpiła w nią siła wielka, tak że dziewczęta od jej wzroku rozstąpiły się ze strachem.

— Męża tobie wkrótce swatać będą — mówiła proroczym duchem natchniona... — A

będzie swatał cię taki, co by może rad sam wziął, gdyby mógł... Koronę ci włożą na czoło i panować będziesz, a łzy tobie ona wyciśnie. I swat się wrogiem stanie. Nieszczęśliwa będziesz i szczęśliwa... Królom matką, po królach sierotą, we łzach krwawych złożony chleb pożywającą niewiastą...

Wlepiła w nią oczy, długo patrząc i sama do siebie mruczając coś niewyraźnie.

— Po co tobie pytać mnie było i ból ze mnie wyciągać? Nie mogę ja dać nic, tylko to, *co* mi duchy przyniosą. Nie mam swojego nic, nie wiem sama nic... Płynie wszystko z daleka...

Zamknęła sobie usta dłonią chudą, pokłoniła się i zawróciwszy, żywo iść poczęła ku bramom.

Dziewczęta stały wszystkie jak wryte, a księżniczka, której lice się paliło, powtarzała cicho jeden wyraz: — Korona! — Ten dla niej zagłuszył inne.

Femka ręce załamywała.

— Co ta stara czarownica wiedzieć może? — szepnęła zbliżywszy się. — Dobrze, że poszła sobie, mnie dreszcze przechodziły patrząc na nią. Pewnie poganką jest.

Do huśtawki nikt już nie miał ochoty. Smutek powiał po wszystkich, nawet wesoła księżniczka zachmurzyła się nieco i na bok odciągnęła Femkę.

— Plotła niezdarne rzeczy! — rzekła. — Korona! ja bym i korony nie chciała, bylebym stąd wyjść mogła...

— Alboż ci tu źle — szepnęła Femka — przecie wuj kocha bardzo.

— A Julianna nienawidzi i prześladowuje mnie za to! —

przerwała księżniczka. — Dobrze mi było za życia rodzonej ciotuchny, a teraz mnie

Witoldowa prześladowuje za to, że sama uwiędła i że jej mąż woli patrzeć na mnie młodą, niż się swarzyć z tą babą! Femka jej pogroziła.

— Tst! nie mówcie! albo ja nie wiem o tym, nie słucham i nie patrzę...

— O, wuj bardzo mnie kocha — dodała księżniczka — czasem na przekorę żonie, ale i jego

kochanie, i jej nienawiść już mnie zmęczyły. Rada bym stąd, rada w świat... Wróżka przecie rychło coś wróżyła...

— Łzy! łzy! — sama do siebie zamruczała Femka.

Szły tak razem ku zamkowi krokiem powolnym. Słońce zachodziło za góry; była to godzina, o której na zamku wieczerzę dawano.

Księżę Witold zwykle, gdy dostojnych gości nie przyjmował, sam siadał do nakrytego stołu, bo długo przy nim, jak Jagiełło, siedzieć nie lubił, nie pijał; nic, jadł niewiele, oprócz wody napoju nie znał.

I ten czas przy stole nie bywał dla niego stracony, bo do obiadu i wieczerzy zwoływał

zwykle którego ze swych pisarzy, Cebulkę lub Lutka z Brzezia, pisma sobie przyniesione czytać kazał i odpowiedzi na nie dyktował...

Rzadko bywał tak swobodnym, aby z księżną, która zgryźliwie sporzyć z nim nawykła,

gniewając się, że jej wolą się nie rządził, i z piękną pierwszej żony siostrzenicą Sonką, którąśmy przy huśtawce widzieli, mógł razem biesiadować.

Księżę lubił bardzo tę piękną Sonkę, może więcej, niżby żona chciała, która o nią była zazdrosna i zbyć się jej z domu pragnęła.

Ale Witold, który rzadko dla kogo powolnym bywał, żonie się nie dawał zmusić do niczego.

Tym przykrzejszym to jej było, że czasem Sonka jednym słówkiem wolę jego złamała,

uśmiechnąwszy mu się, spojrzawszy na niego oczyma gorącymi. Jej jednej niekiedy ująć się dawał...

Dziewczę wiedziało o tym dobrze, że wiele mogło u tego, u którego nikt nic nie mógł, bo

samo sprzeciwienie się wywoływało w nim opór żelazny. Korzystało z tego czasem zuchwale na przekór księżnie, ale w małych sprawach tylko. Witold grę tą rozumiał i żonę gniewliwą

wyśmiewał.

Niechęć dwóch, kobiet rosła, a Sonka w powszednim życiu złośliwej Juliannie ulegać

musiała.

Wchodziła z dziewczętami na zamek Sonka i miała się do swoich izb zawrócić, gdy drogę

jej zaszedł Michno, Witoldowy sługa, i pokazując na drzwi rzekł z pokłonem:

— Książ a pan do siebie was prosić kazał. Już po zamku wszędzie szukałem.

— Wieczerzał już? Księżna jest u niego? — zapytała.

— Nie — odparł sługa — właśnie siedzi u stołu, sam jeden jest, nawet pisarzów wołać nie kazał. Oprócz czeladzi nie ma nikogo.

Sonka, dawszy znak Femce i dziewczętom, śmiało sama do jadalni wkroczyła.

Izba to była wielka, w której i książę jadał, gdy sam był, i gości czasem mnogich przyjmował. Po staremu, nad murami jej sklepienia nie było, ale ogromne belki z prosta rzeźbione i malowane pułap okrywały.

Jedną ścianę niemieckim obyczajem zajmowały police piętrzące się wysoko, na których piękne misy, dzbany i naczynia różne na okaz były porozstawiane...

Kilka większych i mniejszych stołów ciężkich, z ławami wyścielanymi, wzdłuż izbę przerywały. Wąskie okna zaszkłone, z szybkami w ołów oprawnymi, światło skąpe rzucały. Przy jednym z nich Witold sam wieczerzał.

Nie prznosił on wzrostem owego wieku barczystych i rozrostłych rycerzy, miernie słuszny, ale silnie zbudowany, kształtny, zahartowany życiem czynnym, miał coś w postawie i obliczu, co go czyniło wielkim nawet wśród olbrzymów. Pociągła twarz wszystkich książąt litewskich nie była u niego piękną, ale znaczącą i siłą napiętnowaną. Jaśniała na niej duma człowieka, który wiele złamał i zawsze zwyciężał. Oczy ciemne patrzyły bystro, nakazująco, rozumnie, czoło nad nimi stało pełne, podniesione, jasne, usta miały wyraz wodza i pana.

Ani wiek, ani boje, ni więzienia i niewole nie pozostawiły na nim gniotących śladów, nie odjęły mu potęgi, którą wyniósł z kolebki.

Teraz był to już człowiek, który młodość zostawił za sobą, ale starym ani się czuł, ani wydawał.

Ubrany w kaftan ciemny podpasany, po domowemu, bez ozdób żadnych, z włosiem długim na ramiona rozrzuconym, siedział w ręku trzymając kawał mięsa pieczonego i nóż. Niósł do ust ten posiłek, gdy Sonka się w progu pokazała.

Bystro spojrział na nią.

— Sonka! — zawołał. — Kazałem cię szukać po zamku, gdzie się ty kryjesz po komorach,

latawico? Myślałem, że bojar jaki rozmiłowany poniósł cię już na rumaku, ale ja bym się sam za nim w pogoń puścił może. Kto wie? albobym pobłogosławił na drogę?

— Doprawdy? — odparło dziewczę śmiało — tak ja dla was mało warta, że nie wiecie?

— Ale ty wiesz, sroczko zła, że ja na ciebie i twoje oczy paskudne patrzeć lubię — rzekł

Witold — tylko już mi się sprzykrzyło pilnować latawicy, która w gnieździe usiedzieć nie może.

Wolałbym opiekę oddać innemu.

Sonka tymczasem, gdy to mówił, zbliżyła się do stołu, sparła na nim i śmiało patrzyła mu w oczy.

— A po cóżeście mnie szukać kazali? — spytała.

— Żeby wyłajać — rzekł Witold, ale niezbyt surowym głosem i z półuśmiechem na ustach.

— Wyrosły ci skrzydła, latasz i rwiesz się, szczególnie gdzie młodzież się kręci. Rad bym się pozbył, bo w końcu nie upilnuję, a lada złodziejowi bym cię dać nie chciał.

Sonka ramionami ruszyła, poprawiła włosy. Witold jadł spokojnie i mówił powoli.

— Żebyś ty przynajmniej wdzięczną była za to, że cię tu jako własne chowałem dziecko.

No? skarżyć się na mnie nie powinnaś?

— Albo się skarżę?

— Hodowaliśmy cię troskliwie, Anna na rękę nosiła. Popatrz na nią, ona wzięwszy ze

stołu jabłko gryzła ogonek jego w ustach zadumana. Coś jej po głowie chodziło. Wtem Witold, poważniejąc stopniowo, rzekł do niej:

— Dość bajania, Sonka! słuchaj mnie dobrze, chcę cię wydać za mąż!

Dziewczę krzyknęło, ale trudno było rozeznąć w tym głosie, radość czy przestach go

wywołał. Oczyma zalotnymi a ciekawymi Sonka, nic nie mówiąc, pytać się zdawała:

— Za kogo?

— Żebyś ty rozum miała! do nóg byś mi paść powinna — aleś ty na pół dziecko,

półlatawica.

Dziewczę nogą tupnęło.

— Mówże za kogo?

Witold kazał czekać długo, ważył coś.

— No — rzekł — jak przystało, za starego... Wzdrygnęła się księżniczka.

— Nie chcę.

— Bo rozumu nie masz — odparł Witold. — Lepszego dla kobiety męża nad starego nie ma; wy, młode, wodzicie ich, zdradzacie bezkarnie, a oni was po nogach całują.

— Nie tak mi pilno iść za męża — skłamała dziewczę. Witold się uśmiechnął i rękę podniósł do góry. Sonka rozśmiała się też trochę, ale wnet przybrała minę serio.

— Ty swojej woli nie masz; ja wiem, co dla ciebie potrzeba — zawołał — ojca twojego zastępuję. On mi nad tobą władzę zdał. Otóż mnie wydać cię za męża pilno, abyś ty się sama nie oddała komu, gdy ci się głowa zawróci.

Sonka po dziecinnemu się śmiała. Książę chleb łamał niecierpliwie, napił się wody — pomyślał znowu.

— Wiesz, że ja twojego szczęścia chcę — rzekł poważnie. — Beze mnie ty wielkiego nie zrobisz losu. Ojciec za tobą wiana w ziemi nie da, bo go nie ma, chyba koszule i sukienki, a krasę mieć będziesz w posagu. Weźmie cię-li małe książątko na Ruś, to już dla ciebie szczęście. Kto wie potem, jakie losy cię czekają na małym gródku, z którego brat lub swat wyżenie lada dzień. Oto los twój, a będziesz rozum miała, ja ci takiego męża dam, któremu królowe swatają, ale... stary!

W tej chwili Sonce przyszło na myśl proroctwo Mechy i pobladła, miałaż się tak rychło sprawdzić przepowiednia jej z koroną i Izami?

Witold się rozparł na siedzeniu, jedną ręką bijąc o stół, a patrząc na dziewczę zaciekawione już więcej niż przelękłe.

— Staremu temu, który już trzy żony miał — rzekł — jeszcze się czwartej zachciało. Jedne poślubił, co aniołem była, drugą, prostą kobietę, trzecią wziął wiedźmę rodem z piekłą, a ja mu ciebie chcę dać czwartą, abyś była królową...

No, Jagiełłę polskiemu cię swatam!

Sonka tym razem krzyknęła głośniej i oczy sobie zakryła białymi rękami. Na łzy się jej zbierało.

Nie widziała ona dawno króla Jagiełły, ale słyszała o nim, że bardzo już stary był, że przy żadnej

żonie wysiedzieć nie mógł, bo wolał ze psy po lasach jeździć niż pilnować domu.

Wiele więcej rozpowiadano o nim, jak zazdrosnym był, jak podejrzewał żony, a lada donosów słuchał. Trwoga ją ogarnęła.

— Stary! prawda! — dodał Witold — ale, Sonko, ty, co się stroić lubisz, bawić i śmiać,

królową być, kazać sobie pokłony bić, na twarz padać przed sobą, nie lepiejże jak na Rusi w pustym zameczku marnieć?

Dziewczę zadumane odjęło ręce od oczów powoli, słuchało z uwagą.

— Jagiełło niemłody — ciągnął książę dalej — jeśliby na niego co przyszło, kto wie, Polacy ci mogą młodego męża wyswatać, aby Brandenburczyka, którego Jadwidze przeznaczono, się

pozbyć. Królową być, warto coś za to zapłacić... Klejnotów i sukienek, których jesteś żądna, będziesz miała do syta; i ludzie ci się kłaniać muszą...

Dziewczę łzy już otarłszy potrząsało tylko ramionami i głową. Witold usiłował odgadnąć, co dumiała, i domyśleć się nie mógł.

— Ja wiem, ty zrozumiesz, że takiej doli odrzucać nie można — mówił znowu — ale ja cię

też darmo nie posadzę na tronie, ty mi tam jesteś potrzebną i to będziesz podszeptowała staremu, co ja tobie... Tyś moja być powinna, Sonko, jak byłaś dotąd, dzieckiem posłusznym... Wszystko będziesz mnie winna i ja od ciebie wierności wymagać mam prawo!

To mówiąc wstał Witold, popatrzył na swą wychowankę stojącą w zamysłach i dodał.

— Idź — rzekł — pomyśl, com powiedział... a potem padnij mi do nóg i podziękuj, bo choć ze starym, wielka cześć i szczęście cię czeka!

Ze spuszczoną głową, nie odpowiedziawszy słowa, Sonka z wolna wysunęła się z jadalni, a

drzwi ledwie się za nią zamknęły, drugie uchylono niecierpliwie, niewieścia głowa wyjrzała przez nie i księżna Julianna, która na podsłuchach stała, wtargnęła niespokojna.

Na widok jej namarszczył się Witold, domyślając, że rozmowę z Sonką musiała u drzwi pochwycić.

Księżna była słusznego wzrostu, ani młodą, ni starą, średnich lat, niegdyś dosyć pięknych rysów, dziś twarzy zwiędłej i charakter zgryźliwy zapowiadającej niewiastą. Chciała jeszcze być piękną, a właśnie to staranie, strój zbyt wykwintny, wyraz zbyt dziewiczy, który sobie nadać usiłowała, czyniły

ją niemiłą.

Starła się też o rzecz niemożliwą, bo o panowanie nad mężem, który przy każdym z nią starciu rozjątrzony, zwykle na przekór jej postępował. Kończyło się to na łzach i na czekaniu.

Sonka, którą Witold lubił dla jej piękności i wesołości dziecięcej, znenawidzoną była przez Juliannę.

Pewnie chętnie za kogokolwiek bądź wydać ją i pozbyć się z domu było najgorętszym jej pragnieniem, ale widzieć ją królową, gdy ona sama była tylko wielką księżną, i być zmuszoną uchylić przed nią czoła, tej myśli znieść nie mogła.

Gwałtownie, z oburzeniem malującym się na twarzy, drgającej od gniewu, przyskoczyła do Witolda, który stał zimny i nieporuszony jak posąg.

— Uszom nie wierzę! — krzyknęła. — Ja nie wiem nic, ja niegodna jestem, abyś mi się zwierzył, a tę ulubienicę swoją, siostrzeniczkę kochaną, już chcesz posadzić na tronie!

— Chcę i posadzę — rzekł książę krótko i dosadnie.

— Ją? ją? na upokorzenie moje! — zawołała Julianna — aby się mnie urągała!

— Tam, gdzie ją umieszczę, ona mnie służyć będzie — dodał Witold.

Julianna rozśmiała się.

— Myślisz? tak ty ją znasz? — krzyknęła. — Ona nikomu służyć nie zechce, oprócz samej sobie, a na tobie, na mnie, na nas mścić się będzie za dobrodziejstwa!

Załamywała księżna ręce, Witold stał zimny i obojętny.

— Tyś się z nią zawsze źle obchodziła — rzekł — bośbyła śmiesznie zazdrosną, może dla ciebie nie miećserca, ale u mnie sięod dziecka wychowała i mnie musi być posłuszną.

Chwilkę pomilczawszy, dumnie dorzucił książę.

— A nie będzie słuchać, to tak ją z tronu ściągnąć potrafię, jak na tron powołałem...

Łzy poczęły płynąć z oczów księżnie.

— Nie kłam! — zawołała. — Chce ci się swoją ulubienicę widzieć wysoko. O! wiem ja, że

ona ci miłsza nade mnie i nad wszystkie, ale Pan Bóg cię skarże, zobaczysz...

Witold uśmiechnął się tylko pogardliwie. Czas jakiś łkała z gniewu księżna.

— Mnie na złość, na upokorzenie czynisz to — dodała.

— Nie dla ciebie ani dla niej to czynię — zimno wtrącił książę — ale dla siebie, a to, com postanowił, musi się spełnić. Lecz nie lej darmo; com rzekł, to się stanie.

To mówiąc książę, który niemiłemu sporowi z żoną chciał koniec położyć, klasnął w ręce odwracając się od niej. Znak to był zwykły dla przywołania sług lub oczekujących pisarzy.

Usłyszawszy go księżna, nie chcąc się wydać ze łzami, pobiegła skryć je do izb swoich. W przedsięwzięciu stojący na zawołanie Cebulka wsunął się cichymi krokami.

Był to szlachcic a Polak, razem z drugim towarzyszem, Lutkiem z Brzezia, dość już dawno służący Witoldowi tak, jak on chciał, aby mu służono.

Sposobił się niegdyś, ubogie chłopię, do stanu duchownego, ale święceń jeszcze nie mając, tylko naukę potrzebną, gdy się zręczność nadarzyła, przystał do wielkiego księcia i teraz już o sutannie nie myślał.

Nie tak szczodry jak Jagiełło, Witold jednak nagradzać umiał, usług nie zapominając nigdy.

Cebulka przebiegły, rozumny, łatwego a bystrego pojęcia człowiek, na swój stan uczony dosyć, używając wszystkich tych darów na korzyść pana, woli własnej umiał się wyrzec zupełnie.

Zgadywał księcia, rozumiał go łatwiej i lepiej niż inni, ale nie występował nigdy ani z

własnym rozumem, ni z radą. Był narzędziem dogodnym i czymś więcej się stać nie kusił. Gdy Witold nim nie kierował, sam nie ważył się na nic.

Małego wzrostu, płci śniadej, rysów nie znaczących, średnich lat człeczek, niepokąźny dla tych, co głębiej nie zajrzeli w oczy, nie dający w nich czytać, Cebulka miał nieograniczone zaufanie pana i nigdy go, nawet niezręcznością, nie zdradził.

Milczał jak grób, nikt nigdy nic nie dobył z niego; z obcymi niechętnie mówił i mało, nie wygadał się nikomu. Gdy potrzeba było namówić, przekonać, podejść, zyskać, umiał być zręcznym i chytrym, lecz wszystkie te przymioty występowały u niego tylko na rozkazanie, a chowały się jak u ślimaka rogi na skinienie pana.

Dla Cebulki Witold tajemnic nie miał, lecz sługa nie wyzywał zwierzeń, we wszystkim zachowywał się biernie. To właśnie czyniło go księciu miłym.

Pisarz stał pokornie u progu.

— Jagiełłę więc zachciało się żony, czy Zygmunt mu ją i Barbara narzucają? — rzekł zwracając się do Cebulki.

— On sam wcale o niej wprzód nie myślał — odparł Cebulka — i nie żądałby jej pewnie, gdyby mu Zygmunt własnej córki nie swatał zdrajca, a ponieważ ta dzieckiem jest, czeską królowę wdowę mu rai. Po obu posagi! po jednej koronę, po drugiej wiano ze Szląskiem...

— Wmówili mu, że jeszcze żenić się powinien — dodał ciszej Cebulka poruszając ramionami.

— Przecież gdy Jadwigę, córkę swoją, Brandenburczykowi zaręczał, wyrzekł się już tej głupiej myśli ożenienia. Przecież zapowiedzieli w Rzymie, gdy Granowskę brał, aby tym ślubom koniec było — mówił Witold. — Wszystko to Zygmuntowe sprawy, on tu nam mąci i chce starego sobie zjednać, aby nim władał, wiedząc, że słaby jest... Mnie się lęka... Nie można dopuścić, aby Zygmunt wpływ swój małżeństwem zapewnił; wolę sam ożenić Jagiełłę.

Spojrzał na Cebulkę, który pytać nie śmiał. Witold przeszedł się po izbie i stanął przed nim.

— Muszę mu siostrzenicę poświęcić; Sonkę mu dam, co sądzicie o tym?

— Nasi panowie, biskup krakowski i Zbyszko nie chcą żadnej żony dla niego.

— Właśnie ja dlatego mu ją dam — rzekł książę. — Przez nią będę zawsze pewnym

Jagiełły i im szyki pomieszam... Młoda jest, piękna, zapanuje nad nim łatwo, a posłuszną mi być musi!

Cebulka wyzwany, aby się odezwał z czymś, potwierdził zdanie pana lub uczynił uwagę jaką, zmilczał. Wiedział on dobrze, iż Witold nie zmieni zdania.

— Wygotuj list ode mnie — rzekł po chwili książę. — Zaleć mu w nim Sonkę, sam z nim

pojedziesz do Krakowa. Jagiełło pewnie pytać cię będzie, zachwalaj mu dziewczkę, niech się stary zapali do krasawicy. Sam na sam z nim, wprzód nim on to Zbyszkowi i innym zwierzy, nabij mu dobrze w głowę, że drugiej takiej na świecie nie ma, a z mojej ręki ją śmiało wziąć może.

Rozumiesz?

Skłonił się Cebulka.

— List gotuj dziś, z rana mi go czytać będziesz, a jechać potrzeba co rychlej, aby

Aleksandra mu znowu jakiej drugiej Granowskiej nie dała... Jak tylko się dowiedzą, że mu świta ożenie, zewsząd raić poczną dziewczęta i wdowy; a ja — mali żonę brać — muszę tam swoją postawić przy nim...

Raz jeszcze spojrzął na Cebulkę, który nie potrzebował słów wielu, ażeby pana zrozumiał.

Miał już odchodzić, gdy księżę wstrzymał go.

— Z listem jadąc — rzekł — staraj się go nie w Krakowie, gdzie nad nim czuwają klechy, ale na łowach gdzie przydybać.

Będiesz miał czas i swobodę dobrze mu Sonkę opisać. Potem mu już jej z głowy księża nie wybiją. Pośpiechu trzeba w tym jak w każdej rzeczy; wyprzedzą nas, stracimy wiele. Jeżeli kiedy, to dziś mi należy mieć tam pomocnika, bo wrogów ze strachu co dzień rośnie!

II

Księżna Julianna nie przyszła dnia tego do wieczery, nie chciała się spotkać z Sonką, potrzebowała gniew swój wypłakać i myśleć nad tym, jak męża odwieść od raz powziętego zamiaru. Nigdy w życiu się jej to nie powiodło, bo Witold żadnej nie uległ niewieście ani mężowi — nie wyrzekała się jednak nadziei i mimo doświadczenia, nieopatrzna niewiasta, zawsze najgorszego dobierała sposobu do pokonania męża, oko w oko stając z nim do otwartej walki.

Przy wieczery Sonka też siedziała nie mając do jedzenia ochoty, łamiąc chleb w rękach bezmyślnie i wodę popijając; a jak tylko misy zdejmować zaczęto, wymknęła się do swojej komnaty, do której za nią stara piastunka Femka ciągnęła.

Od tej niedawnej chwili, gdy się tak po dziecinnemu na huśtawce zabawiała, Sonka zdawała się jakby o lat kilka dojrzałą i starszą.

Padł na nią ten Witoldowy wyrok, którego spełnienia wiedziała, że nie uniknie, jak ostudzający wody strumień. Wszystko teraz walczyło w niej, poruszało się, ważyło. Czuła, że musiała być inną.

Gdy zostały same, rzuciła się w objęcia Femki i zawołała rozpaczliwie:

— Moja stara! moja stara! a, jak rychło przepowiednia się ziściła!

Femka, przywiązana do niej jak do dziecka, zadrżała wylękła.

— Boże! cóż się stało?

Ode drzwi, pod którymi łatwo je podsłuchać było, Sonka przeprowadziła ją ku oknu. Tu sama siadła na zwykłym, ulubionym krześle, wysłanym z ubogim przepychem dziecka, które wszystko, co je otaczało, stroić chciało, uczynić pięknym, a nie miało czym...

Jak to siedzenie proste sukno okrywało, ale jaskrawo szyte dla złudzenia oczów, tak dziewczęca komnatka cała była strojna tym, co się w ten sposób użyć dało... Kwiatki, pióra, szyte i bramowane z lichego płótna opony dziewczę rozwieszało, tworząc sobie przepych, o którym marzyło.

Femka jej w tym i palcami, i różnymi środkami dopomagała, ale nad obiema czuwało zazdrosne oko Julianny, która nie dopuszczała najmniejszego zbytku, aby dokuczyć znieawidzonej dziewczynie.

Stara piastunka przypadła do ziemi u jej kolan; zaczęły rozmawiać po cichu. Niejeden raz już doświadczyły, że je szpiegowano.

— Wuj mnie swata — drżącym głosem poczęła Sonka. Przeżegnała się Femka.

— Daj Boże w dobrą godzinę — rzekła ręce składając. — Przecieżbyśmy wolne były od tej...

Wskazała na drzwi palcem.

— A ty byś odetchnęła swobodnie...

— Ale mąż — oczy sobie zakrywając poczęła Sonka — dziad stary! ojcem by mi być mógł lub...

— Kto? — przerwała piastunka. Sonka schyliła się jej do ucha.

— Jagiełło!

Teraz Femka sobie oczy zakryła rękami drżącymi i pozostała tak długo milcząca, jak by się modliła czy płakała. Tymczasem dziewczę zadumane odzyskiwało moc nad sobą.

— Taka dola — rzekła śmieiej — stary, ale król... i Sonka królową, a Julianna by się jej kłaniać musiała!

W oczach jej błysnęła duma.

— Królową będąc nie chodziłabym jak tu w tych łachmanach — potrząsała zieloną sukienką wytartą — obwiesiłby mnie klejnotami!

Sparta na ręku Femka nic jakoś nie odpowiedziała.

— O! dla jednej Julianny ja nie będę się wypraszała! nie! Wiem, że się ona zje ze złości.

Ona księżną, a Sonka królową!

I potrząsnęła za ramię wzięwszy piastunkę, domagając się odpowiedzi. Dumiała w sobie zatopiona Femka.

— Widziałaś ty Jagiełłę? — spytało dziewczę.

— O! o! wiele razy i dawniej, gdy jeszcze młodszym był, i teraz — poczęła Femka przybita tą niespodzianą wiadomością.

— Straszny on jest?

— A! nie — westchnęła piastunka — dobry nawet a powolny i szczodry... ale...

Tu pokręciła głową.

— Trzy żony miał! — wyrwało się Sonce.

Milczały obie. Księżniczka zamyślona, znowu ją uderzając po ramionach, rozbudzić się starała.

— Mów ty mi o nim! — zawołała — ale prawdę, wszystko, bo ja wiedzieć muszę, komu mnie dadzą i co mnie czeka.

Westchnieniem naprzód odpowiedziała Femka.

— Boże mój miły — odezwała się — wszystko to jak sen chodzi po mojej biednej głowie!

Trzeba ci było wróżkę wyzywać! wczoraj jeszcze siedziałyśmy spokojne, a dziś...

Przeżegnała się bojaźliwie i wnet dalej ciągnęła.

— Stary już, ale taki krzepki do łowów i w lasy, jak by młodym był. Tylko twarz ma

zgrzybiałą, a włos siwieje... Małomówny... pobożny... nieufny... O! nie wierzy kobietom! nie wierzy!

Zawahala się trochę Femka.

— Pierwszą żonę Węgierkę miał, której pono do dziś dnia żałuje i pierścionka jej nigdy z palca nie zrzuca, a córce, którą miał z drugiej, dał jej imię. Mówią, że jak anioł piękna była, ale od ciebie, dziecko moje, nie krańszsza pewnie, i dobra też miała być... ale szła za Jagiełłę przymuszona, ludzie powiadali, że innemu przeznaczoną była i kochała go... przymusili Polacy...

szła za niego! Taka dola nasza; kochasz czy nie, wydadzą cię; darmo płakać, kiedy słuchać trzeba... Oskarżyli ją potem przed Jagiełłą, że się z tamtym pierwszym swoim widywała... aż sąd musiał być i przysięgali ludzie, a potwarca odszczekał pod ławą, bo łgał jako pies.

Westchnęła Femka, a rączka dziewczęcia, które ją trzymało za ramię, zadrżała i twarzyczka, wyrażająca ciekawość, pobladła.

— Niedługo żyli z sobą — mówiła dalej piastunka. — Zmarła ta pierwsza królowa...

biedaczka...

— No? i prędko drugą wziął? — spytała Sonka.

— Coś rychło, bo mówili, że się lękał, aby go Polacy precz nie wygnali, więc wziął inną z krwi polskiej, po ich królu dawnym... Ta już mu nie tak była miłą...

Spuściła głowę Femka.

— Jak za pierwszej, tak z drugą — dodała — nie siedział nigdy razem, ciągle w lesie. Na

zamku on gościem, aby zatrąbili na łowy, uciekał w bór, a pojechał na zwierza, to go często miesiącami nie było... Nie wszędziez królowę z sobą brać, musiała to tu, to owdzie po zamkach się tułać, czekać na swego pana... I tej ludzie nie darowali... prawili, że mu była niewierną.

— A on? — spytało dziewczę.

— On? wierzy łatwo — mówiła Femka.

— Uczynił jej co?

— Poświadczyli i tej, że niewinną była... Po tej pono nie bardzo bolał, gdy mu zmarła...

Wyswatała mu siostra trzecią...

Sonka westchnęła.

— Śmiali się a gardłowali ludzie, gdy się z nią żenił, bo stara baba była i chora a zła i zgryźliwa; co gorzej, że ona mu, słyszą, chrestną matką była, a z taką jak z rodzoną żenić się nie godzi, ale czego królom nie wolno? Naprzód się żenił, potem księży o pozwolenie prosił. Więc co robić mieli. Ludzie tej starej nie lubili, bo i prosta szlachcianka była, i trzech pono miała mężów, nim się królowi dostała... gdy od ślubu jechali, wozy się łamały i w króla piorun bił, że omal z życiem uszedł... Dostyc by mu trzech było — zakończyła piastunka.

Położyła jej Sonka palce na ustach.

Długo tak siedziały obie zadumane. Femka z płaczem poczęła ścisnąć ją za kolana.

— A! innego tobie trzeba było, sokoła białego, bohatera w złotej zbroi, ze słonecznym liczkami, jak ty pięknego i młodego!

Sonka wpatrzyła się w okno.

— Z dolą nie wojować, ściany nie przebić głową — rzekła. — Witold co powie, to musi się spełnić. Uczyni mnie królową...

Pochyliła się do piastunki, szepnęła- jej w ucho:

— Ale powiedział mi, że ja słuchać go muszę i służyć mu powinnam! Królowa? (pokręciła główką). Nie! mnie ludzie będą słuchali... nie ja drugich, nawet wuja Witolda... Nie! nie! Na to za starego idę, abym rozkazywała, jemu i wszystkim...

Z przestachem słowa te usłyszała Femka i przeżegnała się jak zawsze, gdy coś złego odegnać chciała.

— Wojuj ty, z kim chcesz — rzekła — tylko nie z nim! On i z Jagiełłą co chce poczyna, i z panami niemieckimi, i z królami, i książętami, bo mocny jest i rozumny. Tobie z nim nie walczyć ani mu się sprzeciwiać! O! nie!

Nie odpowiedziała nic Sonka.

Noc nadeszła w czasie rozmowy. Femka poszła łóżeczko uścielać i kaganek zapalić, a

księżniczka została przy oknie, zapatrzona w nie, choć poza nim nic już widać nie było oprócz kawałka ciemnego nieba upstrzonego gwiazdami.

Nazajutrz Sonka wstała mężną, pogodzoną ze swym losem, stary mąż z koroną na głowie zwyciężył.

Spotkały się z Julianną, która nie rzekła do niej słowa, władzę swą tylko nad nią wywierała z surowością największą, jak by przeczuwała, że niedługo będzie trwała.

Witold przy żonie oczyma zmierzył siostrzenicę i nie rozpoczął rozmowy aż do wieczora, gdy samą ją spotkał.

— Widzę — rzekł z trochę szyderstwem — żeś sobie oczu nie wyplakała... rozum masz...

Pamiętajże, com mówił wczora.

Królową cię uczynię, ale musisz mi być posłuszną, a staremu to do ucha kłaść, co ja każę...

Sonka bystro na niego spojrzała, zdało się, że odpowiedzieć coś chciała, ale wstrzymała się.

Książę odszedł.

Tegoż dnia Cebulka potajemnie został wyprawiony do króla, który naówczas w lasach około

Łysej Góry na łowach był.

Zręczny poseł po drodze już, wstępując do grodków i miasteczek, języka starał się dostać o Jagiellę...

Wskazano mu miejsce około Słupi, do którego podążył, lecz tu już Jagiełły nie było...

Pociągnął w lasy dalej, a Cebulka za nim nie spoczywając po drodze. Chciał go mieć koniecznie wprzód, nim do Krakowa powróci.

Błądząc tak, ledwie w Niepołomicach go napędził. Szczęściem dla niego lasy tu zwierza

pełne króla wstrzymały. Nie bardzo też rad powracał do swej stolicy, gdzie go spornymi sprawy zbyt nękaną, choć je zdawał chętnie na innych.

Obrachował się tak zręcznie Cebulka, iż pod noc, gdy Jagiełły się na zamku spodziewano, wyprzedził go.

Z duchowieństwa i panów, których się obawiał Witold, podczas nikogo przy królu nie było; dwór tylko łowczy mnogi i różnych ludzi wiele, co radzi byli z niewyczerpanej szczodroblewości dobrodusznego pana korzystać.

W izbie dla Jagiełły przygotowanej z taką prostotą, do jakiej on był nawykły, pościel już skórami zasłana, ogień na kominie niewielki i jadło stało w pogotowiu, aby wygłodniały mógł się pożywić.

Z Krakowa kilku komorników z listami od rana siedziało.

Z nimi razem przysiadł się Cebulka na króla oczekując i rozmowom się ich przysłuchując.

Sam on ledwie półsłowem jakim się odzywał. Dawał się im wygadywać, na zwierzenia się wyciągał, a pytany zawsze mawiał, że o niczym nie wiedział.

Późno w noc łowy wróciły, wozy za nimi zwierza pełne i król dobrej myśli, a głodny, rad ogniowi na kominie, pieczeni na misie i Cebulce, który mu się do stóp kłaniał.

Z Litwy posła zobaczywszy, aż mu się w pomarszczonych powiekach oczy zaśmiały, bo i w Krakowie, i gdziekolwiek był, za swą Litwą tęsknił zawsze, a co mu nią pachło, choćby wrogie było, ciągnęło urokiem niewypowiedzianym.

Tych braci, z którymi nieraz musiał krwawe staczać boje, nierad widział uciśnionych, a mógł podać im rękę, gotów był zawsze...

Zobaczywszy Cebulkę śmiać się począł do niego i siadając za stół stanąć mu kazał podle; zaraz o Witolda, o Wilno, o wszystko rozpytywać zaczął, takie nawet mieszając drobnostki, na które pisarz Witoldów odpowiadać nie umiał lub nie śmiał. Rad mu był bardzo.

Cebulka, póki dwór ich otaczał, z listem od pana nie zdradził się, pokłon tylko przynosząc.

Jagiełło się tego domyślił łatwo i po wieczerzy na pościel padłszy dwór odprawił, Cebulkę zostawiając przy sobie.

— Z listem mnie do waszej królewskiej miłości pan mój posłał, ale. pisanie to tajemne jest

— odezwał się pisarz.

— Mówże, co w nim, boś ty je pewnie pisał sam — uśmiechnął się król.

— Boleje księżę Witold bardzo — mówił Cebulka — że w. miłości niebezpieczeństwo grozi.

Król się podniósł spierając na łokciu, oczyma rzucił dokoła.

— Co? jakie?

— Od rzymskiego króla — mówił pisarz — bo to pan wielce chytry jest, kłamliwy i obłudny, a cokolwiek czyni, tylko dla siebie, nie dla miłości czyjej.

— Witold go nie lubi! — wtrącił zadumany Jagiełło — a przecie on mi wielkie ofiarował związki i korzyści.

— My o tym wszystkim wiemy — przerwał z poszanowaniem Cebulka — ale jego się

najwięcej bać należy, gdy takim dobrym się czyni... Księżę i o tym słyszał, a wie pewnie, iż rzymski król swatem chciał być.

Rozśmiał się Jagiełło.

— Wie Witold wszystko — rzekł — tajemnicy z tego nie robił Zygmunt. Córkę mi był gotów dać albo wdowę królowę czeską.

— A w obojgu zdrada tkwiła — dodał Cebulka. — Córka jego dziecięciem jest, na które byś miłość wasza czekać nie mógł, nim dorośnie, czeska zaś królowa wdową jest...

— Witold nie chce, bym się ja żenił — przerwał król — ja to wiem. No i biskupi, i Zbyszek, wszyscy by mnie od małżeństwa chcieli odwieść. Mówią mi, że jestem stary, a ja się nie czuję takim zgrzybiałym, że bym żonki nie mógł brać... Witold...

— Książę Witold właśnie zdania jest innego — żywo zawołał Cebulka — i owszem chce, i radzi, abyś się miłość wasza żenił.

Król spojrział zdziwiony mocno.

— Możeż to być?

— Tak jest, i z tym mnie posyła — mówił pisarz. — Tylko Niemki ani Węgierki, ani Czeszki wam nie radzi, ale starym obyczajem Rusinkę.

Król zwrócił się cały ku Cebulce i oczy mu poweselały.

— Niechże mi taką da — rozśmiał się — ale nie starą babę, tylko miłą krasawicę... a wesołe ptaszę...

Pisarz dał królowi chwilę czekać i odezwał się głosem zniżającym:

— Własną siostrzenicę, Sonkę Holszańską, książę Witold swata i rai. Dziewka młoda i urody osobliwej, humoru wesołego, dobra i piękna.

Słuchał Jagiełło z wielce natężoną uwagą.

— Mów, mów — dodał — jak ona wygląda, bom ja jej nie widział od dziecka... Liczko jakie? a oczy?

Cebulka z wolna opisywać zaczął znając króla, że mu piękność niewieścia nigdy obojętną nie była. Słuchał Jagiełło ciągle wesół, aż się zachmurzył nagle.

— Taka jak ta pierwsza, co jej pierścień na palcu noszę — westchnął — taka jak tamta nie będzie...

— Miłościwy królu, ci co ją i tamtą widzieli — rzekł Cebulka — poświadczą, iż jej nie

ustąpi, a weselszą jest, czego wam potrzeba, abyście po trudach mieli rozrywkę i wytchnienie przy niej.

— A zdradzi mnie i ta? — wtrącił nagle król wspomnieniem jakimś zachmurzony. — Jam stary, ona młoda, ludzie na piękność chciwi.

Potrząśł głową.

— Miłościwy królu — odezwał się Cebulka — Rusinki znacie, one tego nie czynią.

Wychowane są z dala od ludzi, w terenach zamknięte, bojaźliwe i skromne...

Milczał Jagiełło trochę.

— Z tym Witold posłał was? — spytał.

— Z jednym tym, bo księżę szczęścia waszego pragnie i rad by was widzieć na starość...

— Jam niestary — zamruczał król — ale o tym pomyśleć trzeba. Sonka! Sonka! Prawieni o niej nie słyszał. Nie swataliście mi jej wprzód.

— Bo niedorosłą była. Witold nie wiedział, że miłość wasza chcesz mieć żonę.

— Dlaczego bym nie miał chcieć — odparł król. — To człowiekowi przyrodzona... Tylko

mi Zbyszek i biskupi bronią tego i papieżem mnie straszą, ale gdy mu się pokłonię, stary ojciec da pozwolenie... Mówią, że cztery wiele... ale z pierwszą krótkom żył, z ostatnią jeszcze krócej, a co mnie o nią nagryźli! Mów, jak Sonka wygląda?

Cebulka począł wychwalać na nowo, czując, że już wyobraźnię króla nią zajął i że mu jej

niełatwo z głowy wybija. Król słuchał bardzo uważnie, a ilekroć pisarz przestawał mówić, wyczerpawszy pochwały, poruszał głowę i pomrukiwał.

— Mów jeszcze, co więcej?

Na ostatek Cebulka mówić już nie miał co. Król się zamyślił.

— A będzie mnie ona miłowała? — westchnął ponuro — bo to młode, a ja już... nie taki...

(Unikał widocznie nazwania siebie starym).

— Jakżeby tak dobrego pana nie miała kochać i nie być mu wdzięczną, że ją wyniósł nad wszystkie inne! — rzekł pisarz.

Wpatrzony w pościel dumał Jagiełło. Myśl zaślubienia krasawicy zajmowała go mocno — westchnął ciężko i podniósł znużone już całodziennym trudem powieki.

— Witold sam lubi kraśne dziewczęta, z jego ręki brać niebezpieczno — odezwał się z półuśmiechem. — Kiedy ją królową uczynić chce, pewnie mu miła...

Spojrzał bystro na Cebulkę, który żywo podchwycił:

— Miła mu jest, to pewna, ale jak własne dziecko, nie inaczej, boć to siostrzenica Anny nieboszczki.

Król głową tylko potrząsnął, obejrzał się poza łoże, po izbie, dokoła, jak by się lękał, żeby go nie podsłuchano...

— Ja bym rad Sonkę wziął — rzekł powoli, wahając się — ale niemało z tym trudu będzie, nim mi klechy pozwolą. Oni się już domyślają, że mi swatają ze wszęch stron; toteż spokoju nie dają odwodząc od małżeństwa. Zbyszek sobie, a to uparty człek jak żelazo, niczym go nie zyskać i nie przeprzeć, Wojciech także, krakowski biskup, wtóruje mu, ale ten chciwy jest, z nim sobie poradzę. Na ostatek ta gadzina, zmija ta, Ciołek, co na nieboszczkę moją takie srogie a ohydne pisał rzeczy... ten znów gotów mnie zohydzić.

— Miłościwy panie — przerwał Cebulka — alboż nie jesteście królem? nie macie woli swojej?

Jagiełło cicho parsknął i w dłoni ukrył śmiech.

— Ja? królem? — rzekł. — A juści do dawania i obdarowywania tom ja król, kłaniają mi się, gdy ode mnie biorą, ano, nie wiesz, Cebulka, że ja nie mogę nic... nic... Co tu za panowanie w tej Polsce? Tu biskupi i panowie królują, a król słucha... Co ja mogę? Psy i psiarzy w pole wyprowadzić, w lesie tom ja pan, a w Krakowie... Z jednej strony Zbyszek, z drugiej Wojtek, z trzeciej Staszek, a Jaśko z Tarnowa, a Mikuła z Brzezia, a wszyscy oni... Pojadę na Ruś, tam mi pokłony biją" i mogę robić, co chcę, a tu w Krakowie... daliby mi dopiero, gdybym swoją wolę chciał mieć...

— Miłościwy panie — szepnął niewyraźnie pisarz — mnie się zdaje, że gdybyście mojego pana słuchali, a jego w pomoc wzięli, on by tę swawolę ukrócił i panowałibyście sami.

Jagiełło głową potrząsnął znowu.

— Za późno — rzekł — z panami tutejszymi już dziś nie porywać się do walki. Tamci

królowie, co przede mną byli, nadawali im pargaminów i pieczęci, tak że już teraz oni od nas mocniejsi. Dobrze Witoldowi na Litwie, bo mu tam nie brużdżą bojary, a mruknie który, łeb mu zetnie, i reszta w mysze dziury się chowa. Tyś sam Polak, wiesz, że tu król wszystkim służy, a jego pilnują tylko.

— W sprawach państwa — odparł Cebulka — trudno na to radzić, kiedy to w prawo przeszło, ale gdzie o żonę idzie, co komu do tego? Zabronić nie mogą ożenić się królowi.

— O! o! — przerwał Jagiełło — mądrzy to są ludzie; jak sami nie będą mogli, to poślą do

Rzymu, stamtąd jak stary Papa nakiwa mi, muszę milczeć, a ja go potrzebuję, bo bez niego bym tych mnichów krzyżowych nie zgniótł...

Głową począł kręcić. Cebulka milczał.

— Witold mi dobrze życzy — dodał — i ja go kocham jak rodzonego... ale on tym mnichom daje się wodzić i teraz im przeciw mnie pomaga, a drużbę trzyma z nimi...

Zmieszał się nieco poseł, bo czuł słuszność tych zarzutów, lecz musiał bronić swojego pana.

— Miłościwy królu! — rzekł — nie waśni się ksiązę Witold z Krzyżakami, ale przyjaźnić się z nimi nie może. Pomni on, co od nich sam wycierpiał.

— Wrogami są i będą, choć się płaszczą przed nami — dorzucił król — a dla mnie wrogiem, kto z nimi trzyma.

Cebulka rad był już odwrócić rozmowę, bo się zbyt stała drażliwą, przebąknął więc znów o Sonce, aby nie dać królowi mówić o Krzyżakach. Udało mu się to i Jagiełło poweselał zaraz.

— Cóż ja mam odnieść panu mojemu w odpowiedzi? — zapytał.

— Czekaj do jutra — rzekł król po namyśle. — Jedź ze mną do Krakowa, tam odpowiedź

otrzymasz... Rusinka mi się lepiej od innych uśmiecha, bo to swoja... jak moja matka była, i z nią łatwiej niż z tymi Niemkiniami, do których trzeba włosy smarować i jedwabie wdziwać...

Przerwało mu powtórzone westchnienie.

— Idź spać, Cebulka, bo i mnie się już oczy kleją... a nikomu nie mów o Sonce.

Z tym się rozstali.

Nazajutrz, choć zapowiedziane były łowy w puszczy, z rana wstawszy, a raczej obudziwszy się, bo z łóżka rychło nie powstając swoim obyczajem wylegiwał się Jagiełło, nakazano szykować się do Krakowa.

Żał było królowi lasów, bo miasta i życia w nim nie lubił, a na zamku się nierad zamykał; jechał markotny, ale już mu ta krasawica Rusinka po głowie chodziła. Im młodszą mu ją opisywał Cebulka, tym chciwszym był na ten kąsek stary.

Przez całą drogę jednak myśleć musiał, jak się o tym rozmówi z panami. Odradzali mu oni w ogóle spóźnione śluby, przy których uporczywie stał; a z duchownymi i baronami swymi sprzeczać się nie lubił i nie umiał. Przemogli go zawsze i wymową, i upornym staniem przy swoim.

Największą miał obawę o Zbyszka z Oleśnicy, który od czasu, jak mu pod Grunwaldem życie ocalił, ulubieńcem się stał, a z ulubieńca groził być panem. Temu nie kosztowało nic prawdę powiedzieć choć przykrą królowi, żadnej słabości jego nie uległ nigdy, wyrzucał mu ją na oczy i zyskać się nie dawał niczym.

Jagiełło się na niego często pogniwał, odprawił nadąsany, lecz wkrótce potem przywoływał i przeproszał.

Zarzucono królowi słabość, w istocie nie miał on potęgi i energii Witoldowej, lecz serce chrześcijańskie, zdolne pokrzywdzonego prosić o przebaczenie i błąd swój wyznać.

Tej cnoty dał był Jagiełło dowód, gdy porywczy z Krakowa do Poznania przesadzonego biskupa Piotra Wysza, pod pozorem osłabionych władz, na łożu śmiertelnym jechał sam o zapomnienie winy prosić.

Im powolniejszym był król, tym ludzie tacy jak Zbigniew z Oleśnicy większą nad nim brali przewagę.

Przybywszy do Krakowa Jagiełło niecierpliwy posłał zaraz na probostwo św. Floriana po Zbigniewa.

Był to już w oczach wszystkich przyszły biskup krakowski, choć dotąd stolicę tę Wojciech Jastrzębiec zajmował. Oczekiwano na zgon pierwszego prymasa Polski w Gnieźnie, aby Zbyszka w Krakowie albo w Gnieźnie umieścić.

Wojciech, biskup krakowski, dziecię jednego z najstarszych rodów szlacheckich Polski, który wielkim rozrodzeniem się już naówczas zubożałe w sobie liczył gałęzie, wyszedł był z małego,

ale dobił się wysoko uczonością swą, teologicznym wykształceniem, którego w pismach zostały dowody, i powiedzmy też — wielką giętkością charakteru, właściwą tym, którzy do góry się wspiąć pragną, a ciężkich o to bojów staczać nie chcą.

Nie był on przeciwnikiem Zbigniewa z Oleśnicy, lecz ani sługą jego, ni narzędziem być nie chciał. Powolniejszy od niego, królowi wbrew się nie sprzeciwił, w ostatecznych razach zdanie dawał dwuznaczne, niejasne... Naginał się do okoliczności.

Młodszy od niego, a niezłomniejszy Zbigniew, nie mogąc mieć całkiem po sobie, musiał baczość mieć na niego, bo i nauką, i zręcznością był groźny...

Obaj ci duchowni byli naówczas w tych stosunkach dwuznacznych, które na przyszłość nic wnosić nie dają.

Zbyszek z Oleśnicy był jeszcze biskupa krakowskiego podwładnym, szanować go musiał, a

Wojciech czując potęgę ducha i charakter w nim, przewidując przyszłe znaczenie, zawczasu go rad sobie był zaskarbić...

Powołany do króla Zbyszek po drodze wstąpił do biskupiego dworu oznajmić, że Jagiełło powrócił.

Był naówczas Oleśnicki w sile wieku mężczyzną, pięknej powierzchowności, wybitnych rysów twarzy, zbudowany silnie, oczu wydatnych i wyrazistych, w obejściu się uprzejmy, lecz razem żywy i śmiały.

Starszy od niego biskup Wojciech wejrzeniem tylko zdradzał umysłu swego siłę, twarz zresztą przystojną, pociągłą z ustami uśmiechającymi się na pozór dobrodusznie, umiał uczynić niewyrazistą, jak by nią potrzebował pokryć siłę ducha. Nie wydawał się z nią wcale... Wesołością, nieopatrnością, lekceważeniem prawie zbywał sprawy, których znaczenie nie uszło jego przenikliwości.

Ale nie życzył sobie, aby go miano za tak zręcznego i rozumnego, jak był.

W Oleśnickim coś było bojownika i żołnierza, w Jastrzębcu przeważał ksiądz uniżony, łagodny, pokorny, ale widzący kryjomo wszystko.

— Pasterzu miłościwy — rzekł witając go porywczo dosyć Zbyszek. — Król mnie wzywa, powrócił nareszcie z tych wiekuistych łowów. Nie będziecie na zamku?

— Chcecie, bym był? — z uprzejmym uśmiechem odparł biskup.

— Sądzę, że nas tam i dwu, i więcej nie będzie nadto — zaczął Zbyszek — aby Jagielle z głowy wybić, co mu król rzymski w nią włożył, nieszczęsną myśl ożenienia...

Biskup Wojciech ręce załamał i głową potrząsnął potwierdzająco, nie odpowiedział nic.

— Staremu na co się to zdało! — mówił dalej Oleśnicki. — Dla żony pewnie łowów nie rzuci. Wiek późny. Papież rozgrzeszając go za ostatnie małżeństwo z Granowską wyrażony położył warunek, że ono ostatnim być miało.

Mówił, a biskup słuchał z oczyma spuszczoneymi.

— Tak — odezwał się łagodnie, widząc, że coś odpowiedzieć było potrzeba — tak, jest to nieszczęście wielkie, które chytrości Zygmunta winniśmy... Musimy króla starać się odwieść, ale to nie przyjdzie łatwo...

Od towarzyszenia na zamek Wojciech się wymówił zrećznie, Oleśnicki sam stawił się na Wawelu.

Król, już po rannym obiedzie, czekał na niego w dolnej izbie małej sam jeden. Powitanie było serdeczne ze strony Jagiełły, pełne poszanowania, lecz razem i powagi ze strony duchownego.

Król, o ile mógł, twarz rozjaśniał... Począł naprzód opowiadać o łowach swych i o zwierzu.

Zbyszek słuchał cierpliwie. Kazał mu sięść król. Dla znającego dobrze Jagiełłę było już jawnym, że się miała ważniejsza a drażliwa począć rozmowa. Domyślał się nawet jej przedmiotu Oleśnicki, lecz pierwszy rozpoczynać nie chciał..

Jagiełło począł od uściskania go.

— Pamiętam — rzekł wzruszony — żeś mi życie ocalił i życzysz mi dobrze, a mówisz prawdę, gdy inni się podlizują i pochlebstwa mnie karmią. Bądź mi tak wiernym i teraz.

Popatrzał milczącemu w oczy.

— Czemuś ty małżeństwu przeciwny? — wyjąknął wreście.

Zbyszek potrząsnął głową.

— Ani wam, królu mój, ani Polsce ono niepotrzebne — rzekł rześko. — Lat macie blisko

siedemdziesięciu, nie wiek to do wesela. Małżeństwo przez Boga i kościół ustanowione jest dla utrwalenia rodu ludzkiego, a wy się już potomstwa spodziewać nie możecie...

Król się zatrząsł cały.

— Dlaczego? — zawołał szybko i zająkliwie. — Jam w lasach żył, życie mam mocne, siły większe niż wy, coście w murach zamknięci...

Zbyszek pomilczał nieco.

— Obyczaj was też nie stworzył do domowego pożycia z niewiastą — rzekł. — Dla najmilszej żony nie poświęcicie jeszcze miłszych łowów... Cóż wam po małżonce, która samotne dnie pędzić będzie musiała, gdy wy na Boże Narodzenie do Litwy, w zapusty na Ruś, na Zielone Świąta pojedziecie w Mazowsze za zwierzem... Rozśmiał się król.

— Dajcie mi taką, co by mnie umiała utrzymać przy sobie. Zbyszek ramionami ruszył.

— Nie znam takiej... a to wiem — odezwał się — że Ofka, owdowiała czeska królowa, nie będzie dla was, jakiej życzyście... Cóż dopiero inne!

Król oczy spuścił i po chwili szepnął:

— Do Ofki trzeba posłać kogoś, co by ją zobaczył i poznał, a mnie sprawę zdał... ale ja nie upieram się przy niej... Rusinkę mi dajcie, taką jak moja matka była...

Odstąpił kroków kilka zdziwiony duchowny.

— Więc już nowego coś? — zapytał — nie króla rzymskiego swaty?

Uśmiechem i skinieniem głowy odpowiedział Jagiełło.

— Rusinkę bym rad poślubił — dodał. Stał zadumany smutnie Oleśnicki...

— Nie wierzycie mi — rzekł — pytajcie innych duchownych, miłościwy królu, czy wam kto z nich przeciw wyraźnemu wyrokowi papieża małżeństwo doradzi.

Zakłopotany Jagiełło posłyszawszy to usiadł i sparł się na rękę. Oleśnicki patrzył nań tak, jak by na dziecko napierające się czegoś spoglądał, z politowaniem i miłością razem.

— Nie chcecie, abym z rąk króla rzymskiego żonę brał — rzekł po chwili — no to mi pomóżcie do innej. Ja bez żony żyć dłużej nie mogę i nie chcę. Witold mi swata siostrzenicę swoją.

Tego imienia dosyć było Oleśnickiemu, aby obudzić nieufność i zrodzić niepokój. Powstał z

siedzenia poruszony mruczając:

— Witold! Witold!

Jagiełło pilno patrzył na niego.

— Dziewczę młode i urodziwe — dodał. — Któż to wie!

Bóg może łaskę mi uczynić i dać potomka. Nie lepiejże, byście pana z mej krwi mieli niż zięcia przybranego dla Jadwigi?

Zbyszek nie chcąc się sprzeczać nie odpowiadał, w myślach pogrążony.

— Witold? — powtórzył po długim milczeniu. — Niepojęta to dla mnie rzecz. Ja się go lękam i posądzam...

Żywo przerwał Jagiełło.

— Ja go miłuję — odparł. — Krew to nasza, a rodzina cała mi drogą. Mąż rozumu wielkiego i rycerz dzielny.

— Lecz, jak rycerz, podbojów i panowania chciwy — wtrącił Zbyszek.

— Sonka dla mnie stworzona na żonę — ciągnął przebojem już idąc król. — Nasze Rusinki za kratą się chowają, zamknięte. Świata nie widzą, zabaw nie lubią, skromne są i pobożne... nie tak jak wasze, chciwe wesela i śmiechu niewiasty. Takiej mnie właśnie potrzeba.

— Lat ma ile? — zapytał Oleśnicki.

Król mruczeniem mu tylko odpowiedział.

— Pół wieku różnicy, miłościwy królu, jeżeli się nie mylę — podchwycił Zbyszek — któż by wam dobrze życząc radził małżeństwo takie, gdy wszelkie, nawet ze starszą, niepotrzebne a grzeszne.

— Wolisz więc, bym miłośnice miał? — podchwycił żywo Jagiełło.

Oleśnicki ramiona podniósł i odstąpił kroków kilka nie dając odpowiedzi.

Nowa ta myśl króla, zrodzona z podszeptu Witolda, zdawała mu się groźną, pilno było

rozwieźć się, rozszłuchać i uzbroić przeciwko niej. Wstał więc Zbyszek i nie wznawiając rozmowy o tym króla pożegnał.

Jagięło idąc oczyma za nim nie zatrzymał go, został sam. W myśli już szukał sobie sprzymierzeńców przeciw Zbyszkowi, którzy by popierali ożenienie.

Niedługo potem oznajmiono mu biskupa Wojciecha. Ten wcale inaczej się z królem obchodził. Jagięło bywał z nim swobodniejszym, śmielszym i weselszym, bo w nim nigdy nie znajdował tak surowego sędziego i nauczyciela. Wyszedł ku drzwiom przeciwko niemu z twarzą wesołą.

— Widzicie, wilki mnie nie zjadły — zawołał — i jam znowu w Krakowie... Jeden niedźwiedź miał ochotę mi pogruchotać kości, alem ja mu oszczep wbił pod łopatkę i ani ziepnął.

Mówiąc to król ukazywał ruchem rąk, jak przeciwnika przebódl. Siedli wręście oba.

— Wy, mój ojcze, rozumniejsi jesteście od nich tu wszystkich — rzekł łagodnie, z twarzą rozjaśnioną zwracając się do biskupa Wojciecha. — Wy mi też powinniście prawdę rzec... Możli to być Bogu niemiłym, gdy człek chce żonę wziąć i potomstwo mieć?

Biskup głowę spuścił.

— Owszem, kościół zaleca małżeństwo świeckim — odparł cicho — lecz... lecz...

— Lecz co, mój ojcze?

— Lecz małżeństwa bywają różne — odparł Wojciech z pokorą. — Wy sami, miłościwy

panie, wiecie, ileście przez ostatnie przycierpieli, a ja też, com wycierpiał od królowej nieboszczki, żem pieczęci przyłożyć nie chciał.

— Po co to wspominiacie — rzekł zafrasowany Jagięło. — Przeszło to wszystko.

— Ale nauka została — dodał Jastrzębiec.

— Potomka nie mam — odezwał się król prędko. — Pragnę go mieć, ożenić się chcę i muszę.

Biskup na tak stanowczo wyrażoną wolę króla nie powiedział nic, dwuznacznie głowę pochylił, jak by się jej poddawał.

— Wprost wam wyznam wszystko — ciągnął dalej król. — Zygmunt mnie swata, a z jego

ręki wy się boicie żony, no, to od Witolda siostrzenicę, Rusinkę gdy wezmę, cóż macie przeciwko temu?

Zdumiał się biskup tak jak wprzód Oleśnicki.

— Miłościwy królu — odezwał się po długim namyśle. — Ja ani radzić wam, ani odradzać

bym nie chciał. Nie widzę złego w ożenieniu, lecz i dobrego nie widzę, wiek wasz podeszły, papież, ojciec nasz, zakazał wam powtarzać śluby...

— Papież mi pozwoli! — wykrzyknął król — do Rzymu poślę, rękę jego pocałuję...

Milczał już Jastrzębiec, ale twarz jego smutkiem się oblokła; król czekał nadaremnie odpowiedzi.

— Nie przeciwiście się? — zapytał.

— Duchownym jestem — odparł z wolna biskup — pod władzą rzymskiego papieża zostaję. Co on wyrzekł, dla mnie święte... radzić więc przeciw temu?

Zżymnął się Jagiełło.

— Innegom się po was spodziewał — począł z wyrazem żalu — wiecie, żem dla was

dobrym i łaskawym zawsze był, miłości też spodziewałem się nawzajem. Chcecie, bym tak sierotą, sam jeden życia dokonał? Dziwujecie się, że mnie ciągną łowy, a cóż na zamku robić będę?

Rządzić mi nie dajecie, bo rządzicie za mnie sami; szczęśliwym być mi nie dopuszczacie...

Mówił nieomal płaczlichwie, a biskup siedział zadumany.

— Królu miłościwy — rzekł — co pomoże, gdy ja waszej woli sprzeciwiać się nie będę?

Nie ja tu jeden jestem... innych pytajcie. Zgodzą się oni, ja pewnie nie oprę.

— Ze Zbyszkiem mówiłem — wtrącił król — ale z nim... Nie dokończył.

— Mówcie wy z nim za mną — dodał — argumentami przekonajcie go...

Ks. Wojciechowi uśmiech pobieżał po ustach.

— Oleśnickiego ani pokonać, ani przekonać jam niezdolny — rzekł — powaliłby mnie na ziemię jak Kykieryca włócznią.

Jagiełło dowcip ten znalazł trafny, rozśmiał się głośno.

— O! ten Zbyszek — zawołał — ten Zbyszek, com ja go sobie sam na moje utrapienie

wychował i wyniósł... a teraz słuchać go muszę...

Ani przeciw, ni za nie rzekł słowa biskup.

— Jak sądzicie? — dodał król — uproszę go ja, aby mi Sonki wziąć nie bronił?

Zamyślił się Jastrzębiec i szepnął głos miarkując:

— Tym tylko chyba, że mu żoną z rąk rzymskiego króla zagroziecie...

A po małym przestanku dodał poufnie:

— Jego wyślijcie, aby Sonkę widział i sądził, czy na żonę dla was przystała, jemu

powierzcie sprawę. Odrzucić nie będzie mógł, pojedzie... Któż wie, może skłoni się sam albo Witold go potrafi zjednać...

Na tym skończyła się z biskupem rozmowa. Powstał, król także z siedzenia się poruszył i przystąpił ku niemu. Cicho skłoniwszy się mu, do ucha szeptać począł.

— Nie bądźcie przeciwni, nie zatruwajcie ostatnich dni moich. Krzyw wam nie byłem, nie bądźcie mi wrogami.

— Królu — podchwycił Jastrzębiec — my cię miłujemy wszyscy, a właśnie miłość ta przestrzegać każe...

— Mów za mną Zbyszkowi — nie dając dokończyć odezwał się Jagiełło i prowadził go do drzwi. — Mówcie mu, że mnie do grzechu prowadzić nie powinien... chcę mieć żonę i rodzinę; sam jestem! sam!

Biskup się skłonił i, jak by mu pilno było ujść od nalegań, co rychlej za próg ustąpił.

Gdy się to działo, Cebulka na uboczu siedząc, nierad się pokazując, nie dając wiedzieć o sobie, patrzył i słuchał. Ani przybycie Oleśnickiego, ani odwiedziny biskupa oka jego nie uszły.

Późno w noc, gdy już król leżał na łożu swym w sypialni i kaganek tylko nocny w rogu jej zapalony izbę oświecał, Jagiełło z dwóch komorników swych, którzy u drzwi jego sypiali, jednego wyprawiał po Cebulkę.

Obu potem precz do sieni oddalić się kazał.

Na palcach, ostrożnie wsunął się pisarz aż pod łoże królewskie. Jagiełło sparty na jednej ręce oczekiwał na niego.

— Jutro jedź z powrotem — rzekł niespokojnie — listu nie trzeba, Witoldowi powiedz, że ja Sonkę przyjmuję z jego ręki, a co panowie na to powiedzą, radzi będą czy nie, nie dbam!

Wyraz ten wymówił z niezwykłą siłą.

— Ale tym królikom trzeba okazać choć, że oni też coś mogą! Ja swoje uczynię, a ich pogłaskać muszę. Rychło więc pošlę tam Zbyszka na oględziny, aby Sonkę widział sam i rzekł mi, jaką ona będzie królową. Zbyszka niech Witold przyjmie, a ujmie sobie, niech pogłaszcze...

Tu król zniżył głos bardzo.

— W orszaku jego będzie człowiek z mojej ręki, co mi prawdę powie! Rozumiesz.

Skinął ręką.

Cebulka stał z pochyloną głową.

— Zanieście pozdrowienie swemu panu — dodał król — i powiedzcie, że mu dziękuję, a będzieli z jego siostrzenicy żona dobra, zawdzięczę mu — i miłować ją będę... i raj jej tu uczynię... a. wyniosę jak żadną...

To mówiąc król, który nigdy posła ani gościa bez podarku nie odpuścił, przygotowany już worek ze stołu pochwycił ręką drżącą i śmiejąc się dał go Cebulce, który kolana jego ścisnął i całował.

— Aby ci w drodze zbytnio nie ciążyło, konia kazałem dać z mojej stajni. Jedź z Bogiem!

III

Jednego zimnego poranka orszak z kilkudziesięciu koni złożony, a wozów parę wiodący za sobą, ukazał się w bramie Wilna i wywołując ciekawych z domostw po drodze wprost się kierował ku zamkowi.

Obyczajem ówczesnym jechali wszyscy konno, bo choć kolebki i pałuby a wozy kryte używane były, służyły one wyłącznie dla chorych, kobiet i niedołącznych starców.

Wszyscy, nie wyjmując duchownych, odbywali podróże wierzchem, wstydząc się kazać wieźć na kołach lub saniach, które tylko pod ciężary służyły.

Zbyszek też z Oleśnicy ze swym orszakiem z Krakowa do Wilna zdążył konno, a namioty

jego i sprzęt wozy niosły.

Król pod pozorem, aby dworowi posła dodać świetności, pomimo oporu Zbyszka, swoim komornikom kilku kazał się do służby przyłączyć.

Niezbyt chętnie podróż tę podejmował proboszcz św. Floriana przeciwko przekonaniu i woli swej, ulegając prośbom Jagiełły, a w ostatku przenosząc już małżeństwo z Rusinką niż jakiegokolwiek związanie się z chytrym, przewrotnym, niebezpiecznym królem rzymskim, który słabość Jagiełły i dobre serce jego miękkie poznawszy rachował, że je potrafi wyzyskać.

Bądź co bądź wpływ Witolda przez siostrzenicę, jakkolwiek panom polskim niemiły,

skuteczniejszym oporem i czuwaniem można było osłabić. Miał więc król zawrzeć to czwarte małżeństwo, któremu wszyscy byli przeciwni; wołano już w ostatku Sonkę niż wdowę po królu czeskim lub inną powinowatą Zygmunta.

Nie był oznaczonym czas obiecanego przybycia Oleśnickiego do Wilna, nie oczekiwano

więc na niego, lecz na zamku gość nigdy nie był niespodzianym. Z Rusi przybywali nieustannie kniaziowie, zajeżdżali przypochlebiający się Witoldowi Krzyżacy, gotowi nawet do jego wypraw na Ruś mu służyć; ciągnęło i wielu panów polskich szukając u Witolda opieki.

Nim orszak Oleśnickiego od bram miejskich dociągnął do zamkowej, już tu o nim

wiedziano, a służba miała rozkazy, aby komnaty wyznaczono i gościa podejmowano ze czcią wielką.

Bystre oko litewskiego księcia już od dawna w Zbyszku odkryło przyszłego władzcę i spraw polskich kierownika. Zyskać go sobie, z nim razem iść było jedynym pragnieniem Witolda. Lecz Oleśnicki lepiej jeszcze znał stryjecznego brata pana swego niż on jego. Wiedział, że w nim tyle było woli żelaznej i siły, ile ich brakło Jagielle; i że ksiązę już zdradzał zamiary oderwania Litwy, uczynienia jej samoistną, a wielkimi podbojami na Rusi Polsce niebezpieczną.

Witold, pan Nowogrodu i Pskowa, wielki ksiązę całej Litwy, zrywając węzły, które go z

Polską wiązały, łącząc się z

Krzyżakami mógł jej gotować zagładę.

Oprzec się wszystkiemu, co tę potęgę krzepić mogło, było dla Oleśnickiego pierwszym obowiązkiem.

Zaledwie na zamek wjechawszy, natychmiast powitany przez księcia, Oleśnicki suknie

podróżne złożywszy wezwany był do zastawionego stołu.

Wiedział książę o celu poselstwa, ale mu w pierwszej chwili narzucać się ze swą Sonką nie godziło. Sam jeden więc gościa przyjmował, naprzód o zdrowie króla się dowiadując, który jak zwykle był już na objeździe kraju, a raczej lasów, i podążał do Lublina i Sandomierza, skąd na Ruś się miał dostać.

Nie było króla, który by nad Jagiełłę żywiej się poruszał i nieustannie po wszystkich ziemiach i miastach z kolei obozował.

Każdego niemal roku widywała go Ruś, Wielkopolska, Mazowsze, Sandomierskie i częste zjazdy szlachty zwoływano do małych miescin, aby mu z pobliskich łowów łatwiej na nie zjechać było.

Witolda wojna tylko lub jakiś cel narad ważny potrafił wyrwać z Wilna i z ulubionych Trok, król polski był prawdziwym koczującym królem, którego namiętność łowiecka wyganiała w coraz nowe ostępy...

Całe wozy i całe statki naładować soloną zwierzyną i słać je w podarkach było dla niego największą rozkoszą. Miasta, magistraty, biskupi, wielcy urzędnicy, klasztory otrzymywały prawie corocznie te dary, a jeżeli wojna była przewidywana, król polował dla wojska.

Rozpytywał więc Witold uśmiechając się o powodzenie tych wypraw myśliwskich, o których Zbyszek nie bardzo wiedział.

Lecz gdy pozostali sami, poseł nie zwlekając oznajmił, z czym przybywał.

— Ulegliśmy żądaniu króla wszyscy — odezwał się otwarcie — chociaż zamiaru jego ożenienia nie pochwalamy; przybywam z polecenia jego, aby widzieć i poznać tę, którą to wasza miłość przeznaczasz dla mego króla.

Z tonu i wyrazu twarzy Witold mógł poznać, że Zbigniew niechętnie spełniał wolę królewską; potwierdzały to słowa zimne i krótkie.

Chciał posłowi dać całą myśl wypowiedzieć, nimby sam rozpoczął.

Milczał więc. Zbigniew po chwili się odezwał:

— Księżniczka jest bardzo młodą.

— Będziecie ją dziś widzieli — odparł na koniec Witold — młodą jest i piękną, lecz sędzę, że takiej

właśnie potrzeba Jagielle, aby się do niej przywiązał. Mówi za nią to, że Rusinką jest, bo on od dzieciństwa przy matce do tego języka nawykł. Na ostatek wyznam wam otwarcie, nie chcę pozwolić na to, aby król rzymski sam lub przez następczone baby słabego

Jagiełłę oplątał. Jest to człowiek przewrotny, bez serca, któremu zaufać nie można.

— Najlepiej by jednak było — rzekł Zbigniew — od wszelakiego odwieść małżeństwa, które królowi nie jest potrzebne, a z jego życiem i obyczajem się nie godzi.

— Gdyby to było możliwe — odparł Witold. — Znam go z dawna, natura jest taka, że kobiety go ciągną, nie ożenimy my, ożenią go drudzy i niebezpieczeństwo zawsze grozić będzie.

Przypomnijcie sobie Granowską starą, z którą go mazowiecka księżna, przyjaciółka jej, wbrew wszystkim połączyła.

Przeciągnęła się rozmowa dłużej w tym tonie chłodnym, gdyż oba twardzi ludzie nie mieli ku sobie skłonności i na ostrożności się mieli.

Zbyszek nie taił, że chociaż przybył na oględziny i jakkolwiek znalazłby księżniczkę, zawsze, sumieniem do tego zmuszony, odradzać będzie królowi ożenienie.

Siedzieli jeszcze do tego przedmiotu dodając rozmaite zapytania i uwagi, gdyż Witold o

Krzyżakach, o zbliżeniu się do Hohenzollerna brandenburskiego, o swoich na Rusi podbojach przedsiębranych wtrącał po trosze, gdy drzwi się otworzyły w głębi i pierwsza weszła wolnym krokiem, nadając sobie majestatyczną powagę, kosztownie przystrojona, od klejnotów świecąca księżna Julianna, z oczyma gniewnymi i zaciśniętymi ustami.

Spełniała w tym wolę męża, iż przyprowadzała Sonkę, ale widać było, co to ją kosztowało.

Tuż za nią postępowała, także na ten dzień w najpiękniejsze swe szaty strojna, młodziuchna Sonka; w sukni jedwabnej jasnej i płaszczyku na ramiona zarzuconym, ze starannie utrefionymi włosami rozpuszczonymi, w przepasce na czole, urodą i młodością świetniejąca. Chciała na przekór Juliannie być piękną, a to jej łatwo przyszło. Byłaby nią mimo stroju i bez starania, bo miała to, bez czego największa piękność nie czyni wrażenia, świeżość rozkwitniętego za ledwie wiosennego pączka.

Szła poza księżną, wcale nie zmieszana, śmiało, z dumnie podniesioną główką patrząc na

Zbigniewa, jak gdyby powiedzieć chciała: — Oto mnie masz! patrz! nie jestem godną być królową waszą?

Oleśnicki, który powstał i niskim pokłonem witał Julianę, nie okazał zbytniej ciekawości.

Cztery panny służebne, które towarzyszyły księżnie, zostały z dala u progu, skromnie stojąc z rękami na piersiach założonymi. Wszystkie one były młodziuchne i dobrane złośliwie pomiędzy najpiękniejszymi, postrojone, aby trochę piękność Sonki przygasiły. Pomysł ten księżnej nie powiódł się, gdyż księżniczka była z nich wszystkich najurodziwszą...

Witold stojący z boku śledził na twarzy duchownego wrażenie, jakie na nim uczyni dziewczę. Tymczasem księżna głosem swym suchym i ostrym, wedle zwyczaju, zaczęła rozpytywać o zdrowie Jagiełły i naumyślnie czy przypadkiem zagadnęła też o młodą królową Jadwigę, córkę króla.

Zbyszek na ruskie pytanie musiał odpowiadać po polsku, ale tu wiele nie zależało na słowach, które znaczenia nie miały, przypatrywano się sobie z obu stron, a Oleśnickiego uderzyć było powinno, jak zuchwale, niemal bez zarumienienia i trwogi żadnej [przyszła] królowa wpatrywała się w posła...

Witold się tego nie spodziewał wcale i on doznał nieprzyjemnego uczucia, czoło mu się zmarszczyło. Pomyślał, skąd to płocze i wesołe dziewczę wzięło nagle taką pewnością siebie i odwagę.

Siadła księżna Julianna, a Sonka, dla której nie było przy niej i księciu miejsca, musiała stać przy jej krześle. Ze strony księżnej było to może obrachowanym na upokorzenie dziewczyny... Nie okazała po sobie, aby je czuła. Z twarzy Zbigniewa nic się dopytać nie było można, zdawał się nawet nie chcieć zbyt pilno wpatrywać w Sonkę.

O małżeństwie, o projektach nie mogło być najmniejszej wzmianki.

Z wolna tak obumierała i ożywiała się rozmowa, księżna z powodu wspomnienia o

Krzyżakach chwaliła się grzecznością ich i podarkami, jakie odbierała od w. mistrza. Witold odzywał się też dosyć dla nich sympatycznie.

Zbyszek zbyt był oddanym Jagielle, aby im mógł potwarze i paskwile na króla ogłaszane przebaczyć — milczał.

Tak czas przeszedł do wieczerzy, którą, gdy już podawać miano, księżna Julianna z Sonką i służebnymi ruszyła się i wyszła.

Drzwi się jeszcze nie zamknęły za nimi, gdy Witold zapytał Oleśnickiego:

— Cóż o niej mówicie? nie miałem prawa zalecać ją jako piękne i miłe dziewczę? nie

podobał się wam ona?

— Nie mogę zaprzeczyć, że urodziwą jest bardzo — odrzekł Zbyszek — lecz i młodą nadto dla króla...

— Postarzeje rychło, jak one wszystkie, bo to im kraśniejsze, tym prędzej więdnije — rozśmiał się Witold.

Więcej dobyć z siebie nie dał Zbyszek, choć Witold szeroko o księżniczce prawiąc mocno ją zalecał...

Jak księżna Julianna tak i Sonka były greckiego obrzędu obie, lecz Witold ochrzczony i do kościoła rzymskiego przyjęty w dniu świąteczne i przy znaczniejszych obrzędach do kościoła na zamku uczęszczał, one też mu towarzyszyć musiały. Niekiedy i przez ciekawość szły się przypatrywać obrządkom katolickim w świeżo wzniesionej świątyni.

Ściśle spełniający swe obowiązki duchowne Zbigniew nazajutrz rano udał się naprzód dla odprawienia mszy do katedry.

Jakim sposobem potrafiła się wymknąć z Femką tylko sama jedna księżniczka i znaleźć na tej mszy, tego wytłumaczyć nie umiemy. Spostrzegł ją w czasie nabożeństwa Zbigniew, a gdy po nim miał, pomodliwszy się, na zamek wracać, niemało zdziwił spotykając dziewczę w kruchcie kościoła, jak gdyby oczekujące.

Tknęło go to, gdyż się dorozumiewał, iż mogło mieć prośbę jaką lub zwierzenia się potrzebę; i pozdrowił Sonkę zatrzymując się przed nią.

Księżniczka śmiało patrząc mu w oczy zdawała się czekać także na pytanie jakie i rozmowę.

Była to zaprawdę zręczność szczególna poznania lepszego przyszłej królowej, czy następczyni przez Witolda, czy własną jej wolą, Zbigniew więc nie omieszkał z tego korzystać.

Sonka jak gdyby się lękała, żeby im nie przeszkodzono, zostawując Femkę za sobą opodal z uśmiechem zbliżyła się do prałata.

— Nie jest mi tajno — rzekła z wdziękiem naiwnym dziewczęcim — że wyście przybyli na oględziny i że wuj mnie swata. Chciałam więc, abyście widzieli Sonkę z bliska i jeśli wola, wybadali...

Z tych słów mógł Zbyszek zmiarkować, że dziewczęciu myśl zamażpójścia za starego króla

wstrętną nie była. Zdziwiło go to mocno, tak że przez chwilę milczał.

— Tak — odparł potem poważnie. — Zesłano mnie dla widzenia was... Nie lękacie się zostać małżonką króla już w latach podeszłego?

Dziewczę oczy spuściło.

— Lepszy los mnie nie spotka tutaj — rzekło. — Wuj dosyć mnie kocha, księżna nie lubi, życie mam ciężkie.

Westchnęła i spojrzała wyraziście na Oleśnickiego, a wejrzenie to znaczyło: — Weźcie mnie stąd. Po chwili namysłu zaszczębiotała niecierpliwie.

— Być może, iż wuj dlatego mnie wam daje, ażeby miał przy królu sługę swoją. Zgaduję w tym myśl jego, ale że ona i wam przyjść może, pilno mi powiedzieć było wam, że niczyją sługą nie będę, a komu wiarę poprzysięgnę, temu jej dotrzymam...

Zawierzcie mi — dodała z wyrazem wielkim. — Stary król mieć będzie we mnie przyjaciela, nie wroga...

To rzekłszy Sonka obejrzała się trwożliwie za Femką i odstąpiwszy krok dała wyjść naprzód z kościoła Zbigniewowi, który po chwili namysłu pozdrowił ją, na zamek wracając.

Ona pozostała tu chwilę jeszcze, chciała, aby wprzód Oleśnicki doszedł do dworca.

U drzwi izb, które on zajmował, zebrali się jego orszaku dworzanie, a dowiedziawszy się o tym, że przeznaczona na królowę pani do kościoła poszła, ciekawi widzenia jej, przygotowali się zejść drogę, gdy będzie powracała, i przypatrzeć się przyszłej swej pani.

Pomiędzy tą młodzieżą był z dworu Jagiełły Hińcza z Rogowa, z tych, co w herbie rogi

jelenie i krzydło sępie noszą, a zawołanie mają Działosza. Ojciec jego tegoż nazwiska do Litwy posłował po Jagiełłę i miłym mu był, przeto i syna potem król na dwór swój wziął, a że chłopak był żyw, wesół, śmiały, słowo mu zabawne przychodziło łatwo i do wszelakiego czynu zuchwalszego był bardzo pochopny, lubił go Jagiełło.

A jak zwykł był z najmniejszymi ludźmi i w lesie na łowach, i na zamku poufalić się łatwo, tak i Hińczę sobie przyswoił i nim się posługiwał, dając mu wiele mówić sobie, a często i wyprosić wiele.

Młodemu, znudzonemu siedzeniem w jednym miejscu chłopcu zachciało się, zasłyszawszy,

iż Zbigniewowi dworzan dodawano, także podróż tę odbywać.

Wkradł się więc wieczorem do królewskiej sypialni i przypadłszy do nóg Jagielle począł go na pół serio, pół śmiejąc się prosić, aby mu dał jechać na Litwę.

— Miłościwy królu — rzekł — posyłacie Zbyszka, całemu światu wiadomo po co, aby w

miłości żonkę opatrzył, a co klecha się na tym zna! Jemu one wszystkie brzydkie, bo oni na kobiety jak na szatana plwają. Pozwólcie mnie jechać, a ja się tak przypatrzę i opiszę, jak bym malowaną przywiózł.

Dobrodusznego króla Hińcza łatwo zjednał tym i nazaczył go do podróży przy Zbyszku.

Na czele więc tych dworzan, co na przejście królowej przyszej czatowali, stał on, strojny, urodziwy, młody, śmiały a ciekawy, gotów choćby na guza się narazić, byle księżniczkę widzieć.

Dobrał więc sobie miejsce takie po drodze z kościoła do dworców, aby jak najdłużej mógł Sonkę oglądać i dobrze się jej przypatrzeć.

Nie obrachował się tylko z tym, że i Femka, i ona, obyczajem ruskim, twarze sobie

pozawijały, tak iż zaledwie oczy ich dostrzec było można. Za to jego i dwór cały Oleśnickiego powracająca z katedry Sonka mogła widzieć, a na czele jego musiał wpaść w oczy Hińcza, bo się pięknie i strojno postawił.

On zaś czarne, zaledwie ogniste oczy zobaczywszy, na tym musiał poprzestać... Zanadto

jednak był przebiegłym, aby zraziwszy się tym po chybionej próbie wyrzekł się dopięcia celu.

Femkę, która nie miała potrzeby zwiędłej swej twarzy okrywać zbyt troskliwie przed

oczyma ludzkimi, postrzegł Hińcza i dobrze ją sobie zapamiętał. Nie było nad niego zręczniejszego człowieka do wślizgania się między niewiasty... a choć tu kobiece teremy surowiej były oddzielone i strzeżone, Działosza nie rozpaczał, że do starej piastunki zbliżyć się potrafi i zawrzeć z nią dobrą znajomość.

Całe dni też miał wolne, a zdało mu się, że mógł więcej pozwolić sobie niż drudzy, gdy i on królewskim posłem, choć nie uznanym, był.

Krążąc po zamku jak człek niewiadomy i obcy wiedział, że bezkarnie mógł zbłądzić. Póty

więc błąkał się, zaglądał, aż Femkę idącą przez podwórce najrzał. Śmiało przyskoczył do niej, bo mu na odwadze nie zbywało. Godzina była szarego mroku, a w dziedzińcach dosyć pusto.

Rozpytując a udając głuptaszka Hińcza bardzo zręcznie się wypaplał, że dworzaniem króla był, że Jagiełło mu odjeżdżającemu zlecił, aby się dobrze księżniczce przypatrzył...

Femka się na to wziąć dała i mało co zawahawszy wprowadziła do swej izby, w której nikogo nie było, dla swobodniejszej rozmowy.

Hińcza wesół i śmiały, gdy nie mógł prawdą, umiał sobie zręcznymi baśniami pomagać i więcej mówić, niż wiedział.

Naprzód więc zagadnął o to piastunkę, czy księżniczka się iść za starego króla nie obawiała i nie miała ku niemu wstrętu. Dobroduszna Femka, rada służyć swej ukochanej jak najlepiej, chwyciła tą zręczność, sądząc, że pomoże Sonce.

— Albo myślicie, że my tu raj mamy? — odparła cicho. — Dziewczę tu w niewoli, a choć ksiązę ją lubi, za to księżna zazdrosna nie cierpi. Czemu by na swobodę, na tron nie miała chcieć iść?

Hińcza raz, tak zawiódłszy rozmowę pewnym już był, że celu dopnie, księżniczce się przypatrzy i dowie o niej, ile potrzeba. Zaczął zapewniać Femkę, że starego pana nie było się co obawiać, że dobrym był, a dla niewiast bardzo powolnym, tyle tylko, że zazdrosnym razem jako stary...

— Lepszej żony jak ta nie znajdzie — szeptała Femka — choćby świat zjeździli szukając jej dla niego. Zobaczycie, jaka piękna, bo ja wam ją pokażę, abyście powiedzić mogli, iż na całej Rusi i Litwie nie ma urodziwszej, a dobra też dla ludzi i niełatwo ją kto podwiedzie lub oszuka, bo jak na człowieka spojrzysz, na wylot go zna. Wdzięczną będzie królowi, że ją stąd wyzwoli, bo życie nam obmierzło...

Zrobiwszy tę znajomość Hińcza i otrzymawszy obietnicę, że Sonkę w jakikolwiek sposób będzie mógł widzieć, wymknął się nazad do swoich, przed nikim nie chwaląc zdobyczą.

Oleśnickiego, który rad był nazad co rychlej powracać, Witold usiłując zjednać i wybadać zatrzymał przez dni kilka. Co dnia księżna wprowadzała, za rozkazem męża, księżniczkę, aby się jej mógł przypatrywać poseł, a dwakroć samą siostrzenicę zwołał Witold, rozmowę z nią

związując przy Zbyszku, aby poznał, że i rozumu jak na niewiastę ma dosyć.

Dowiodła go nawet więcej, niż się ksiązę mógł spodziewać i przewidzieć, bo umiała się nie zdradzić przed wujem z tym, co myślała, a prałatowi okazać skromną i łagodną.

Nie pozyskało go to na stronę ożenienia królewskiego, bo mu pozostał, jak był,

przeciwnym, patrząc na podeszłe lata, lecz przyszedł do przekonania Oleśnicki, iż ta mogła być lepszą niż inna.

O córce Zygmunta, jakby na żart ofiarowanej Jagielle, mowy być nie mogło, gdyż ta

dzieckiem była, a owdowiałej królowej Ofki lękano się równie jak wszelkich z Czechami stosunków, z powodu wrącego w tym kraju odszczepieństwa, z którym walka była trudną, a przymierze niemożliwe.

Sonka więc najmniej groźną była i tylko jako Witoldowa sojuszniczka mogła nie przypadać Oleśnickiemu do rachub jego.

Wystąpienie jej odważne w kruchcie kościoła, którego szczeroci posądzać się nie godziło, obawę posła zmniejszało.

Miał się-li więc niepotrzebnie żenić król, wolał Zbyszek, aby ta żoną była niż inna.

Femka po widzeniu się z Hińczę nie miała nic pilniejszego nad wygadanie się z tym przed swoją Sonką, a księżniczka zażądała koniecznie widzieć tego tajemnego posłańca i mówić z nim.

Ułożyły więc tak, aby Hińczę, nic mu nie mówiąc, ściągnąć do komory Femki, a naówczas księżniczka przypadkiem tu niby wpaść miała.

Drugiego dnia z południa stara piastunka czatowała już na Hińczę, dała mu znak porozumienia, a dworzanin bardzo zręcznie, nie postrzeżony, do izby jej pospieszył.

Sonka już była na to przygotowaną. Przystroiła się tak, aby Hińcza mógł piękność jej podziwiać i gorąco ją królowi opisać. Ledwie wśliznąwszy się miał czas kilka słów do Femki przemówić młody dworzanin, gdy z kłębuszkieni wełny i iglicą, jakby szukając piastunki w pomoc sobie, ukazała się na progu księżniczka.

Ponieważ nie miała na sobie płaszczyka, tylko obcisłą sukienkę, mógł więc zdumiony pięknnością jej Hińcza nie tylko przypatrzyć się ślicznej twarzy, ale i dziewczą tę kibić jak utoczoną, zręczną, gibką, silną — podziwiać. Stał jak osłupiały, bo choć wiele kobiet w Krakowie i Polsce widywał pięknych, tak książęcej i pańskiej postaci w życiu nie oglądał.

Dziewczę zobaczywszy go, niby przestraszone i zdziwione, uczyniło krok, jak by się cofnąć chciało, ale Femka półgłosem uspokoiła ją i wskazując Hińczę opowiedziała, że komornikiem króla Jagiełły był, a przyszłej swej pani rad by czołem uderzyć.

Zuchwały zwykle Działosza, na ten raz stał trochę onieśmielony, ale to trwało krótko.

Olśniła go piękność, ośmielił uśmiech łagodny.

Zawahawszy się nieco, bo srom niewieści okazać jej wypadało, Sonka spojrzała na Hińczę i poczęła

miłym głosem:

— Nie macie co się ciekawić, bo królowi pono panowie polscy żenić się nie dopuszczają, a choćby żenili go, to mu inną dobiorą.

Hińcza zaraz przerwał żywo, że w Bogu ma nadzieję, iż ona, a nie inna będzie królową.

— Gdy się nasz pan dowie o jej piękności... Dziewczę się zarumieniło.

— Są piękniejsze — rzekło skromnie.

Zaklął się, że chyba nie było ich na świecie.

— A co wasz ksiądz powie o mnie? — dodała figlarnie.

— Ksiądz też zganić nie może — zawołał Hińcza — a choćby nawet nie opisał jak należy, król go słuchać nie będzie...

Tu śmiejąc się dodał dworzanin, że on miał też zlecenie od pana, aby widział księżniczkę i dobrze się jej przypatrzył, aby opowiedzieć umiał.

Zasromała się Sonka trochę zakrywając rączkami, ale w ten sposób, że ręce ukazała lepiej, twarzy bardzo nie zasłoniwszy. Po chwili milczenia rad rozmowę przedłużyć Hińcza począł

opisywać, jakie to szczęśliwe życie można było wieść na krakowskim zamku, który daleko

piękniejszym był od wileńskiego i komnaty miał malowane a złocone, izby ogromne, wspaniałe, jak Laskowiec... a obicia i kobierców, i wszelakiego ochędostwa bez liku; w skarbcu zaś kamieni drogich i noszenia złotego a pereł kubły całe...

Z natężoną uwagą, ciągle we drzwiach stojąc, tak aby na pierwszy popłoch pierzchnąć stąd mogła, słuchała piękna Sonka opowiadania Hińczy, sama go czarując oczyma i uśmiechając mu się mile. Działoszy biednemu zawracało się w głowie, byłby tak wiek cały stał a prawil... Ona też nie nudziła się słuchając.

Od słowa do słowa opisywał jej potem Jagiełłę, jego podróże i łowy, obyczaj wszelki, dobroduszość a hojność dla ludzi...

Dobry czas upłynął, nim się powtarzającemu po kilkakroć jedno Hińczy, który tymczasem jak w obraz patrzył w Sonkę, przebrało treści.

Szmer jakiś w sąsiedniej komnacie zmusił też księżniczkę do szybkiego cofnięcia się za drzwi, które zaraz za sobą zamknęła.

Działosza stał długo oczarowany, przyjść nie mogąc do siebie.

Cieszyć się potem począł i wykrzykiwać, jacy wszyscy szczęśliwi będą, gdy taką panią pozyskają, która na smutne, posępne mury Wawelu wniesie z sobą wesele i szczęście.

— I pan nasz przy niej odmłodnieje — mówił z zapałem — a co nim teraz klechy i panowie rządzą, to królowa go pod władzę zagarnie i nastaną lepsze czasy.

Byłby tu jeszcze gwarzył tak może długo, nadzieję jakąś mając, nuż się znowu księżniczka pokaże, ale go Femka obawiając się ludzkich języków złych precz odprawiła.

Dopiawszy celu, rad bardzo z siebie, Hińcza powrócił do swoich, lecz miał rozumu tyle, iż choć go badano, o swoim szczęściu nie bąknął nikomu. Królowa ta przyszła głowę mu zawróciła...

— Tej pani służyć! — mówił sobie — dopiero by człowiek szczęśliw był!

Zręczny i przebiegły obiecywał sobie wszelkich dołożyć starań, aby i król się z nią ożenił, i on na dwór pani mógł się dostać.

Po kilku dniach pobytu w Wilnie, gdy ani Zbyszek Witolda, ani Witold jego pozyskać sobie nie mógł, rozstali się dwaj przyszli zapaśnicy. Witold nie pokazał tego po sobie, iż opór żelazny Zbyszka niemal nienawiścią ku niemu go nappełnił. Owszem ze czcią wielką, obdarzywszy wedle zwyczaju, odprawił księżę posła, zalecając mu tylko sprawę Sonki, o której Zbyszek milczał

ogłędnie...

Na powrót więc długą znowu drogę przebywać musiał Oleśnicki, skracając ją sobie pracą,

gdyż nawet noclegi i spoczynki na czytaniu spędzał i na pisaniu listów. Hińcza, nie dając z siebie nic dobyć nikomu, tak do Polski się ze dworem dostawszy, zręcznie zarządził, iż opuściwszy pod jakimś pozorem orszak Oleśnickiego samowtór z pachołkiem przodem do Krakowa pobiegl.

Tu się ich tak prędko nie spodziewano, a króla, który na łowach był znowu, nie zastał.

Dowiedział się tylko przybywając, że Zawisza Czarny, którego król był tak samo, jak Zbyszka do Wilna, wysłał do Czech do Ofki, schwycony w drodze i uwięziony był.

O królowej więc czeskiej myśleć zaprzestał Jagiełło i wszystko się tak składało, iż Sonka na królowę wybraną być musiała.

W Krakowie jednak spodziewano się, że biskupi Jagielle w końcu małżeństwo z głowy wybiją. Nie czekając powrotu jego

Hińcza, gdy się dowiedział, że król około Przemyśla polował, niedługo czekając puścił się, konia

zmieniwszy, na jego spotkanie.

Wiedział, że Oleśnicki w Krakowie na niego będzie oczekiwał.

Po drodze wszędzie przez komorników Jagiełły, którzy dlań zapowiadali noclegi, i stanowniczych przodem wysyłanych dopytując, kędy go miał szukać, Hińcza w końcu już ku Krakowu ciągnącego na noclegu pochwycił.

Zręczne chłopię, nie dając znać o sobie, gdy król po wieczerzy na sianie legł, przyszedł jakby do zwykłej panu posługi.

Zadumany król nie poznał go zrazu, lecz przy świetle kaganka przypatrzywszy mu się krzyknął nań.

— Hińcza? a tyś tu skąd?

— Z Wilna, miłościwy panie.

— A Zbyszek?

— Jedzie jeszcze...

— Porzuciłeś go?

— Bo mi się do mojego pana stęskniło.

Rozśmiał się król palcem mu znak dając, aby się przybliżył.

Hińcza stawiał się tuż.

— Mów, widzieliście ją?

Pałały oczy staremu i twarz się trzęsła, gdy to mówił.

— Mów, niezdaro!

— Widzieliśmy, miłościwy panie — rzekł — widzieliśmy to cudo, a jak człowiekowi, gdy w słońce spojrzę, oczy potem bołą, tak nam popatrzywszy na nią.

Rozśmiał się Jagiełło.

— Mówże, jaka jest?...

Hińcza musiał się namyśleć, od czego miał poczynać.

— Miłościwy panie — odparł — albo to człowiek może taką piękność opowiedzieć. Ja,

jakem żyw, nie widziałem podobnej... Czarnobrewa, z oczyma jak dwie gwiazdy, uroda śliczna, postawa królewska, biała jak mleko. Ludzie mówią, że dobra i litościwa.

— Duża? mała? — wtrącił król.

— Mnie się wydała wielką, bom ja przy niej robakiem się czułem — rzekł Hińcza. — Patrząc strach, taka od niej jasność bije...

Jagiełło słuchał.

Kazał mówić dalej. Działoszy brakło już co opisywać. Zamiast opowiadania o piękności

zeznał, iż słyszał, jakoby księżna Julianna niedobrą była dla Sonki, a przez to ona rada pewnie Wilno opuści i chętnie pójdzie za króla.

Dodał, że mu to mówiły niewiasty i piastunka, a zachwalały ją bardzo.

Twarz się królowi radowała.

— A Zbyszek co? — zapytał ciekawie.

— Miłościwy panie, co nasz ksiądz myśli, to jeden tylko wie Pan Bóg. Nigdy on nikomu nie powie, co ma w sobie, a odgadnąć go nie potrafi najmądrzejszy.

Trochę się znowu zasępił Jagiełło, lecz natychmiast nowym opowiadaniem o posłuchaniu, o dworze wileńskim, o Witoldzie, o kochanej Litwie rozweselił go Hińcza.

Dla tej Litwy swej król na chwilę gotów był nawet o Sonce zapomnieć, w oczach mu się robiło wilgotno, gdy słyszał o niej, pierś się poruszała żywiej, patrzył w dal, jak by ją chciał przez mury i góry dojrzeć...

— Prawda? — odezwał się do Hińczy — tam inaczej lasy pachną?

Dworzanin chętnie to potwierdził.

Do północy trzymał go tak przy sobie król badając, na koniec odprawił. Pilno było mu zobaczyć się ze Zbyszkiem i, choć łowy nie skończyły się jeszcze, kazał zawracać do Krakowa.

Po drodze Hińcza ciągle był w robocie, aż mu inni zazdrościli.

Nie zaspokojony tym, co słyszał, kazał sobie jedno a jedno powtarzać.

— Mów! a oczy jakie? — I śmiał się.

— A wzrost? a włosy?

Działosza cierpliwie śpiewał ciągle tą samą piosenkę, a stary jej słuchał, jak by dla niego coraz nową była... Znając go już wiedział Hińcza, że teraz, gdy głowę miał pełną pięknej księżniczki, nikt w świecie małżeństwu temu nie potrafi stanąć na przeszkodzie.

W innych sprawach powolny do zbytku, gdy o niewiasty chodziło, Jagiełło umiał być

upartym. Tak małżeństwo ze starą Granowską, przeciw któremu byli wszyscy, z niewiastą

schorowaną, wdową po mężach kilku, niepiękną już, ale że mu się przypodobać zalotnością umiała, pomimo wszystkich i wbrew duchownym król do skutku przyprowadził.

Tu piękność i młodość były ponętami dla starca, którym on oprzeć się nie mógł. Hińcza,

nim do Krakowa dojechali, pewnym swojego był.

Król dopiero w bramę wjeżdżał, gdy już dworzani na probostwo św. Floriana biegł

pozywając Zbyszka na zamek.

Kozucha podróżnego nie zrzucając czekał Jagiełło niecierpliwy, nie zdradził się jednak i prałatowi mówić dał naprzód o poselstwie.

— Sonkę widziałeś? — zapytał wytrzymawszy nieco.

— Nie jeden raz, miłościwy królu — odezwał się zimno Oleśnicki. — Młodą jest do zbytku,

a i piękną do zbytku może...

Jagiełło parsknął.

— Książd jesteś! — rzekł.

— Tak — odparł szorstko Oleśnicki — ale i świeccy ludzie to przyznają, że wielka piękność niewiastę rychlej psuje niż lepszą czyni. Robi ją dumną, płochą często, a w kadzidłach się miłującą.

Nauki tej moralnej król zdawał się nie chcieć słuchać.

— Kiedym z Granowską się żenił — zawołał — coście prawili? że stara i brzydka? Teraz,

gdy Sonkę chcę wziąć, mówicie, że młoda i piękna. I to złe, i to złe, jakże tu wam dogodzić?

— Byłby na to sposób, gdybyś miłość wasza wcale o małżeństwie nie myślał — odezwał się

Oleśnicki. — Nie jest ono potrzebne...

— Wam! — przerwał król gwałtownie — a ja nie dla was się żenię!

Zerwaną na krótko rozmowę Jagiełło na nowo począł.

— Chwalą ją, że dobrą i łagodną jest.

— Trudno o tym sądzić — rzekł Oleśnicki — lecz że śmiałą jest, o tym wiem, a muszę dodać, co mi każe sumienie, że małżeństwu przeciwną nie będzie.

Król w szerokie dłonie uderzył i na głos się śmiał, oczyma pomrugując. Wtem Oleśnicki, rad na co innego zwrócić uwagę, o Witoldzie rozpoczął, o jego zamysłach podbojów na Rusi, o wiązaniu się niedobrym z Krzyżakami...

Ze spuszczoną głową słuchał milczący już Jagiełło posępnie. Wiedział, że Oleśnicki nie lubił Witolda, i z pełną nie dawał wiary temu, co mówił, posądzając go o przesadę. Nie sprzeciwiał się jednak na próżno.

Trzydziestokilkoletnie panowanie w Polsce oswoiło go już z położeniem, z granicami

władzy i z ludźmi, co go otaczali... Wiedział Jagiełło, że sam jeden nie przemoże szlachty i panów, którzy swoich praw pilno strzegli, starając się o rozszerzenie ich, a nie dopuszczając najmniejszego zamachu na ich ścieśnienie. Wyrzekł się dawno myśli o tym i płynął z prądem, któremu oprzeć się nie mógł. Niekiedy udawało mu się kupić sobie stronników z cicha popierających go, ale i ci, jak biskup Jastrzębiec, głośno przeciw pp. senatorom i radzie nie śmieli wystąpić. Z tym biernym stanowiskiem swym, na którym cześć odbierał, łaski mógł świadczyć i łowami się zabawiać, pogodził się w końcu szukając w Mazowszu u siostry, u Witolda w Litwie, na Rusi swobody, której nie miał w samej Polsce.

Zarazem też spadało z ramion jego brzemień wielkie odpowiedzialności za losy państwa, którymi inni się za niego opiekowali.

Zygmunt, król rzymski, Witold, oba samoistniejsi, ile razy wprost Jagiełłę zyskać sobie

chcieli, spodziewając się, iż on pokieruje sprawami Polski po ich myśli, rozbijali się za każdym razem o to, że król wobec Zbyszka i panów krakowskich w końcu się bezsilnym wyznawał i odsyłał do nich...

W tym roku Władysław musiał, może przeciwko woli swej, zrzec się przyniesionej mu i ofiarowanej czeskiej korony, z którą razem trzeba było kacerstwo poślubić i narazić się Rzymowi.

W jednej tylko sprawie krzyżackiego zakonu Jagiełło zachował sobie własną wolę i żywo się nią zajmował, ale tu był w zgodzie z doradcami swymi, którzy również jak on na zupełne złamanie potęgi krzyżackiej nastawali.

Po rozmowie o Sonce, której już król nie przedłużał, zwróciła się ona na sprawę z Zakonem i dwuznaczne stosunki Witolda z nim.

— Miłościwy panie — odezwał się ze swą otwartością niekiedy szorstką i bezwzględną Oleśnicki. — Przypuściwszy, że przeciw wszystkim nam zechcesz siostrzenicę Witoldową poślubić, nie poślubisz z nią mimo swej woli i wiedzy Witoldowych myśli i zamiarów? Tak bliska krewna, z jego ręki ci dana, przyniesie z sobą wpływ jego, złamie najmocniejsze postanowienia!

Przez krótką chwilę nie odpowiadał Jagiełło głowę trzymając zwieszoną... Podniósł ją potem z wolna i potrząsnął nią.

— Myślicie — rzekł — że ja, dlatego iż was słucham, tak samo i żony, i Witolda słuchać muszę i żem tylko do posłuszeństwa stworzony... Znacie więc mnie, a nie poznaliście, jakim jestem... Słucham was, bo mi całe życie spierać się i walczyć ciężko by było i wiem, że siła złego na jednego, nie przemogę. Po cóż daremnie mozół sobie zadawać. Ale baba nie zapanuje nade mną nigdy.

Zbyszek się uśmiechnął.

Na Krzyżakach więc znowu dokończono rozmów i Oleśnicki wyszedł nie wiedząc, jakie będzie postanowienie królewskie co do ożenienia.

Przez kilka dni król unikał o tym rozmowy i wzmianki.

Bawił się tymczasem przyszłym małżonkiem córki swojej Jadwigi... narajonym jej ośmioletnim Brandenburczykiem, ciesząc, że choć po kądzieli przejdzie korona na krew jego.

Oleśnicki co dzień widywał Jagiełłę i o małżeństwie nie słysząc uspokajał się, bo sądził, że król o nim zapomni i złęknie się nowych związków. Tymczasem stary pan ważył w myśli wszystkie niedogodności i niebezpieczeństwa, widział je, rachował, ale krewkość przemogła. Księżniczka piękna była i młoda, miałże ostatej w życiu pociechy się pozbawiać? nie wolno mu było jeszcze się raz o szczęście pokusić?

W tej niepewności gotów był na losy i na traf zdać rozstrzygnięcie, gdy jednego dnia na

lowy wyruszywszy do Niepołomic on, co się spotkania starych bab lękał i przystępować im do siebie nie dawał, w podwórku zameczku niepołomiczkiego wieczorem postrzegł cały swój dwór cisnący się do jakiejś staruszki, która głośno wykrzykując i rękami poruszając zabawiała młodzież jakimiś gadkami. Posłał się dowiedzieć, co to było. Hińcza przyniósł mu wiadomość, że stara wędrowną z Pokucia baba Rusinka wszystkim wróżyła...

Pomimo zabobonnej obawy uroku nie mógł wytrzymać król i babę kazał do izby przyprować nie mówiąc jej, że królem był, aby i jemu przyszłość przepowiedziała.

Uczynił to tym uspokojony, iż Hińcza zaprzysiął, jako babę widział w kościele, w kruchcie, święconą wodą żegnającą się i modlącą na klęczkach...

Stara przyproważona do izby prawie gwałtem, bo się obawiała, aby ją jako czarownicę nie zamknięto, po długim wahaniu z wosku poczęła królowi *wróżyć*.

Zapowiadała mu, że się wkrótce ożeni i mieć będzie żonę piękną i młodą, a z niej aż troje potomstwa, z których dwóch panować będą na ziemi, a jeden w niebie.

Król i śmiał się z tego, i ramionami ruszał, kazał babę nagrodzić, niewiele niby ważył, co plotła, lecz mimo woli wróżba w nim wzmocniła postanowienie ożenienia.

Obawiając się oporu ze strony Zbyszka Jagiełło potajemnie miejskiemu pisarzowi kazał list do Witolda ułożyć po niemiecku, oznajmujący mu, że na Litwie będzie wedle zwyczaju o Bożym Narodzeniu i nawiedzi go w Trokach, gdzie się o dzień ślubu z Sonką ułożą. Hińcza z tym pismem miał się niepostrzeżenie wykraść i zawieźć go tak, aby się w Krakowie między panami nic nie domyślano.

Do takich spraw żwawy, obrotny i ochotny, gdzie trzeba było głowy i grzbiet nastawić,

Hińcza nadawał się doskonale. Nie był tak znaczną postacią na dworze, aby ubytek jej postrzeżono i podejrzenie powzięto; zjawiał się i znikał, a król wierności jego ufał...

Puścił się więc Działosza znanymi drogami znowu ku Wilnu, gdy w Krakowie jeszcze

naradzano się nad tym, jak by króla od ożenienia odwieść i wyrwać z rąk Witolda. Sonka bowiem dla wszystkich wyobrażała tu jego ucho i żelazną rękę...

IV

Na trockim zamku oczekiwano na króla. Była to ulubiona siedziba Witolda, w której on

może się więcej czuł panem niezależnym niż w Wilnie. Nawykł ją był uważać za dziedzictwo swe i ojcowiznę, za swe dzieło. Murował się tu, ozdabiał zamki oba, obwarowywał je, przenosząc pobyt w nich cichy, spokojny, nad gwar wileńskiego grodu, stolicy.

Ile razy znużonym się czuł, potrzebował spoczynku, wytchnienia i swobodnego rozmysłu,

jechał do Trok. Mała przestrzeń dzieliła go od Wilna, a życie na trockim zamku zupełnie było odmienne.

Rzadko i chyba takich przyjmował tu gości, z którymi chciał być sam na sam. Najczęściej

albo z małym orszakiem bez żony lub z nią i niewielą ludźmi zjeżdżał tu w lasy dumać i układać przyszłe Litwy losy.

Tym razem wygodnie mu tu było zjechać się z Jagiełą, gdyż znając słabość jego wiedział, że kilka dni bez łowów nie wytrwa, a około Trok lasy pobliskie obficie jeszcze nie spłoszonego zwierzta dostarczały.

Od czasu bytności Zbigiewa i po zapowiedzianym już przyjeździe Jagiełły przez Hińczę

Witold myślał ciągle o ożenieniu go z siostrzenicą i nie wątpił, że mimo oporu Oleśnickiego Jagiełłę do tego skłoni.

Nimby to nastąpić mogło, Witold przywoływał często Sonkę do siebie, aby ją przysposobić i nauczyć, jak mu służyć miała będąc królową.

— Królową cię czynię — powtarzał — ale tak samo cię z tronu będę mógł zrzucić, jeżeli mi nie zechcesz być posłuszną. Z mojej łaski zostaniesz żoną Jagiełły, pamiętaj, ale od mojej zemsty, gdybyś zdradziła, ani Jagiełło, ni panowie polscy cię nie osłonią...

Słuchając tych napomnień i *gróźb* z jakimś chłodem i poddaniem się Sonka nic na to nie odpowiadała. Witold chciał ją wyciągnąć na zobowiązania i przyrzeczenie, wówczas przebąkiwała coś dwuznacznie, niejasno, z tym tylko, że wdzięczną mu jest i będzie.

Witold nie zwracał na to uwagi, bo nadto był pewien siebie, aby mógł przypuszczać, że młode dziewczę będzie śmiało stawić mu opór i nie pójść za wolą jego.

Księżna Julianna go przestrzegała, ale na próżno. Nawykły z nią staczać boje i przeciwieć się jej, tak jak ona mu się stawiała opornie, śmiał się z jej pogrózek.

— Ale ty nie znasz tej gadziny, którą na swych piersiach wychowałeś — powtarzała — to dziewczę chytre i mściwe... Jemu wierzyć nie można! ona cię zdradzi!

Witold śmiał się i mówić o tym nie dawał. W oczach jego Sonka była słabą istotą, która siłę swą od niego czerpać musiała, na nim się opierać. Niechęci dla pięknej dziewczyny przypisywał

książę te wróżby, z których się naśmiewał.

Nie uderzało go to nawet, że Sonka, dawniej mówna, wesoła, trzpiotowata z nim, nagle stała się poważną i milczącą.

Dziewczę kryło w sobie, co myślało i czuło, zwierając się tylko Femce, która z obawy, aby nie przeniknęło jej, usta zamykała.

Gdy przybycie do Trok ku nowemu latu zapowiedziano, Witold rozmyślał tylko, jak ma

Sonkę Jagielle wskazać, bo nie po co innego król tu ściągał. Sprowadzić ją do Trok, czy Jagiełłę przywieść do Wilna?

Pierwsze zdało mu się dogodniejszym, chociaż drugie łatwiejszym było.

Przewidywał opór i dąsanie się księżnej Julianny, zmuszonej wieść z sobą nielubioną księżniczkę, aby jej ułatwić wywyższenie, któremu by raczej zapobiec chciała.

W tym jednak, jak we wszystkim, czego Witold chciał i co nakazywał, ani ona, ni nikt mu się opierać nie mógł.

Zapowiedział żonie, aby z dworem swym i Sonką razem z nim do Trok jechała. W milczeniu nadąsanym księżna wysłuchiwała rozkazu.

Witold poprzedził je na zamek, na którym nawet dla króla i liczego jego dworu zbyt wielkich przygotowań nie było potrzeba. Liczny tylko orszak wyżywić było ciężko, lecz Wilno miało zapasy, a wieśniacy wozy i sanie na skinienie.

We dnie jeszcze w wigilią nowego lata nadbiegł goniec króla poprzedzający. Witold rad go dobrze usposobić dla siebie na spotkanie wyjechał. W mili od Trok spotkali się na gościńcu i z koni zsiadłszy uściskali.

Król nie miał z sobą wielkiego dworu, kilku zaledwie panów mu towarzyszyło, lecz pomiędzy nimi był nieodstępny Oleśnicki.

Zobaczywszy go Witold, mimo woli się zzymnął. Spodziewał się, że Jagiełło choć tyle mieć będzie mocy i zrzeczności, aby mu nie dać jechać z sobą, gdy... miał być tylko zawadą.

Powitał jednak przeciwnika uprzejmie nie ukazując mu chmurnego czoła.

Z twarzy Jagiełły, podróżą i ruchem jakby odmłodzonej, widać było pragnienie poznania swej przyszłej i rozbudzoną ciekawość.

Stary niecierpliwym był jak dziecko i ukrywać się z tym nie umiał. Za ledwie kilka słów

przemówili do siebie, gdy do ucha pochyliwszy się Witoldowi, szepnął mu:

— A zobaczę ja ją rychło?

Książę odparł wesoło.

— Dziś jeszcze nawet.

Słów tych parę zamienili tak, że ich nikt podsłuchać nie mógł. Głośno Jagiełło przemówił o podróży, o mrozie i o polowaniach odbytych po drodze. Chociaż wiele czasu na nie nie było, dwa wozy nabitego zwierza wlokły się za obozem królewskim...

Król, jak zawsze, chwalił się nimi...

Pomimo iż podróż ta jak najspieszniej dokonana umyślnie była z małym przedsięwziętą orszakiem, wyglądał on okazale i królewsko.

Panowie polscy i dwór, właśnie dlatego, że Jagiełło w prostym kozuchu baranim zwykł był

jeździć, a nawet pokrycia na nim jaskrawego nie znosił, tylko szare, stroili się tym wytworniej, chcieli, aby potęgę i możność Jagiełły widział świat cały. Towarzyszący mu kopijnicy, czeladź, komornicy, pachołkowie, woźnice daleko pyszniej się przedstawili niż sam król. Każdy z

urzędników i panów krakowskich wiódł z sobą poczet okazały, wszystkich ich szuby kryte

szkarłatem, kołpaki, pasy, rzędy na koniach od złota połyskiwały. A i postacie, i twarze też były poważne i rycerskie.

Czuć było w tych ludziach wyswobodzonych, pewnych siebie, senatorów i panów, którzy

szli w pomoc panu swemu, ale mu nie służyli niewolniczo. Gdy przed Witoldem wszystko, co się wokoło niego obracało, drżało, tu każdy, poczawszy od Zbyszka, do góry głowę nosił.

Bojarowie litewscy towarzyszący Witoldowi, dostatni, poważni, postrojeni kosztownie, znać było, iż mu służyli, a woli własnej ani słowa swobodnego nie mieli.

Dwa poczty jak niebo do ziemi nie były do siebie podobne i panowie też ich w przeciwieństwie byli z sobą.

Dobroduszny a nie pozbawiony przebiegłości Jagiełło był więcej ojcem swoich niż królem,

Witold zaś wodzem i wszechwładnym panem.

Na skinienie jego jak tatarscy ciurowie pod Grunwaldem wieszać się szli gotowi, tak tu

bojarowie wszyscy bodaj w ogień i wodę...

Z polskimi senatorami musiałby się być król wprzód rozmówić, nimby poszli na oślep...

Jechali dalej, na konie siadłszy, przodem, sami z sobą, a za nimi tuż naprzód duchowni, bo Zbyszek kapelana miał z sobą i pisarza, potem wojewoda krakowski, urzędnicy dworu, komornicy i rycerstwo.

Jagięło, którego już sam widok Litwy czynił wesołym, śmiał się i podżartowywał.

Wspomnień starych pełno dlań było po drodze. Znał wszystkie te lasy, pamiętał niejedyn pobyt w Trokach... Zasepiało go to tylko chwilkami i chmury po czole przechodziły, gdy mimowolnie obliczał, ile lat upłynęło od czasów owych... i jak już starym był, choć nim się nie czuł jeszcze.

Uśmiechnął się, gdy wyjechawszy z lasu ujrzeli jezioro, mury zamków obu na tle wieczora zimowego świecące oknami ognistymi, wesoło w górę podnoszące się dymy i przy pierwszym zamku gromadę ludzi ciekawych, która na widok pana swego i króla okrzykiwać ich zaczęła po litewsku.

Widok tych ludzi, strojów, dźwięk tej mowy rodzonej poruszył Jagiełłę bardziej jeszcze.

Mógł nawet zapomnieć o polskiej drużynie i o polskiej koronie na chwilę, tak się czuł dzieckiem tej ziemi i lasów...

Witano ich ciągle po drodze starym obyczajem czołem bijąc i na ziemię padając. Z kościoła odezwały się dzwony, wyszło i duchowieństwo...

Witold, który tu panem był, zniknął na czas przed królem, z którego ręki trzymał Litwę, ale kłaniając się Jagielle trwożliwie patrzano na niego.

W podwórku posiadali z koni, a tu służba z pochodniami stała. Księżna Julianna, strojna wielce, sztywna, blada, witała też w progu króla wiodąc go do wielkiej sali, na której olbrzymim kominie ogień płonął ogromny.

Jagięło wiódł oczyma niespokojnie witając ją, bo się spodziewał w jej orszaku Sonkę zobaczyć.

Księżna nie wzięła jej z sobą.

Oczyma pytał król Witolda sądząc, że między pannami za Julianną idącymi się kryła, lecz książę głową mu dał znak, ażeby tu jej nie szukał.

Czekały już przybywających stoły nakryte dla dworu osobno, a w bocznej komnacie dla Jagiełły i Witolda.

Tu mogli być sami, a choć drzwi do sali stały otworem, rozmówić się nie słuchani. Księżna Julianna nie wieczerzała z nimi. Nie śmiejąc pytać o Sonkę, a żądny ją zobaczyć, król spoglądał na Witolda, dla którego wzrok ten był zrozumiałym.

Niespokój króla dobrze wróżył.

Gdy zasiadali do mis, Witold rzekł z cicha:

— Po wieczerzy.

Wyszła księżna, której mąż po cichu dał rozkazy.

Z sali, do której zaproszono gości i gdzie Cebulka, Lutek z Brzezia i Małdrzyk, Polacy w Witoldowej służbie, uprzejmie gospodarowali, dochodził gwar wesoły, brzęk mis i dzbanów. Król wziął się do jedzenia, nie tak jak by po wygłodzeniu podróżą powinien był...

Oczy miał ciągle ku drzwiom obrócone...

Zabawiał go jak mógł Witold obojętnymi wiadomościąmi o Litwie. Król milczał, ledwie gdzie wtrącając słówko.

Na misach stały już tylko łakocie, gdy drzwi nareszcie otworzyły się szeroko i w nich ukazała Julianna z twarzą chmurną spełniająca rozkaz męża. Wiodła ona Sonkę za sobą.

Na widok jej król się porwał z siedzenia.

Księżniczka była bardzo skromnie ubraną, bo jej nie dozwolono ustroić się, jak chciała, nie umniejszało to jej dziewiczego wdzięku. Stojące na stole światło woskowe i blask od ognia padający oblały jaskrawo i wyraziście postać chudą i surową księżnej, a obok bladą trochę z trwogi, lecz piękną i dumnie a śmiało podchodzącą ku stołowi Sonkę.

W oczach zapatrzonego na nią Jagiełły księżniczka pokraśniała rumieńcem cała, oczy jej pełne blasku wprost się zwróciły na starca, który się jej uśmiechał, ręką dając znak powitania.

Z boku stojący Witold badał wrażenie... W oczach Julianny gniew pałał, groźno zmierzyla nimi króla i cofnęła się nieco.

Jagiełło mógł się dobrze przypatrzeć swej przyszłej i nic nie uszło badawczego starca

wzroku. Ruszył się z za stołu i z siedzenia, aby zbliżyć do Sonki, która nie okazywała najmniejszej trwogi.

Zawsze dość niewyraźnie, prędko i zająkliwie mówiącemu królowi w tej chwili słów

zabrakło. Uśmiechały się usta tylko i gorzały oczy.

Zbliżył się prawie nieśmiało i ujął księżniczkę za rękę; patrzył a patrzył jej w oczy.

— Ja ciebie — odezwał się nareszcie — ot taką małą widziałem — aleś mi wyrosła.

Sonka nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— A ja, prawda — dodał — postarzałem dużo... Dziewczę tylko głową potrząsnęło.

Julianna stała tuż ciągle, lecz Witold dał jej znak i odprowadził sam na stronę, zostawując Sonkę z królem, aby swobodniej mogli przemówić do siebie.

Milcząca ustąpiła Julianna, bledsza coraz i drżąca. Nie słysząc już było rozmowy Jagiełły cichej z Sonką, bo na kominie ogień trzaskał, a z sali gwar coraz huczniejszy dochodził.

Księżna postrzegła jednak, że król pytał i otrzymał odpowiedzi...

Kilka zaledwie minut to trwało, gdy Witold przystąpił bliżej, a Julianna korzystając z tego Sonkę za suknię pociągnęła i niemal gwałtem z sobą jej iść kazała.

Miała jednak czas księżniczka głową skinąć królowi i wolnym krokiem wyszła za Julianną.

Stał moment Jagiełło zadumany patrząc na ogień, a potem na ławę się rzucił. Rękę wyciągnął do Witolda.

— Wdzięczy ci jestem! — rzekł — dziewczka kraśna i młoda, a niepłochliwa...

Rozśmiał się.

— Bóg da szczęście!

— Spodziewam się go dla was — dodał Witold — bo Sonkę Anna chowała jak własne

dziecko... Dobrą jest, cichą, łagodną niewiastą, taką, jakiej tobie potrzeba. Gdy ciebie nie będzie w domu, zamknie się i cierpliwie czekać potrafi. Do zabaw nie nawykła, do przepychu także.

— Kraśna! kraśna! — powtarzał król. — Mnie takiej było potrzeba dawno...

— No, a Zbyszek i twoi panowie? — zapytał Witold. Król posepnie spuścił głowę.

— Wojnę z nimi staczać przyjdzie — zamruczał — to wiem... lecz gotówem na ich opór nie zważać. Nie zechce żaden z nich ślubu mi dać — to Maciej biskup wileński nie odmówi.

— Tego jestem pewnym — dodał książę.

W sali jeszcze ucza się przeciągała, bo Witold gościnnym i szczodrym dla obcych był zawsze, a jego dwór pilno się około Polaków krzątał, gdy król z księciem poszedł do sypialni dla niego przeznaczonej.

Dnia tego już nikogo ze swoich nie miał widzieć oprócz komorników i służby, ale Hińcza mu się umyślnie nastreczył, gdy szedł do łóżka.

Jagięło uderzył go po ramieniu.

— Nie skłamałeś! — zamruczał i rozśmiał się — piękną jest...

Dla przypodobania się Bogu i pobożnemu Zbyszkowi król nazajutrz dzień od mszy rozpoczął i słuchał jej z wielkim przejęciem. Przewidywał już, co go czekało, bo w drodze prałat nie przestawał mu małżeństwa odradzać i grozić nim... Nie dawał się przełamać.

Spodziewał się w pomoc wziąć Witolda.

Przy blasku dnia Sonka królowi jeszcze się piękniejszą i świeższą wydała, gotów był stoczyć bój, a ostatecznie przebojem ślub brać na Litwie z pomocą Witolda i biskupa Macieja.

Ksiązę wmawiał mu ciągle, iż zbytnią powolnością Polaków uzuchwala.

W ciągu dnia, choć Oleśnicki był przy królu, gdyż sprawy czeskie i grożąca z Krzyżakami wojna wymagały, z Witoldem narady, nie wspomniano o Sonce. On też nie tykał drażliwego tego przedmiotu, patrzył tylko i czekał.

Przed wieczrą sam ksiązę zagaił, bo mu już było pilno wyjść z niepewności.

— Swaty moje — odezwał się do Oleśnickiego — jak widzę, miłe są Jagielle. Sonka mu się podoba, dlaczego by się żenić nie miał?

— Chcę się ożenić! — dodał Jagięło.

— My nie radzimy i zgody naszej na to nie będzie — spokojnie rzekł Zbyszek. — Pan nasz miłościwy wie dobrze, bośmy o tym niejedną raz z nim rozmawiali, dlaczego nie pochwalamy tych ślubów spóźnionych. Oprócz innych powodów mamy i ten, że papież ich nie dopuści... to wola jego...

— Papieża przebłagamy — rzekł Witold.

— Naprzód więc Ojca Św. by należało pytać i pozwolenie jego mieć — przerwał Oleśnicki.

Król z siedzenia się poruszył.

— Do Rzymu słać! czekać! Jam stary, ja czasu nie mam! wiecie, ile potrzeba miesięcy, nim posły z tego Rzymu powrócą.

— Miłościwy panie — rzekł Zbyszek śmiało — czekać na pozwolenie, jak mówicie, za starzy jesteście, a do ożenienia nie czujecie się za starym?

Z gniewem odwrócił się król od niego i nie dał odpowiedzi.

— Żaden z biskupów naszych — dodał Oleśnicki — wobec papieskiego zakazu ślubu wam nie da.

Król już się miał wyrwać z odwołaniem do Macieja wileńskiego biskupa, gdy Witold oczyma mu dał znak, aby przedwcześnie się nie zdradził.

Oleśnicki, uprzedzony, mógł litewskiego pasterza groźbami na swoją przeciągnąć stronę.

Jagiełło, gdy spór z panami i duchowieństwem polskim do ostatecznych dochodził granic,

prawie zawsze zamykał go milczeniem, a często nawet z izby się oddalał unikając szermierki wyrazów, w której nie był nigdy mocniejszym. I teraz też zamiast się dłużej ucierać z Oleśnickim usiadł za stół, sparł się na rękach i milczał.

Witold rozpoczął na nowo.

— Miejcież wzgląd na króla — rzekł — któremu korona polska, okrom pierwszych kilku lat szczęśliwych, nie przyniosła wiele pociechy. Wy królujecie, nie on, a on cierpi za was. Przymierza mu nie dajecie zawrzeć, jak by pragnął, dajcież małżeństwo po myśli sobie dobrać.

— Niesłuszne nam książę czynisz wyrzuty — odezwał się Oleśnicki. — Przymierzy pilnujemy dla kraju, a małżeństwa dla króla, samego nie chcemy dopuścić... Miłujemy go jak ojca...

Spór tak rozpoczęty pomiędzy księciem a Zbyszkiem, nie rokując, aby się mógł porozumieniem skończyć, prowadzony dosyć długo, zniechęcił tylko obu ich sobie.

Król nie brał w nim udziału, pomrukiwał tylko, a gdy Oleśnicki odszedł nareszcie, Jagiełło wstał poruszony i zbliżywszy się do Witolda rzekł stanowczo:

— Nie zważając na nich musimy swoje zrobić. Niech potem krzyczą... Do Polski wieźć ją dla ślubu w Krakowie gorzej by było, ja sam przyjadę po nią na Litwę.

— Kiedy? — zapytał Witold — po Wielkiej Nocy?

— A, nie, długo czekać — żywo rzekł Jagiełło — na zapusty!

Pośpiech ten może nie był na rękę Witoldowi, ale miarkował, że przeciągać było niebezpiecznie.

W powolności też wielkiej dla Jagiełły sprawy inne grały rolę wielką. Sonka miała być przy królu szpiegiem i pomocnicą Witolda, tego się spodziewał, lecz oprócz tego chciał wymóc na królu, aby wbrew najuroczystszym obowiązaniom swym niemięszania się do spraw czeskich,

niewspomagania burzących się husytów, a nawet wbrew obietnicy uczynionej wysłania posiłków przeciwko nim mógł bezkarnie Witold wysłać do Czech Zygmunta Korybuta.

Na wszystko więc Witold gotów się był zgodzić, pomagać Jagielle, ułatwiać mu ten związek, tak pilny dla starca, byle... on przez szpary patrzył na wyprawę Korybutową.

Tegoż wieczora zagadnął go w sypialni księżę.

— Przez twoich panów duchownych — rzekł — którzy dla Rzymu i papieża własnego interesu nie widzą, musiałeś się ty wyrzec korony czeskiej, a za tobą i ja... Z rąk nam ją wyrwali... Zygmunt Czechom nie da rady, a nam przepadnie królestwo...

Jagiełło uląkł się niezmiernie.

— Z Zygmuntem zawarte przymierze! — zakrzyczał.

— A on pierwszy je złamie, gdy mu będzie potrzeba — gorąco począł Witold. — Zresztą ani ty, ani ja nie pójdziemy do Czech...

Jagiełło uszy sobie rękami zasłonił.

— Korybut wielką ochotę ma, a my go hamować nie mamy obowiązku. Niech idzie...

Król dawał znaki, aby milczał, lecz Witold słuchać go nie chciał.

— Szkoda kraju... język prawie ten sam, co w Polsce, garnie się do was, rękę tylko wyciągnąć.

Ciągle strwożony jeszcze król rękami się od słów opędział.

— Kacerze są, niewierni, przed którymi kościoły zamykają, szatanowi służą... Ojca papieża nie

uznają... przekłęci są.

Witold dziwnie wykręcał ustami.

— A nam co do ich wiary? — przerwał. — Ja Tatarów osadzam na Litwie i daję się im jak

chcą modlić, choć oni Chrystusa nie uznają, Żydów cierpimy wszędzie, nie mielibyśmy zaś tych, co Chrystusa inaczej jak my czczą, znosić i dawać im swobody chwalenia go wedle ich obyczaju?

— Od pogan gorsi, kacerze! — zawołał Jagiełło gorąco i z obawą wielką. — Słyszałem to z ust biskupów, tamci Chrystusa nie znali, ci go odstąpili i od kościoła się odszczepiają.

— Sprawa księży, nie nasza — przerwał Witold — my podbijać i powiększać państwo powinniśmy, to nasz obowiązek... Gdy Czechy zagarnie nasz Korybut, niech potem twoi duchowni ziarno w nich od plewy oddzielają.

Jagiełło ciągle zatykał uszy. Spoglądał z obawą na drzwi i dokoła, czy ich nie podsłuchują, drżał. Oprócz duchownych bał się samego Boga, którego gniewem mu grożono... Zbyszek

szczególniej nieubłaganym był w sprawie husytów, namawiając, by ogniem i mieczem kacerstwo wyplenić.

Witold bez względu na to nalegał nie ustępując. Korybut był gotów.

Pomiędzy dwoma, Zbigniewem, który pioruny rzucał na Czechów, a litewskim księciem, który sprawę wiary oddzielał od ziemskich i państwo chciał rozszerzać, Jagiełło lękając się obu znajdował się w najprzykrzejszym położeniu.

Witolda nie chciał zniechęcać dla siebie z powodu małżeństwa, do którego on mu miał dopomagać, Zbigniewa zaś obawiał się, bo go nieustannie miał przy sobie i nad sobą, a on wyobrażał i większość duchowieństwa, i przeważną część senatorów i rady.

W duszy stary, znużony król był za pokojem, nie za nową wojną, obawiał się potęgi papieża i Kościoła.

Widać było z oblicza na pół strwożonego, na pół znękanego, że rozmowa ta dręczyła go i niemiłą była. Spoglądał ku Witoldowi, jak by go o litość błagał. Lecz właśnie stan ten Jagiełły skłaniał księcia do silniejszego następowania.

— Zygmunt Korybut bądź co bądź wyruszy do Czech — rzekł Witold — na to się przygotować potrzeba. Ja go pewnie wstrzymać nie będę.

— Ale zaręczenie dane Luksemburczykowi! — wołał Jagiełło cichym, stłumionym a poruszonym głosem. — Narazimy go sobie, uczynim nieprzyjacielem... właśnie gdy wojna z Zakonem lada godzina nieuchronna.

— Zygmunt nigdy naszym ani niczym przyjacielem nie będzie! — wykrzyknął Witold. —

Znać potrzeba tego człowieka. Jedno złoto go może pozyskać, a tego ani ty, ani ja nie dostarczym mu nigdy do syta.

I Witold powtórzył dobitnie.

— Korybut pójdzie na Czechy. Jagiełło milczał wylękły.

— Ja na to zezwolić nie mogę — rzekł.

— A ja zapobiegać nie chcę — odparł Witold. — Myśmy nie księża i sprawa papieska nas nie obchodzi.

Znowu Jagiełło uszy sobie zatulił.

— Wiedzieć o tym nie chcę, znać nie chcę, milcz! — zawołał gwałtownie. — Papieża potrzebuję dla małżeństwa mojego, aby mi je potwierdził.

— A mnie też, abym ci Sonkę dał! — zawołał Witold. — Musisz na Korybuta oczy zamknąć.

— O niczym znać i wiedzieć nie chcę! — powtórzył król. Witold się szydersko rozśmiał.

— Ale ja też nie będę głośił przed światem, zem go wyprawiał — rzekł wesoło — ja także się go wyprę, choć rad jestem, że to królestwo, które nam z rąk wydarł twój Zbyszek, może przez Korybuta odzyskamy.

Westchnął król....

— Papież i król rzymski są wielką potęgą — szepnął smutnie — my przeciwko nim walczyć nie możemy. Rzymski biskup ma swoich podwładnych między naszymi wszędzie, sługi jego trzymają kościoły, klasztory, ziemie, ludzi, no i sumienia. Musiemy słuchać!

Milcząc spoglądali na siebie długo.

— Ani siebie, ani mnie do sprawy Korybuta nie mieszaście — począł zasmucony Jagiełło.

— Me możecie go wstrzymać?

— Nie chcę go wstrzymywać — przerwał ksiązę. Jagiełło zagadnął o Krzyżakach, z którymi Witold zdawał się być w bliższych i poufalszych stosunkach niż przedtem.

— Ja wojnę im wypowiedzieć będę musiał znowu — dodał — a ty iść musisz ze mną.

Książę nie okazał wcale, aby mu to wstrętliwym było.

— Krzyżacy — rzekł — obojętni mi są... Słabsi, starają się mnie pozyskać, ja chcę się nimi wysłużyć, a złamiemy ich, tym lepiej... Nie odtrącam ich, ale bronić i osłaniać nie będę.

Wiedział Witold, że dłuższa rozprawa o tych rzeczach Jagielle będzie nieznośna, zasepi go i zrazi, dokonawszy więc, co chciał, to jest zapowiedziawszy królowi wyprawę Korybuta, starał się zasepione jego czoło rozmarszczyć.

Jagiełło w obawie, aby od niego dla Korybuta więcej nie wymagano nad bierne i obojętne znalezienie się — mówił już o wyjeździe z Trok, o potrzebie przygotowania się do wesela...

Dla rozweselenia go Witold Sonkę raz i drugi wprowadził, aby mógł się jej przypatrzeć i nacieszyć...

Jagiełło patrząc na nią zapominał o ciężarach panowania i korony.

Ostatniego dnia pobytu w Trokach, gdy już o Korybucie wcale mowy nie było, nagle przed rozstaniem samym król oznajmił Witoldowi.

— Wiesz, że ja królowi rzymskiemu posiłki przeciwko Czechom obiecałem i że pošlę mu pięć tysięcy ludzi.

Zimno przyjął to Witold.

— Jeśli ich stracić ci nie żal — rzekł ksiązę — czyń, jakieś postanowił. Ja bym mu i jednego nie dał człowieka... To nie przeszkodzi Korybutowi iść także do Czech, a gdy tam twoich ludzi spotka, nie zważać, że Polacy są.

Popatrzyli na się, Jagiełło posmutniał. Witold pogodnym czołem wszystkie te konieczności położenia znosił. Posługiwać się umiał wszystkim.

Przy widzeniu się z Sonką, gdy ją żegnał Jagiełło i pierścień jej zaręczynny na palec

wkładał, prosząc, aby mu była wierną towarzyszką, księżniczka podniesionym głosem przyrzekła mu to.

Od świąt Bożego Narodzenia do zapust nie tak wiele czasu pozostawało dla przygotowań do wesela.

Król spieszył, aby sprawy co najpilniejsze załatwiwszy móc na Litwę powrócić.

Z Witoldem rozstawali się serdecznie, w najlepszej zgodzie i porozumieniu. Jagiełło o

Korybucie wiedzieć nie chciał wprawdzie, lecz jego wyprawy nie zdradził przed panami polskimi i przeszkadzać jej nie miał. Oleśnicki o niej nie wiedział. Na wyjeździe z Trok spodziewał się on stoczyć jeszcze ze starym królem walkę o małżeństwo, ale Jagiełło nie mówił o nim.

Odłożył więc Zbyszek rozmowę o tym do podróży, wnosząc, że gdy Witolda nie stanie, król powolniejszy będzie. Zawiodł się na tym. Na pierwsze wspomnienie o Sonce Jagiełło odpowiedział sucho.

— Małżeństwo postanowione... Oleśnicki zamilkł.

— W Krakowie — odezwał się po przestanku — bez pozwolenia papieża ślubu nikt nie da.

— Znajdzie się taki, co mi go nie odmówi — zamruczał król.

Nie drażnił już prałat swojego pana napróżnym sprzeciwianiem mu się. Wolał w końcu ulec

tej upartej starca fantazji, tylko jemu samemu groźnej, aby w ważniejszych sprawach stanąć tym silniej.

Było to jego zdanie, a zdanie Oleśnickiego zawsze prawie przeważało w radzie. Zgodzili się chętnie wszyscy na to, aby królowi nie czynić oporu i nie przeszkadzać.

Z pewną obawą patrzano w przyszłość, lecz ta była nieuniknioną już.

Król w podróży ciągle małżeństwem był zajęty. Na wszystko się zgadzał, obsypywał łaskami, wymagał tylko, aby mu w tym posłużono.

Wyprawiwszy w skok do Krakowa po to, co do wesela było potrzebnym, polował w Wągrowskiej Puszczy.

Stąd posły i gońce biegały nieustannie to do Nowogródka, który wyznaczono jako miejsce chrztu i małżeństwa, to do Krakowa, skąd musiano ludzi i podarki, dwór i sprzęt różny ściągać.

Panowie polscy za przykładem Oleśnickiego idąc gotowali się pokłonić królowej młodej, choć jej sobie nie życzyli.

Spełniała się wola i rachuby Witoldowe...

W najprzepaścistszy koniec zimy, bezdroża i roztopy, nappełnił się Nowogródek

niespodzianie całymi zastępy dworu Jagiełły, który z dala od stolicy, w małym miasteczku, jakby unikając oczu ludzkich, małżeństwo chciał mieć jak najokazalszym. Witold też siostrzenicę swą ubogą wyposażył przynajmniej świetnością orszaku, jaki jej towarzyszył.

Pomimo woli swej zmuszona ciągnęła z nią księżna Julianna, zjechał, ściągnięty na ten

dzień z Rusi, stary Siemion książę holszański, stryj Sonki, który ją zdawszy na opiekę Witoldowi jemu los siostrzenicy niespodziany zawdzięczał.

Zjechali panowie królowi bliżsi i mili z Polski ze wspaniałymi pocztami, aby Jagiełłę

otoczyć, Witold wiódł z sobą mnogich kniaziów ruskich i bojarów litewskich.

Z Wilna umyślnie w tym celu zaproszony do orszaku księcia przybył Maciej biskup

wileński, który chrzcic miał księżniczkę i ślub dawać. Nie chciano prosić o to biskupów polskich.

Przez cały czas oczekiwania, przyborów tych, podróży, Sonka prawie łyzy nie uroniwszy,

spokojna, na pozór obojętna, posłuszna dawała z sobą czynić, co kazano. Me okazywała ani radości, ni trwogi.

Witold, choć nie rozumiał jej może, tłumaczył sobie to bierne zachowanie się ogromem szczęścia, które spadało na dziewczę niespodziewanie.

Nie przestawał powtarzać, iż jemu zawdzięczając to wszystko Sonka powinna też być oddaną mu i posłuszną.

Nigdy na to nie otrzymywał odpowiedzi, lecz dziewczę trwoga to tłumaczyła.

Z tym pośpiechem, z jakim nalegał Jagiełło o małżeństwo, poszły uroczystości

nowogrodzkie. Znaleziono na zamku przygotowanym wszystko. Nazajutrz po przybyciu Sonka

podług obrządku, rzymskiego ochrzczonej została i tegoż dnia jeszcze sędziwy król połączył się z nią u ołtarza.

Uczta była już zastawioną, trąby i piszczałki grzmiały, okrzyki się rozlegały, tłumy cisnęły, aby młodą

panią oglądać...

Polski dwór króla ze zdumieniem widział ją w tej chwili stanowczej bez łyzy w oku, z podniesionymi w górę oczyma jasnymi, patrzącą śmiało, kroczącą dumnie, nie okazującą najmniejszego wzruszenia, jakby przygotowaną do tego losu, który ją spotkał.

W księżnie Juliannie budziło to gniew tym większy, w Witoldzie poszanowanie i radość, bo im więcej siły okazywała ta jego królowa, tym on pewniej na nią mógł rachować.

Zdawało mu się, że odniósł zwycięstwo wielkie, krok ważny uczynił do opanowania steru spraw ogólnych Polski i Litwy.

Rachunek był prosty i na pozór nieomylny. Królowa wszystko jemu była winna, starego króla opanować musiała, znaną była jego powolność. Witold przez nią miał rządzić Jagiełłą i Polską.

Ponieważ wojna z Zakonem w tym roku była nieuchronną i przysposabiać się do niej musiano zawczasu, weselne więc gody w Nowogródku długo się nie mogły przeciągać. Witold pospieszał do Wilna, król z żoną jechał do Krakowa, gdzie na nich oczekiwała córka jego Jadwiga i przyszedł dla niej przeznaczony małżonek, ośmioletni Brandenburczyk, którego król chciał sobie jako syna wychować.

Młodej pani pilno zdawało się być do swej stolicy. Jagiełłę jeszcze w okolicach Nowogródka ciągnęły puszcze i obiecane w nich łowy, a czas powrotu do Krakowa zwlec się miał o dni kilka, gdy Sonka wymogła, z wielkim zdziwieniem wuja, że podróż przyspieszono...

Był to pierwszy dowód siły, jaki dała młoda królowa: Jagiełło dla niej poświęcił myślistwo. Zapowiadało to, że Sonka potrafi zawładnąć mężem, który czułym dla niej i powolnym od pierwszych dni się okazywał.

Ruszono z Nowogródka dworna i huczno, po drodze zawczasu oznaczonej nieustannie przyjmując hołdy duchowieństwa, ziemian i ludu.

Stanowniczości potrzebowali tylko oznajmić o królu, aby miasta i wsie wszystkiego dostarczyły, co było potrzeba dla ugoszczenia pana.

Wszystkich oczy w ciągu tej podróży zwrócone były na królowę. Starano się odgadnąć ją i

przewidzieć pożycie. W

Nowogródki Jagiełło okazywał się szczęśliwym, lecz uroczystości już go znużyły, nie lubił nigdy występów, dla których przystrajać się musiał i królewską swą godność nosić z powagą i w majestacie.

Królowa przeciwnie była w swoim żywiole.

W Nowogródki już szaty i klejnoty, których jej obfitość wielką złożono w darze, poczęła przywdziewać, stroić się i z widoczną radością okazywać w nich publicznie.

Z dawnych sług jechała z nią jedna stara nieodstępna Femka, lecz liczna polska służba i dwór polski ją otoczył, z którym ciekawie i ochoczo zabierała znajomość.

Zręczny Hińcza z Rogowa umiał tak radzić sobie, że ochmistrz dworu Wojciech Malski,

Nałęcz, zaliczył go do służby pani. Dla Femki i dla niej był to jakby stary znajomy i pierwszy on ofiarował się za pośrednika do reszty dworaków, za powiernika i poufnego sługę.

Cisnęli się zresztą i inni usiłując przypodobać, zalecić, pozyskać względy i obyczajem wszystkich dworów zawiści i niechęci rodziły się już pomiędzy współbiegającymi.

W podróży król nie wytrwał u boku młodej żony... Gdy przebywać trzeba było lasy, woń mu zaleciała zwierza dzikiego, psy spostrzegł, łowców swoich ciągnących próżno i dał się skusić.

Królowa została sama ciągnąc dalej powoli.

Nie okazała stąd ani smutku, ani próbowała króla odwieść od ulubionej zabawy. Ofiarowała się nań czekać. Stary przyrzekał ją napędzić.

Na twarzy siedemdziesiętletniego nowożeńca, gdy znowu uczuł się sam i swobodny, zaśmiała się radość dziwna. Z

pośpiechem rzucił się w lasy. Sonka spojrzała za odjeżdżającymi wzrokiem chłodnym, a pozostawszy z dworem swym wesołości nie straciła.

Nie chciała tylko sama wjeżdżać do Krakowa, ani bez Jagiełły znaleźć się na zamku wobec córki jego a całego zastępu obcych ludzi oczekujących tam na nich z Brandenburczykiem i posłami.

Podróż więc stosowano tak do łowów Jagiełły, ażeby mógł się połączyć z orszakiem Sonki,

która u boku jego chciała się ukazać panom polskim.

Jagiełło, posłuszny żonie, zjechał się z nią w czas i przy- stroił do uroczystego wjazdu.

Były to pierwsze dni wiosenne... W Krakowie z ciekawością, lecz z niezbyt chętnym usposobieniem oczekiwano Rusinki. Duchowieństwo tego czwartego małżeństwa się lękało, w

Sonce widziano Witolda siostrzenicę, a jemu nie dowierzano i lękali się go wszyscy.

Król jechał czując to, że go nie przyjmą z tymi okazami radości, jakie niegdyś mu towarzyszyły... Czuł się niemal winnym i potrzebującym przebaczenia...

Prowadził żonę, wziętą mimo woli narodu, która nie była koronowaną jeszcze, więc nie królową, ale króla małżonką. Sonka domyślała się tego, lecz nie okazała trwogi ani upokorzenia, zdawała się wyzywać śmiałością swoją.

Uroczystego przyjęcia być nie miało... Z ostatniego spoczynku pod Krakowem siadł król na koń w szubie bramowanej i kołpaku, towarzysząc Sonce, która nie pytając go przywdziała

gronostaje, płaszcz szkarłatny i na głowę złote klejnoty. Dworowi też swojemu kazała się przybrać strójno i okazale.

Król się nie sprzeciwiał. W mieście gromady ludu ogromne stały, cisnęły się, podglądały, ale milczące... Królowi czapkami wiewano tylko... Poważnie, lecz cicho orszak przeciągnął przez ulice. Z kościołów wychodziło pana witać duchowieństwo, odezwały się dzwony, ale radości, uniesień, wesela nie było. Jakieś oczekiwanie trwożliwe.

Po twarzy królowej, która czuła się tu niepożądanym gościem, przebiegały rumieńce, w oczach połyskiwały płomyki gniewu, lecz usta uśmiechały się posłuszne. Serce jej biło, wiedziała, że ją otaczają nieprzyjaciele, niechętni, źli może, potrzeba było podjąć walkę, zwyciężyć ich, zapanować tu, zostać naprawdę królową.

Inna może by poczuła łzę na powiece i trwogę. Sonka знаła swą siłę i wytrwałość. Długie lata walki stały przed nią, krok za krokiem powoli musiała iść do celu, lecz dojść do niego była pewną.

Jagiełło z nieśmiałością podnosił wzrok i spuszczał oczy, Sonka radować się zdawała pięknemu miastu i zamożnemu ludowi...

Biskup Wojciech czekał na Wawelu. Przy nim stał milczący Oleśnicki, w szatach

kapłańskich rycerz postawą. Król dał mu znak przyjazny głową, jakby o przejednanie go prosił.

W przedsieni zamku czekała na przybraną matkę królowa Jadwiga, kilkonastoletnie

dziewczę strwożone i blade, wystrojone i zdające się upadać pod brzemieniem klejnotów, którymi ją okryto.

Tuż obok ośmioletni Brandenburczyk w niemieckim stroju, z czapeczką w ręku, obcisłej

sukni i płaszczyku, z włosami długimi, utrefionymi w pukle, przy którym ks. Eliasz i Piotr Chełmski, nauczyciel i dozorca stali czuwając, gotował się witać Jagiełłę, z dala uśmiechającego dzieciom.

Sonka pierwsza pospieszyła uściskać przelekką i drżącą królownę, której łzy strumieniem

pobiegły po twarzyczce.

Król wszystkich witał z uprzejmością niezwykłą, z radością, ze wzruszeniem, starając się pokryć niepokój, który go ogarnął; a mając przestąpić próg zaniku szepnął Sonce po rusku:

— Patrzajcie! przez próg prawą nogą!

V

Rok przeszło upłynął od tego dnia pamiętnego, gdy królowa Sonka po raz pierwszy wstąpiła na swój zamek krakowski, ścigana oczyma niechętnymi, wśród wiele znaczącego milczenia. Na oko nie zaszły tu żadne zmiany uderzające, ludzie pozostali ciż sami, tryb życia króla nie uległ

obyczajowi nowemu, a jednak inaczej tu było teraz i obok Jagiełły czuli ludzie siłę tej niewieściej małej rączki, która żelazną być umiała...

Bez rozgłosu, bez przewrotów, z wolna i cicho dokonywały się nawrócenia, przejednania, objęcie rządów i panowania.

Dwór królowej był tak dobrze jej własnym dworem i pod jej władzą, że niewiasty i

mężczyźni życie za nią dać byli gotowi; na dworze króla Sonka miała swoich, miała ich już w radzie, między duchownymi, w mieście, wszędzie.

Ale miała tyleż prawie niechętnych i przeciwników.

Kiedy i jak się to dokonało, zaprawdę nie umiałby był nikt powiedzieć. Sonka się ze swą władzą nie chwaliła i nie była rada jej okazywać, ledwie nie chciała ją ukryć.

Jagiełło kochał żonę i posądzić było można, że się jej razem obawiał. Nie znajdował ją

może tak powolną, jak sobie wyobrażał, choć zarzucić nic nie mógł. Powracał z każdych łowów i

podróży stęskniony i rozmiłowany, a po niej jakim czasie tęsknił za lasami... U królowej na zamku było dla niego za świetnie, za majestatycznie, daleko mniej poufale niż w lesie przy ognisku, wśród wesołych myśliwych.

On o swym panowaniu rad by był zapomniał, ona o koronie, której nie miała jeszcze, pamiętała nieustannie. Przy każdej rozmowie z mężem umiała mu ją przypomnieć...

Jagięło, obawiając się spotkać jakie przeszkody, trudności, zwlekał.

Niektórzy z duchownych nawet w rozmowach z królem napomykali o koronacji jako o

uroczystości, na którą wszyscy oczekiwali. Z panów polskich Małski, ochmistrz królowej, starsi komornicy Mszczuj ze Skrzynna, Klemens Wątróbka, niby przypadkowo mówili o niej, jako rzeczy spodziewanej.

Do osób, które młoda pani pozyskać sobie umiała, tak iż one same postrzegły zmiany we

własnych usposobieniach, należał i wrogi niegdyś Zbyszek z Oleśnicy, teraz już biskup krakowski, bo Wojciech Jastrzębiec, rad nierad, poszedł ustępując mu na gnieźnińską stolicę.

Nieugięty ten mąż nie należał do przyjaciół Sonki, z pewną nieufnością spoglądał na nią

zawsze, widząc w niej Witolda siostrzenicę, ale nie był jej wrogiem. Szanował w niej cnoty, które sam miał, męstwo i wytrwałość.

Nie tajnym mu było, że ona tu rzucona w świat obcy musiała pracować, aby go zjednać

sobie, patrzył na ten podbój powolny i umiał go ocenić.

Dla młodych i starych królowa była uprzejmą wielce, na zamku urządziła zabawy, spraszała gości, chciała ich mieć wesołymi, każdemu rzuciła słówko dobre, serca sobie jednała... Młodzież szalała za piękną Sonką, ale ją majestat otaczał taki, a umiała wejrzeniem jednym groźnym tak odepchnąć od siebie, jak mogła przyciągnąć.

Biskupa Zbigniewa zjednało na ostatku jedno znalezienie się jej, gdy w sprawie zjazdu z

Zygmuntem Witold przysłał tu posła do niej i żądał, aby ona go poparła. Szło jeszcze o

nieszczęśliwego Korybuta, który z niczym z Czech powracał, gdzie wrzało i paliło się wojną.

Cebulka przyjechał wioząc do króla listy, a do królowej. słowne rozkazy. Naówczas Sonka

wezwała krakowskiego biskupa do siebie i opowiedziała mu, czego po niej wymagano.

Biskup wysłuchał okazując pewien niepokój i sądząc, że królowa zażąda od niego, aby i on Witoldowi dopomagał,

— Nie mogę w sumieniu mym uczynić tego — rzekł — bym przeciw dobru pana mego, przeciw przekonaniu własnemu głos zabierał.

— Ani ja też tego nie uczynię — odezwała się Sonka — a dlatego uświadomić was o tym chciała, iż czuję, że mnie o słuzenie wujowi posądzacie... Tak-li jest? Biskup potwierdził milczeniem.

— Niesłusznie byście mnie obwiniali — dodała. — Ani w tej, ni w żadnej innej sprawie, przeciw dobru męża mego i kraju mego nie stanę... Szanuję wuja, lecz posłuszną mu być ani służką jego i niewolnicą nie mogę i nie chcę.

Oleśnicki, z radością to usłyszawszy, pokłonił się jej.

— Wytrwaj, miłościwa pani! — rzekł krótko.

Cebulka powrócił z niczym, lecz od tej chwili biskup inaczej patrzył na królowę i większe dla niej okazywał poszanowanie.

Być może, iż więcej też się jej obawiać począł, choć nie okazywał tego. Baczniej tylko na każdy krok jej spoglądał.

Najtrudniej było Sonce pozyskać sobie sierotkę Jadwigę, córkę królewską. Od pierwszego wejrzenia dziecię w młodej pani poczuło nieprzyjaciółkę, ona w nim istotę niechętną i nieprzejednaną.

Ukochać się nie mogły, a Jadwiga skutkiem podszeptów sług obawiała się macochy. Gdy ją wprowadzano do niej, gdy sadzano do stołu, zabawiano, obdarzano... oglądała się trwożliwie, czekać się zdawała tylko chwili, w której by uciec mogła.

Sonka czuła się tym obrażoną i po usiłowaniach napróżnych mniej już troskliwą okazywała się dla dziecka, które jej jawnie niechęci dało dowody. Jadwidze wmówiono, że ta królowa nowa praw ją należnych pozbawi, że na jej życie czyhać będzie...

Nie skarżyła się na to królowa przed Jagiełłą, znosiła cierpliwie. Król przybywając ze swych wycieczek sadzał przy sobie małego Brandenburczyka z jednej strony u stołu,

Jadwigę z drugiej, bawił się nimi, ale nic nie widział i nie domyślał się niczego.

Na dworze w tych kółkach, których królowa sobie nie pozyskała jeszcze, siano plotki o

niebezpieczeństwach, jakie biednej groziły sierocie, użalając się nad jej losem.

Donoszono o tym Sonce, gardziła potwarzami, a nie czuła się winną. Czyniła, co mogła, czas powinien był dokonać reszty.

Ilekroć Jagiełło przybywał z nieustannych objazdów kraju i polowań, w progu zamku znajdował zawsze królowę uśmiechniętą, radą panu swojemu, uprzejmą, bez słowa wymówki na ustach. Nie zwykła też była prosić o nic, a Jagiełło, gdy się czuł winnym długiego zaniedbania, nagradzał to darami hojnymi.

Na Wniebowzięcie powracał właśnie spod Czorsztyna, dokąd go znowu Zygmunt wyciągnął. Królowa jak zawsze gotowała się na przyjęcie. Z Jagiełłą razem jechali znaczniejsi panowie, którzy mu towarzyszyli, dla zgody i przejednania.

Stary, nieznużony pan, na jednym miejscu nigdy długo nie umiejący usiedzieć, czasem jednak radował się, gdy do Krakowa zawitał.

Był on tu tak dobrze gościem jak gdzie indziej, lecz gniazdo tu czuł swoje, gdy Wilno już w cudze oddać musiał ręce.

Na wiadomość o zbliżaniu się wyjechała Sonka, biorąc z sobą Jadwigę i Brandenburczyka, dla powitania króla z orszakiem tak wspaniałym i strojnym, iż całe miasto wybiegło mu się przyglądać. Jagiełło wystawności tej nie lubił, królowa znajdowała ją potrzebną i miłą. Lubowała się w szatach, rzędach i klejnotach.

Liczni dworzanie otaczali Sonkę, która z jednej strony wiodła z sobą niechętnie jej towarzyszącą Jadwigę, z drugiej małego jej narzeczonego.

Spotkanie u Prądnika było bardzo czułe ze strony króla, który z konia zsiadłszy żonę wobec wszystkich uściskał, córkę potem całował i małe chłopię podniósł w górę do pocałunku. Radował się powrotowi i opowiadał znużonym a stęsknionym. Tu zawróciwszy się jechali nazad do miasta, a że Jagiełło mówić nie lubił, słowa więc tylko rzucanymi drugich do opowiadania sobie pobudzał i śmiał się.

Na zamku mnogi dwór oczekiwał na pana, za którym tym bardziej tęsknił, że Jagiełło obdarzał chętnie tych, co przy nim się znajdowali, i tęskniono za nim więcej dla darów, których nie odmawiał nigdy, niż dla niego samego.

Każdy przyjazd do Krakowa opłacał sownie stary, gotów rozdawać, co tylko miał i dopóki

niał.

Spieszyli więc chciwi łask na spotkanie i na służbę. Król bardzo dobrej był myśli.

Brandenburgcykowi i córce na przemiany własną ręką z mis dawał najlepsze kawałki, karmił ich, a do królowej naprzeciw siedzącej uśmiechał się mile.

Sonka powitawszy go z uszanowaniem i tą twarzą pogodną, którą zawsze miała dla niego,

siedziała jednak trochę posępniejsza i zamyślona więcej niż zwykle. Na próżno król pobudzał ją do uśmiechu. Przebiegał on po jej ustach i znikał. Jagiełło takich chmurnych twarzy przy sobie widzieć nie lubił.

Nazajutrz co było senatorów w Krakowie, biskup Zbyszek, urzędnicy od rannej godziny oblegali zamek.

Spraw zalegało mnóstwo, nie dano wytchnąć po podróży, przychodząc z nimi. Duchowni z

różnych stron kraju z mnogimi prośbami oczekujący na Jagiełłę, ze skargami, ze sporami cisnęli się, starając wyjednać potwierdzenia dawnych przywilejów lub uzyskać nowe. Cały dzień tak trzymano go znużonego niezmiernie, wzdychającego, tak że żonę, córkę i przyszłego zięcia ledwie mógł widzieć na chwilę.

Wprawilo go to w złe usposobienie, które zamyśleniem i milczeniem się objawiać zwykło.

Może i chmurka nie schodząca z czoła pięknej Sonki przyczyniała się do utrapienia starego. Kilka razy w ciągu dnia zapytywał ją król po cichu, czy miała powód jaki do smutku.

— Nie mam żadnego i smutną nie jestem — odparła królowa.

Jagiełło badać nie śmiał. Późno już, nim się na spoczynek miał udać, opanowany tą myślą, iż Sonka była nie tak wesołą jak zwykle, kazał król Hińczy przywołać do siebie ochmistrza jej, Wojciecha Nałęcz Malskiego.

Malski należał do jednej z najstarszych gałęzi prastarego Nałęczów rodu, który już za

Piastów najwyższe piastował dostojenstwa. Rozrodzeni byli, jak wszystkie zawołania

najdawniejsze, mniej możni niż niegdyś, lecz zawsze jeszcze do tych się liczyli, którzy dziedziczyli w swych rodach pierwsze krzesła i grody. Malski sam był mężem poważnym, milczącym, a

postrzegającym bystro, co się wkoło działo, prawym mężem, mniej dbającym o korzystanie z

położenia, a więcej o cześć własną. Surowy dla podwładnych, wyznaczony był nie bez przyczyny ochmistrem dworu, w którym na młodzież i na niewieście towarzystwo oko pilne mieć było

potrzeba... Obawiano się go, bo nie przebaczał nikomu, lecz wielu rzeczy pomimo przenikliwości nie widział, bo ich prawość własna domyślać mu się nie dozwalała.

Dwór z młodzieży złożony, gdy się spodziewał ochmistrza, gdy najrzał go z daleka, przybierał inne, pokorne i spokojne postacie, udawał wielce skromnym, choć za plecami jego dokazywał.

Gdy Malski wszedł do izby królewskiej, zastał Jagiełłę karmiącego psy niedawno otrzymane, ale zamysłonego i posepnego.

Komornikowi, który przy drzwiach stał, kazał zaraz precz iść, a ochmistrzowi bliżej przystąpić.

— Co Sonce jest? — zapytał. — Czegoś ją znalazłem inną. Posmutniała. Nie wiecie przyczyny?

Mówiąc to król patrzył nalegająco na Malskiego, który milczał, lecz widać było, że mógłby był odpowiedzieć coś, wahał się tylko.

Powtórzył Jagiełło pytanie.

— Miłościwy królu — rzekł w końcu ochmistrz — łatwiej to zobaczyć, iż królowa smutna, niż powiedzieć dlaczego.

— Wy przecież wiedzieć powinniście — zawołał król gderliwie. — To wasza rzecz...

Malski głową wahał i usta poruszał.

— Wasza miłość też moglibyście się domyśleć przyczyn tego humoru — odparł i zamilkł.

— Ja! ja! — Jagiełło trochę się nadał.

— Co bo mówisz — zawołał płacząc się z pośpiechu. — Ja? dlaczego? Alboż ja w czym winien jestem? Że mnie często w Krakowie nie ma, a królowej dla samego znużenia wszędzie za sobą ciągać nie mogę? Albo ona nie wiedziała za mąż idąc, że ja muszę w nieustannych rozjazdach co roku Wielkopolskę, Ruś, Mazury i Litwę nawiedzać!

— Miłościwy panie, w tym winy nie ma i królowa się nie skarży na to — rzekł Malski. .

— A czegoż jej brak? Mało klejnotów ma i mało do użycia i rozdawania?

Malski ramionami poruszył.

— No, to mówże — zabełkotał coraz bardziej niecierpliwiający się Jagiełło.

Ochmistrz w stół patrząc zwlekał jeszcze, ale król nagle mruczeniem groźnym.

— Mówże, głowy ci nie zdejmę z karku...

— O głowę ja się nie zwykłem lękać — zimno odparł Malski — ale miłości waszej przykrości bym nierad uczynić.

Zaczynał się marszczyć Jagiełło, do takich przygotowań niezwykły i nie lubiący ich, bo i sam po prostu mówił, i żądał, by mu otwarcie, bez ogródki prawdę dawano.

— Nie można tego królowej za złe mieć — odezwał się ochmistrz — że się czasem zachmurzy; łatwo zgadnąć czemu, tylko ja waszej miłości opowiadać nie mogę, czego się domyślam, aby posądzenia nie było, że mi się królowa zwierzyła. Jako żywo, od niej nigdy nie słyszałem nic, nie skarży się, na to mogę na Ewangelii przysiąc. Słowo z jej ust nie wyjdzie.

— A czegoż ty się domyślasz? — napastliwie za rękaw ciągnąc ochmistrza podchwycił

Jagiełło — czego?

Malski się w końcu zebrał na odwagę.

— Mielście przed nią miłociwy panie trzy żony... Wszystkie one, nawet ostatnia, choć się przeciwiono i sarkano koronowane były, a ta przeszło rok czeka i wcale o koronacji nie słyhać.

Ludzie to widzą... Może nieraz dano to poznać, że w niej znają tylko żonę waszą, ale nie swoją panią. Służba nie szanuje jej tak, jak by przynależało.

— A wy od czego jesteście? — wybuchnął Jagiełło — albo to lochu i dorotki nie macie?

Malski rozśmiał się nieco.

— Trudno bez występku sądzić ludzi za to, że koso patrzą i gęby krzywιά. Kary wymierzać nie ma za co, a niemniej to boli.

Zadumał się Jagiełło sparsłszy na rękę, słuchał z uwagą, zakłopotany.

— Na dworze też różnych ludzi siła — ciągnął Malski dalej. — Wielu takich, co kąkol sieją radzi. Królowa Jadwiga z ich poduszczeń do macochy przystać nie może, choć ta ją jak własne dziecko upieścić by rada... Albo to miło pani, gdy dziecko podanych mu łakoci z jej ręki do ust nie bierze, jak by się obawiało trucizny.

Jęknął stary król i poruszył się.

— Za mało szanują królowę — dodał ochmistrz. — Po kątach plotą, że ona korony nigdy widzieć nie będzie... a uchowaj Boże nieszczęścia...

Król nie lubił podobnych przypuszczeń i przerwał mowę Malskiemu.

Zdawało się, że już miał tych zwierzeń dosyć i chciał go odpuścić, ale Malski stał.

— Wszystko to, com mówił, miłościwy królu — dodał — mówiłem z siebie tylko. Niech

Bóg uchowa, aby królowa posądzona była, iż się skarżyła i poznać dała po sobie, że cierpi. Stara się wesołą twarz okazać zawsze, skargi od niej nie słyszał nikt nigdy.

Jagiełło powstał z ławy, na której siedział, ręce rozkładając szeroko.

— Kiedyż było koronacją tę naznaczyć? Wojny, zjazdy, zbory, podróże, chwili nie miałem...

— Ale i mowy o niej nie było — rzekł Malski.

— Sonka mi ani razu nie wspomniała, żeby jej pilno było.

— Boć sam srom dobijać się o to, co jej należy, nie dopuszczał — szepnął ochmistrz — a ja proszę miłości waszej, aby to, com wyznał przed nią, nie było poczytanym za mieszanie się niewczesne w sprawy, które do mnie nie należą. Z dobrego serca a miłości dla pana się to rzekło.

Malski głęboki pokłon uczyniwszy cofnął się ku drzwiom i wyszedł powoli nie wstrzymywany. Król sam pozostał. Siadł za stół i wodę pił.

Wieczorem późnym zeszli się z królową, ale jej nie powiedział nic, nie badał, patrzył tylko ukradkiem i wyraz twarzyczki pilno postrzegał, czulszym się okazując niż zwykle.

Żalił się, że mu sprawy państwa na domowe szczęście czasu nie dają, a spoczynek by mu był miły...

Małomówną dnia tego była Sonka, słuchała tylko.

Nazajutrz znalazł ją taką jak wczora, ani zbyt smutną, ni wesołą. Chciał z niej wyciągnąć jakie słowo uzalania, odpowiedziała mu, iż troski przymnażać nie chce, a co na nią spadało, cierpliwie znosić gotowa.

Przyprowadzić kazał córkę Jadwigę, gdy u królowej był, i niezręczny w obejściu się z

dziećmi przy Sonce napominać ją zaczął, że kochać powinna macochę jak rodzoną. Zarumieniła się królowa, bo z tego posądzić ją mogło dziecię, że się ona skarżyła na nie.

— Ja się na ciebie nie uskarżam — rzekła do niej — bo miłości nakazać nie można, lecz

powiedźcie, czy nie obchodzę się z wami po macierzyńsku, macie jaką krzywdę ode mnie?

Królowa bełkotała niewyraźnie, zmieszana bardzo, tłumacząc się, ale pomimo nalegań ojca nie chcąc serdeczniej zbliżyć do macochy. Karmiono ją ciągle nieufnością ku niej.

Przykra ta scena, co by miała polepszyć stosunki, podrażniła obie strony, a gdy Jadwiga

wyszła zapłakana, Sonka odezwała się chłodno, że czas tylko może nawrócić serce dziewczęcia i że gwałtu mu zadawać się nie godzi.

Przez cały ten dzień król się namyślał i wazył w sobie, co miał czynić. Przypadek

przyspieszył koniec i wahania się a odkładanie, Jagielle zwykle, zamknął nagłym postanowieniem.

Gdy po obiedzie spoczywał siedząc u okna wychodzącego na podsienia, tak że widać go nie

było i mimowolnie przysłuchiwał się śmiechom i gwarom młodych dworzan stojących nie opodal w podworcu, usłyszał nagle znajomy sobie głos Hinczy z Rogowa, który wołał:

— Strasz! czekaj, Strasz! królowa rozkazała, abyś na miasto jechał i Mszczuja szukał,

wyprawionego po iglice, a nie wraca od rana, bo gdzieś pewnie w piwnicy siedzi...

Strasz Jan z Białaczowa należał naówczas do komorników królewskich, a człek był hardy i

opryskliwy; próbował on przypodobać się królowej i zyskać jej względy, co mu się nie udało. Miał

nienawiść do Hinczy posądzając, że ten mu szkodził, a Sonce też przebaczyć nie mógł, że dla innych okazując się łaskawą jego się zbywała i szorstką dała mu kilka razy odprawę.

Strasz zły począł podniesionym głosem.

— A cóż to ty mi będziesz rozkazywał? Jam pod tobą jeszcze nie służył?

— Ja ci też nie od siebie, ale od królowej rozkaz przynoszę — zakrzyczał Hińcza.

— Jaka to mi królowa? — zuchwale przerwał Strasz. — Ja tu królowej żadnej nie znam.

Przywiózł z sobą pan z Litwy niewiastę, nie wiadomo kto i gdzie mu z nią ślub dawał, a koronacji nie było... Królowej tu nie ma...

Hińcza skoczył do niego i zawzięta się kłótnia okrutna, z której o mało do bijatyki nie

przyszło. Jagiełło słyszał wszystko, płomień mu oblał twarz.

Wieczorem nakazano, aby Strasz się na dworze pokazywać nie śmiał... nie mówiąc za co,

ale on sam o tym najlepiej wiedział pewnie. Hinczę król wieczorem przychodzącego na służbę po ramieniu uderzył i zaśmiał mu się, ale nie powiedział nic, nie chciał się przyznać do tego, że rozmowę podsłuchał.

Z rana przybywającego biskupa krakowskiego, którego się zawsze lękał, gdy miał co ważniejszego przedsiębrać, począł

Jagięło dobrymi słowy sobie zyskiwać. Zbyszek się dorozumiał łatwo, iż król czegoś pożądał niepewien, czy mu to łatwo przyjdzie.

Po wahaniu długim wyjąknął wreszcie Jagiełło:

— Królowa nie koronowana, krzywda się dzieje biednej niewieście...

Biskup od dawna był przygotowanym do tego, iż Sonka ukoronowaną być musi, nie widział w tym nic zdrożnego, gdy raz małżeństwo było dokonane.

— Wasza miłość możecie się w tym rozporządzić wedle woli swej — rzekł biskup. —

Należy to czwartej, co się trzem dostało, gorszą od nich być nie powinna.

Z widoczną radością porwał się król z siedzenia i przystąpił do biskupa.

— Sprawimy jej obrzęd wspaniały! — zawołał. — Z Zygmuntem mimo zjazdu pod

Czorsztynem wiele jeszcze pozostało do mówienia... Koronacja nam posłuży do ściągnięcia go tu z małżonką... Mam na myśli Eryka duńskiego, zaproszę mistrza Krzyżaków, książąt Piastów z

Mazowsza i Szląska. Papież mi też przyśle kogo ze swej ręki dla pobłogosławienia.

Mówił żywo bardzo, spiesząc, myśląc się, poprawiając, gotów zapraszać ledwie znanych książąt niemieckich, a z Rusi i Litwy, kto żyw był, kto mu na myśl przychodził.

Biskup musiał ten zapęd powstrzymywać. Uczynił uwagę nieśmiałą, że dla takich gości, którzy bez ogromnych pocztów przybyć nie mogą, zamku nie stanie i miejskich gospód.

Jagięło śmiał się wmawiając biskupowi, że i on, i inni duchwni powinni po swych dworach rozebrać dostojnych gości, gdyby na Wawelu ciasno było.

Raz przełamawszy tę pierwszą trudność, król już nie miał spoczynku, dopóki listów zapraszających na biskupie nie wymógł, które kancelaria natychmiast wygotować miała.

Królowa i nikt na dworze nie wiedział jeszcze o królewskim postanowieniu, gdy już w

dolnej owej komnacie między Jagiełłą a Oleśnickim liczba osób mających otrzymać wezwania była oznaczona.

Jagiełło mocno obstawał przy królu rzymskim i węgierskim Zygmuncie, przy Eryku

duńskim i szwedzkim, do Ziemi Świętej ciągnącym, książętach mazowieckich i szląskich Piastach, krzyżackim mistrzu, z którym znowu pokój był zawarty.

Powolny w tym, co szkodliwym ani groźnym być nie mogło, biskup przystał na wszystkich, z westchnieniem tylko dodając:

— Skarb się twój wyczerpie, miłościwy panie, bo ich bez darów nie odpuścisz, a same przyjęcia wiele nas będą kosztować.

Gdy to mówił, król na swoje letnie bardzo proste ubranie, rzemienny pas i buty ze skóry szarej wskazał.

— Dla siebie ja nie potrzebuję wiele — zawołał — nie marnuję na przepychy, bo ich nie cierpię, ale królowi polskiemu przystało być hojnym! Niech obcy monarchowie, niech

Luksemburczyk i ten Pomorczyk (tak zwano Eryka duńskiego) zna, żeśmy nie ostatni!

Zbyszek nie sprzeczał się już więcej obiecując królowi, że listy zapraszające w kancelarii natychmiast gotować każe. Po tej naradzie z biskupem, gdy Jagiełło poszedł do komnat Sonki, zaniósł z sobą na twarzy takie uweselenie jakiegoś widoczne, iż od progu poznała królowa, że z dobrym czymś przychodził. Nie domyślała się jednak wcale, co ją czekało.

W duszy Sonka pragnęła tęga uświęcenia małżeństwa jej obrzędem uroczystym, lecz nie spodziewała się tak rychło króla przygotować i skłonić do niego. Jagiełło siadł, dokoła się rozpatrując po komnacie, w której szycia różne i opony były porozrzucane.

— No — rzekł po rusku — abyście pospieszyli na czas ze wszystkim, bo choć u was musi być siła szat i płaszczów, przecie nowych a bogatych skoro potrzebować będziecie...

— Kogóż się spodziewacie? — zapytała królowa.

— Ho! ho! niemałych gości! — żartobliwie spoglądając na nią mówił stary — naprzód króla rzymskiego z żoną...

— Ci — przerwała królowa — nawykli są do wspaniałości wielkiej.

— Eryk Pomorzycz przybędzie też — ciągnął dalej Jagiełło — to już królów dwu, a książąt myślę dla nich ściągać, ile ich mam w pobliżu...

Zapłonęła królowa i poruszyła głową.

— Kiedyż zjadą? — spytała.

— Na ten dzień, gdy moją Sonkę ukoronuje arcybiskup — zawołał Jagiełło wesoło.

Uderzyła w rękę królowa i na kolana padła przed starym, który czule ją uściskał.

— Alboż nie pora była? — rzekł. — Bóg widzi, nie mogłem wcześniej, choć chciałem.

Teraz na pewno szyjcie szaty, a ze skarbca choćby z kojec pereł niech wydadzą, abyśmy się przed królami nie wstydzali.

Ze wzruszeniem i wdzięcznością przyjęła Sonka nowinę radosną, twarz się jej rozjaśniła,

starła się okazać Jagielle, jak ją uczynił szczęśliwą. Król też z siebie i ze wszystkich rad był dnia tego, a najpierwszym skutkiem rozochocenia tego było, że nazajutrz do dnia do Niepołomic na łowy ruszył:

Rozeszła się po dworze wieść we mgnieniu oka i przyjaciół licznych już królowej

uradowała. Triumfował dwór jej, roznosząc po mieście, rozsyłając po kraju wiadomość, że Sonka będzie koronowaną, a na obrzęd ten z całego świata proszeni zostaną monarchowie.

Mała garstka wiernych królowie Jadwidze sarkała i gryzła się tym. Teraz dopiero macocha ukoronowana pracować miała, aby się pozbyć znenawidzonego dziecięcia.

Szeptano już, że z Brandenburczykiem, którego syn był dla niej przeznaczony, układy zachwiane zostały.

Biskup krakowski natychmiast listy zapraszające wysiał wedle żądania króla. Jednym z pierwszych był wyprawiony do Witolda, któremu Jagiełło spodziewał się tym uczynić przyjemność.

Lecz rok upłyniony jeśli nie zerwał dobrych i przyjaznych stosunków między wujem a

siostrzenicą, to je przynajmniej ostudził znacznie. Nie przypuszczał Witold, aby się ona ważyła wbrew działać przeciwko niemu, lecz wyrzucał, że odwagi jej brakło, aby go czynnie popierać.

Cebulka wyprawiany kilkakrotnie wracał bezskutecznie.

Witoldowe szpiegi, których Kraków był pełen, donosili, że Sonka nie dosyć popierała sprawy wuja i okazywała się zupełnie obojętną.

Księżna Julianna korzystała z tego, aby przeciw niej podburzać.

— Przepowiadałam to — mówiła mężowi — wiem, że się nam niewdzięcznością wypłaci.

A teraz gdy jej koronę włożą na głowę, jeszcze się stanie nieprzystępniejszą... Stary dziad będzie czynił, co ona mu każe... Rok jej starczył na to, żeby tam sobie niemal wszystkich zjednała...

Zbyszek biskup już z nią trzyma.

Wygnany ze dworu czasowo ów Jan Strasz z Białaczowa, szlachcic z Odrowążów, ze złością i z gniewem w sercu pociągnął na Litwę. Gotów był jak Cebulka, Małdrzyk i Lutek z Brzezia usługi swe ofiarować wielkiemu księciu.

Przybył do Wilna z goryczą, z narzekaniem, z wymówkami, z potwarzami przeciw króla i królowej, a że w Krakowie się dawniej spotykał z Cebulką, do niego naprzód trafił.

Człek był porywczy i namiętny, nie tak zły jak prędko, nie rachujący się ze słowy swymi, lekkomyślny. Cebulka, do którego wpadł dopraszając się służby u księcia, doniósł o tym Witoldowi.

Baczny na wszystko ksiązę nie przypuścił go do siebie, jednakże polecił swoim polskim sługom, aby go badali i starali się poznać.

Karmiono i pojono Strasza, ciągnąc za język, którego on trzymać za zębami nie umiał.

Strasz malował wszystko w barwach najczarniejszych, a przyszłość przewidywał gorszą jeszcze.

— Niewiasta młoda, przebiegła, zręczna, uczyni z dziadem, co zamarzy. Wszyscy jej już po trosze służą, bo sobie jednać umie to uśmiechem, to smutkiem, to datkiem, to obietnicami.

Ulubieńców i zauszników tłum się roi... na palcach ich wyliczyć mogę, od Hinczy z Rogowa począwszy, który od jej drzwi nie odchodzi, a jak pies przy nich czatuje... Gdy króla nie ma, a kiedyż on długo posiedzi w domu, dopieroż wesele i uczyty, i śmiechy, i płąsy, i śpiewy... Niewiasty sobie dobrała takie jak sama... więc wczasu dobrego zażywają...

Plótt tak Strasz niestworzone rzeczy zmyślając wiele. Słuchający głowami potrzęsali.

Cebulka, jeśli nie wszystko, przynajmniej co ważniejsze Witoldowi powtórzył.

Przez dni kilka trzymano tak Strasza na dworze, nie dopuszczając go do księcia.

Na ostatek Cebulka we cztery oczy mu powiedział, że Witold do służby swej przyjęt gotów, ale do takiej, do jakiej sam go wyznaczy.

— Z tego, coście tu przynieśli — rzekł mu — widzi pan mój, że tam pilno czuwać potrzeba, a na dworze nie mamy nikogo, co by mógł patrzeć, słuchać i nas ostrzegać. Musicie tam powrócić nazad, to będzie służba wasza.

Zakrzyknął naprzód Odrowąż, iż jako człek rycerski inaczej się spodziewał, a na dwór

Jagiełły za nic i nigdy powracać nie chce. Zaczął potem ostygąć, a zemsta mu doradziła bodaj podjąć się tego stania na straży.

— Służby na dworze nie przyjmę — rzekł — ale i bez niej w Krakowie siedzieć, na zamku bywać i o wszystkim wiedzieć mogę — pojedę.

Wyprawiono więc z poleceniami Odrowąża, który ledwie do swojego Białaczowa

zbcoczywszy i wytchnąwszy zjawił się znowu w Krakowie, na mieście gospodę opatrzywszy.

Wolny człek, niby sobie zajęcia szukający, spokrewniony z wielu, rozpoczął życie, które mu najlepiej zawsze smakowało. Od rana do wieczora mógł nic nie robiąc siedzieć a rozprawiać i śmiać się.

Znał wszystkie te kąty i piwnice, gdzie się ze dworu komornicy i młodzież zbierała. Z wielu bardzo miał dawną, poufałość i znajomość. Utyskiwał, że go niesprawiedliwie wypędzono

bezcześnie, za co srogi żal miał.

Jedni mu potakiwali, drudzy spierali się, zrywać z nim nikt nie myślał.

Jeden Hińcza, gdy się w ulicy z sobą spotykali, namarszczony głowę odwracał i znać go nie chciał. Jemu też Strasz zemstę poprzysiągł.

— Żyw chyba nie będę, jeśli tego pyszałka nie zawiodę do ciemnicy, aż jak pies na barłogu zdechnie;

Z tym się jednak przed nikim nie chwalił, bo Hińcza więcej od niego miał przyjaciół, a że królowa nań łaskawa była, król także, górą się nosił i Straszą nie obawiał wcale.

Nie był Odrowąż tak chytrym ani mógł się tak ułożyć, aby pozornie zgodę zawrzeć i z niej korzystać. Do dworu na powrót się nie napierał, lecz na Wawel iść i ze starymi znajomymi przestawać nikt mu nie mógł zabronić. O jego bytności na Litwie i służbie u Witolda żywa dusza nie wiedziała.

Miał też Strasz przy królowie Jadwidze bawiącą pannę, daleką powinowatą Salkę z

Załużca, do której, jak ludzie utrzymywali, zalecał się od dawna i żenić się z nią nawet pomimo

pokrewieństwa był gotów.

Do niej dostać się na dwór nie miał trudności, a powinowata przy królownie służyła za wymówkę, dlatego tak często go tu widywano.

Jak wszystkie starsze i młodsze niewiasty otaczające Jadwigę, Salka była nieprzyjaciółką królowej Sonki. Miłość dla biednej sieroty budziła nienawiść dla macochy. W tym kółku tworzone baśnie, powtarzano słowa królowej w usta wkładane i groźby.

Kobiety czuwające przy Jadwidze trzymały ją w ciągłej trwodze to trucizny, to zamachu na jej życie.

Najdziwaczniejsze plotki znajdowały wiarę i stąd dalej w świat płynęły. Gdy koronacja postanowioną została, płacz nie ustawał około Jadwigi, przepowiadano przyszłość jeszcze straszniejszą, wysłanie gdzieś do Chęcina lub do oddalonego pustego grodu.

Nie tajono się z tymi domysłami przed królowną, której serce napełniało się coraz większą nienawiścią dla macochy.

Jeżeli król przybywszy do Krakowa nie zapytał którego dnia o córkę i nie widział jej, snuto z tego zaraz wnioski najgorsze, przypisując wpływowi królowej. Strasz służył dobrze, przynosił z miasta, co tam się nasłuchał, wynosił, co tu plotły kobiety — dodawał i swego po trosze.

Swoją drogą w podwórcach i podsieniach zamkowych z dawnymi znajomymi i towarzyszami spotykając się, stawał do gawędy czerpiąc od nich, co wiedzieli o królu i królowej.

Mógł więc do Wilna dać wiedzieć nie tylko, co się tu działo, ale czego się domyślano i co przewidywano.

Ucha i oka jego nic nie uszło.

Jakby na przekorę Hinczy, który się z nim co dzień spotykał, krążył sobie Strasz swobodnie po zamku, pewien, że go nikt wygonić nie śmie.

Hińcza miał wielu przyjaciół równie krzywo patrzących jak on na Strasza, lecz żaden z nich zadzierać się z nim nie chciał. Od słowa przyszłoby było łącno do korda, do którego i oni, i Odrowąż porywczy byli.

Ale Hińcza zżymał się i odgrażał.

— Gdybym wiedział, jak się tego Straszą stąd pozbyć — mówił do druhów swych Jana z

Konieczpola i Pietrasza ze Szczekocina, dworzan królowej — jednej godziny bym go tu nie

ściерpiał, tak mi on tu śmierdzi, patrzeć nań nie mogę.

Radzono różnie i nie uradzono nic, aż Hińcza jednego wieczoru ochmistrzowi królowej

Malskiemu szepnął, że wypędzony Strasz nie darmo się tu kręci i pewnie przez swą powinowatą Salkę z Załucza królownę Jadwigę buntuje przeciw królowej.

Nim się na to znalazł dowód i pozór do pozbycia się Strasza, tymczasem on przez swą przyjaciółkę do królownej się zalecił, a ona obiecała ojca prosić za nim, aby przy niej komornikiem go zrobiono.

Jagiełło, gdy mógł tylko, rad był córki żądanie spełnić i na prośbę jej ręką dał znak, że pozwala. Strasz więc już, choć nic do czynienia nie miał, prawo zyskał wisieć przy dworze.

Gdy ochmistrz jednego dnia, spotkawszy w podwórku, zapytał go, jakim prawem się tu nieustannie wciska, gdy z królewskiego rozkazu powinien był się oddalić, Strasz niemal zuchwale mu odpowiedział, iż Jagiełło przy dworze królowej pozwolił mu zostać.

Nie było więc sposobu się go pozbyć, ale Hińcza zebrawszy dworzan królowej, którzy wszyscy z nim trzymali, wymógł na nich, ażeby żaden ze Straszem nie przestawał, nie mówił i znać go nie chciał.

Piotr Kurowski, Wawrzyn Zaręba z Kalinowej, Jan Kraska, Jan z Koniecpola, Piotr i

Dobiesław ze Szczekocin, wszyscy się słowem związali, iż ze Straszem znać się ani obcować nie będą.

— Myśmy sładzy królowej, przeciwko której on śmiał bluźnić — mówił Hińcza — a przebaczyć mu tego nie możemy.

Za przykładem tych kilku młodych, co tu rej wiedli, na dane hasło inni też zamkowi

urzędnicy, komornicy, starsza służba poczęła od Odrowąza tak stronić, tyłem się doń zwracać, nie słuchać pozdrowień ani patrzeć nań, że gdy szedł lub powracał od królowej, słowa do nikogo nie mógł przemówić, a nikt się nie odezwał do niego.

Jak od zapowietrzonego uchodzili wszyscy. W Straszcu się zburzyła krew, ale co miał czynić? Jedno zostawało, lub wynosić się ze dworu, albo szukać zaczepki i raz się rozprawić.

Ostatnie zdawało się nieuniknione. Musiał jednak Strasz w mieście przydybać którego z winowajców, bo na zamku korda dobyć nie było bezpiecznie. Kto pierwszy się tego dopuścił, temu

by nie uszło płazem.

Czatował więc około tych piwnic i browarów, do których czasem młódź przychodziła, aby w zakazane kości grywać.

Hińcza, Pietrasz ze Szczekocin i Jan z Konięcpola siedzieli dnia jednego u Siana przy Grodzkiej ulicy, gdy Strasz wpadł do izby, może nie wiedząc, ilu ich tam było.

Zaledwie chwila upłynęła, gdy najokropniejsza wrzawa rozległa się w izbie, tak że w ulicy ją aż słyhać było i firtelnicy nadbiegli, ale drzwi znaleźli zawalone drągiem. Dobyć się do nich nie było podobna.

Krzyk ustał, wewnątrz zrobiło się cicho; gospodarz pachółków poprowadził do okna od podwórza, aby tamtędy łatwiej się dostali do izby. Tu znaleźli otwartą okiennicę, wiszącą na jednym haku, a zajrzawszy do wnętrza nikogo więcej tylko Strasza na podłodze, posiekanego i we krwi pływającego.

Przybiegł go tam zaraz barwierz opatrzyć, krew zatamować i obwiązać; rany nie okazały się śmiertelne, lecz lizać się z nich długo było potrzeba.

Wypadek ten następstw nie miał zresztą żadnych, bo gospodarz Stano, choć wiedział, kto sprawcą był, wydać nie śmiał, aby się na zemstę dworaków nie narazić, a Strasz nie skarżył też, obiecując sobie sam domierzyć sprawiedliwość.

Leżał chory długo, lecz ówczesni ludzie mieli taką naturę, że albo na placu legli, lub, póki ducha w nich stało, dźwigali się nie pieszcząc, jak najrychlej mogli, bo łóżka zarówno z trumną się lękali.

Strasz jeszcze plastrami oblepiony był, gdy już na zamek wrócił.

Rozpłakały się niewiasty nad nim, a Salka z Załucza poprzysięgła, iż nieszczęście to spotkało jej powinowatego za to tylko, iż królownie Jadwidze sprzyjał.

Ci, co go porąbali, zobaczywszy zmartwychpowstałego, nie pokazali po sobie zdziwienia ani strachu. Znowu po dawnemu mijano się w kruzgankach nie widząc, ocierano o siebie nie mówiąc. Obie strony wiedziały, że sprawa nie była skończona i że gdzieś, kiedyś znowu ją żelazo będzie rozstrzygać.

Strasz nieulekniony przybywał jak dawniej, nie skarżył się nikomu — milczał.

Przygotowania do koronacji trochę pamięć tych starć zatarły. Było w istocie wiele do

czynienia. Ze skarbcza dobywano sukna, opony, srebra, rzędy na konie; wszystko to czeladź musiała trzepać, czyścić, szlifować pod dozorem starszych. Komnaty główne, jak Malowaną, Laskowiec i nad nimi górne, które miał Eryk zajmować, objano i opatrywano we sprzęty.

Królowa Sonka sama ze swymi kobietami i komornikami doglądała wszystkiego. Nie było

czasu klócić się i spierać, bo każdy o sobie myśleć musiał, jak wystąpi, aby wstydu klejnotowi nie uczynił.

VI

Na tydzień przed niedzielą, na którą koronacja oznaczona była, komornik królewski Sassin przybiegł z listami do królowej oznajmując o tym, iż Jagiełło wyruszył z Grodna i pospiesznie na Jedlnę, Iłżę, Łysą Górę i Wiślicę do Krakowa podążał.

Sam on osobiście pisanie wręczywszy i czołem uderzywszy, opowiadał, jako król w dobrym

zdrowiu i dobrej myśli lada godzina mógł podążyć za nim, bo mu bardzo pilno było dla dostojnych gości przyjęcie zgotować ich godne.

— Książę Witold mu towarzyszy? — zapytała Sonka. Sassin, człek już stary, na usługach królewskich od czasów

Jadwigi, zawiędły, niskiego czoła, oczu głęboko pod czaszką siedzących, małomówny — na

to pytanie, głowę spuściwszy, długo nie chciał odpowiadać. Stąpał z nogi na nogę.

— Nie wiem — rzekł po namyśle.

— A skądże cię król wyprawił? — zapytała Sonka.

— Z Iłży — zamruczał Sassin.

— Witolda nie było przy królu?

— W Grodnie pozostał.

— Nadcignie więc rychło? Sassin powtórzył swe zakłopotane:

— Nie wiem.

Do czytania listu od króla powołać musiano pisarza, a tymczasem biskup krakowski, który też listy od Jagiełły miał, na zamek przybył.

Poszła Sonka naprzeciw niego z poszanowaniem, bo go teraz wielce sobie pozyskać była

rada, on też dosyć się jej okazywał przyjaznym.

— Król — rzekła — daje znać o sobie, ale spodziewałam się z nim razem przybycia wuja, a o tym mi Sassin nic powiedzieć nie umie.

Zbyszek okiem rzucił dokoła i rzekł poważnie:

— Ja więcej może potrafię... ksiązę Witold przybycia swojego odmówił.

Usłyszawszy to królowa zarumieniła się, cofając kroków parę. Niebytność najbliższego z rodziny, opiekuna, była niemal upokarzającą dla niej. Zdradzała przed obcymi to, co *się* działo na dworze i w rodzinie.

O podrażnieniu i niechęci wuja wiedziała Sonka dobrze, spodziewać się ich mogła i

przyczyna nie była jej tajną, nie sądziła wszakże, aby gniew Witolda tak już zaszedł daleko, aby się miał objawić przed światem.

Było to wypowiedzenie wojny.

Spojrzała na biskupa.

— Król daje mi wiedzieć — ciągnął dalej Oleśnicki — że na próżno księcia prosił, błagał, zaklinał, a nie mógł go przewyciężyć. Nie tai się z tym, że do miłości waszej żal ma największy, że przebaczyć jej nie może.

Królowej łzy zakręciły się w oczach.

— Któż do mnie żalu, gniewu i niechęci nie ma? — odparła gorąco. — Oprócz króla a męża mojego nie mam przyjaciół, a wrogami są wszyscy... Teraz do nich i wuj przystał.

— Gniew Witolda cześć wam czyni — odezwał się Zbyszek — łaska jego i powolność,

złym by znakiem była, przy pomocy Bożej pokonasz miłość wasza nieprzyjaciół. Niebytność

księcia chorobą lub wojną da się tłumaczyć, a będzie go kim zastąpić. Kraków już cały jakby jedna gospoda, tak wielu się gości zapowiada.

Twarz królowej rozjaśniała się nieco, dodała jednak z cicha:

— Do tegośmy już więc przyszli?

Strasz po cichu na kilka dni wprzód między kobiety puścił był wiadomość, że Witolda ani

Julianny nie ma się co spodziewać, ale mu nie wierzono i do królowej to nie doszło.

Nieprzyjaciele Sonki, choć tym małym pocieszali się zwycięstwem.

Ona sama po pierwszym doznanym wrażeniu bolesnym musiała zamknąć w sobie żal, jaki czuła za tę obelgę do wuja. Koronacja się zbliżała, na zamku nie było jednej godziny spokoju.

Przyjeżdżali książęta, Piastowie, posłowie, gońcy ze stron różnych, na Wawelu trwały olbrzymie do ugoszczenia przygotowania.

Nie samych bowiem królów i książąt przyjmować musiano, ale zwyczajem ówczesnym całe dwory ich, liczne, często z kilkuset osób złożone, trzeba było mieścić, karmić i obdarzać.

Całe komnaty na dole pod dozorem podskarbiego napełniały się jednymi tylko podarkami, sorokami soboli, kun, gronostajów, postawami sukna, aksamitu przetykanego złotem, jedwabiów; naczyniami srebrnymi i złocistymi.

W chwili, gdy już się cieszo obiecany na pewno przybyciem Zygmunta króla

rzymskiego, sam przewrotny i zdradę w sercu mający Luksemburczyk, nie ufając Jagielle, ulął się i przysłał gońców żądając zakładników za siebie znacznych i listów ochronnych.

Działo się to, gdy już Eryk, król duński i szwedzki, prze jechawszy przez Polskę bez

żadnych poręczeń i zabezpieczeń dla odwiedzenia Zygmunta, przybył do Krakowa i siedział na Wawelu na górnym piętrze, którego jedna izba długo się potem od imienia jego zwała.

Wśród panujących owego czasu, równie jak Zygmunt Luksemburczyk, był on

niezwyczajnym zjawiskiem, które nieskończona tylko różnorodność charakterów i odmian człowieka mogła uczynić współczesnym i potomnym zrozumiałym. Łączyły się w nim jak w Zyguncie

przymioty wielkie z równie poczwarnymi wadami, tak jak by jedno na drugie wcale nie oddziaływały.

Nad stan swój uczony, miłujący naukę, wykształcony, tak że o początkach narodu swego

mógł pisać, wrzekomo pobożny, tak że zamierzał odbyć pielgrzymkę do Grobu Pańskiego, choć trudno było rozsądzić, czy go tam religia, czy duch awanturniczy popychał, Eryk zarazem był

największym łupieżcą i zbójem w domu, a królem najsroższym i najokrutniejszym, choć

prawodawcą być zamierzał, a szczęście albo raczej żona dopomogła mu dokonać wielkiego dzieła unii dwu skandynawskich narodów.

W podróży do Polski i do Węgier, z przepychem i znacznymi kosztownościami

przedsięwziętej, wioząc za sobą srebrne i złote stołu zastawy, wcale się nie obawiał niczego, nie prosił o glejty, przerzynał się przez kraj nie znany, na Wawel przybywał jak do domu.

Żywego umysłu, śmiały aż do zapamiętania, wesół, rozmowny, król duńsko-szwedzki

Jagielle był na rękę, bo się podejmował Zygmunta przyprowadzić, służyć za pośrednika i odwagą a stanowczością swą w chwilach niepewności serca mu dodawał. Na zamku krakowskim on teraz

więcej może niż Jagiełło gospodarzył.

Królowa też widziała go wdzięcznym okiem, gdyż lękała się, aby po Witoldzie nie zabrakło i Zygmunta, co by wiele świetności obrzędowi ujęło, Eryk zaś zaklinał się, iż bodajby miał sam po niego i żonę jego jechać do Węgier, sprowadzi go niezawodnie.

Gdy goniec Zygmunta nadjechał, a na zamku zawieruszyło się niepokojem i król Jagiełło

dotknięty tym niespodzianym wymaganiem, obrażony niemal, głowę tracił, Eryk uśmiechem

lekceważącym go pocieszył.

Goniec donosił, że Zygmunt z żoną i dworem stał obozem w Starej Wsi za Szramowicami.

Czasu było niewiele, natychmiast radzić musiano, a rady nie miał Jagiełło innej nad Zbyszka biskupa. Gdy inni milczeli i stali bezradni, on jeden znalazł zawsze lekarstwo i ratunek. Do niego w pomoc przybywał Eryk Pomorczyk, który nie wątpił, że słowem swym u Zygmunta zakładników i poręki zastąpi.

W kilku godzinach orszak był gotów i zakładnicy. Do nich należał sam król, Zbigniew

biskup krakowski i Zbyszek z Brzezia, marszałek państwa.

Królowa już znowu we łzach stała, ręce łamiąc a wąpiąc, czy król rzymski przybyć zechce, gdy posłowie doń z Wawelu ruszyli i Pomorczyk na koń wsiadając podniósł ku Sonce w oknie stojącej piórami strojny kapelusz, wołając wesoło, że jej gościa choćby związanego przystawi.

W krużganku stary król i dwunastu Piastów, składających już pierwszy zastęp gości,

zegnało ochoczego Duńczyka.

Lik ten piastowski nie mało blasku obrzędowi dodawał. Najbliżsi królowi książęta

mazowieccy stawili się wszyscy, z nimi Bernard z Opola, książęta z Cieszyna, Raciborza,

Oświęcimia, Opawy, z Koźla i Żegania. A choć Witold obelżywie niemal zaproszenie odtrącił, z litewskich książąt przybyło także kilku i z Rusi. Krzyżacy, pokorniejsi teraz, choć sam mistrz Paweł

Russdorf nie stawiał się, dwu komturów przysyłali.

Wszystko to już po części na zamku, w części po gospodach i dworach w mieście zalegało

wszystkie kąty. W dolnych izbach stoły nie opróżniały się na chwilę, uczta trwała i gwar od rana do późnej nocy.

Biskupi i wysłaniec papieski po klasztorach i domach duchowieństwa rozmieścić się musieli. Dla niespodzianego i nie proszonego Bawarczyka, księcia Ludwika, którego ciekawość tu prowadziła, w ostatniej chwili na zamku izby opróżnić musiano.

Kraków od dawna tylu obcych a dostojnych nie widział gości. Przypominało to Kazimierzowskie czasy szczęśliwe.

Królowa na przemiany radością wielką i dumą przejęta weseliła się, to strachem jakimś owiana płakała...

Nie tała tego przed sobą, że nieprzytomny Witold swą nieobecnością więcej ważył niż wszyscy ci, których tu ciekawość prowadziła. Była to groźba, a wielki książę nigdy się nie odgrażał na próżno...

Jagięło, na chwilę również wymaganiami Zygmunta strwożony, teraz znów oddychał, cieszył się i pełnymi garściami sypał dary dokoła. Tak on gościnność rozumiał. Oczekiwano gońca od Eryka, aby naprzeciw króla rzymskiego wyruszyć. Podjął się nim być usłużny Hińcza, który nocą drugiego dnia nadbiegł z doniesieniem, że Duńczyk dotrzymał słowa.

Opowiadał, że do Starej Wsi przybywszy zaraz do Zygmunta z tym przystąpił, iż on sam i towarzyszący mu biskup i marszałek ofiarują się jako zakładnicy, choćby ich pod straż miano wziąć i trzymać, dopóki by Zygmunt nie powrócił.

Luksembureczyk miał snadź czas obliczyć się i pomiarkować, iż tym brakiem zaufania skrzywdził Jagiełłę i siebie, odparł więc grzecznie, iż żadnych zakładników nie wymaga i chętnie z nimi do Krakowa pospieszy.

Jagięło wiadomość tę otrzymawszy z orszakiem swym pobiegł na powitanie do Myślenic.

Sonka tymczasem pozostałych gości, których zamek był pełen, przyjmować musiała sama.

A choć Rusince z wielą z nich rozmówić się było trudno, uprzejmością, pięknocią, powagą, młodością swą wdzięczną za serca wszystkich ujmowała.

Nie zbywało na takich, co starca Jagiełłę stawiając w myśli przy tym kwiecie zaledwie

rozwitym ramionami poruszali i uśmiechali się.

W piątek przed niedzielą, na którą koronacja naznaczoną była, Jagiełło witał rzymskiego króla i żonę jego w Myślenicach, w sobotę na górnej sali w żupach w Wieliczce obiadowano, wieczorem na Lasocińskiej Górze czekać miała królowa.

Była to chwila może wśród tych dni uroczystych najwspanialszy obraz przedstawująca, pod gołym niebem, które pogodą i powietrzem łagodnym sprzyjało, te ludu tysiące, te poczty rycerskie na koniach kapami szytymi okrytych, stroje wspaniałe, przepych w rzędach i wozach, tłumy wesole, trąby i flety, dzwonki i okrzyki.

A na podwyższeniu, które całe wysłano kobiercami i sukmem, tam gdzie królowa Barbara wysiadać miała, w płaszczu spływającym do ziemi, szytym złotem i perłami, w złotej przepasce na głowie, Sonka triumfująca, blada ze wzruszenia, szczęśliwa i trwożna...

Gdy król rzymski z żoną, duński i Jagiełło w okazałym poczcie ukazali się na gościńcu, tysiące ludu zalegające dolinę i jak mrowie ściśnięte na całej do miasta przestrzeni wydało okrzyk jeden...

Rzymski król strojny wspaniale, bo przepych lubił i okazać się tu chciał tak wielkim, jak się czuł w duszy, z łańcuchem na szyi, na którym smok, godło jego, połyskiwał kamieniami drogimi, zbliżył się do Sonki wiodąc Barbarę.

Królowa miała na sobie najdroższe klejnoty i twarz malowaną, i włosy trefione misternie, ujęte perłowymi sznurami, lecz strój nie mógł jej nadać ani straconej młodości, ani świeżości, ni wdzięku.

Znużona twarz jej siliła się na uśmiechy, a oczy na zalotne wejrzenia, którymi mężczyzn obrzucała, lecz obok Sonki cudnie pięknej, świeżej i młodej, Barbara niemal się wydawała zgrzybiałą.

Już na królowe obie czekał wóz cały od złota i opon szkarłatnych, końmi białymi zaprzężony, w złożonych rzędach i pokryciach. Po przywitaniu siadły obie i cały orszak ich świetny z królami na czele ku zamkowi się potoczył, a tłumy ku miastu płynęły...

W małej, ciasnej komnatce zamkowej ze swą służbą tu na wygnanie skazana, w mroku wieczornym, siedziała królewna Jadwiga.

Długo rozprawiano i spierano się p to, czy miała towarzyszyć królowej i stać przy niej, czy razem z narzeczonym Brandenburczykiem... Sonka wziąć ją z sobą była gotowa, aby złym ludziom nie dać pochopu do złych poduszczeń i posądzeń, ale piętnastoletnie dziewczę, żywione niechęcią, dumne

swoją niedolą, samo odmówiło uczestnictwa w uroczystości. Jagiełło nie nalegał. Z

oschłymi już oczyma, dziewczę chodziło blade po komnatce, a każdy okrzyk wesela, każda wrzawa głośniejsza wywoływała w niej drżenie i zzymanie się gniewne.

Salka siedziała z dala przypatrując się królowie z politowaniem, kiedy niekiedy rzucając słowo pociechy.

Tymczasem służebne wymykały się ciekawe w podwórcę i powracały co chwilę przynosząc wieści z ulicy. Opisywały stroje, opowiadały o muzyce, wymieniały znajomych panów, jak z nich który wystąpił.

Jedna z nich widziała królowę bardzo bladą i drżącą, druga utrzymywała, że się potknęła na progu, co było złą przepowiednią, inna wiedziała, iż w nocy płakała i jęczała, a usnąć nie mogła.

Na chwilę rozrywało to królowę, która chcąc nie chcąc słuchać musiała, jak była przybrana izba malowana dla rzymskich państwa, jak ustrojony pokój duński na górze, jak stół zastawiono w Laskowcu...

Zbiegały się tu wiadomości wszystkie od najdrobniejszych począwszy do najważniejszych.

Wśród tego zajęcia jedną Sonką, dla której wszystko się to działo, sieroctwo Jadwigi opuszczonej, zamkniętej w ciemnej i małej komorze, zapomnianej i zapartej, występowało dla niej samej i dla innych straszniej jeszcze... a smutniej.

Jak na żart przywieziono jej narzeczonego, od którego była starszą i którym jak dzieckiem gardziła; teraz już głoszą, że Brandenburczyka ojciec miał odebrać, że wszystko było zerwane...

Dziedziczka korony pozostawała samą, usuniętą, bo się innych może spodziewano dziedziców.

Stare niewiasty w kącie szeptały między sobą — królowa się o to postara, ażeby miała potomka...

I spoglądały po sobie dając znaki...

Nie szczędzono tych przepowiedni i biednej Jadwidze. Oczewistym było, że królowa zazdrosna musiała się chcieć jej pozbyć...

W istocie litość obudzało dziewczę, jak w trumnę zamknięte w tę komnatkę, z której się jej ruszyć, wyjść, pokazać ludziom i ludzi zobaczyć nie było wolno.

Jeden Strasz z mężczyzn pozostał wiernym królownie i swojej Salce.

Ten także wypatrywał, co się na zaniku działo, i szydersko opisywał szczególnie to, co mu się wydawało nieudalnym i śmiesznym.

W mrokach tych izdebek była odwrotna strona medalu, którego wspaniałość staremu

Jagielle łzy wyciskała z oczów. Miał czym być dumny, bo i wielkość a zamożność swą światu mógł okazać, i pochłubić się królową, która pięknnością swoją królowała nad wszystkimi.

Cudzoziemscy panowie głosili wszyscy patrząc na nią, iż gdyby nie była królową, i tak by zgasiła najpiękniejsze niewiasty.

Najlepiej o tym wiedziała i czuła to królowa Barbara, która powzięła nienawiść z pierwszego wejrzenia na ten cud, bo przy nim niemal się straszną wydawała.

Lecz miała środek choć chwilowego zaćmienia Sonki zuchwałym swym obejściem się, wyzywaniem mężczyzn, śmiechem cynicznym, który czarne zęby odsłaniał, i dwuznacznymi słowy, które rzucała, wcale na męża i świadków nie zważając Obejście się to dziwne onieśmieliło tak Sonkę, dla której i język, jakim mówiła Barbara, był obcy, że musiała pozostać ciągle prawie milczącą.

Jasny dzień wstał nazajutrz, a choć zwykle w porze tej najsroźsze u nas panują mrozy (luty), powietrze jak w sobotę było łagodne.

Podwórce zamkowe od rana lud napełniał, bo kościół mało mógł objąć i to tylko wybranych między najdostojniejszymi. Z rana przypomniano sobie sierotę.

Jadwiga i na samej koronacji być nie chciała ani się spodziewała, ale ochmistrz królowej przyszedł z jej polecenia zaprowadzić sierotę do ganku nad zakrystią, z którego mogła wszystko oglądać.

Salka i parę służebnych dziewcząt ciekawych, którym chciało się bardzo widzieć uroczystość, tylu królów i książąt, biskupów i prałatów, rycerzy i młodzieży, niemal gwałtem ją pociągnęły z sobą.

Przepył dnia tego gasił poprzedzający. Zamkowy kościół cały tlał złotem, świecił klejnotami i wśród obłoków kadzideł, jak jakieś nadziemskie zjawisko, migał przed załzawionymi oczyma dziewczęcia.

Co miała Polska i sąsiednie kraje najdostojniejszego, gromadziło się tu wszystko dokoła

sędziwego Jagiełły.

On sam pomimo wstrętu swego do stroju na ten dzień wielki musiał przywdziać sobole i aksamity. Wesół zarazem i znużony się wydawał.

Królowa, choć blada od wzruszenia, zachwycała pięknnością, a szła teraz tak mężna, tak silna, jak by nie przeczuwała, że długie lata męczeństwa brała razem z tym namaszczeniem i koroną.

Ani ojciec, ani macocha nie zwrócili oczów w tę stronę, gdzie w półcieniu, z wejrzeniem osłupiałym, blade dziewczę patrzyło, nie widząc, na ten sen jakiś i postacie wspaniałe, dziwne, groźne, nie znane, które raz w życiu sierocym przesunąć się miały przed jej oczyma.

Tak samo śpiewy i muzyka, okrzyki i modlitwy przebrzmiały niezrozumiałe dla niej.

Przylgła do ściany, nieruchoma stała, aż po grzmiącej pieśni dziękczynnej, znowu na tle sinym obłoków z kadzielnic płynących do góry, wszystkie te postacie niknąć zaczęły, przesuwać się, zasłaniać; kościół opróżniał, światła gasły, szmer zamienił w milczenie i nie pozostał nikt oprócz niej w tej kryjówce...

Salka musiała ją pociągnąć za suknię, aby przypomnieć, że na zamek czas powracać było.

W sali Laskowcem zwanej zasiadali już do uczty królowie i książęta, gdy przez podwórzec

pusty królowna ze swą szczupłą garstką służebnic wróciła do cichej komnatki. Serce się jej biednej ścisnęło, ojciec dla tej nowej, obcej niewiasty o swoim dziecku zapominał... Jej tu na królewskim zamku tak jak nie było. Gdyby umarła, nie postrzegłby nikt, że zabrakło... Podchodząc ku dworcowi usłyszały dźwięki przygłuszone muzyki, która w jadalniach przygrywała. Piszczące flety i głuche bicie bębnow dochodziło ucha...

Salka wprowadzała na próg zakwefioną Jadwigę, idącą smutnie, gdy za nimi głos się

odezwał dobrze im znajomy starej Rusinki, powiernicy królowej, Femki:

— Królowa przykazała, aby królownę przyodziać w najlepsze szaty i żeby ją ochmistrzyni

przywiodła do pańskiego stołu na powitanie gości!! Ubierać się a żywo...

Rozkaz brzmiał natarczywie, spojrzały po sobie. Jadwiga szepnęła cicho, że się czuje chorą.

Salka i inne żywo jej odradzać zaczęły.

Spór się zajął między nimi, jedne potakiwały dumnej Jadwidze, która podrzędnej roli, jaką jej wyznaczono, nie chciała odegrywać, drugie radziły nie opierać się, aby nie gniewać ojca, nie drażnić macochy i przed obcymi pokazać jako starsze dziecko Jagiełły.

Salka poczęła dobywać najkosztowniejsze stroje, w których by dziewczęciu mogło być jak

najpiękniej. Ale Jadwiga piękną nie była, a smutek, który wdzięk podwaja, rysom nie znaczącym ostatek go ujmuje... Czuła to może królewna, dla której obojętnym było, jak się ubierze, a chętniej może stanęłaby w oczach gości jak przed sądem z całym swym upokorzeniem i krzywdą.

Prawie gwałtem posadzono ją, aby co prędzej włosy bujne utrefić. Dawała z sobą czynić, co sługi chciały. Jedwabna suknia złotem przetykana, dar ojcowski, klejnoty od niego, wszystko dobrano tak, wedle jej myśli, aby żaden podarek macochy nie został użyty... Nastawała na to Jadwiga.

— Nic od niej! nic od niej! — powtarzała. Wszystkie służebne pomagały do przystrojenia

dzieweczki, jedne wdzięwały suknie i trzewiczki, drugie splatały włosy, inne rozpościerały suknie i dobywały naszyjniki, ozdoby rąk, pasa i głowy...

Sługom niemiło było widzieć ją, jak ona chciała, ubogo ubraną wobec oczów tyłu. Mogło to obudzić gniew Jagiełły.

Na ostatek wszystko już było w pogotowiu, goście od dawna siedzieli za stołem.

Ochmistrzyni sama też wystroiwszy się tak, aby wstydu królowi nie uczyniły, stała pogotowiu.

Czas było iść. Błada, drżąca, z ustami zaciśniętymi, ofiara dała się prowadzić.

W Laskowcu stół był cały złotym sprzętem zastawny, a dokoła niego siedzieli królowie,

królowe, książęta i przedniejsi duchowni. Sala z rzeźbionym pułapem swym i ścianami okrytymi obiciem, na którym na przemiany widać było figury i wieńce a sploty kwiatów, z mosiężnymi złożonymi świecznikami u stropu wiszącymi, ze stołem na podwyższeniu sukнем szkarłatnym okrytym, przedstawiała obraz wspaniały.

Piękny jeszcze, wytwornie i bogato przybrany, z głową do góry podniesioną i oczyma

bystro dokoła biegającymi, siedział pośrodku na złożonym krześle Zygmunt król rzymski.

Po prawej ręce jego zajmował miejsce Jagiełło, którego twarz pomarszczona, ogorzała,

ciemna starego łowca dobrodusznie i prostaczo odbijała od fizjognomii chytrą, ogładą, wdziękiem zniewieściałym i pychą a fałszem nacechowanej sąsiada.

Lewe siedzenie zajmował ożywionej, rozgorączkowanej, sztucznie rozweselonej twarzy

Eryk, którego Szwedzi zwali Trzynastym, Duńczycy Siódmym, a pospolity lud Pomorczykiem.

Awanturniczego coś, zuchwałego, na poły dzikiego, na pół europejskiego piętnowało oblicze, które pięknym być mogło, gdyby go namiętności nie potargały.

W szkarłatnej sukni, czarnowłosa i czarnooka, majestatycznej postawy kardynał Branda

siedział przy królu Władysławie. Dalej szli w prawo po starszeństwie Wojciech Jastrzębiec prymas, Zbyszek krakowski biskup, arcybiskup Jan lwowski, biskup lubuski i inni prałaci, w lewo

mazowieccy, szląscy, litewscy i ruscycy książęta i kniaziowie, na czele których jako gość brat królowej francuskiej Bawarczyk siedział rozglądając się i przysłuchując.

Królowa rzymska Barbara, nowo uwieńczoną Sonka i dostojniejsze panie zajmowały stół osobny.

Rycerstwo, senatorowie, dwór, towarzysze przybyłych panów, Węgrowie, Duńczycy,

Włosi, Rusini, Polacy w sąsiedniej ogromnej izbie stoły mnogie obsiadali pościskani.

Dla najznacniejszych z nich marszałek Zbigniew z Brzezia oddzielił osobny stół, przy

którym obok wojewody krakowskiego widać było uderzającą, bohaterską postać jednego z ostatnich rycerzy chrześcijaństwa.

W tej dobie, która po bitwach w Czechach, sromotnych dla rycerstwa, po przegranej pod

Nikopolis, mogła się nazwać epoką upadku średniowiecznej tej instytucji, w wojnach krzyżowych urosłej, gdy męstwo i ofiarność zaczęły zastępować, jak w Zygmuncie Luksemburczyku ostatnim, przewrotność, dyplomatyczna przebiegłość, chytryść, bezsumienność, osłaniająca się blaskiem fałszywym, na palcach policzyć było można ludzi, co cześć rycerską i wierność starej religii honoru zachowali.

Na czele tych niedobitków sławą okrytych stał naówczas Zawisza, Czarnym zwany, z

Garbowa, Polak rodem, którego Zygmunt Luksemburczyk, równie jak brata jego Farureja, umiał sobie pozyskać.

Zawisza duszą, męstwem i całym sobą rycerza najdoskonalszego obraz przedstawiał.

Wspaniałej postaci, pięknej męskiej twarzy, spokojnej i energią nacechowanej, pańskich i szlacheckich rysów, on i Farurej wśród skarłałego już pokolenia młodszego świecili jak dwa z brązu odlane posągi.

Czarny był jednym z tych ludzi starego czasu, kiedy rycerze takiego jak on ducha sami jedni płoszyli i rozbijali tysiące nieprzyjaciół i na tysiące się porywać nie wahali. Było w nich coś z tej siły bajecznej herojów starożytnych, przed którą pierzcha wszystko i żywioły się korzą.

Naówczas już nawet Luksemburczyk, zakochany w sobie, Zawiszę szanował i najwyżej

ceniał, a ze służby swej puszczać nie chciał. Czarny na poły był Polakiem, pół rzymskiego króla towarzyszem, tak jak Scibor ze Ściborzyc, który się tu znajdował także. Różnili się tylko od siebie tym, "że Zawisza czuł się i wyznawał Polakiem, a Ścibor wyrzekł swoich i kraju, duszą i ciałem oddany Luksemburczykowi.

Około Zawiszy, co było najprzedniejszego w Krakowie, krążyło, jak by go wodzem swym z ducha i męstwa uznawało.

Nie policzyć tu było rzędem siedzących znakomitości wszystkich, starców i mężów, i młodzieży, co już z nimi stała na równi. Jak drogi łańcuch klejnotami sadzony wydawał się ten stół i inne mnogie, przy których wszystkimi językami świata rozmawiano.

Uczta właśnie była w połowie, a umysły biesiadujących, poczynają rozgrzewać się w rozmowie ocierając o siebie... i kubki wychylane dodawały myślom śmiałości i słowom, gdy drzwi jedne z sieni wprost do Laskowca wiodące nachyliły się i Jadwiga w nich ukazała, wśród tych różowych twarzy i ożywionych ludzi jak widmo blada i smutna..

Jagiełło postrzegł i skinął na nią z jednej, Sonka z drugiej strony, córka przystąpiła do ojca.

Naówczas stary to dziecię swe królom ukazując i panom duchownym je polecał. Zygmunt, najzepsutszy i rojrozpustniejszy z ludzi, równie jak żona jego Barbara była z niewiast najbezwstydniejszą, zmierzył oczyma lubieżnika tego wyrostka, ale żałobny smutek sieroty podobać mu się nie mógł. Spoglądali inni z ciekawością. Musiała Jadwiga iść i znieść pogłaskanie po twarzy rzymskiej królowej i wejrzenie surowe macochy, za które wypłaciła się dumnym.

To zjawienie się jej w Laskowcu nie trwało długo; gwar i wrzawa, kręcenie się sług przynoszących coraz nowe misy przystrojone piórami ptaków, okryte wymyślnymi ozdoby, nie dozwalało zatrzymać się, a Jadwiga jak mogła najprędzej uszła, chociaż oznajmiono jej, że po biesiedzie nastąpią pląsy, w których i ona powinna uczestniczyć.

W Laskowcu ucztowano poważniej i monarchowie a duchowieństwo nie schodziło z miejsc swoich, trwając do końca. W bocznych salach poczynano sobie swobodniej daleko.

I gwar też panował tu weselszy. Wielu z panów wstawało, przechadzało się, wiązało w gromadki, więcej zajmując rozmową niż jedzeniem i kubkami.

Nieco opodal u tegoż stołu, przy którym siedział wojewoda krakowski, Zawisza Czarny i Farurej, miejsce zajmował człowiek niewielkiego wzrostu, otyły, okrągłej twarzy, uśmiechający się

sarkastycznie, w sukni duchownej, z łańcuchem na szyi.

Chociaż wzrost nie dawał mu wybić się nad innych i szerokie ramiona sąsiadów go

zasłaniały, twarz na pozór pospolitych rysów nie odznaczała go od innych, wyraz jej rozumny, dowcipny i cyniczny nieco, usta szerokie i wydatne, uśmiechające się ciągle szydersko, czoło wypukłe i szerokie, jakaś cecha życia i śmiałości, zmuszała go wyróżnić wśród natłoku. Widać było, że ten zażywny, krągły, wesoły, dobrze utuczony księżyna więcej tu znaczył niż inni.

Obracano się do niego w rozmowie, wywoływano odpowiedzi, przysłuchiwano się im ciekawie.

Pochylały się ku niemu głowy, skupiali za krzesłem ludzie, radzi coś z ust tych posłyszeć, których każde powiedzenie wywoływało śmiech i oklaski.

Był to jeden z najzdolniejszych ludzi wieku swego, poeta łaciński, pisarz niepospolitym obdarzony talentem, znany z niepomiarowanej złośliwości swej podkanclerzy Ciołek.

Naówczas, gdy cała Polska obruszona była na Jagiełłę za zniewagę, jaką uczynił koronie

Piastów, kładąc ją na skronie starej Granowskiej, nieszczęśliwej kobiety znużonej życiem i jego przygodami, Ciołek napisał był szkaradny paskwil na nią, w którym nazwał królowę maciorą, co ryjem z ziemi skarb sobie wykopała...

Jagiełło precz go naówczas odegnał ode dworu, ale bez Ciołka kancelaria królewska chromała. Obejść się bez tego cynika nie było można, który mimo sukni duchownej więcej miłosnych wierszy pisał niż modlitw i znał się lepiej na Owidiuszu niż na teologii.

Lecz gdy potrzeba było wystylizować list do Rzymu, skargę na Krzyżaków, jedno z tych pism, które to do Stolicy, to na sobory posyłano, Ciołka nikt nie mógł zastąpić.

I król, choć go nie lubił, choć mu nie przebaczył w duszy, musiał go do służby nazad powołać, a Zbyszek ścierpiał go pod sobą jako podkanclerzego.

Po takim upadku człowiek gdy się podniesie, zawsze go to uzuchwala. Czuje się niezbędnym, takim w istocie teraz był i sądził się podkanclerzy. Pozwalał też sobie wiele bezkarnie, gdy mu ową maciorę przebaczone.

Wśród uczyły właśnie jeden z tych, co tu przeciwko Oleśnickiemu stronę Witoldową trzymali, młody Melsztyński zbliżył się poza krzesło podkanclerzego. Opatrzywszy dobrze, aby ich

nie podsłuchano, do ucha mu szepnął.

— Cóż napiszecie o tej, księżę podkanclerzy? Odwrócił się trochę zdziwiony Ciołek, popatrzył mu w oczy długo i zdawał się wzrokiem wyrzucać uczynione pytanie, odpowiadać na nie ochoty nie mając.

— Jeżeli nie napiszecie, to choć pomyślicie — szepnął Melsztyński — a ja bym rad sąd wasz wiedział.

— Abyś go roztrąbił — dodał podkanclerzy.

— Nie, abym się z niego nauczył co o przyszłości — odparł młody.

— O przyszłość pytajcie nie mnie, a Henryka Czecha, który ją we gwieździech czyta — zaśmiał się Ciołek.

— Wy ją i bez gwiazd odgadnąć potraficie — rzekł Melsztyński.

— A gdybym zgadł, myślisz, żebym ją w świat rzucił? — rzekł Ciołek.

— Cóż o naszej królowej mówicie? — trochę niechęci zdradzając tonem odezwał się Melsztyński.

Ciołka twarz oblała się rumieńcem.

— Tyle tylko — przerwał żywo — że królową godna 'być! Sama piękność ją nią czyni...

— A nasz stary pan przy niej? Podkanclerzy brwi podniósł i oczy spuścił.

— Cóż rzec? szczęśliwy, i po wszystkim — zakończył Ciołek.

Nie mogąc z niego nic po swej myśli wyciągnąć Melsztyński szepnął coś o Barbarze.

Podkanclerzy okiem mrugnął i uśmiechnął się.

— Lepiej dobranego małżeństwa nad te — rzekł — od stworzenia świata nie było... *Ambo meliores*. Ona by wszystkich mężczyzn rada mieć, a Zygmunt wszystkie niewiasty, byle nie ją!

Śmieli się oba. Rozmowa cichymi szepty się skończyła.

Uczta też już musiała ustąpić przygotowanym płasom, do których grali fleciści i serbowie...

Młodzież ruszyła się z miejsc, stoły pustoszały.

Do wielkiej sali, w której już niewiasty się zgromadziły, rycerstwo też ochocze napływać zaczynało.

Od początku uczy przy książęcym i monarchów stole siedzący mąż lat średnich, nasępiony, milczący, zwracał uwagę tym, że mało go kto tu znał, a gdy się jedni drugich pytali o nazwisko jego, ledwie się do badać można było, iż ruskim jakimś kniazem go mianowano. Imię mu było Jerzy, a nazwy księstwa nikt nie podawał. Ruszano ramionami powiadając, że przyrodnim bratem Witoldowej Julianny był.

Mało on tu widać znaczył i posadzono go nisko, choć głowę wysoko zadzierał i dumnie z góry spozierał na drugich, a królowej szczególnie nie spuszczał z oka.

W sali, gdy do płasów się sposobiono, zajął miejsce u ściany za pas rękę założywszy, z nikim nie przestając, sam, jak by tu nie miał nikogo. Biesiada go nie rozweseliła, choć pił dużo. Po niej wydawał się jeszcze mocniej zasępiony. Oczy jego to na podłogę były zwrócone, to szukały królowej, a nudziło mu się widocznie, nikt się nim nie zajmował, on też nie szukał nikogo.

Zdawał się tylko szukać zrzeczności, aby do Sonki się zbliżyć. Ona i królowa rzymska rozpoczęły płąsy, od których tylko stary Jagiełło schronił się do kąta.

Zygmunt Luksemburski zaraz potem śmiało wkroczył pomiędzy panny królowej i co najpiękniejsze wybierając począł się im zuchwale naprzykrzać. Obyczaj wieku takiemu panu dozwalał wiele, a Zygmunt korzystał z tego.

Tymczasem małżonka jego Barbara śmiała się oczyma i rękami powołując ku sobie co najkрасiwszą młodzież. Wybierała do płasów bez różnicy narodowości, który najpiękniej wyglądał, i nie szczędziła przymileń.

Wesoło być poczynało na sali, a płąsom towarzyszyły wybuchy śmiechu, które niekiedy piskliwą muzykę głuszyły.

Królowa Sonka, wprędce znużona, usiadła. Zaledwie to postrzegł książę Jerzy, który na to zdawał się czatować, natychmiast pod ścianą się snując przybliżył ku niej.

Postrzegła go Sonka i ostro spojrzała. Tymczasem książę już przez niewiasty się przedarłszy do jej krzesła przysunął.

— Nie było czasu nawet was i pozdrowić — odezwał się po rusku. — Ja tu błąkam się cały dzień jak w lesie, mnie mało kto zna, a ja tak jak nikogo.

Chciałem się wam pokłonić — dodał — i od siebie — tu zatrzymał się trochę — i od księcia Witolda. Królowa obejrzała się zdziwiona i dumna.

— Nie raczył przybyć książę, nie spodziewałam się pozdrowienia — rzekła. — Zabolało mnie to! zbolało!

— Witolda też boli, że wasza miłość o nim tu zapomnieliście — mówił książę Jerzy. — Ja tu z tym od niego przybyłem, abym żal jego przywiózł i...

— I co? — dumnie spytała Sonka.

— Przebacz, królowo moja — śmiało dokończył Jerzy — no... i przestrozę...

— Groźbę, powiedz raczej — wtrąciła Sonka.

— Nazwijcie to, jak chcecie — zimno ciągnął dalej książę. — Co mi polecono, to wam niosę. Witold srodze na was zażalony. Innego się po was spodziewał, z czym innym was na ten tron słał, należało mu więcej... Pomnijcie, miłość wasza, że ręka jego sięga daleko, a nikogo się on nie lęka.

— Więc i mnie nie powinien — przerwała obrażona Sonka. — Chciał ode mnie pewnie, abym dla niego zdradziła męża?

służyła mu jak niewolnica?

Uśmiechnęła się.

— Mój książciu, siostrzenicą jego nazwać bym się nie była godną, gdybym taką niewolę ścierpiała! Jestem mu wdzięczną, ale słuchać go nie powinnam i nie mogę.

— I nie będziecie? — zapytał książę.

— Me będę! nie! — gniewnie odezwała się królowa. — Co mnie spotka, z tym się rozprawię, ale Witoldową służebnicą królowa polska nie będzie nigdy!

Książę Jerzy posłyszawszy ten wyrok spuścił głowę.

— Podumajcie no, podumajcie — rzekł po chwili. — Ja was takiego dnia uroczystego nie chcę trapić, a radzę, podumajcie. Znacie Witolda. Siedzi daleko na Litwie, nie ma go tu, bezpieczni się czujecie od niego... a gdy zechce... tak was potrafi zrzucić, jak podniósł.

Sonka spojrzała pogardliwie na księcia.

— Jego słowa powtarzam — dodał. — Znajdzie drogę i do serca Jagiełły, aby wam je odebrać, i do tych, co wam tu służą, a wy wiecie najlepiej, że uparty i mściwy jest...

Rozśmiała się młoda królowa.

— Mściwą ja nie jestem jak on, ale upartą tak samo — rzekła. — I jak jego, mężną mnie Bóg stworzył. Myślicie, że nie widzę niebezpieczeństwa i nie wiem, co mnie spotkać może?

Wszystkiemu wierzę, ale wszystko przetrwam.

Pierś jej poruszać się zaczęła coraz mocniej i oczy pod brwiami zmarszczonymi zabłyśły ogniem.

— Byłabym podłą, gdybym groźbom ulec miała. Witold mógłby mnie być może powolniejszą uczynić, gdyby nie obraził rozkazywaniem... Mnie oprócz pana mojego małżonka nikt rozkazywać nie będzie.

Gwałtownie dokończywszy królowa otarła usta chustynką i spojrzawszy dokoła, że nikt się nie zbliżał i nie słuchał, ciągnęła dalej.

— Powiedz mu to, powiedz wszystko, oskarż mnie. Wiem ja, wiem, dlaczego Witold wydawał mnie za starego. Chciał mnie mieć miłośnicą swą i niewolnicą... Nie śmiał dziewczką, gdym była, przystąpić, sądził, że zamężną mnie weźmie! Nieraz w Wilnie dawałmi poznać, dlaczego wydaje za Jagiełłę; milczałam, aby sięz jego rąk uwolnić... Dziś, powiedz mu to, nie złamie Sonki, może się mścić, ale mnie nie pozyska niczym. Jest dosyć młodych dziewczek na Rusi...

To mówiąc wstała królowa, spojrzała na kniazia Jerzego, który stał z głową skurczoną, i twarz starając się wypogodzić podeszła ku królowej Barbarze.

Rozmowa była skończoną. Książ Jerzy znalazł się sam za pustym krzesłem i natychmiast spośródka kobiet, które go otaczały, cofać się począł.

Na twarzy królowej, pomimo jej mocy nad sobą, pozostał wyraz stłumionego gniewu.

Witold zatrął jej ten najpiękniejszy dzień w życiu.

Nazajutrz i następnych dni ciągnęły się uroczystości i zabawy, bo królewskie gody mniej tygodnia nie mogły trwać.

Z rana w podworcach odbywały się turnieje, po których Barbara i Sonka nagrody rozdawały. Siadano potem do stołów, a wieczorem płąsy się wznawiały.

Zawisza Czarny, Farurej, dwaj komturowie Krzyżacy, Tarnowscy, Melsztyńscy, Tęczyńscy i młodzież rycerska co dzień się spotykali w pełnych zbrojach, krusząc kopie, dając dowody zręczności i siły.

Królowa rzymska, która była zawsze najpierwszą do rozdawania wieńców i miała zręczność zbliżać się do młodzieży, bawiła się wielce gonitwami. Sonka musiała, choć ze trwogą w duszy, jaką ją groźby Witolda napełniły, wesołą się okazywać.

Jagiello z gościnnością bezmiernie szczodłą swoich dostojnych przyjaciół obsypywał darami.

Tak czas upłynął aż do soboty na Wawelu. Ostatniego dnia Zawisza Czarny uprosił sobie króla Zygmunta w gościnę, a z nim i wszystkich panów i książąt. Przy ul. Św. Jana bogaty kupiec Czech dom mu swój pożyczył, aby miał gdzie królów pomieścić, a był to jeden z największych w mieście.

Tym samym trybem odbyła się uczta u Zawiszy, przy której on z bratem gospodarzyli i ugaszczali.

Ostatniego dnia sypnęły się pożegnalne dary w koniach, misach, futrach i kosztownych tkaninach. Król rzymski niecierpliwy spieszyć musiał do domu, do dalszej walki z Czechami, do obmyślenia obrony przeciw Turkom, do szukania pieniędzy, które w rękę jego topniały.

Po Spiszu założonym Jagielle gotów był nowy jaki ziemi kawał dać zastawą, byle dostać tych grzywien, którymi rozrzutnie szafował. Krzyżacy wahali się z pożyczką.

Najdłużej z obcych książąt pozostał w Krakowie bawarski Ludwik; a gdy przeprowadzony przez Jagiełłę za bramy miejskie miał się już z nim rozstać, obrócił się ku niemu schylając głowę.

— Zaprawdę — zawołał z uśmiechem — słyszałem o was i nasłuchiłem się wiele, ale, com oczyma widział własnymi, przeszło, czegom oczekiwałem! — Wrócił Jagiełło spoczywać.

— Sonko — odezwał się wdziękając swój kozuch stary z wielką radością, iż dawne życie miał rozpocząć. — Sonko, radą jesteś?

— Królu mój! szczęśliwąś mnie uczynił, Bóg niech płaci; patrz tylko, aby mojego i twojego szczęścia Witold nie zamącił!

VII

Rok ten nie dobiegł do końca, gdy ostatniego dnia października wesołą nowiną rozległa się Polska cała. Królowi Bóg dał syna, następcę... Sonka ukoronowana krwią jego zapewniała tron polski, bo nikt nie wątpił na chwilę, że wierni zawsze swym panom wybiorą Polacy syna tego, który z wielką troską razem przyniósł im też wielką siłę.

Złamana była groźna potęga Krzyżaków, garnęły się korony do Polski, rozrastały granice; hetmanił podbojom dla niej Witold.

Lecz nie wszyscy nowo narodzonego witali z jednakim uczuciem... Piastom on wyrywał ostatnią nadzieję odzyskania praw, które stracili. Witold przysłał mu srebrną kolebkę, ale i on nierad mu był może. Ten dar dla pierworodnego był jakby przejednanym znakiem. Od koronacji żaden głos nie doszedł królowej z Litwy, nie ponowiły się groźby.

Sonka chwilami łudziła się nadzieją, że serce wuja odzyska, że zwycięży.

Jagięło pomrukiwał, iż zwykle Boże Narodzenie na łowach spędzał w kochanej Litwie, w Wilnie.

Królowa potrząsała głową, nie mówiąc nic...

— Witold na nas zagniewany, zażalony, jechać by nam obojgu i przejednać. Lepiej go mieć przyjacielem niż wrogiem.

— Lecz bratem i druhem wy go nigdy mieć nie będziecie — tęskno mówiła królowa. —

On nad wszystkimi chce panować, nad tobą, nad Polską, nade mną. Tu więcej się go już obawiają ludzie niż ciebie. Mało mu zawsze tego, co ma, nienasycony jest.

Jagięło, któremu nieraz korona ciążyła, milczał i myślał: — Niech panuje, byłem spokojny miał w domu...

A gdy święta się zbliżały, jął namawiać królowę po rękach całując:

— Jedźmy do Wilna oboje prosić Witolda na chrzciny. Sprawim Włodkowi taki chrzest, jak koronacją tobie...

Przyjadą królowie i książęta, postaramy się, aby panowie polscy synowi twemu tron

zapewnili.

Nietrwożną była królowa. Myślała długo, podróż ta wiele ją kosztować miała, lecz nuż przyniesie pojednanie? Witold przestał grozić, mogła go sobie bez upokorzenia pozyskać. Jechali więc królestwo oboje na Litwę, do Wilna, a synaczek pozostał pod pilną strażą w Chęcinach.

Sonka była dobrej myśli. Chciała za srebrną dziękować kolebkę i prosić o opiekę dla syna i siebie.

Goniec przybył od Witolda, ksiązę zapraszał do Wilna. Przed świętami na wileńskim zamku witano krakowskich gości.

Jakim sercem i myślą? — odgadnąć było trudno. Witold milczący, księżna Julianna dumna, kłaniali się królowej z musu, Jagielle staremu obiecywali łowy... nic więcej.

Oczyrna przy pierwszym spotkaniu zmierzyli się przeciwnicy, wejrzenie nie zapowiadało pokoju. Witold chciał poddania się i uległości. Sonka się czuła królową.

Ksiązę zimno i obojętnie się z nią obchodził, może dlatego, że Julianna więcej niż kiedy go podzegała, rozdrażniona, upokorzona, gniewna, nie mogąc jej przebaczyć małżeństwa, korony i syna!

Z niewieścią zazdrością matki, która potomka się już doczekać nie spodziewała, patrzyła na tę szczęśliwą żonę starca, dającą tronowi następcę.

Szczęście Sonki było jej niedolą.

— Przybyła się tu urągać nam, tobie, którego ma za namiestnika Jagiełły, mnie, aby się chwalić wielkością swoją.

Nieposłuszna, zradliwa, w oczy nam patrzy, aby okazać, że się nie boi! Po to jechała na Litwę, rzuciwszy dziecko, aby potęgą swoją nas wyzywać!

Witold słuchał, lecz jak zawsze niewieście słowa nie czyniły na nim wrażenia. Był

przekonanym, że królowa przybyła zgodę i uległość ofiarować, aby ją i sprawę syna w Polsce popierał.

Czekał tylko rozmowy, ale spodziewał się jej na próżno. Zazdrosna Julianna, która obawiała się zbliżenia, stała wiecznie u drzwi, aby poufnemu porozumieniu się przeszkodzić.

Wśród swych kobiet inaczej Sonki nie zwała jak gadziną i żmiją.

Nareszcie jednego dnia, gdy król na łowach był, a królowa została sama, Julianna zachorowała, Witold sam na sam był z Sonką. Czekał, aby zagała sprawę — milczała.

— Sądziłem — odezwał się — że po tylu latach i takich losu odmianach zechcecie mi coś powiedzieć o sobie?

— Ja? — zapytała Sonka — tajnego nie mam nic, a dla was też w Polsce skrytego nie ma nic, wszystko wiecie.

— Powiodło się wam — dodał Witold po chwili. — Oprócz Pana Boga winniście to może komuś jeszcze.

— Tak, wam — odrzekła spokojnie Sonka — i za to jestem wdzięczna.

— Ale ja tej wdzięczności nie doznał — przerwał ksiązę — spodziewałem się więcej.

— A ja nie mogę nad to nic — zimno odparła królowa. — Sprawy polskie nie zawsze się godzą z waszymi, innego Polacy wymagają, wam potrzeba, co im niemiłe i niegodne. Was przeciwko nim popierać nie mogę.

Witold przeszedł się namarszczony po izbie, nim nagle wybuchnął:

— Wprzód, nim polską królową, byliście siostrzenicą moją i Rusinką. Co nam Polska?

Ona jest kulą nogi, dyby ona na mnie kładzie. Od niej się wyswobodzić, to nasza rzecz. Królestwo wielkie z Litwy i Rusi złożone stworzyć, aż po Moskwę, a mocne, a silne, więcej znaczy niż Polskę kleić, która się rozpada, a my z nią rady nie damy. Tam rządu nie ma; nie będzie nigdy. Rządzą biskupi, kancelarie, panowie, szlachta, a król ich, nie oni jego słuchają. Potracili krajów wiele, które teraz na powrót odzyskiwać muszą. Poszły na ręce niemieckie. Piastowie ich do Niemców i do Czech się poprzeczali, mazowieccy rządzą się, jak chcą.

Szląscy po swojemu. Trzeba by im żelaznego męża i dłoni żelaznej, a oni już ich nie zniosą.

Tyś Rusinka, jam Litwin... co nas obchodzi to niesforne mrowisko? Sonka słuchała spokojnie.

— Sami widzicie, że z wami trzymać nie mogę — rzekła — bom ja polską królową, a i wy nie powinniście zapominać, że z ręki Jagiełły trzymacie Litwę...

Witold zbladł i stanął drżący.

— Ja? — zakrzyknął — trzymam ją z ręki Bożej i tak silnie, że mi jej nikt, i Jagiełło ze wszystkimi swymi Polakami nie wydrze.

Rozśmiał się dziko.

— Przyjdzie godzina, gdy ten sojusz do czasu cierpiany zerwać będę musiał i zgruchoczę te więzy. Do sprawy przyszłego wielkiego państwa ruskiego i litewskiego tyś mi powinna była służyć, na tom cię uczynił królową, pamiętaj, że tak samo i zrzucić cię z tronu potrafię...

Witold uniósł się gwałtownie i sam postrzegł, że puścił cugle roznamiętnieniu. Zamilkł starając się wzburzenie ukołysać. Sonka milczała z oczyma spuszczoneymi.

— Grozicie mi przyszłością — odpowiedziała po namyśle. — Ona jest w ręku Bożym, nie waszym. Na to, co dokonać chcecie, więcej niż jednego życia ludzkiego potrzeba. Komuż to przekażecie po sobie?

I lekki uśmiech przebiegł po jej ustach.

— Oderwijcie dziś Litwę i Ruś od Polski, o którą stoicie oparci jak o ścianę, a cały ten wasz budynek nie dokończony w gruzy padnie i Polska go przestoi!

Książę westchnął.

— Nie potrzebujesz mnie uczyć, ani co mam czynić, ani komu po sobie zostawić spuściznę

— rzekł — myślałem o wszystkim. Była chwila, żem Polskę brał w rachunek i chciał ją mieć ze mną, lecz ze Zbyszkiem, z warchołami i z księżmi, co gdzie indziej swego króla mają, nic począć nie można.

Ja bez was obejdę się — dodał dumnie — patrzcież, abyście wy mnie nie potrzebowali,

staniecie mi w drodze, a będziecie podszeptywać Jagielle niewiarę ku mnie, moja ręka dosięgnie królowej w Krakowie!

Wypowiedziawszy to w gniewie i uniesieniu, a nie widząc skutku innego oprócz, że

królowa pobladła i brwi się jej ściągnęły, książę zamilkł po raz wtóry.

W ciągu rozmowy — na przemiany mówił do niej jak do królowej, to tak jak był dawniej

nawykł do siostrzenicy, zapominając, że była już żoną Jagiełły.

Teraz, gdy ochłonął nieco, a sam sobie przypominał, co mu z piersi wyrwało wzruszenie, na siebie się gniewał. Lekce sobie jednak ważył to, że się zdradził przed kobietą, choć nierad był

porywczosci własnej. Cofnąć się nie umiał nigdy. Zamilkł dumnie. Królowa nie wznawiała rozmowy.

Milczenie panowało w komnacie i Sonka zabierała się wynieść z niej, gdy w podwórku szczekanie psów, wrzawa, nawoływania oznajmiły przybycie Jagiełły.

Powracał z łowów niedalekich w Ponarach, jak prawie zawsze rad dniowi spędzonemu w lesie i na koniu, w pogoni za zwierzem. I jak stał w kozuchu podwójnym, w ciężkich butach futrzanych, z trąbką przez ramię, w baraniej czapce na głowie, wszedł do izby.

Królowa wstała, Witold spieszył na powitanie przybrawszy weselszą twarz... Od progu zaczęło się opowiadanie, którego księżę roztargniony słuchał. Sonka kilką słowami przywitawszy króla wyszła do swoich izb i w nich już pozostała. Wieczór zszedł na przerywanych zapytaniach i odpowiedziach o rzeczach obojętnych.

Jeden dzień tylko przemilczawszy Sonka wieczorem podzuciła myśl powrotu do Krakowa.

Dziecko zostawiła na obcych rękach i dozorze, obawiała się o nie. Wspomnienie o nim Jagiełłę wprawilo w niepokój.

— Na próżno byśmy tu siedzieli — rzekła. — Witold ani księżna na chrzciny przybyć nie zechcą. Prosiłam wuja, odmówił mi.

— Mnie zbył milczeniem — westchnął Jagiełło.

— A! gdybym mógł ich dwu z biskupem Zbyszkim pojednać i zbliżyć, jaką by to dla mnie było pociechą!

— Ogień z wodą — odparła uśmiechając się Sonka. — Jedźmy do Krakowa.

Nazajutrz Jagiełło oznajmił, że musi spieszyć z powrotem, aby w połowie lutego przyjąć sproszonych gości, a Witold go nie zatrzymywał.

Pożegnanie było urzędowe i chłodne, księżna Julianna chorą się uczyniła, aby królowa do niej, nie ona musiała iść do królowej. Stryjeczni bracia podali sobie dłonie i Jagiełło nazad ruszał do Polski. Sonka znała go i wiedziała, że ilekroć odwiedza Litwę, powraca z niej smutnym, bo stare w nim odzywają wspomnienia. Tak było i teraz. Oglądał się za siebie, jechał zadumany, tęsknił...

Sam powiadał po cichu, że nieraz wolałby być tu księciem zostać niż w Polsce królować.

Prawda, że Witold więcej miał władzy nad niego.

Wszystko się odbyło wedle myśli króla, zesłał na chrzciny posła swojego papież, król

rzymski, przysłali dary nawet Krzyżacy. Uroczystość była wspaniałą i radosną. Królowa na chwilę zapomnieć mogła, że miała nieprzyjaciół i że groźba Witolda wisiała nad nią i nad tą srebrną kolebką jej syna, którą książę mu posłał.

Zaledwie przebrzmiały uroczyste okrzyki, król już puścił się na tę wędrówkę po kraju

niezmordowaną, która mu znaczniejszą część każdego roku zabierała. Królowa została w

Krakowie; ale nie była bezczynną.

Los przysły syna ją obchodził...

Ochmistrz dworu, przy którym po raz pierwszy z ust królowej się wyrwało, gdy jej dziecię przyniesiono: — To przysły wasz król... skłonił się potwierdzająco, ale dodał zarazem:

— Nadzieję potrzeba mieć, że go wybiorą panowie...

— Jak to, wybiorą? — odparła żywo królowa — przecież z prawa krwi panować musi!

— Nie, miłościwa pani — rzekł Malski. — Panujący nam król dożywotnio był obrany, jako mąż Jadwigi, której tron ten należał, a po nim kto koronę weźmie, pytać potrzeba ludzi.

Oprócz tego Jadwiga z narzeczonym Brandenburczykiem tron miała przyrzeczony, a

umowa dotąd zerwaną nie była. Rzucona wątpliwość skłoniła królowę natychmiast do powołania biskupa Zbigniewa.

Oleśnicki potwierdził, co mówił Malski, dodając, iż Polacy przez pamięć dla dobrego króla zapewne innego nie uczynią wyboru.

Nie starczyło to królowej, więc choć Jagiełły nie było, bo ten z Wielkiej Polski zwykłą

drogą przez lasy ruszył w Lubelskie i na Ruś, zmuszony uchodzić przed powietrzem, które

opustoszało osady i miasteczka, poczęła bez niego starania zawczesne o zapewnienie następstwa synowi.

Oleśnicki przeciwnym temu nie był, i gdy Jagiełło polował na Rusi, biskup zwoływał i

wyrozumiewał senatorów i szlachtę, starając się wymóc na niej piśmienne przyrzeczenie. Dano Jagielle znać przez gońca o zwołanym zjeździe do Kalisza... Szlachta i panowie, pod wodzą duchowieństwa, zgadzali się na zapewnienie małemu Jagiellończykowi tronu, ale tak jak od Ludwika

niegdyś wymagała potwierdzenia swobód swych i przywilejów. Dano na ręce Zbyszka

pisma, z tym, by je zachował, dopóki król nie zapewnił swobód dawnych, a nie powiększył ich jeszcze.

Przyrzeczenie było warunkowe.

Szlachta żądała, aby ona tylko sama mogła piastować duchowe dostojenstwa. Znaczyło to

więcej, niż na oko sądzić było można. Owładnąć mogła wszystkim, król stawał się bezwładnym...

W Polsce szerzył się mór wszędzie, który i oboje królestwo wygnał z Krakowa na Litwę, do Wilna. Sonka przeciw woli swej towarzyszyć musiała mężowi. Witold wyjechał na Ruś, zostawił

ich samych. Księżna do Trok uszła przed nienawistną mężowską siostrzenicą. Nim powietrze ustało, nim powrócić było można, wiosna się zbliżała. Między Witoldem a Jagiełłą rozdrażnienie i gniewy były coraz większe. Drobną okoliczność rozżarzała niechęć. Książę obstawał koniecznie, aby Krzyżakom lichy młyn lubicki ustąpić; dlatego że on go dla nich żądał, Polacy nie chcieli dać, bo panował rzece, która czasu wojny znaczyła wiele. Witold brał to za osobistą urazę, że jego prośbę odrzucano.

Odgrażał się i sarkał.

Nie widząc go musieli królestwo opuścić Litwę, a na pociechę Jagiełło ruszył do Białowieży na żubry i niedźwiedzie. Królowa musiała wprost jechać do Krakowa, gdy na drodze napędził ją goniec z wieścią smutną. Uganiając się zapalczywie za uchodzącym niedźwiedziem, król w puszczy nogę złamał. Powieziono go do Lubomli i Krasnegostawu leczyć i spoczywać, ażby znowu powstać mógł.

Pomimo wieku podniósł się rychło, choć o kiju, i po przewodach królowa wiadomość miała,

że przez Mazowsze zdążył do

Łęczycy, gdzie zwołana szlachta miała domagać się od niego potwierdzenia swych przywilejów.

Czasu pobytu w Wilnie królowa miała porę rozmyślać nad tym, co Witold jej mówił o

królowaniu w Polsce. Pamiętała te słowa szyderskie wuja, że tu nie król panował, ale

duchowieństwo i szlachta. Miałże jej syn w kolebce już być zakuty w te kajdany i taki cień tylko władzy odziedziczyć, który ojca czynił bezsilnym?

W godzinach znużenia i rozmyśłów, gdy król spoczywał a chętnie słuchał rozumnej Sonki,

kładła mu w ucho:

— Nie dawajcie szlachcie i duchownym więcej nic! Mają oni i tak zbyt wielką przewagę.

Naśmiewa się z was Witold, że władzy żadnej nie dierzycie, nie wyrzekajcie się jej dla syna.

Przywiesili wszakże pieczęci w Brześciu do przyrzeczenia, iż syna naszego na tron wezmą.

Pargamin chowa biskup i nie wyda go im na powrót...

Jagiello często sam nadto cierpiał na ten brak władzy, do której w Litwie był nawykłym, aby zdania żony nie podzielał. Sonka wymogła na nim słowo, iż nowych swobód nie nada. Król

przyrzekł żonie i chciał dotrzymać. Z drugiej strony pamiętał, iż mu to Zygmunt rzymski wyrzucił, naśmiewając się z niego, iż sobie wszelką moc z rąk daje wydzierać. Jechał więc do Łęczycy z postanowieniem mocnym oparcia się wymaganiom, choć wprzód sam na nie się zgodził.

Wszystko tam miało zależeć od biskupa Zbyszka, a królowa ufała, iż stanie po stronie

Jagielly.

W Krakowie chora Sonka z niepokojem wyglądała jego powrotu... Wieści jakieś dziwaczne

poprzedziły króla, lecz tym nie dawano wiary, a dopytującej pani nikt nie śmiał oznajmić, że król z tego zjazdu powracał gorzej niż z niczym. Ze wszech stron groźne się gromadziły chmury...

Dochodziły z Litwy od Witolda przechwałki, iż Sonkę zgubić musi, a pomści się jej nieposłuszeństwa.

Królowa leżała w łóżku, gdy jej męża oznajmiono.

Zwykle przybywał on wesół i dobrej myśli, teraz o kiju jeszcze, bo mu noga dolegała,

przygarbiony nieco, z twarzą schudzoną, zestarzały nagle, ukazał się w progu. Podszedł ku łożu milczący, przywitał Sonkę... spuszczać oczy...

— Jeszcze wam noga dolega? — zapytała niespokojnie.. Król popatrzał na nią.

— Nogać — rzekł — nie. Ty nie wiesz nic? Poruszeniem tylko dała poznać Sonka, iż żadna wieść jej nie doszła.

— W Łęczycy.,., — wybąknął król — żądali ode mnie potwierdzenia swych swobód.

— Oparłeś się? — przerwała królowa.

— Na próżno — dokończył smutnie Jagiello. — Szlachta zażądała groźno od biskupa zaręczenia, które na ręce mu dała.

— A biskup się nie sprzeciwił?

Spuścił głowę król i ręką zamachnął w powietrzu. Słów mu brakło. Nagle przejęła go jakaś groza i oburzenie, wstał.

— W mojej obecności stu ich dobyło szabel i pargamin z krzykiem i wrzaskiem, jak by nimi mnie samemu grozić chcieli, na sztuki rozsiekali.

Królowa oczy sobie zasłaniając padła na łożo, na którym siedziała, i krzyk się wydobył z jej piersi.

Nastąpiło milczenie. Jagiełło zadumał się ponuro...

— Ujść musiałem z izby — dodał — ścigany wrzaskiem i pogrózkami. Takim ja jestem

królem i taka tu moc moja... Na próżno starałem się głównych z nich ująć podarkami i obietnicami.

Obawiają się jedni drugich.

Potrząsnął głową.

— Chcemy tronu dla syna, będziemy musieli kupić mu go pargaminem. Będzieli miał siłę,

sam go może szablą rozetnie...

Płakała królowa...

W tych łzach i smutku, wśród posłuchów z Wilna, że Witold się na nią odgraża, przyszedł

na świat drugi syn, Kaźmierz. Jagiełło sam, lękając się wielkiego księcia rozdrażnić mocniej, gotów był ten nieszczęsny młyn Krzyżakom ustąpić, aby zagniewanego przebłagać. Królowa błagała go o to. I ją już strach ogarniał...

Wysłano rządzącego wszystkim biskupa Zbyszka w uroczystym do Witolda poselstwie,

które przebłagawszy go z podarkiem dla króla wróciło. Wielki książę szedł na Psków i nie chciał za sobą zostawiać nie rozstrzygniętego sporu.

Zjednani Krzyżacy mu towarzyszyli.

Weselsze więc mogły być chrzciny nowo narodzonego Kaźmirza w Krakowie.

Królowa podniosła się z łoża łudząc nadzieją, że Witold był przejednanym. Jagiełło znowu puścił się na łowy do Wielkopolski, na Mazowsze, na Ruś swą, i długo w Krakowie go nie było.

Ale kolebkę drugą wprędce trzeba było na trumienkę zamienić, zmarł Kaźmirz.

Sonka sama płakała czekając męża, którego ta wieść smutna nareszcie do Krakowa

powołała.

W czasie tych długich dni osamotnienia na zamku czas upływał w niepokojach na

przemiany, oczekiwaniu, przysłuchiwaniu się wieściom, które zewsząd nadchodziły, często we łzach i smutku. W Krakowie nikogo oprócz dworu, urzędników i niewieściego orszaku Sonki nie było; biskup Zbyszek, na którego ramionach cały ciężar rządów spoczywał, objeżdżał swą diecezję, sprawiał poselstwa i nigdy długo w stolicy swej nie mógł mieszkać. Za ledwie przybył, już go odwoływano.

W niebytności Jagiełły i jego ani posłów, ani gości nie widywał Wawel, w podwórcach i po komnatach wiało pustkami...

Po odrętwieniu długim pragnienie życia jakieś, potrzebą roztargnienia budziła się w królowej, a raczej rozbudzały je jej towarzyszek... domagał się dwór...

Jednym z tych, co najusilniej nastawali na to, że młoda pani nie powinna była zamykać się jak w klasztorze i zamęczać tęsknicą, był Hińcza z Rogowa.

Dopomagała mu bujna młodzież tegoż co on usposobienia, Piotr Kurowski i Jaś Kraska, Jaszko z Konięcpola, dwóch Szczekocińskich i inni.

Sami oni z radą przyjść nie mogli, a do ochmistrza dworu, poważnego i surowego Nałęcz

Malskiego, przystąpić nie śmieli... musieli użyć pośrednictwa niewiast, które bliżej były królowej.

Hińcza naprzód poszedł z uzaleniem do Femki, o której wiedział, że samotność pani najprędzej weźmie do serca.

— Co naszej królowej po tym — rzekł — że ona królową jest i na wysokim zamku siedzi.

Losu jej prosta mieszczka nie pozazdrości. Całe lata sama jedna, jak w klasztorze, żeby choć pieśń lub gędźbę posłyszała... żeby gości przyjęła...

— Oj, co prawda, to prawda! — potwierdziła Femka.

— Alboby to rady nie było, gdyby ona sama chciała? — rzekł Hińcza.

— Jakaż rada?

— Niech przykaże, aby ochmistrz drzwi otworzył, gości prosił... muzyce grać kazał, a choćby królowej panny się z nami w płasy puściły, przecieźby grzechu nie było.

Hińcza i Wawrzyn Zaręba tak w uszy kładli Femce tę potrzebę rozweselenia królowej, iż

stara piastunka coś jej o tym szeptać musiała.

Lecz goręcej to wzięły niż Femka dwie siostry Szczukowskie, Kaśka i Elża, które królowej najbliższej były, służyły jej najlepiej, ale śmiertelnie się na zamku nudziły i nie tyle im szło o zabawę pani, co o własną. Pod pozorem nieszczęśliwej Sonki wszyscy tu o siebie dbali, może z wyjątkiem jednego Hinczy, który do swej pani przywiązany był wielce, a ludzie go ogadywali, że się w niej kochał i modlił do niej jak do cudownego obrazu.

Mogła królowa wiedzieć o tym i. okazywała Hinczy życzliwość, ale nigdy nie zapomniała, że na głowie ma koronę, a na sumieniu przysięgę.

Nieraz przysłuchiwała się uśmiechając pogadankom wesołym komorników swych:

Wawrzyna Zaręby, Kraski i Jana z Koniecpola... lecz wszyscy oni stać musieli z daleka.

Czy namowy Femki, czy prośby Kaśki i Elży, czy własne znużenie i jakaś chwila

zniecierpliwienia skłoniły królowę do tego, iż w zapusty, sama będąc, ochmistrza dla dworu swego o muzykę poprosiła.

Był to wielki na zamku wypadek, gdy pod niebytność Jagiełły po raz pierwszy miały te

puste komnaty ożywić się nieco i zabrzmieć pieśnią. Malski nie mógł się rozkazowi Sonki

sprzeciwić, a nie widział też w tym nic złego, żeby się młodzież rozerwała i rozweseliła opuszczoną królowę. Radość wielka panowała między młodzieżą. Hińcza, który był tego sprawcą, triumfował i niepotrzebnie się z tym chwalił.

Strasz, który miał na wszystko ucho, wiedział zaraz, że ' pląsy się gotowały i mięsopust wesoły. Nie było wątpliwości, że królowa i młodą Jadwigę, słomianą, szesnastoletnią wdowę po Brandenburczyku, zaprosi na pokoje. Wzięto na naradę wcześniej, co począć w takim razie, a królowa, zawsze na macochę zagniewana, szczególnie teraz zażalona, gdy jej syn tron odebrał...

odezwała się, że chorą się uczyni, a na żadne tany i zabawy nie pójdzie.

Salce i pannom królowej smutno z tym było, lecz namawiać nie śmiały.

Pomiędzy królową macochą a Jadwigą pojednanie i zbliżenie się stawało niepodobnym i

coraz niemożliwszym. Odpychana zimnym wstrętem Sonka musiała wyrzec się przyswojenia

królowej, która męczennicą być chciała i umyślnie się nią ukazywała przed ludźmi.

Gdy szła do kościoła, gdy ją wywożono na przejażdżkę w okolicę, umyślnie kładła

najniepozorniejsze szaty, ubierać się nie chciała, okazywała twarz smutną. Zdawała się mówić tym,

co ją spotykali:

— Patrzajcie, jak się ze mną obchodzi macocha...

Dwór jej w tym potakiwał i dopomagał, a Strasz po mieście roznosił wiadomości o

okrucieństwie macochy, które litość wzbudzały. Mało wreszcie Sonka i jej przyboczna służba zwracała uwagi na to, bo poradzić nie było można, a wszelkie usiłowanie pojednania jeszcze niechęć wzmagало. W dziecku sierocie wyrobił się charakter zgryźliwy i w sobie zamknięty —

królowa zbyt była dumną, aby czując się niewinną upokarzać się chciała przed dziewczęciem.

Zapowiedziana zabawa, którą i młodzież, i panny przyspieszyć się starały, przysła do skutku.

Królowa wyszła smutna z początku, chcąc być tylko świadkiem, jak się jej dwór zabawia.

Siedziała nie mając żadnego udziału w piasach i ledwie odpowiadała na zadawane pytania. Ale ta atmosfera wesela, młodości i pieśni odżywiła w niej dawną żywość, krew uderzyła do serca...

Śmiały się jej wszystkie oczy i twarze... Dziewczęta przypadały całując po rękach i z poufałością spowiadając się ze swych figłów zalotnych...

Hińcza prawie ciągle stał za krzesłem i rozповідаł coś, co by do śmiechu pobudzić mogło; a odszedł on na chwilę, zastępowali go Jan z Koniecpola lub Wawrzyn Zaręba. Wszyscy oni swoją młodą królowę ubóstwiali i każdy był szczęśliwy, gdy słówko z ust jej mógł posłyszeć.

Jak się to stało, że pod koniec zabawy Hinczy królowa podała rękę i poszła z nim w pias, śmiejąc się białymi ząbkami, sama ona może nie wiedziała. Krótko trwał ten tan i powróciła na swe krzesło zarumieniona, zasromana — jak by wielką popełniła zbrodnię...

Ośmieliło to dziewczęta i piasy zawzięły się namiętne, tak że im starsza pani Anna, wdowa po marszałku Zbigniewie, swoją powagą koniec położyć musiała.

Był to pierwszy krok tylko, z którego Hińcza i jego towarzysze korzystać umieli, aby wieczorne zabawy powtórzyły się wkrótce.

Starszą panią Annę przekupił słowy słodkimi Jan Kraska, do którego słabość miała.

Nazajutrz mówiono już na pewno, że królowa zwoła znów gości i muzykę za dni parę.

Chociaż Strasz i nikt z dworu królowej Jadwigi nie był czasu zabawy w izbach królowej,

chyba pode drzwiami tylko, nazajutrz opowiadał on dziwne rzeczy o tym, co się tam dziać miało.

Ze zgrozą powtarzano, iż królowa z Hinczą poszła w płasy i że wszystka młodzież tak sobie tam poufale poczyniała, jak by łask Sonki i bezkarności najpewniejszą była.

Ziściło się, co Hińcza sobie obiecywał, a Kraska u starej pani wymodlił. Królowa nie opierała się temu, aby dwór znowu się zabawił i ją rozweselił.

Drugiego wieczora poszło wszystko gładziej i łatwiej, śmielsi byli chłopcy i dziewczęta, a i królowej nie wydawało się to dziwnym ani zdrożnym, że ze swoimi komornikami poufale rozmawiała i ci jej prawili słodycze...

Wśród tych pustych rozmów mogła na chwilę zapomnieć o tym, co jej groziło, co przecierpiała i jakie ją próby czekały jeszcze.

Hińcza, ile razy tylko mógł, znajdował się za krzesłem swej pani, nie zważając na to, że go nią prześladowano i że dawał tym powód do nowych posądzeń.

Królowa widząc go na straży trwającego odwróciła się pytając:

— A czemuż wy sobie nie dobierzecie pary? Dziewcząt siła przystojnych jest i niejedna by wam może była rada... No? przyznajcie mi się, któraż z nich wam najmilsza? Kaśka i Elża obie hoże!

Hińcza się skrzywił.

— Miłościwa pani — rzekł — może to być, że która z nich niczego by się wydała, ale tam gdzie róża albo lilia kwitnie, trudno patrzeć na nogietki!

— Musieliście się od Niemców uczyć tak trefnej mowy — odparła królowa — ja jej nie rozumiem...

Hińcza spostrzegłszy się, iż za śmiało wystąpił, oczy spuścił i krok się cofnął. Królowej się żal go zrobiło.

— Powiedzcież mi — odezwała się — do której się Jaszko z Koniecpola zaleca? Bo widzę, jak by nie wiedział, którą wybierać, i wszystkie z kolei bałamuci...

— Miłościwa pani — odparł chcąc sprawę swą naprawić Hińcza — my tu wszyscy, ilu nas jest, dla jednej tylko naszej królowej oczy mamy, a przy niej nam żadna niemiła...

Sonka potrząsnęła główką i pogroziła Hinczy, który chcąc w żart obrócić, co powiedział, uśmiechnął się.

— Nie mam was za to czym nagrodzić — dodała po chwili królowa.

— A my też i niczego nie żądamy i nic się nie spodziewamy — dodał Hińcza. — Ilu nas jest, choć życieśmy dać gotowi...

Królowa zamilkła, a po chwili rozkazująco odezwała się:

— Idź mi zaraz, weź Helusię Kotkę do tańca, to ci się głowa zawrócona wyprostuje...

Hińcza posłuszny od krzesła pobiegł, ale już miejsce jego zajął Jaszko z Konięcpola. Ten mówić nie śmiał, czekał na rozkazy. Królowa pożartowała z niego, że nie wie, jaką ma wybierać, i radziła mu Elżę, on się od wszelkich wypierał.

Wieczór tak przeszedł cały, lecz Sonka już do tańca się nie dała wyciągnąć. Femka, która coś posłyszeć musiała, radziła jej być ostrożną.

— Złe języki jak żądła kolą — szepnęła jej z rana. — Dobrze się poweselić, ale strach, by potem nie płakać.

Przestroga ta nie uczyniła wrażenia ni skutku. Sonka czuła się w duszy niewinną, a trochę roztargnienia dni jej długie samotności skracało. Jagiełło rzadko siedział w

Krakowie, królowę mało kto nawiedzał, mogłoby jej to być poczytanym za winę, że kazała czasem zaśpiewać, że komornikom pozwoliła się w swej przytomności zabawić z dziewczętami, a niekiedy i sama, zapominając trosk, uśmiechnęła? Weszło we zwyczaj wieczorami u Sonki zbierać się dworowi, do którego niekiedy i obcy się przyłączyli.

Nie czyniono z tego tajemnicy.

Królowa Jadwiga ani razu nie dała się ściągnąć do macochy — chorą się opowiadała lub

wprost odmawiała. Strasz tymczasem szpiegował i spoufalenie się dworzan, których był wrogiem, wystawiał przed ludźmi ze zgrozą jako występne jakieś zaloty.

Nie wpuszczany na pokoje, Odrowąż miał zwyczaj w czasie tych wieczornych zabaw i

śpiewów podkradać się pode drzwi i chwycić, co mu doszło do uszu, aby potem z tego tworzyć niegodziwe potwarze.

Dopatrzone tych podsłuchów, Kaśka i Elża Szczukowskie skradły się po cichu i złapały go

na gorącym uczynku. Na ich okrzyk wpadł Hińcza, Jaszko z Konięcpola, dwóch Szczekocińskich i przytrzymanego Strasza nie tylko obili, ale go ochmistrzowi Malskiemu zaskarzyli. Sprawa się z tego wywiązała przykra dla Strasza, który musiał w zamkowej kunie odsiedzieć karę.

Zwiększyło to jego złość i wyszedłszy z zamknięcia za wstawieniem się królowej

poprzysiął głośno:

— Będą mnie oni znali, nie będę żyw, jeśli nie posadzę ich wszystkich głębiej, niż ja

siedziałem, i na dłużej. Pozna mnie i Rusinka, której stary mąż się naprzykrzył i młodych sobie szuka do zabawy.

Poszły więc zaraz donosy na Litwę do Witolda, ale przez drugich podawane nie obudziły wiary w wielkim księciu. Kazał się Straszowi stawić samemu z tym, co przeciwko królowej miał.

Chwila była nadeszła, w której gniew na Sonkę wzrósł do najwyższego stopnia. Witold nie mając potomstwa pod którymkolwiek z książąt litewskich chciał po sobie zostawić

Litwę oderwaną od Polski. Tymczasem Jagielle rodzili się synowie, nowy potomek był

spodziewany. Groziło to jego mającemu się stworzyć państwu litewsko-ruskiemu, że przejdzie na Jagiełłowych synów i pozostanie z Polską związanym.

Zgubić więc potrzeba było królowę, aby uratować przyszłą koronę litewską.

Sonka trwała w swym uporze, trzymała stronę Oleśnickiego. Witold pragnął się pomścić.

Strasz w jego rękę miał być tej zemsty narzędziem.

Wahał się Odrowąż ze spełnieniem rozkazu Witolda, lecz w końcu posłusznym być musiał.

Znikł jednego dnia z Krakowa nie opowiedziawszy się nikomu oprócz Salki i królowej.

Hińcza i komornicy Sonki triumfować poczęli, sądząc, że się go wreszcie pozbyli i że ukarany sromotnie więcej już na dwór nie powróci.

Ale Strasz powlókł się na Litwę. Tu czekać musiał powrotu Witolda z ruskiej wyprawy,

Wielki książę przybył niemal zwycięzcą, rokując sobie przyszłe podboje...

Zaledwie chwilę wolną miał po pierwszych naradach z Cebulką i Małdrzykiem, gdy Strasza kazał przywołać.

Rozwiązał mu usta książę, chcąc od niego całej prawdy.

Strasz zamiast niej obmyślaną dobrze potwarz przynosił.

— Nie ma co taić — rzekł — srom i hańba, co się dzieje na krakowskim zamku. Po dniach

całych i nocach królowa wyprawia swawole z młodzieżą, dobierając sobie najurodziwszych.

Wszyscy palcami wytykają jej kochanków... Hinczę z Rogowa, Wawrzyna Zarębę, Janka z

Konieczpola, dwu Szczekocińskich... Stara jej piastunka Femka i dwie Szczukowskie o wszystkim wiedzą i drzwi pilnują. Nie ma dziwu, że choć król na łowach ciągle, a w domu gościem, dlatego kolebek u nas dosyć, a rychło znowu jedna będzie potrzebna.

Bystro spojrział na mówiącego Witold, któremu twarz bla: dą oblała krew, bo i zazdrość gniew powiększała.

— Patrzaj, co mówisz, abyś tego dowiódł — zawołał — niemałej to wagi rzecz... królową obwinie... i srom rzucić na ród pański.

Strasz, jak był gwałtowny, widząc, że już się cofać nie mógł, począł się w piersi bić i palce na palce zakładać przysięgając, że mówi prawdę, że wszyscy wiedzieli o tym, że na ulicach Krakowa chłopięta małe ulubieńców królowej sobie śmiejąc się pokazywały.

Jał opisywać potem, jak to się poczęło coraz jawniejszym stawać przez uzuchwalenie

młodzieży, choć dawno wprzód potajemnie się zaczęło, ale teraz — powiadał — nie lękano się już niczego. Król stary był ślepy, milczał, pozwalał się królowej prowadzić i czynił, co chciała, zdzięcinniewszy.

— Cóż na to duchowieństwo? — zapytał Witold.

— Duchownym panom umie się królowa ułożyć i okazać, jak chce — mówił Strasz. — Do

kościółka chodzi, klęczy i modli się, a swoje robi. Na dworze sobie podarkami i łaskami ludzi ujmuje, więc milczą. Boją się jej wszyscy, bo dosyć, by Jagielle szepnęła słowo, a człowiek zgubiony...

Począł potem Strasz fałszywie opowiadać, jak on sam cierpiał, katowany był

niesprawiedliwie za to, że bronił nieszczęśliwej królowej sieroty, która na zamku z głodu prawie marła, siedziała zamknięta i nigdy nawet królowa jej do siebie nie dopuszczała. Umiał opowiadając Strasz nadawać potwarzom swym takie prawdopodobieństwo, iż Witold dogodnym mu powieściom uwierzył. Postanowił uczynić krok stanowczy, położyć koniec panowaniu Sonki. Na to potrzeba było osobistego widzenia się z Jagiełą, przy którym by królowa przytomną nie była. Wahał się z wykonaniem zamysłu, coraz to badając Strasza dopytując, wydobywając z niego nowe szczegóły.

Strasz, który miał czas do namysłu i ułożył sobie zawczasu baśń całą, nie dał się pochwycić w niczym i dostarczał coraz więcej jątrzników gniewowi Witoldowemu.

Dopiero gdy się badanie skończyło, a mściwy Odrowąż, ochłonawszy a rozszuchawszy się

na dworze Witolda, począł ważyć skutki swojego kroku, uląkł się sam następstw.

Poszedł więc do księcia zaklinając go i prosząc, aby mu tajemnicy dotrzymał i nie wydawał, gdyż wielu z tych, których mianował, rodzin i powinowatych zemsty się obawiał.

Witold, jako dumny a szlachetny pan, zmierzył go wzrokiem pogardliwym.

— Cóżes myślał, że ja z tobą na spółkę ludzi oskarżać będę. nie mianując, skąd to mam?

Twoja rzecz była ważyć wprzód skutki, nimeś mi przyniósł wieść, ja cię ani zakrywać, ani taić nie myślę. Owszem, głośno pozwę cię na świadectwo.

Strasz struchlał. Nie wątpił on, że Witold zwycięży, iż królowa będzie zgubioną, że

komornicy, których podał imiona, może na gardle karani będą, ale zawsze pozostać mógł kto do pomszczenia ich. I on więc paść miał ofiarą?

Odprawiony niemal obelżywie odszedł Strasz, innej nie otrzymawszy nagrody nad nadzieję zemsty...

Ogarnęła go trwoga. Na zamku spostrzegł, że na niego oko miano i nie wypuszczano go bez towarzysza, nawet na miasto...

Zwiększyło to obawę.

Dowiedział się potem, że Cebulkę ksiązę z poufnym jakimś poselstwem wysłał do Jagiełły.

Im dłuższy czas upływał, tym strach wzrastał... Na samą myśl, że zmuszony być może w oczy obwinionym dowodzić, kto wie? pod przysięgą? spraw, które powymyślał, rozpacz go niemal ogarniała.

Nie było już innego ratunku nad ucieczkę, lecz pogoń mogła w niej pochwycić, próbował

księcia prosić, aby go do Białaczowa odpuścił, ale Witold zostać mu kazał zapowiadając, że z sobą do Horodła zabierze, gdzie się z królem Jagiełłą miał zjechać.

Wpadł Strasz w zwątpienie i niepewność wielką, co miał czynić.

Jednego dnia rano Małdrzyk, pisarz Witoldów, dał znać księciu, iż od wczora wieczora

Strasza jakoś widać nigdzie nie było. Posiano szukać na miasto i tu się nie znalazł. Konia, na którym ze sługą przyjechał, także na stajni nie było, a sługa wprzód jeszcze od pana zniknął.

Ucieczka ta dała do myślenia Witoldowi, ale kości były rzucone. Cebulka wyjechał

zapraszać Jagiełłę na zjazd w Horodle nad Bugiem, cofać się już nie było można. Witold

postanowił wedle zeznań Strasza śmiało obwinić królowę. Wiedział dobrze o tym, że nawet

anielską Jadwigę oczernioną Jagiełło podejrzewał, że i Anna musiała się oczyszczać z zarzutów wiarołomstwa, a Granowskę nie spotkało to tylko dlatego, że starą i zbrzydła posądzić nie było podobna.

Młoda i piękna Sonka, on siedemdziesiątkilkoletni, trzeci potomek spodziewany, wieści

rozpowszechnione o lekkomyślności królowej, nie starczyłoż to wszystko na obudzenie niewiary i gniewu Jagiełły?

VIII

Była wiosna 1427 roku dobrze już rozpoczętą, a nadbużne okolice stały zielone i wonne w

całym blasku piękności swej dzikiej nieco, pierwotne przypominającej wieki.

Słowiki śpiewały nocy całe, a gdy nad łąkami okrytymi świeżymi traw kobiercami zaświecił

księżyc w pełni i przy tej muzyce ptaszej z dala ozwały się bąki w trzcinach i wiszarach... jakby godziny wywołujące puszczy... gdy wiatr powiał od rozwiniętych brzoź — taki urok miała ta okolica lasami zarosła, przecięta rozlaną rzeką, iż sen odbiegał z powiek znużonych ludzi, aby się widokiem tym nasycić mogli.

W małym zameczku horodelskim, do którego Witold go ściągnął, Jagiełło od dwóch dni

oczekiwał na niego.

Boże Narodzenie spędziwszy na łowach w lasach około Grodna, ciągnął potem

niezmordowany starzec do Chełma, na Ruś.

Święta Wielkanocne odprawił w Przemyślu i z tych stawił się przed Świętym Krzyżem do

Horodła.

Tu w tym cichym kącie czuł się jak w raj.

Lasy, które tak kochał, otaczały go, nie potrzebował szat paradnych wdziawać dla nikogo, leżał na pościeli tak długo, jak chciał, za stołem, wodę popijając, siedział gawędząc ze swą czeladzią, a nocą mógł słuchać słowika, którego lubił.

I teraz właśnie wieczorem wyszedłszy z zameczku między drzewa stare na prostym kłocu

siadł, rękami podparł głowę, a zasłuchiwał się w pieśniach wiosennego śpiewaka.

I dumał. Czasami zdawało mu się, że tę dziwną pieśń jak słowa ludzkie rozumiał, że ona mówiła mu coś o tych wszystkich niepojętych rzeczach, które się działy na świecie. To znowu muzyka stawała się nieodgadniętą, nierozwikłaną, a była tak piękną!

Księżyc wybił się nad lasy na czystym niebie wiosennym i w wodach rzeki a wylewów szerokich siał srebrnymi smugami. To było dla oczu... Powietrze nawet dostroiło się do uroczystości nocnej i zaprawiło wonią niezrównaną. Czuć było w niej pączki brzoź, pękające dęby i klony, zapachy sosen i jodeł, wyziewy wody i tchnienie traw a nocnego kwiecica zwiędłego.

Uśmiechała się twarz staremu królowi, a myśl jego mimo woli cały przebieg długiego życia ściagała po rozerwanych pasmach pamięci...

Przeżył tak wiele, dożył, czego się nie spodziewał, tyle pogrzebał nadziei i tyle nowych wytrysnęło z ziemi: Jadwiga i Kraków, Wilno i Hawnul, pogańskie świątynie, ognie i dęby, tam gdzie teraz stały kościoły; małżeństwo z Anną, śmierć jej, nieszczęsne gody z Granowską, śmierć biednej starej, nowe zaślubiny, Sonka... syn jeden, drugi umarły, trzeci spodziewany...

A obok ciągle Witold, Krzyżacy, Zygmunt, Zbyszek...

Życie mu już ciążyło, gdyby nie łowy i lasy... W lasach mu było najlepiej, z ludźmi ciężko.

Ustępował im, obdarzał, nie dawali mu pokoju. W lasach śpiewał dla niego słowik, szumiały drzewa i może stare bóstwa Litwy odzywały się do niego...

Jagiełło żegnał się wspominając je, lecz, zemsty ich bał się zawsze i gotów je był

potajemnie przebłagać.

Nieraz na myśliwskim noclegu, gdy wielki ogień zapłonął, przypominał mu się ten potężny, odwieczny, który on sam gasił przed laty na Żmudzi.

Wszystkie cienie przeszłości przesuwwały się przed nim, witał je westchnieniami i żegnał — znikały.

Lecz natychmiast zjawiały się inne, a gdy brakło umarłych, przychodzili żywi. Dwaj

szczególniej pokoju jego nieprzyjaciele, ci, co mu nie dawali życia kosztować swobodnie: Zbyszek i Witold.

Lękał się ich obu.

W oczach jego wyrósł ten Oleśnicki niemal z chłopięcia w olbrzyma, a nieustraszony był, a gardził śmiercią, a mówił prawdę gorzką... Był to mąż boży, ale straszny jak archanioł z mieczem...

On go wypiastował sam, teraz Zbyszek jemu panował.

Witold, tego on znał od dziecka jako bohatera i wodza; dał go dlatego, o rodzonych zapomniawszy braciach, kochanej Litwie, aby ona rosła i rozprzestrzeniała się pod nim.

Stało się, jak chciał, lecz teraz odrywała się już od Polski...

Jagięło milczał...

Żał mu jej było, a w sercu radował się, że się tak stała potężną.

Witold i Zbyszek, Litwa i Polska bojowały teraz z sobą ponad głową starca, a on nie

wiedział, komu miał życzyć zwycięstwa... Mówił więc sobie, że Bóg będzie wiedział najlepiej, jak tę sprawę rozsądzić. Tymczasem słowik śpiewał, księżyc świecił, a puszcza mówiła królowi do ucha, co kryła w sobie. On jeden znał jej tajemnice. Noc była cudna... cisza wielka, a na jej tle jak misterny haft złoty dziergała pieśń słowicza...

Król by był chciał całą tak nockę przesiedzieć do rana, przedumać. Czuł się prawie szczęśliwym.

Wtem cień ujrzał ruchomy przed sobą, który mu niespodziane jakieś przyjście natręta zwiastował, choć zatopiony w dumaniu nadchodzącego nie słyszał. Domyślał się król któregoś z domowników, troskliwych o to, aby go zapędzić do pościeli, i podniósł głowę nierad.

Przed nim stał Witold...

Z okrzykiem zerwał się król z kłody, na której siedział, i rzucił się go ścisnąć, uradowany.

Wielki księżę witał go, ale chłodno, ale smutnie, z powagą i bez radości.

Poza nimi zza drzew widać było jasne okna pootwierane w zameczku i Jagięło ujawszy brata pod rękę chciał prowadzić zaraz do komnat przygotowanych.

Witold z początku się zawahał, jak by z nim chciał sam na sam pozostać, podumał trochę, pożałował może wesołego starca, którego szczęście przybywał zburzyć nielitościwą i okrutną dłonią, wstrzymał się i szedł z nim posłuszny.

Trudno mu było zawsze pohamować i ukryć, co miał w duszy, i teraz też, gdy gotów był wybuchnąć, musiał przemóc się, aby Jagięłę do ciosu, który mu miał zadać, przygotować.

Oskarżenie Sonki przyprowadzało go tu umyślnie, z tym jednym jechał do króla. Zastał go

tak szczęśliwym, wesołym, dobrodusznie rozochocionym, odmłodzonym tą wiosną, iż musiał sprawę odłożyć do jutra.

Jagiello prowadząc go dopytywał o Ruś, o wyprawę do Pskowa, o to, co zamierzał dalej.

Witold przerywał mu wymówkami jeszcze o ów młyn, którego Krzyżakom tak długo dać nie chciał.

— Bracie mój — tłumaczył się Jagiello — dałbym ci dla tych nicponiów trzy młyny, nie jeden, byłeś się nie gniewał na mnie, ale Polacy wiedzą, dlaczego ich tam do rzeki dopuścić nie chcieli... Widziałeś Zbyszka.

— Twojego króla i króla Polski — odparł Witold — boć on panuje... a zuchwały jest...

— Rozumny i nieustraszony — rzekł Jagiello. — Szanuję go.

— Szanuję go i ja, ale gdybym Jagiełłą był, siedziałby w Chęcinach lub dawno dał pod miecz głowę!

Przeraził się Jagiello.

— Rzym! Rzym! — zawołał cichym głosem. Weszli tak mówiąc na zamek.

Ledwie on zasługiwał na to nazwisko, tak szczupły był, zaniedbany i niepozorny. Kilka izb na dole mieszkalnych tylko tak niewymyślnego jak Jagiello króla zaspokoić mogły. Przed

przyjazdem jego powysypywano klepiska piaskiem, gdzie podłóg nie było, ściany wybielono. Za sprzęt służyły ławy proste, a stoły także i police w murach. W królewskiej sypialni wysoko wysłane łoże z siana okrywały skóry, na stole paliło się kilka świec woskowych, stał dzban prosty z wodą i kubek srebrny.

W drugiej izbie obok przygotowano takie same dla Witolda łoże, a naprzeciwko pokotem mieli się pokłaść towarzyszący dwom panom.

Reszta czeladzi mieściła się jak mogła na małym horodyszczu wśród wałów, a nawet poza nimi.

Noc była późna, Witold już wieczerzać nie chciał, powiadał się znużonym. Z dała pierwsze koguty piałły. Ręce sobie podali i rozeszli się do spoczynku.

Jagiello szedł do łoża z troską jakąś w sercu, wejrzenie ponure i ostre Witolda nic mu

dobrego nie zwiastowało. Miał on przenikliwość czasem wielką i odgadł, że mu jakaś burzę z sobą przynosił. Pewnie skargi na Zbyszka i na Polaków, pewnie rady jakie na ich poskromienie. Lecz...

za późno było rozhukanych wstrzymywać.

Legł król przewidując na jutro walkę, której nie lubił, czuł się słabym do niej. Słowem nie władał, a pokój tak kochał.

Dzień po nocy jasnej wstał cały obleczony mgłami, wilgotny, smutny. Słońce się wybić nie mogło z oparów, obłoków i mgły, która na błotach osiadła.

Znaleźli się oba przy rannym stole i kubkach wody świeżej, bo oba nic nad nią nie pili.

Witold był zadumany i milczący.

Rozmowa się z zimnych jakichś pieluch nie mogła rozpowić.

Na zły czas i na złą myśl Jagiełło miał jedno lekarstwo. Gdy jeść przestali, rzekł do Witolda:

— Jedźmy w las!

— Jedźmy, ale sami — odparł Witold. — Mam z tobą mówić na osobności, a żadne ucho ludzkie słyszeć nas nie powinno.

Jagiełło spojrział strwożony:

— Tajemnicę mi przywozisz?

— Wielką a smutną — rzekł Witold. — Cześć twoja i szczęście od niej zależą. Nie pytaj mnie tu. Jedźmy!

Konie zawsze w pogotowiu stały.

Myśliwcy Jagiełły, łowcy i komornicy sądzili, że im z sobą jechać każe. Dał znak ręką, aby pozostali. Ruszyli sami w milczeniu, już dla króla brzemienym trwogą. W duchu odmawiał jakieś zaklęcia i przypominał sobie, czy dnia tego lewej nogi wprzód nie ozuł przed prawą.

Dla niego to zawsze nieszczęście wróżyło. Dnia tego roztargniony, nie był pewnym, zdało mu się, że się mógł omylić.

Wyjechali na szeroki, pusty gościniec, konie szły powoli. Witold nachmurzony przed siebie patrzył.

— Mów, bo mnie to piecze... coś zapowiedział — zamruczał Jagiełło.

— Dowiesz się złego aż nadto prędko — rzekł Witold — ano mężem jesteś i serce

powinieneś mieć hartowne, niech cię to nie zatrzyma zbytnio. Na wszystko poradzimy.

Jagiełło słuchał nie mówiąc słowa, spluwał i rzucał coś poza siebie. Twarz jego wczoraj rozpozgodzona ciemniała i nabierała wyrazu zgrzybiałej starości.

— Dałem ci sam Sonkę — odezwał się Witold — masz ją z mojej ręki, jam winien i dlatego ratować cię chcę. Ona cię zdradza.

Król krzyknął i powstrzymał konia.

— Kłamstwem to jest! Sonka?!

— Słuchaj, bądź cierpliwy i mężny — przerwał ksiązę. — Na wiatr nigdy nie mówię słowa.

Patrzałem za ciebie, szpiegowałem, wiem i jestem pewnym, że ona ci jest niewierną.

Bładość żółta okryła twarz Jagiełły, głos zamarłmu w ustach i ledwie mógł wyjąknąć:

— Mów, mów wszystko!

— Miałem i mam na dworze u jej boku ludzi, co patrzyli na wszystko i donosili mi — rzekł

Witold. — Tyś stary, ona młoda, nie pilnowałeś, ufałeś jej i ludziom, co dziwnego, że cię ten los spotkał? Pół roku nie ma pana w domu, otworem drzwi. Na dworze młodzieży pełno, dobrała sobie ulubieńców, jest ich dość. Cieszysz się potomstwem, a...

Jagiełło nie dał mu dokończyć.

— Gardło dadzą! precz pójdzie! — zakrzyknął.

— Czekaj! Naprzód połapać potrzeba i dowieść winy... Żywa dusza wiedzieć o tym nie ma,

dopóki winowajcy nie będą w ręku. Mam ich imiona... Nim wiadomość dojdzie do Krakowa, trzeba się zabezpieczyć, aby nam nikt nie uszedł. Do mnie ich odeślesz, ja prawdy z nich mękami dobędę, jeśli jej dobrowolnie nie powiedzą. Tyś za słaby, ciebie oni łzami przemogą, okłamią. Do mnie przyślij dziewczęta jej, które pomagały do wszystkiego, do mnie ją samą odeślij pod strażą silną. Ja ją osadzę na zamku gdzie i zamknę... Winowajców pod miecz...

Król przerażony, z głową spadłą na piersi, nie mógł nic odpowiedzieć.

— Dziecko moje! syn! — zawołał rozpaczliwie. — Tak... syn to mój... ja go się nie wyrzekę...

— Syna ci nikt nie odbierze — odparł Witold — ale dość ci jednego... Z królową tą ty

dłużej żyć nie możesz... Ja jakem ją dał, tak zabiorę, a zaprawdę ciężki grzech odpokutuje ona dobrze... W wieży ją posadzę! na chleb i wodę, łotrzycę!

Z namiętnością wielką krzyknął to Witold rękę podnosząc do góry.

Jagięło jechał osłupiały, gniew w nim walczył z żalem, łkanie jakiegoś słowa mu tłumilo.

Chciał mówić i nie mógł.

— Witoldzie — przerwał zdobywając się na wysiłek. — Ona miała i ma nieprzyjaciół.

Patrz, by ją nie okłamano... Srogim występkiem byłoby ciemnić niewinną niewiastę.

— Ona niewinną! — wybuchnął Witold. — Ja ją od dziecka znam. Kiedym ci dawał młode i piękne dziewczę, przypomnij sobie, w Nowogródku mówiłem ci — strzeż się i pilnuj, bo to krew Rusinki, która gdy śpi, wydaje się jak woda zamarzła ale gdy się poruszy, ukropem tryska...

Jak by nie słyszał tych słów, Jagięło się zwrócił ku niemu:

— Imiona mi mów... imiona... kto?

— Komorników jej dałeś młokosów — zaczął Witold.

— Ochmistrem jest Nałęcz stary...

— Takim jak ty mężem, a on i ty obaście ślepi. Niewinien on, ale szlachta bezwasa, co za nią ogony nosiła i na usługach jej była... Pierwszy z nich, najulubieńszy... Hińcza z Rogowa...

Usłyszawszy to imię król się tak rzucił na koniu, że ten przelękły poskoczył z nim w bok i ledwie go mógł powstrzymać.

— Hińcza! ten! którego ja głaskał i pieścił! Zdrajca! on!

— A któż nas zdradza, jeśli nie ci, których my łaskami obsypujemy? — odparł Witold.

— Hińcza! — jeszcze raz powtórzył król zadumany.

— Ale i inni tam albo wspólnicy, lub pomocnicy tacy dobrzy jak on — dodał książę. —

Jaszko z Konięcpola,

Szczekocińskich dwu, Wawrzyn Zaręba...

Z zakąszonymi usty i oczyma iskrzącymi słuchał, po cichu sobie powtarzając te imiona,

król.

— Naprzód dwie jej pomocnice, co przy niej dniem i nocą na straży bywały i drzwi

pilnowały, wziąć potrzeba i wysłać do mnie — mówił Witold — dwie Szczukowskie, Kaśkę i Elżę, ja z nich wszystkiej prawdy dobędę... Sonkę ja znam! Z tej ani grozą, ani łaską nie wymożesz wyznania. Umrze, a nie powie nic. Sługi jej wyśpiewają mi wszystko... Tylko nie wydaj się zawczasu!...

Jagiełło już był pod władzą brata, chwilę krótką burzył się i walczył, teraz poddawał się wszystkiemu, czego on mógł wymagać.

Witold też czuł, że zapanował nad nim.

— Niczyjej oprócz mojej pomocy ci nie potrzeba — rzekł — ja biorę sprawę na siebie.

Sonki ani puszczaj na oczy, łzami cię zmiękczy, okłamię bezwstydną... Imiona winowajców ja ci dam, nie przebaczą żadnemu. Głową powinni nałożyć dla czci twojej.

— Pójdzie to po świecie... na srom mój — jęknął król — nie zataić tego...

— Nikomu to nie tajne już oprócz ciebie, nie masz co oszczędzać sławy straconej. W

Krakowie na ulicach, palcami jej ulubieńców wytykają. Znają ich wszyscy... Przykładnej kary potrzeba.

Król milczał, zatrzymał konia, jak by ku zamkowi chciał zawrócić, ale Witold jechał dalej.

— Mamy jeszcze do mówienia wiele — odezwał się — a ty ochłoń, aby, gdy powrócimy,

twarz cię nie zdradziła. Jedno słowo niebaczne, a słuszną pomstą się nam z rąk wyśliźnie. Sonka jest zreżną, na złodziejach czapka gore... Rozbiegną się najwinniejsi, a nam trzeba dowodów winy i wyznań. Wprawdzie mam to za pewne, co mi z Krakowa przyniesiono, i nie od dziś o tym wiem, ale dla ukarania Sonki zeznań potrzeba... Na męki ich, na męki!

Spojrząwszy na znękanego, zgiętego, wybladłego króla, Witold z gniewem dodał:

— Bądźże mężem, niech ci dla głupiej niewiasty serce nie pęka, niewarta ona tego...

— Ostatnią miał i miłowałem ją jak żonę i jak dziecko — odezwał się król bolejącym głosem. — Nie dziwuj się mi i nie łaj. Ostatek życia zatrąła, na kolebkę dziecka padł cień... nieprzyjaciele nasi...

Łkając mówił przerywanymi wyrazami, a Witold spoglądał nań śledząc jego uczucia. Chciał mu się dać wynurzyć, aby wiedział, co ma czynić dalej.

— Na Boga żywego — dodał Jagiełło — choć powiadasz, że wszyscy wiedzą o tym, potrzeba im gęby zamknąć, ostrożnie i tajemnie to spełnić, wrzawy nie budzić, oczów nie zwracać.

— Nie trzeba się samym oszukiwać — przerwał Witold — tajemnica się póty uchować może tylko, dopóki winnych nie weźmiemy. Sonkę pod strażą odeślij do mnie! Rozumiesz? Nie odpowiedział król.

— Na Boga — rzekł — o to się naradzić potrzeba... Na cóż mam ją odsyłać, jest u mnie zamków dosyć, osadzę ją na jednym z nich.

Rozśmiał się Witold szydersko.

— Ja cię znam — wtrącił gwałtownie — osadzisz ją, potem za nią zatęsknisz, odwiedzisz, przewrotna niewiasta rozplacze się, przebaczysz i weźmiesz na powrót do Krakowa.

— Nie — zawołał Jagiełło — zdrady jej nigdy nie daruję! Byłem dla niej dobrym, powolnym, ufałem jej, nie posądziłem nigdy... nie! Srogo zawiniła.

— Odeszlesz ją na Litwę — zawołał Witold nalegając. — Obstaję przy tym... U was ona ma i mieć będzie sojuszników, przyjaciół, pomocników. Ty sam za siebie nie możesz ręczyć.

Zadumany jechał jakiś czas Jagiełło, nie zdając się słuchać nawet Witolda, nagle podniósł głowę i wejrzał na brata.

— Ale przede wszystkim — zawołał — trzeba się o winie przekonać! Cóż to jest? Dotąd próżne gadanie ludzi, zazdrośników, wrogów. Na kogóż oni nie rzucą potwarzy? Wszak Gniewosz z Dalewic śmiał tę świętą panią moje Jadwigę obwiniać! Wszak łotry Annę spotwarzali! Tak samo i na Sonkę mogą...

— Nie! nie! — przerwał silnym głosem Witold — ty mnie znasz, ja łatwowierny nie jestem, nie śmiałbym ci pokoju zamącić, gdybym nie był pewnym tego, co mówię. Od roku śledzę. Chciałem być przekonany, wiem imiona, nazwiska, dni niemal, kiedy swawole na zamku wyprawiano. Daj mi Szczukowskie, co do nich dopomagały, Kaśkę i Elżę, a ja prawdy resztę dobędę.

Znowu król zdawał się przekonany i smutnie zwiesił głowę.

— Szczukowskie — rzekł — dobrze... ale jeśli je wezmą, popłoch pójdzie...

— Razem potrzeba komorników uwięzić — dodał Witold.

— Królowa w takim stanie, że podróży odbywać nie może — szepnął Jagiełło. — Ludzie, ludzie...

Witold ruszył ramionami.

— Czyń teraz z królową, co chcesz — przerwał z goryczą i niecierpliwością — ale gdy

zeznają kobiety, że winną jest, natychmiast ją precz odpraw... Osadzę ją w Krewię albo w Nowogródku, gdzie było wesele, aby opłakiwała winę swoją. Przebaczysz jej, gorzej cię wyśmieją ludzie. I tak szydzą już, iż królem jesteś ledwie z nazwiska, a szlachta ci pod nosem przywileje szablami rozcina. Dasz się jeszcze bezkarnie zwodzić żonie?

Król zamruczał coś niewyraźnie. Zawrócili nazad ku zamkowi.

— Dziękuję ci za przestrożę i pomoc ofiarowaną — odezwał się Jagiełło po namyśle. —

Tak lepiej będzie, zdam wszystko na ciebie... czyń, co uznasz potrzebnym, ale nie bądź okrutnym.

— Sprawiedliwym być muszę — odparł Witold. — Kto pobłaza złym, ten jest sam

przyczyną złego. Tyś za miękki; dlatego Polacy z tobą czynią, co chcą. Na twym miejscu — dodał

książę — wiedziałbym, jak sobie poczynać. Rozdałeś ogromne skarby i ziemi przestrzenie na kupienie sobie niewdzięczników, ja bym był mniejszymi pieniędzmi kupił znaczniejszych, aby resztę okiełznać, a przywileje ich ja bym szablą moją w kawały podarł...

Król głową potrząsał.

— Kupił? ty byś kupił? — odparł. — Kupże, spróbuj Zbyszka biskupa? kup Tarnowskiego i

Tęczyńskich? Dałbyś im królestwa całe, a nie wzięliby ich za sumienie swe... Ty ich nie znasz! A swobody swoje oni wyżej niż życie cenią...

Na to Witold tylko ruszeniem ramion odpowiedział. Szybszym krokiem powracali ku

gródkowi milczący. Pomimo że król doznane wzruszenie chciał ukryć przed oczyma ludzkimi, ci, co go znali, gdy zsiadał z konia w podwórzcu, postrzegli łatwo, że wielkiej doznać musiał przykrości.

Lecz nie było w tym nic nadzwyczajnego. Nigdy prawie spotkanie się z Witoldem nie przynosiło radości Jagielle, znosił zawsze od niego wymówki, walka była nie ustająca.

Nikt się nie mógł domyślać, o co chodziło, lecz z samotnej przejażdżki, w której nikt im nie towarzyszył, wnoszono, że sprawa ważną być musiała.

Panowie polscy towarzyszący Jagielle, kapelan jego, pisarz, łowczy, komornicy spoglądali na pana, który wczoraj jeszcze tak był wesół, z politowaniem.

Przy ludziach nie mogąc mówić więcej o tym, Jagiełło, zostawiony sam sobie z tajemnicą,

która mu ciążyła, na przemiany to się burzył i zemsty pragnął, to rozważał, czy Witoldowi, który już nie jeden dał dowód niechęci dla Sonki, zupełną mógł dać wiarę.

Przyrzekł mu w pośpiechu wszystko, zdał się na niego, teraz rozważał, jak to miał dokonać, co między nimi umówionym było. Potrzebował oprócz Witolda rady i pomocy czyjejs, a tej na próżno szukał koło siebie...

Sam jechać do Krakowa, aby spełnić wyrok, nie mógł. Znał nadto dobrze samego siebie.

Potrzeba było spieszenie wyprawić zaraz kogoś z rozkazem uwięzienia dwóch kobiet i

odesłania ich Witoldowi, a więc zwierzyć się z całej tej sprawy, którą Jagiełło rad był osłonić tajemnicą. Komu?

Przez cały dzień szeptali do siebie z Witoldem, a król dręczył się niewypowiedzianie.

Jedną trudnością więcej dodawała ta okoliczność, iż królowa, wedle dawniejszej umowy z

Jagiełłą, mając się spotkać na Rusi, musiała już gdzieś być w drodze ze swym dworem. Król do Krakowa, który mu obrzydł, jechać nie chciał. Lato i jesień miał spędzić w lasach około Przemyśla, a na zimę, jak zwyczajnie, udać się do Litwy. Po całej nocy bezsennych rozmyślań Jagiełło wstał

mniej niż wczoraj pewien, jak ma sobie postąpić. Witold zacięty widział już w tym wahaniu się zaród zmiękczenia, na które nie chciał pozwolić.

Gdy wyszli razem na rozmowę między drzewa, Jagiełło niemal płaczliwie domagał się

odłożenia całej sprawy. Witold wpadł nań gwałtownie z wyrzutami, iż on sam siebie szanować nie umie.

Przeciwko takim wybuchom Jagiełło siły do oporu nie miał.

— Ja wszystko biorę na siebie — krzyknął w. książę — tyś bezwładny i pozbawiony woli, przyrzeczesz, nie zrobisz nic...

Królowa musi być w drodze ku Przemyślowi, moich ludzi wyślęz twoim rozkazem, aby

Szczukowskie przywieźli, a komorników podług imion i nazwisk uwięzić kazali.

Chciał się opierać Jagiełło, mówić mu nie dopuścił Witold.

— Ja z moimi ludźmi milczenia przynajmniej pewien jestem — zawołał — bo wiedzą, że głowy ważą, gdyby śmieli mnie zdradzić, a ty na twoich rachować nie możesz.

Wymógł zaledwie Jagiełło, iż królowej nie mieli tykać, ani więcej nikogo nad dwie

obwinione kobiety zabierać z sobą, gdyż szlachty polskiej, gdyby kto inny oprócz króla porwał się na nią, wszystkie rody by broniły, póki wina nie zostanie dowiedziona.

Chociaż Witold śmiał się ze wszystkich zastrzeżeń prawnych, lekce je sobie ważąc, musiał na to przystać, że rozkaz uwięzienia komorników miejscowe władze spełnić miały.

Zaledwie się na to zgodzono i Jagiełło przyzwolił, a Witold swoim ludziom miał wydawać rozkazy, gdy król zawahał się znowu.

Przyszło do gwałtownej pomiędzy braćmi sprzeczki.

Żądał Witold, aby ludzie jego jadący po Szczukowskie zawieźli królowej rozkaz zawrócenia do Krakowa. Nie chciał, aby się z nią widział Jagiełło, obawiał się tego. On opierał się znowu, przyzwalając zaledwie na to, aby królowa tam, gdzie ją znajdą wysłani, zatrzymała się do dalszych rozkazów.

Księżę rzucał się i urągał.

— Ty więc zawsze jeszcze łudzisz się tą nadzieją, że ona się okaże niewinną! A ja ci

powiadam, zem pewny swego, że tu już tylko dla formy baby na męki weźmiemy... bo ja, co wiem, to prawdą jest.

Jagiełło nie dał się przekonać i nie ustąpił, do ostatniego kresu doszedłszy dalej pchnąć się nie dozwalał. Chciał mieć choć cień nadziei... Ostatek pobytu Witolda w Horodle zszedł na coraz burzliwszych scenach między nim a królem. Księżę lękając się, aby mu z rąk nie wysliznęła się ofiara, napadał na Jagiełłę, szydził i rozjątrzał go. Ten, powolny zwykle, wreszcie wymówki czynić począł. Zaledwie przy pożegnaniu z sobą złagodnieli nieco, a Witold dał słowo, iż się do woli króla zastosuje.

Po odjeździe księcia smutny i przybity król pozostał jeszcze w Horodle potrzebując

samotności i wypoczynku, lecz cudowna ta wiosna, którą się tak cieszył i nasycił przed kilku dniami, cały teraz urok straciła dla niego. Śpiewów ptactwa nie słyszał, bo w uszach brzmiała mu zdrada, nie widział nic przed sobą oprócz obrazu tej żony, którą kochał... niewiernej i

niewdzięcznej.

Łowczy chciał prowadzić króla na toki głuszców i cietrzewi, którym dawniej przysłuchiwać się lubił, Jagiełło odmówił. Było to najgorszym znakiem... wszyscy komornicy posmutnieli.

Siedział milczący po dniach całych, niepomnie wiele pił wody i mówił sam do siebie.

Przed obcymi nie umiał i nie lubił się wywnętrznić, unikał od nich, ale z poufałymi, którym wierzył, rad był nawet w najważniejszych sprawach radzić się i roztaczać żale przed nimi.

Tak też drugiego dnia wieczorem, gdy kapelan Mikołaj nadszedł, aby królowi, surowo posty wszystkie zachowującemu, suche dni przypomnieć, Jagiełło zwierzył się z ucisku serca.

— Bogu je potrzeba ofiarować — odparł kapelan.

Jest to wszystkim osłabłym ludziom właściwym, że sami brzemieniowi podołać nie mogąc

radzi się nim dzielą z drugimi. Nie powstrzymał się Jagiełło, charakteru kapłańskiego będąc pewnym, iż tajemnica dochowana zostanie, by się przed ks. Mikołajem na dolę swę nie poskarżył.

Na pierwszą wzmiankę o tym, co tu Witolda przywiodło i jakie oskarżenie ciążyło na

królowej, kapłan ręce załamawszy począł zaklinać króla, aby zbytnim pośpiechem, uległością gwałtownemu księciu, nie popełnił niesprawiedliwości.

— Miłościwy królu — zawołał — najuboższa niewiasta, chociażby kmiecia żona, gdyby ją obwiniono, miałyby prawo domagać się dowodów. Cóż dopiero, gdy o królową idzie, o matkę

twojego następcy? o niewiastę na tron wzniesioną? Kobiety zastraszone, zagrożone mękami mogą ją niesłusznie słowy nieopatrznyimi podaćw podejrzenie. Stanie się krzywda straszna, o pomstę do Boga wołająca!

Król wyznał naówczas, jakie już wydane zostały rozkazy, z którymi Witold miał swoich

urzędników wyprawić. Kapelan nastawać począł, aby zaufanego kogoś Jagiełło wyprawił od siebie, który by, jeżeli można, Witoldowych uprzedził i czuwał, by się na królowę nie targnęli.

Słowa przekonywające ks. Mikołaja poruszyły króla, zaniepokoiły go, uląkł się, pożałował pośpiechu. Lecz cofnąć się, zapobiec zdawało za późnym, a rozgłaszać zawczasu obawiał się.

Chciał Witoldowi ufać i wierzyć, to gniewał się na niego.

W orszaku królewskim szczęściem znajdował się mąż powagi wielkiej, któremu Jagiełło

długimi laty nauczył się ufać, jako wiernemu urzędnikowi i słudze. Był nim Zbigniew z Brzezia, marszałek, do wielu już posług, poselstw i spraw najważniejszych używany, zawsze w nich

szczęśliwy, a urzędem swym i znaczeniem w kraju zajmujący stanowisko, które mu w każdym razie wystąpić dozwalało energicznie.

On jeden mógł być wyprawionym do królowej i czuwać, aby nie popełniono, co by się później naprawić nie dało.

Jagiello musiał mu się zwierzyć. Nikt lepiej nad Zbigniewa z Brzezia, z urzędu stojącego przy królu, nie znał jego charakteru, stron słabych i dobrych. Przyjazd Witolda, potajemne rozmowy, zmiana usposobienia Jagielly, który wpadł w smutek i zadumę, dozwalały się już

domyślać marszałkowi, iż coś niepomyślnego przyszło z Litwy. Prędzej jednak dorozumiewał się nowych trudności z Krzyżakami, z samym Witoldem, coraz niespokojniej targającym węzły, które Litwę z Polską łączyły, niż takiej zemsty nad królową.

Gdy Jagiello wezwał go przez swego kapelana do swej sypialni i z gburowatością sobie właściwą opowiedział mu wszystko, marszałek struchlał z trwogi i oburzenia.

— Miłościwy panie, to są niegodziwe potwarze, należało je odeprzeć... nie mamyż my

środków dowiedzenia się prawdy, ludzi wiary godnych, abyśmy się uciekali do Witolda i dawali mu mieszać się do spraw naszych? Około królowej jest siła ludzi zacnych, jak Nałęcz Malski, ochmistrz jej, mąż godzien wiary i poszanowania. Na co nam tu burzliwy i namiętny książę litewski?

Trafiłoby to pewnie do przekonania króla, gdyby nie przyszło za późno. Jagiello wstydził się przyznać, iż pośpiechem zgrzeszył, że się dał zakrzyczeć i wyrwać sobie zezwolenie. Musiał więc bronić się i sam w siebie wmawiać, że królowa była winną.

Począł marszałkowi podawać imiona, powtarzać wszystko, co słyszał od brata, tłumaczyć się, że inaczej postąpić nie mógł.

— Ona jest jego siostrzenicą! On by przecież własnej krwi i rodowi nie czynił zakały, gdyby nie był pewnym winy! — zawołał. — Nie pozwoliłem tknąć królowej, dopóki przekonaną nie będzie.

Sam z siebie marszałek się zaofiarował natychmiast nocą i dniem pędzić na szlak wiodący z Krakowa na Ruś, dognać królowę i stanąć na straży, aby oprócz skazanych już na wydanie

Szczukowskich nikt nie był pokrzywdzony. Komorników wziąć pod straż, gdy była wola królewska, chciał dać kazać dlatego, aby się oczyścić mogli.

Zbigniew z Brzezia, któremu wszystko, co się na dworze działo, tajnym nie było,

przypomniawszy królowi, iż ludzie, co otaczali królową Jadwigę, w ciągłej wojnie z dworem Sonki nawzajem wymyślali przeciw sobie jawnie kłamliwe oszczerstwa.

Stąd więc łatwo doniesienia mogły pójść do Witolda, który niechęć mając do siostrzenicy więcej im dawał wiary, niż należało.

Marszałek zachwiał znów królem, ale razem obudził w nim żal niezmierny, iż się dał Witoldowi ująć i bez porady niczyjej zdał na niego sprawę.

Tegoż dnia Zbigniew z Brzezia wyruszył w pogoń, z obawą wielką, iż za późno przybyć może... a Zbramir, łowczy i ulubieniec Jagiełły, znający słabość jego i pragnący pocieszyć i rozerwać pana, dopóty mu opiewał piękność lasów i wielkość zwierza w nich, aż smutnego skłonił, że psy i konie gotować kazał i sokolników biorąc z sobą wyruszył z Horodła w puszcze nadbużne.

W myśli może przypuszczał, iż ku swej Rusi ciągnąc dalej spotka przypadkiem królowę?

Chciał ją choć raz widzieć jeszcze...

IX

Wesoło ciągnęła Sonka z wyborem dworu swojego na Ruś, gdzie się z królem spotkać

miała. Towarzyszyły najulubieńsze sługi i komornicy najzaufansi, ci, do których była nawykłą, bo jej duszą i sercem oddani byli. Stara Femka nie opuszczała jej nigdy, bo bez niej się obejść nie mogła. Kasia i Elża Szczukowskie swą wesołością, szczebiotaniem, rozmową, znoszeniem wieści, które jednostajne życie ożywiały, umiały się też stać niezbędnymi.

Komornikom przewodził Hińcza z Rogowa, który najpoufalszym i najśmielszym był, a

Sonce najmilszym, bo wiedziała, iż wierniejszego nad niego nie miała. Piotr Kurowski, Wawrzyn Zaręba, Jan Kraska, Jaszko z Koniecpola, dwu Szczekocińskich, ci wszyscy, przeciw którym Strasz skarżył, znajdowali się w królowej orszaku. Z Krakowa do Medyki, gdzie się Sonka z mężem spotkać spodziewała, wiosennymi dniami powolna podróż była jakby dla zabawy przejażdżką.

Stanownicowie jechali przodem gotując noclegi, szły wozy kuchenne i czeladź za nimi, a

gdziekolwiek przybywała pani, witali ją wójtowie, sołtysi, starostowie i zawczasu wszystko tak było przygotowanym, aby jej i dworowi na niczym nie zbywało.

Lud cisnął się, aby widzieć piękną młodą królowę, która na przemiany konno i na wozie z

wolna dążyła do celu podróży. Przybywając na nocleg już wszędzie znajdowała izby smółką

powykadzane, wysłane matami i kobiercami, świeże siano na posłanie i ogień na kuchni, przy którym gotowały się ryby, piekły, dostarczane ochotnie, zwierzyna i ptactwo.

W niejednym miasteczku wychodziła starszyzna z gędźbą, z piszczałkami, z gęśłami i lirami, pieśnią witając królowę, a w kościołach uderzano w dzwony.

Sonka wstępowała do kaplic, po drodze modliła się ze swym dworem.

Nie było smutnej twarzy koło niej ani w żadnym sercu przecucia burzy... Owszem, wyrwawszy się z murów i zamknięcia, dwór jakby odżył, cały był w śmiechu i swawoli.

Zrywano po drodze kwitnących czeremch gałęzie i osłaniano nimi wozy. Dziewczęta plotły wianki sobie i swej pani, komornicy wyścigali się przynosząc najświeższą wodę i najbielsze kołacze.

Sonka też była godzinami wesołą bardzo i śmiała się z innymi, nie miała żadnego powodu do smutku, a jednak na noclegi przybywając skarżyła się Femce, że ją czarne myśli ścigały. Sama nie wiedziała, skąd one płynęły... Dziecię zostawiła zdrowym, chowało się na podziw żwawe i rzeźwe, a piękne jak matka.

Femka rozpraszać się starała chmury i napędzała dziewczęta, aby panią zabawiały.

Więc śpiewano wieczorami i prawiono baśni, a często łapano i stare niewiasty, aby wróżyły, i dziewczęta, aby wiejskie swe proste zawodziły śpiewy, których królowa słuchała rada.

We dnie około wozów jadący komornicy nigdy wytrwać nie mogli spokojni, wyścigali się na popis, biegali, podrzucali oszczepy i obuszki łapiąc je w powietrzu, ucierali się z sobą wesoło wyprawiając turnieje.

Nie postrzeżono się tak, gdy cel podróży, Medyka była już bardzo blisko. W starym wielkim dworze tamtejszym, dobrze znanym królowi i Sonce, otoczonym szopami i zabudowaniami, na oba dwory miejsca było dosyć. Rozbijano też dla pośledniejszej czeladzi namioty, gdy było potrzeba.

Król w lasach tutejszych zwierza pełnych różnego nie tylko polować lubił, ale po nich się uganiać i tej ciszy pustynnej wśród drzew zażywać, która mu nad ludzi towarzystwo milszą była.

Nazajutrz stanąć już miała Sonka w Medyce. Nocleg przypadał w wiosce, która dworu nie

miała, tylko wielką gospodę, a z tej wyrzucono dla królowej, co żyło, i parę chat sąsiednich przygotowano także dla dworu. Burza po południu trochę wstrzymała podróżnych, bo się przed ulewą schronić było potrzeba, na nocleg więc już po nocy dociągnęli. Troskliwi stanowniczo wie parę beczek smolnych na targowicy przed gospodą zapalili, aby weselej królowej było. Z

okrzykami i śmiechy dwór stanął i rozgaszczać się począł.

Hińcza, który wszędzie rej wodził, pierwszy skoczył gospodę opatrzyć; nie wydała mu się piękną, lecz innej nie było.

Stoły już znaleźli pozastawiane i zapach pieczonych mięs ich dolatywał. Hińcza zabierał się i tu marszałkować, gdy do konia swego wybiegłszy, bo szlachcic o nim zawsze musiał jak o sobie pamiętać, usłyszał z boku sykanie.

Odwrócił się, lecz wśród ciemności nikogo widać nie było. Sądził, że ono nie do niego się stosuje, i konia, popuściwszy popręg, miał prowadzić do żłobu, gdy syk ów natrętny, bliżej jeszcze dał mu się słyszeć, a przy nim jakby imię jego, głosem znajomym, choć na razie do rozpoznania trudnym, wymówione żywo.

Sądził, że który z towarzyszków sobie igraszkę z niego czyni, gdy z ciemności wynurzyła się twarz i ręka, która mu znaki dawała.

Nie mógł poznać, kto był, lecz wiedział, że nikt z towarzyszków podróży. Konia więc dając jednemu ze swoich skoczył w tę stronę, skąd go dochodziło sykanie.

Zza zrębu gospody ręka znowu dała mu znak, wpadł więc między dwie ściany, w ciemny kąt i nie wiedział, co dalej miał począć, gdy go ktoś ujął za rękę i w głąb tego zaułka pociągnął.

Hińcza sam już nie wiedział, co się z nim działo. Od ulicy i smolnych beczek jedna ze ścian słabym była oświetlona odblaskiem, więc żywy a niecierpliwego tego, który go prowadził,

chwyciwszy ku światłu zajrzał mu w oczy i krzyknął:

— Kormaniec!! A ty tu skąd?

— Ts! ts! — odparł dyszący niespokojnie człek i oglądając się dokoła jeszcze dalej w głąb po śmieciach i brudach go prowadził.

Hinczę nie wiedzieć czego strach jakiś ogarnął.

— Stój-bo — rzekł — mów, skądżeś się tu wziął? czego chcesz?

Kormaniec ten należał do gońców królewskich (kursorów), których nieraz z pismami wyprawiano, a był Hinczy dobrze znany z tego, że mu on życie ocalił, gdy go w Krakowie, zasadziwszy się nań, zbóje opadli na grosz łakomi.

Kormaniec, poczciwy człek, przywiązał się do Hinczy potem tak, iż mu niemal jak pies

służył. A był Rusin, ale spolać, dobrego serca, prostoty wielkiej i, choć wydawał się jakby czterech zliczyć nie umiał, chłopski rozum miał wielki.

Zjawienie się Kormańca nie byłoby dziwnym, gdyby nie to, że się tak sobą taił. Na gońcu, chociaż silnym i nawykłym do podróży a wytrzymałym, widać było znużenie niezmiernie.

Wyprowadziwszy zaufkiem Hinczę za gospodę, nie mówiąc nic, nie odpowiedziawszy na zapytanie, Rusin na kawałku pustym pod płótem pokazał mu tylko leżącą szkapę, ze łbem zadartym, z bokami wciągniętymi, która przed chwilą może padła, aby już nie powstać.

W prosty ten sposób Kormaniec powiedział Hinczy, iż tak pędził spieszno, aż mu koń się tu pod płótem wyciągnął.

— Sława Bogu — rzekł tchnąwszy — iż choć nie darmo. Hińcza patrzył zdziwiony.

— Król cię posłał?

Kormaniec głową potrząsnął i uderzył się w piersi dłonią szeroką.

— Ja się sam posłałem — zawołał — aby wam, a może jeszcze komu życie ocalić.

Zbladł Hińcza i słowa nie mógł przemówić.

— Wy mnie z rąk zbójom wyrwali — dodał Rusin. — Bóg dał, że się wyplączę.

Cieężko mu mówić było, ocierał pot z czoła i stękał.

— Słuchajta — dodał. — Król w Horodle z wielkim księciem Witoldem się zjechał. Poszli z

sobą gadać, aby ich ludzie nie podsłuchali, między drzewa, co za grodkiem nad wodą stoją, a ja tam leżałem w krzakach... Siedli o trzy kroki ode mnie, a gdy mówić z sobą zaczęli, już mi się ruszać nie było można. Witold by ubił... Musiałem leżeć jak trup i śpiącym się uczynić.

Kormaniec zatrzymał się trochę.

— A wiecie, co mówili z sobą? — dodał. — Że królowa pana naszego z wami zdradza, że

was wszystkich trzeba do ciemnicy i pod miecz dać. Panny, co są przy królowej, Witold posłał

zabierać, aby je na męki brać. Was, Wawrzyna, Jaszka, Piotrasza, Dobka, Jasia, król kazał wnet uwięzić, a sierdził się i odgrażał gardłem. We mnie słuchając tchu nie stało i ledwie doleżał, a gdy potem przyszło wstawać, jakby połamane kości wszystkie czułem w sobie... Nie pytaj, jakem siadł i zbiegł, i jak powrócę, nikomu nie mów nic, siebie ratuj! Konia wyprowadź i uchoź!

Stał słuchając Hińcza, oniemiały z zadziwienia i strachu.

Los biednego człowieka nie obchodził go wcale, o własnym nawet zapomniał, na oczach mu stanęła nieszczęśliwa królowa.

Co miał począć? Ona uchodzić nie mogła, jej oznajmić nawet o niebezpieczeństwie nie było podobna... Popłoch rzucić zawczasu między kobiety, kto wie, czy się godziło i przydało na co?

Siebie i towarzyszków swych niewinnymi znał, ale co tu miała pomóc niewinność, gdy groziły męki i pytki? Hińcza wiedział i widział, jak w sądach prawdy się dowiadywano. Ciarki po nim przeszły.

Uciekać? To znaczyło podać się w winy podejrzenie, lecz na pierwszy ogień się nastreczyć?

Hińcza sparł się o płot, oczy w ziemię wlepił i, choć Kormaniec pociągnął za rękaw, powtarzając swoje: — Uchodź, pókiś cały... uchodź — tak mu się w głowie zamąciło, iż nie wiedział sam, co z sobą, co z drugimi poczynać.

Wszystkim ujść, znaczyło i królowę nastraszyć, i sobie ucieczkę utrudnić... Zostawić na łup towarzyszków, cześć i sumienie nie dozwalało...

— Bóg świadek — zawołał — to potwarz, to kłam bezczelny! Królowa niewinna, my czyści!

— Ale gniew króla i Witolda! — przerwał Kormaniec. — Pytać nie będą... dacie gardło... głodem zmorzą... Uchodź!

— Wszystkich nas obwiniał książę? — zapytał Hińcza.

— Słyszałem wasze imię pierwsze... Jaszka z Koniecpola i Piotrasza z Dobkiem... Mówił i o innych, ale na was i na nich najwięcej nastawa!... że panny po nocach drzwi pilnowały.

— To ten łotr Strasz zemścił się na nas, zdrajca niepoczciwy! — krzyknął Hińcza. — Na nas niechby się mścił, pies ten wściekły, ale królowej nie darował.

Kormaniec zamruczał:

— Królowę Witold chce zabrać na Litwę.

Obie ręce ścisnęły się Hinczy, porwał się potem za włosy, rozpaczał kręcąc wkoło jak obłąkany, a Rusin za rękawy go chwycił i jedno prawił:

— Uchodź! Ono Litwinów nie widać!

— Sam jeden nie mogę! — krzyknął wyrывая mu się Hińcza — albo zginę z drugimi, lub choć tych, na których srożej się odgrają, ocale.

Posunął się już parę kroków, a potem jak by coś sobie przypomniał, zwrócił się, Kormańca pochwycił za szyję i całując zawołał:

— Bóg ci to zapłaci!

— Uciekajże — powtórzył Rusin — bo ja przepadnę i wy się nie uratujecie... Gdy zatętni na gościńcu, nie pora będzie... Ino ich nie widać, Litwinów.

Hińcza oprzytomniawszy skoczył zaułkiem do gospody, z której jak na przekorę śmiechy

kobiet i głośnie żarty komorników dochodziły go. Serce mu się ścisnęło, jak by pęknąć miało... Jak tu było rzucić pośród to wesele takim piorunem?

Staął w rogu gospody, odpadła go odwaga, w głowie się splątało. Kormaniec, który biegł za nim, mrucał głosem drżącym:

— Bierz konia i uchodź.

Zza ściany słyszał wesoły głos królowej, która gromiła swawolę dziewcząt, i Wawrzyna,

który się ze śmiechu dusił, a z szerokich sieni dolatywały żarty czeladzi i śpiewki dziewcząt służebnych, z którymi się gzili.

Niepewien siebie, na pół nieprzytomny, Hińcza skoczył naprzód do konia i stajennemu krzyknął:

— Nie zdejmuj siodła, ja jadę zaraz!

Potem wpadł blady do pierwszej izby, w której nie było nikogo, oprócz Jaszka z Koniecpola i dwu Szczekocińskich. Ci spojrzawszy na niego z twarzy mu przeczytali nieszczęście jakieś; wchodząc jak pijany potknął się na progu.

Wesołym towarzyszom, którzy w Hinczy jakby wodza swego widzieli, śmiech zamarł na

ustach. Domyślali się, że porywczy zawsze musiał się zadrzeć o coś z wójtem albo sołtysem i może go ubił... Nic innego przypuścić nie mogli.

— Coś ty zrobił? — zawołał przyskakując Jaszko z Koniecpola.

Odurzony Hińcza, jeszcze pod naciskiem tego, co mu Kormaniec powiedział, krzyknął

głośno:

— Jam niewinny! Bóg mnie skarż! Jam niewinny! Wszyscy go obstąpili; on postrzegł się,

że wygadał się i zdradził. Zdawało mu się, że może najlepszym było pójść o wszystkim oznajmić królowej... ale nuż Kormaniec się przesłyszał? Po co ją było straszyć? Jakie jej mogło grozić niebezpieczeństwo? Hińcza jednego się lękał, aby w pierwszym popędzie gniewu ich jako

mniemanych winowajców nie pozamęczano.

Zamiast więc iść dalej, zwrócił się do progu nazad dając znak Jaszкови i towarzyszom, aby szli za nim. Wszyscy razem wybiegli do sieni. Hińcza nic nie mówiąc prowadził ich do szopy, w której konie stały.

Sam zaraz przystąpił do swojego wierzchowca, okiełznał go, popręgi podciągnął i

wyprowadził od żłobu.

— Co się to ma znaczyć? — zawołał Jaszko z Konięcpola. — Mów!

— Co — rzekł półgłosem Hińcza. — Oto że i wy powinniście konie brać i ze mną w świat ruszyć, nie chcieli, aby was na męki brano.

Zbliżył się do Jaszka.

— Królowę Witold oskarżył, że niewierną się stała, a nas, że my jesteśmy ulubieńcami

królowej. Już za nami gonią, aby nas do więzienia rzucić...

Oszupieli słuchający. Dwaj Szczekocińscy, chłopcy pieszczone i, choć im na męstwie by nie zbywało do boju, trwożące się ciemnicą, kaźnią i sądem, porwali się nie pytając więcej do swych koni.

Jaszko z Konięcpola stał uszom nie wierząc.

— Oszalałeś? skądże ci to? — zapytał.

— Nie pytaj! — ofuknął Hińcza, który już strzemię szukał po ciemku i zabierał się konia dostać.

— Chcesz wierzyć, dobrze... nie, nie. Miłe ci życie i zdrowie, uciekaj... wolisz się zdać na łaskę siepaczy, wola twoja. Ja bodaj na Węgry, do Czech, do diabła ujdę, aby mi stawów nie wyciągano. Królowa okaże swą niewinność, naówczas, będąci żywi, powrócę.

To mówiąc i nie mając już ochoty do rozprawiania Hińcza siodła dopadłszy konia ściągnął

batem i tylnymi drzwiami z gospody się wydobył. Stał chwilę oszołomiony nie wiedząc, w którą jechać stronę, aby nie wpaść na ludzi Witoldowych, i po krótkim wahaniu na konia się zdawszy, choć ten nazad do gospody zawracał, na wieś wyjechał, a pierwszą ścieżyną, jaką napadł, puścił się w lasy.

Jaszko z Koniczyna jeszcze myślał, czy uciec, czy zostać, gdy oba Szczekocińscy już konie swe wyprowadzili tą samą drogą co Hińcza na tyły znikli.

Na ostatek oprzytomniał i ostatni z nich, westchnął. Co miał robić? Poszedł po swoją szkapę smutny i nie spiesząc do zbytku zakrzętał się około siodła.

W tejże chwili usłyszał w rynku tętent koni i krzyki głośnie, dopytywania o gospodę królowej.

Po mowie rusińskiej domyśliwszy się ludzi Witoldowych Jaszko konia już wprost za grzywę pochwyciwszy co prędzej z nie okiełznanym wybiegł precz...

W gospodzie panowała jeszcze wesołość i dziewczęta królowej posłyszawszy wrzawę na targowicy powychylały się z okien, śmiejąc się a nie domniemywając wcale, aby im jakie niebezpieczeństwo grozić mogło, gdy już ludzie litewscy dokoła poczęli otaczać dom cały.

Reszta komorników i służby królowej wybiegła patrzeć, co się tam takiego stało, a tuż straż Witoldowa, kogo tylko zoczyła, natychmiast chwycić zaczęła. Wszyscy prawie byli bezbronni, nikomu na myśl nie przyszło, żeby się napaści jakiej trzeba opierać było.

Królowę, która tylko *co* siadła, aby spocząć, obudził krzyk. Postrzegła, że cały jej męski dwór już był w sieniach, a tam z krzykiem i borykaniem się sługi jej wiązano.

Dziewczęta sądząc, że to napad tatarski, biegły przerażone.

Jedna Femka śmielsza rzuciła się przeciwko napastnikom i poznała w nich sługi Witolda, a na czele Siemionka Horbuna, połoczanina, którego znała dobrze.

Nie mogła pojąć, ani co oni tu robili, ani skąd się wzięli. Z załamanyimi rękami wpadła na Rusina.

— Siemion! — krzyknęła — coś ty do rozbójników przystał?... To gospoda królowej...

Spojrzał na nią z góry Rusin i ręką wskazał, aby precz szła, ale Femka nie ustępowała.

— Siemion, królowa!

— A co mnie wasza królowa! — odparł sługa Witoldów — milcz, stara wiedźmo... Gdzie dziewczki wasze?

Femka nie mogąc już mówić patrzyła, jak Wawrzyna Zarębę, Pietrasza Kurowskiego,

Krasnę wiązano, a krzyczano dopominając się Hinczy...

Siemion potem, jak stał zbrojny, wpadł zuchwale do izb królowej szukając Kaśki i Elży, o które się dopominał głośno.

Słyszając imiona swe wykrzykiwane wbiegły z płaczem tuląc się pod skrzydła królowej, która blada od gniewu wystąpiła naprzeciw Siemiona. Napad ten był dla niej niezrozumiały.

— Co to ma znaczyć? — zawołała z powagą królewską — jak śmiesz gwałt taki czynić pod moim bokiem?

Słów jej nie stawało. Siemion wyprostowany stał przed nią, nawet się nie pokłoniwszy.

— Rozkaz mam króla Jagiełły i pana mego wielkiego kniazia, abym komorników waszych i dwie dziewczki Szczukowskie uwięził. Siłą, mocą, a wziąć je muszę.

Rozdzierające krzyki dały się słyszeć z drugiej izby. Sonka drżąca, nieporuszona, blada, szukała oczyma Femki, dworu swojego rozproszonego. Nikogo nie było. Z sieni tylko dochodziły wrzaski, wśród których rozpoznawała głosy Wawrzyna, Pietrasza, Kraski, krępowanych i mordowanych przez Litwinów.

Użycie tych ludzi naprowadzało ją na myśl, że Witold był sprawcą tego i że na nią wymierzoną została ta napaść.

Z dumą pańską spojrzała na Siemiona szydersko.

— Zapewne i mnie przyszedłeś wziąć w niewolę — zawołała — no, to zabieraj i mnie z nimi.

Siemion potrząsnął głową.

— Szczukowskie mnie wydacie — dodał. — Komorników kazano mi oddać do więzienia i pod straż.

Rozmowa dłuższa z siepaczem zdała się królowej ubliżającą, choć drżała z oburzenia i gniewu, choć ją płacz dusił, zawróciła się z pogardą do drugiej izby nie mówiąc słowa i dopiero w progu krzyknęła na Femkę.

Tymczasem Kaśka i Elża widząc, że ich bronić nie ma komu, spłoszone, nieprzytomne pobiegiły do okna i skoczyły nim na podwórze. Tu ludzie Siemiona je porwali.

Wszystko to odbyło się tak gwałtownie i szybko, że we wsi, w której był kościół, parafia i ludność znaczna, z początku wieśniacy ulękli się Tatarów... Po chwili dopiero opamiętali się, że garść była nieznaczna, a wybiegający ksiądz dowiedział się, iż poczet ten z rozkazu króla był

wysłany. Lud gromadził się ciekawy, wieści obiegały niedorzeczne, trwoga szerzyła się nie do opisanego.

Królowa osłabiona padła na posłanie trzymając Femkę za rękę i płakać zaczęła rzewnie, zanosząc się, jęcząc.

Litwini tymczasem jeńcom nakazawszy milczenie trwali jeszcze przy gospodzie stojąc i szukając po kątach tych, których im nie dostawało. Cisza dziwna, groźna jakaś nastąpiła, przerywana płaczem kobiet... Noc zapadła od dawna była...

a ku wschodowi blade brzask zorzy porannej już się zaczął ukazywać, gdy na tej samej

drodze, którą nadciągnęli Litwini, tętent koni się dał słyszeć głuchy i daleki naprzód, potem coraz wyraźniejszy... Oddział jakiś nadbiegał znowu. Siemion, który na czatach stał, obawiając się napaści wnet na swoich krzyknął.

Wprędce w ulicy ukazało się kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt koni, ludzie zbrojni, rycerstwo polskie, dwór jakiś pański. Był to nadbiegający Zbigniew z Brzezia, marszałek, który przed gospodą z konia zsiadłszy natychmiast Siemiona powołał groźnie do siebie.

Litwin widział go przy królu i nie mógł wątpić, że od niego przybywał.

Marszałek zapytał o sprawę całą szorstkim i krótkim słowem i kazał sobie zdać komorników królowej. Dwie Szczukowskie nie mówiąc nic zostawił w ręku Siemiona i kazał mu się samemu z oddziałem wynosić stąd.

Ani się śmiało opierać połoczanin. Związanych komorników gdy prowadzono, Zbigniew zapytał o tych, których niedostawało, lękając się, aby ich osobno nie wiązano, ale czeladź

świadczyła, że ich nie ujęto. Femka, która czuwała nad królową, pierwsza postrzegła przybycie Polaków i dała o nim znać pani.

Marszałek też sam powoli, dopytawszy o królowę, ociągając szedł do niej; kosztowało go to wiele być zwiastunem złej wieści, lecz mógł też być dobrą radą uciśnionej. Gdy wszedł po cichu na próg izby pustej, w której nie tknięty stół do wieczery był przygotowany, a spostrzegł w drugiej komorze słabe światło, boleśnie go dotknął los kobiety...

Szedł z wolna... Femka usłyszała kroki i wyszła naprzeciw niego.

Pokłoniła mu się do kolan z płaczem.

— O, panie! panie! ratuj nas! ratuj! Królowa tego nie przeżyje....

Szepcząc coś niewyraźnie prowadziła go do niej. Leżała, nie rozdziawszy się, w sukniach podróżnych, blada i zmieniona do niepoznania, piękna Sonka... Na próżno ocierała łzy i tłumiła jęki, srogi żal nie dawał jej spoczynku.

Wyciągnęła rękę do nadchodzącego. Marszałek stał przed nią pokorny, przemówić nie śmiejąc.

Milczenie jego tłumaczyła przytomność Femki; królowa kazała się jej oddalić i powoli z łoża się podniosła. Z rękami załamany zbliżyła się do marszałka.

— O! ja nieszczęśliwa! — zawołała łkając — na to mi on dał koronę... na to, aby mnie okryć sromotą... I nikt, nikt nie przyjdzie mi na ratunek! Zaprzysiągł się zgubić mnie Witold... O! niechbym umarła wprzód!...

Zbigniew z Brzezia przerwał.

— Miłościwa pani — odparł — nie umierać trzeba, ale żyć, aby tę potwarz zmyć. My wszyscy staniemy w waszej obronie. Ochmistrz wasz, Malski, poważniejsi ludzie, żony nasze... Król jest łatwowierny... Wielki książę mściwy...

Słyszając to nieco śmieiej podniosła głowę zboląłą królowa.

— Zabrali mi dwie najulubiejsze sługi... Komornicy wszyscy...

— Książę Witold domagał się gwałtownie tych dwu dziewczek — rzekł marszałek — komorników nie daliśmy, uwięzieni są, ale i ci się oczyścić mogą.

Stojąc rzucała głową rozpaczliwie królowa.

— Na matkę swych dzieci, na żonę, rzucić taką potwarz dozwolić, uwierzyć słowu mściwemu... Cóż się ze mną stanie... Macież wy rozkaz mnie uwięzić? Dokąd zaprowadzicie?

— Ja nie mam żadnego rozkazu — rzekł marszałek — wolą jest króla tylko, abyś miłość wasza, nie czekając na niego na Rusi, udała się z powrotem do Krakowa.

Królowa, już nieco ochłonawszy, zadumała się.

— Ratujcie wy mnie — rzekła — pomóżcie mi. Ja nie wiem, o co mnie obwiniono, ale się

domyślam łatwo. Niechże z ust męża wiem, jakie ma dowody winy, niech mnie skazanej bez sądu da się wytłumaczyć przed sobą. On jeden sędzią moim być może. Ja się z nim widzieć muszę... ja nie pojedę stąd, chyba mnie weźmiecie gwałtem, jam chora... Jam srodze dotknięta i obrażona... ja potrzebuję sprawiedliwości.

Mówiła i łkała ręce łamiąc, a marszałek stał i wzdychał.

— Miłościwa pani — odezwał się w końcu — choćbym się miał królowi narazić, nie będę naglił na wyjazd do Krakowa. Jutro zajedziemy do Medyki. Król tam nadciągnąć musi.

Żywo podeszła Sonka ku niemu i podała mu ręce obie. Skłonił się marszałek. Łzy jej osuszyło oburzenie, które zastąpiło pierwszy wybuch bóleści. Poczęła mówić podnosząc głos z powagą.

— Mógłże on, mógłże ktokolwiek uwierzyć w tę potwarz niegodziwą? Cały świat patrzył na życie moje... Nie kryłam nic, bom nic do ukrywania nie miała. Jam niewinna, a żem się czuła taką, nie dbałam o pozory. O co mnie obwinie mogą? A Jagiełło... uwierzył...

— Witold go zmógł, przymusił — rzekł marszałek.

— I on wiecznie mu poddanym będzie, nigdy panem u siebie? nawet w domu? w sypialni nawet?!... — zawołała Sonka.

Marszałek nie chciał jej dać dłużej rozbolewać skargami, wstrzymał uspakajając, prosząc, ciesząc, zapewniając, że za nią ujmą się ludzie i królowi nie dopuszczą samego siebie okryć sromem.

Dniało już, gdy Zbigniew z Brzezia wyszedł smutny od królowej, którą Femka zmusiła

pójść na spoczynek. Lecz trwał on krótko. Sonka nie chciała dłużej bawić w miejscu, gdzie ją spotkało nieszczęście takie, i domagała się, aby natychmiast jechać do Medyki.

Litościwy i wyrozumiały marszałek zastosował się do tej woli. Zmniejszony dwór połączył się z poczem Zbigniewa i w milczeniu ruszył ku Medyce.

Królowa przybywszy tu powtórzyła marszałkowi, iż dopóty tu mieszkać będzie, dopóki się z królem nie zobaczy. Jagiełło miał wkrótce nadciągnąć, lecz można było przewidzieć, iż zechce spotkania z żoną uniknąć i od Medyki, dowiedziawszy się o niej, zawróci.

Radził więc marszałek, aby raczej szukać Jagiełły gdzie indziej. Królowa zgodzić się na to nie chciała.

Dano wreszcie wiedzieć, że król przybywa. Marszałek zmuszonym był wyjechać na jego spotkanie.

Zostawiony sam sobie Jagiełło przez ten czas cały dręczył się i tym, co uczynił, i tym, co dalej pozostawało do czynienia. Potrzebował rady, której nikt mu dać nie mógł.

Sumienie go gryzło i jak wielu słabych ludzi, uspokajając je, chcąc się w oczach własnych uczynić niewinnym, wmawiał w siebie, iż Sonka była winną, że jeszcze za łagodnym się okazał.

Wyobraźnia powiększała mu winę, czyniła ją dowiedzioną, nie ulegającą wątpliwości.

Gdy marszałek w lasach o mil kilka od Medyki dopędził nareszcie Jagiełłę na noclegu pod namiotem, wśród dzikiego ostępu, z niewielką liczbą łowczych, przeraził się jego zmienioną, zdziczałą niemal twarzą, do której dobrodusznego uśmiechu był nawykłym.

Król przyjął go zimno, trwożnie, przewidując niemiłą rozprawę o królowej, której samo imię teraz wprawiało go w gniewy szalone. Zbigniew chciał uniknąć wszelkiego tłumaczenia przy świadkach. Zbyszek, biskup krakowski, nauczył ich wszystkich śmiało postępować z Jagiełłą i prawdy mu nie ukrywać. Król niejedyn raz bywał tak na biskupa zagniewanym, że go na oczy sobie dopuszczać nie pozwalał, a nawet odgrażał się śmiercią karać, później jednak przychodziło ostygnięcie, rozwaga, skrucha, a bardzo często Jagiełło sam przeproszał i przebaczenia się domagał.

Tak samo i Zbigniew z Brzezia przygotowanym był króla do opamiętania się skłonić i, choćby na gniew narazić, stanąć w obronie królowej.

Z twarzy jego mógł wyczytać Jagiełło, że mu potakiwać nie będzie i nie pochwali tego, co się stało.

Rozpoczął marszałek od sprawozdania ze swego posłannictwa, w nim już dając czuć, jak

było niesprawiedliwym oddać na łup Witoldowym gniewom sługi królowej, uwięzić komorników, uczynić wrzawę i rozgłos, gdy wina była nie dowiedzioną i nieprawdopodobną.

Jagiełło porwał się tłumaczyć i gwałtownie nastawać. Nie ustąpił marszałek.

— Królowa jest w Medyce — rzekł — i nie ruszy się do Krakowa, dopóki nie zobaczy z miłością waszą.

— Ja jej widzieć nie chcę! — zawołał Jagiełło.

— Gwałtem się wywieźć nie da — odparł Zbigniew — a ma słuszność, miłościwy królu.

Winniście ją wysłuchać. Możeż to być, aby oskarżonej tłumaczyć się nie było wolno? Witold stał

się jej nieprzyjacielem dlatego, że mu w jego zamiarach dopomagać nie chciała. On tę potwarz ułożył i przysposobił.

Wtem król przerwał gniewnie:

— Nie chcę jej widzieć, słuchać nie chcę! Winną jest... winną... nie mówcie za nią.

— Miłościwy królu, ja nie za nią, ale za wami mówię — odezwał się Zbigniew. — Mam to przekonanie najmocniejsze, iż jest niewinną i niepoczciwie oszkalowaną. Nie tylko ja, ale wszyscy urzędnicy dworu stać będą przy królowej, poświadczą za nią.

Przez krótką chwilę Jagiełło dumął, ale gniew wziął górę.

— Nie mówcie nic przeciw Witoldowi — zawołał — orle on oko ma, wzrok jego lepiej widzi niż moje stare źrenice, bystrzejszy on ode mnie i od was.

— Co znaczy świadectwo nieprzyjaciela! — rzekł marszałek.

Król począł się burzyć i rzucać.

— Nie wmawiajcie mi, co mam czynić... próżno! Nie chcę jej znać, żyć z nią nie chcę... kto mi ją dał, nazad niech bierze sobie, siostrzenicą jego jest...

Marszałek spojrział tak śmiało i z takim wyrzutem na króla, że gniew jego uśmierzył się przed potęgą tego pogodnego wzroku.

Zamilkł i stał patrząc długo w ziemię.

— Niech się to raz skończy! — zawołał. — Pojadę do

Medyki... Mech powie, co ma na swą obronę, ale nie będę jej wierzył, bo nie mogę.

Uderzył się w pierś.

— Zdrada jej życie mi skróci... W grób mnie zapędzi ta kobieta... Co rychlej chcę się zbyć tego ciężaru. Nie... nie do Krakowa... odeślę ją na Litwę Witoldowi, abym więcej nie widział i nie spotykał.

Marszałek wolał nie jątrzyć go oporem dłuższym, wymógłszy to, że do Medyki pojedzie.

Spodziewał się, że widzenie się z Sonką wszystko może zmienić na lepsze.

Zgodziwszy się król na ostatnie to spotkanie z żoną, chciał jak najprędzej uwolnić się od niego. Nakazano zwijać namioty, sposobić konie i ruszać wprost do Medyki.

W drodze dowiedział się król z nowym oburzeniem, które gniew ciągle jeszcze nie uchodzony powiększyło, że z komorników Sonki ten właśnie, do którego on żal miał największy, zdrajca Hińcza z Rogowa uszedł ze trzema innymi.

Chociaż orszak myśliwski króla nie był liczny, wysłano z niego człowieka z rozkazami, aby na wszystkie strony zbiegłych ścigać.

W oczach Jagiełły właśnie ucieczka ich była największym dowodem, że się poczuli do zdrady. Groził im śmiercią, gdyby się w ręce jego dostali. W takim usposobieniu, gniewny i strwożony, Jagiełło przybył do Medyki...

X

Zaledwie z konia zsiadłszy, nie chcąc zająć na spoczynek do izb dla siebie przygotowanych, stary król z pośpiechem, jak by mu ta ostateczna rozprawa ciążyła, wpadł wprost do komnaty królowej.

Sonka zawiadomiona czekała na niego, odziała się czarno, bez najmniejszej ozdoby stroju, jakby żałobnie, a na bladej twarzy jej, słabością samą zmienionej, malowało się więcej dumy obrażonej niż trwogi i bólu.

Zdawała się przygotowaną na wszystko, co ją spotkać miało. Gotową była stanąć przed nim nie jak winowajca przed sędzią, ale jak pokrzywdzony domagający się sprawiedliwości.

Miała czas przeboleć i odzyskać siły. Gdy Jagiełło pędem wchodzący do komnaty zobaczył ją tak nieugiętą, zimną i wcale nie myślącą go prosić o miłosierdzie i przebaczenie, jak się spodziewał, jeszcze większy go gniew ogarnął.

Zabełkotał coś niewyraźnie, jak był zwykły, gdy się wzruszonym czuł mocno. Królowa postąpiła kroków kilka.

— Chcesz mnie bałamucić jeszcze? — krzyknął. — Ja wiem wszystko! Nie chcę cię słuchać, wracaj, skąd przybyłaś...

Splątał się mówiąc pospiesznie. Sonka stała na pozór spokojna.

— Ani się myślę bronić — zawołała nareszcie — znajdą się ludzie, co mnie obronią. Nie poniżę się do tego stopnia, abym prosiła o litość i tłumaczyła się, gdy jestem niewinną. Są ludzie wiary godni, poważni, którzy mnie przeciw niepoczciwej zemście Witolda, a twojej łatwowierności, obronią... Nie jestem pierwszą, którą ta potwarz spotyka... Los Jadwigi i Anny nie

mógł mnie minąć... Spodziewałam się tego. Odgrażał się Witold dawno.

Król ciągle poruszony i zmieszany zdawał się tych słów nie słyszeć, miotał się gniewny ciągle.

— Jedź, jedź się z nim rozpraw na Litwę... Wstyd mi i srom uczyniłaś...

— Tyś go sam rzucił na siebie — przerwała królowa — ty! ty! ty! Winowajcą jest twoja dziecinna łatwowierność, nie ja. Śmiało ci w oczy patrzę... śmiało mówię! Przekonasz się o niewinności mojej, ale ja krzywdy mej, krzywdy mojego dziecka... nigdy ci nie przebaczę.

Jagiełło rzucił się z szalonym gniewem.

— Milczeć! — krzyknął. — Wezmą na męki twoje pomocnice, twoich ulubieńców, wyda się zdrada. Wiem ja, że wam, kobietom niepocziwym, słów i łez nigdy nie brak. Znam was... wszystkieście takie! Począł się przechadzać po izbie.

— Nie miałaś litości nad moimi siwymi włosami i ja jej mieć nie będę. Precz... na Litwę!

Królowa słowa już wtrącić nie mogła, cofnęła się kilka kroków i stała z założonymi na piersiach rękami, jak posąg blady nieporuszona.

Ten spokój jej i duma króla zdawały się jątrzyć jeszcze... Wyzywały go.

Milczenie pogardliwe, wejrzenie zimne, napełniały go trwogą jakąś zabobonna, obawiał się podnieść oczów.

— Nie chcę słyszeć nic. Jutro niech cię odprowadzą na Litwę.

To mówiąc skierował się ku drzwiom. Zwrócił głowę, jak by się spodziewał, że groźbą tą zastraszy i zmusi ją do pokory. Sonka nie drgnęła nawet; tłumiała w sobie bóle, lecz już była na wszystko przygotowaną, nawet na śmierć.

Krokiem pospiesznym, nie umiejąc znaleźć drogi, dobijając się do pierwszych drzwi, jakie mu się nastręczyły, Jagiełło, którego Zbramir nadbiegłszy odprowadził do izby jego, wpadł do niej jak obłąkany, dysząc, zrzucił z siebie zwierchnią suknię, kołpak i padł na ławę. Nie krył się już przed ludźmi. Marszałek, który na niego oczekiwał, widząc to dwór natychmiast odprawił i sam tylko pozostał. Czekał na rozmowę z królem, spodziewając się go uspokoić i skłonić do

przejednania, lecz stary głowę zanurzwszy w dłonie siedział nie mówiąc słowa.

Zawołał o wodę, którą mu przyniesiono, rzucił oczyma po izbie. Spozrzegł Zbigniewa i

jakby zawstydzony oczy spuścił.

Gniew i poruszenie złamały go, zaczynał się czuć bezsilnym, bezmyślnym, a duma i

śmiałość Sonki odezwały się w sumieniu. Lecz przez tę sprzeczność jakąś, która w słabych charakterach często się spotyka, ustąpić nie chciał.

Czuł, że wszyscy, i Witold, i ona, obwiniali go o tę słabość, którą sam znał najlepiej do siebie, dlatego się chciał okazać upartym, mocnym, niezłomnym, nawet okrutnym, byle nie być obwinionym o zbytnią dobroć i powolność.

Wyszydziłby go Witold jako łatwowiernego, zgrzybiałego starca. To go oburzało.

Marszałek stał nie rozpoczynając rozmowy. Jagiełło kazał zawołać Zbramira, aby

rozporządzić zwierzyną, wydać rozkazy do łowów i nie zwracając się do Zbigniewa dodał, aby nazajutrz konie gotowano dla królowej.

Mówił o rzeczach obojętnych do ludzi obcych, a w głosie czuć było drzenie i nie ugaszony gniew jeszcze.

Zastawiono stół, nie tknął nic, napił się, wody, kazał precz misy odnieść wołając, że mu śmierdziały. W izbie skarżył się, że było duszno. Zbigniew Oparty o ścianę nie odchodził.

Nie było to zapewne sprawą wypadku, że tegoż wieczora, gdy król go się najmniej spodziewał, nadjechał biskup krakowski.

Był to człowiek jedyny może, którego król nie tając się z tym obawiał. Samo jego

przybycie, w którym domyślać się mógł pośrednictwa w sprawie królowej, nappełniło go trwogą.

Biskup krakowski był surowym, nieprzyjaznym Witoldowi, a królowej dosyć przychylnym. Walka z nim stawała się nieuchronną, a nigdy jeszcze z żadnej z nich król nie wyszedł zwycięsko.

Pomiędzy chwilą, gdy oznajmiono przybycie biskupa, a przyjściem jego do Jagiełły

upłynęło dosyć czasu. Zajechał na probostwo, mógł widzieć się wprzód z królową, Wszystko to niepokoiło winowajcę.

Z tym spokojnym obliczem, które nigdy ziemskiej namiętności nie dało się ująć i malowało niezachwianą pogodą twarzy, Zbyszek wieczorem wszedł do króla.

Znalazł go nie gniewnym już, ale przybitym, znękanym, bolejącym. Z pośpiechem chciał

Jagiełło wypowiadać naprzód wszystko przed swym pasterzem, który mu usta zamknął

stanowczym:

— Wiem o wszystkim, miłościwy panie.

Spojrzeli sobie w oczy, Jagiełło nie wytrzymał wzroku, upokorzony siadł na ławie.

— Stało się wielkie zło — odezwał się biskup chłodno — potrzeba je naprawić.

— Królowa jutro wyjedzie na Litwę — odparł Jagiełło. — Odsyłam ją Witoldowi.

— Zapisalibyście wyrok na siebie, nie na nią — odparł Zbyszek powolnie. — Mam nadzieję, że się to postanowienie zmieni.

— Nigdy, nigdy! — wyjąknął król pospiesznie.

— Zatem i tego, któremuście chcieli zapewnić koronę — rzekł biskup — należy odesłać

Witoldowi i wyrzec się jej dla krwi waszej... Sromota padnie na dziecię, na was, na to królestwo wasze, a sromota niezasłużona, kara bez winy, bo królowa jest niewinną.

Zerwał się król z gniewem wielkim.

— Jak to niewinną! Są dowody!

— Żadnych nie ma! — odparł śmiało biskup. — Widziałem ochmistrza królowej, męża

nieposzlakowanej czci, który przysięgą gotów jest zupełną niewinność spotwarzonej nieszczęśliwej pani stwierdzić.

— Tak — wybuchnął Jagiełło — umiała was wszystkich ująć sobie, przebiegła niewiasta!

Służyli jej na dworze wszyscy, zakrywali.

Biskup słuchał nie przerywając, tak najmniejszego nie okazując poruszenia, jak gdyby do wyrazów zagniewanego pana nie przywiązywał żadnej wagi.

Dawszy nieco ochłonąć Jagielle biskup począł z wolna:

— Nikt lepiej nie zna Witolda nade mnie. Pan jest wielkich przymiotów, ale gwałtowny i

samowolny. Solą w oku była mu ta królowa, która nie chciała być jego służebnicą. Pomnijcie, miłościwy panie, iż nie pierwszy on wam gwałt zadaje. Od innych myśmy cię starali się ochronić, od tego jest też obowiązkiem naszym bronić cię. Są niepowetowane już szkody, lecz czas choć ostatecznej sromocie zapobiec.

Król mruzczał niewyraźnie, ale nie odpowiadał biskupowi i w oczy mu nie śmiał spojrzeć,

burzył się jeszcze w sobie i nagle powstał.

— Nie mówię już nic, gdy mi w sprawach państwa swoją wolę narzucacie, wy i inni —

odezwał się — ale to domowe są moje rzeczy, w tych ja panem; słuchać nie będę nikogo... Uczynię, co zechcę.

— Ja jako kapłan i stróż sumienia odzywam się do was — rzekł Zbyszek. — Sami będziecie

żałować porywczosci waszej i uległości Witoldowi. Królowa jest niewinną, lecz gdyby nawet istotnie wina ciążyła nad nią, ojcu rodziny i, królowi przystałoby ją przed narodem osłonić dla czci domu, a nie czynić ją jawną. Na Boga...

Chciał mówić, Jagiełło mu przerwał porywcz.

— Nie mówcie o tym, proszę, dosyć mam utrapienia.

Na tym skończyła się rozmowa z biskupem, która, choć się zdawała bezskuteczną, wiedział

Oleśnicki, iż zostawiony sam sobie król pod wpływem jej może zmięknąć. Trzeba mu było dać czas do rozmysłu.

Były oprócz tego mnogie inne sprawy, zmarł był niedawno ulubiony królowi mąż siostry

jego Aleksandry, Semko mazowiecki, po którym liczne, niemal na rękach Jagiełły wypiastrwane, zostało potomstwo. Zagadnął biskup o nie króla i oderwał myśl jego od własnego bólu mówiąc o pozostałej wdowie. Potem rachunki z żup, o których ściśle sprawdzenie chodziło, napomknął.

Jagiełło ostygł.

Gdy się to działo w jednej połowie medycznego dworu, na drugiej królowa przechadzała się płacząc, bo jej łzy nie osychały, narzekając, oburzona tym, że ją na łup zemście Witolda wydać chciano. Czuła ona, że raz wygnana do Litwy już więcej powrócić nie mogła do Krakowa, a gdyby nawet wyrwała się z niewoli, dawnego stanowiska by nie odzyskała.

Z rozkazu króla przygotowywano do podróży wszystko, a ludzie uprzedzeni byli, iż na

Litwę odwieźć mieli Sonkę.

Rozstanie z dziecięciem, które zostawało w Krakowie, dodawało boleści.

Femka na próżno chodziła za nią głaszcząc, ciesząc i poddając myśli różne; nawet tę

najdziwniejszą, aby o opiekę zwrócić się do stryja, który w Wiaźmie siedział, a o krew swą upomnieć się był powinien. Lecz odważyłżeby się on przeciwko wszechwładnemu Witoldowi

wystąpić?

Wieczorem biskup czuł się w obowiązku przyjść pocieszyć królową. Nie śmiał on jej przyrzekać nic, lecz z mowy zmiarkować było można, iż do chwili ostatniej nie stracił nadziei przełamania króla.

Cała noc upłynęła we łzach i gorączkowych przygotowań do tej nieszczęsnej podróży.

Królowa kłaść się nie chciała, padała na łożo, spoczywała na nim zmęczona osłabieniem, zrywała się wybuchając nowym płaczem i tak doczekała wczesnego poranka wiosennego.

W podwórzu ruch się obudził o brzasku. Zaczęto wozy zaciągać, skrzynie ładować, konie prowadzić do wodopojów, wybierać ludzi, wynosić rzeczy. Gwar w przedsieniach nie dawał już spoczywać.

Król, jak zwykle, choć przebudzony, nierad z pościeli wstawał, a dnia tego może, nie chcąc się spotkać z królową, umyślnie zależał.

Po kilkakroć czeladź swą posyłał z niecierpliwością dowiadywać się, czy wszystko było w gotowości do wyjazdu, zdawał się przynaglać, aby od ciężaru tego uwolnić.

Tymczasem biskup raniutko mszę odprawivszy w kościółku, nim królowa wyruszyć mogła, zjawił się we dworze i wszedł nie zapowiedziany do sypialni królewskiej.

Idąc do niej przez otwarte okna mógł słyszeć jęki i płacz biednej skazanej, dla której oddanie Witoldowi było śmierci wyrokiem.

Wzruszył go aż do gniewu niemal nielitościwy upór króla.

Nachmurzony, z brwiami ściągniętymi przystąpił do łoża Jagiełły. Tuż było okno, które ruchem ręki otworzył gwałtownie.

Wśród chwilowej ciszy płacz i zawodzenia Sonki i jej dworu słyszeć było wyraźnie.

— Słuchaj, miłościwy panie — zawołał — tych jęków i płaczu. Twoje okrucieństwo je

wyciska... Królowa, żona twoja, łzy leje skrzywdzona i osławiona przez ciebie... Lękasz się uroków, złego oka i czarów, a sądzisz, że Bóg ci tego nie policzy i nie ukarze... Łzy te padają na szalę grzechów twoich...

Król podniósł głowę słuchając osłupiony. To porównanie łez do czarów, których się obawiał, podziałało na niego. Błede, pomarszczone ręce, które trzymał na okryciu łoża, załamał z całych sił.

Zmienionym głosem odezwał się do biskupa:

— Witold, Witoldowi... Zbyszek wybuchnął.

— Książę Witold jest waszym lennikiem, nie wy jego! Ulegać mu jest sromem, królowę mu poświęcić, sławę swoją i domu... byłoby słabością... miłościwy panie... czas jest jeszcze... błagam cię...

Chwilę trwało milczenie, złamanym głosem na ostatek Jagiełło dodał:

— Niech więc jedzie do Krakowa... niech siebie i mnie stara oczyścić... ale widzieć jej teraz nie mogę...

Biskupowi się twarz rozjaśniła.

— Bogu niech będą dzięki — rzekł — zawszeni liczył na to, że wam serce i sumienie nie dopuści popełnić niesprawiedliwości.

Po twarzy starego króla dwa ciche strumienie łez płynęły marszczkami i tonęły w fałdach twarzy.

Biskup wyszedł natychmiast.

Królowa w odzieży podróżnej, blada, przechadzała się po izbie, a krok w krok za nią stąpała Femka. W progu płakały dziewczęta; czeladź chodziła niema, wobec tej boleści przemówić nie śmiejąc.

Zwróciła się Sonka ku biskupowi, jak by od niego promyka nadziei oczekiwała.

— Przynoszę wam, miłościwa pani — odezwał się Zbyszek — choć małą pociechę w tym nieszczęściu. Król przyzwala na to, abyście do Krakowa powrócili.

Ledwie usłyszawszy tych słów, z radosnym wykrzykiem Sonka rzuciła się całować ręce biskupa. Wszystkie męstwo stracone jej powróciło, oschły oczy, otucha w serce wstąpiła. W Krakowie ona mogła znaleźć przyjaciół i obrońców.

W mgnieniu oka wieść o tym rozbiegła się z ust do ust. Marszałek Zbigniew wyszedł też sam ją potwierdzić, dając rozkazy stanowniczym, woźnicom i dworowi. We wszystkich radość była niezmierna.

— Do Krakowa! do Krakowa! — powtarzano sobie...

Dodał biskup radę, aby królowa nie widząc się już z mężem natychmiast puściła się w

podróż, zapobiegając jakiemuś nie przewidzianemu wypadkowi, który by na Jagiełły postanowienie mógł wpłynąć.

Ochoczo natychmiast dwór się zbiegł do wozów, do koni i pobłogosławiona przez biskupa, który ją ocalił, Sonka wyruszyła z powrotem tąż drogą, którą niedawno przebywała tak wesoła.

W podróży tej zaraz pierwszego dnia Femka dowiedziała się, nie mówiąc o tym swej pani, iż Hińcza z Rogowa pochwycony został w ucieczce, a Jaszko z Koniecpola i dwaj Szczekocińscy uszli szczęśliwie.

Najsrożej obwinionym był Hińcza, bo do niego Strasz miał największy żal i oczernił go a okłamał wielce. Winny czy niewinny, wnosili wszyscy, że gardło dać będzie musiał za to, iż podejrzenie ściągnął na królowę.

Femka przez całą drogę usiłowała się wywiedzieć, gdzie uwięzionych zaprowadzono, lecz o tym nikt nie był świadom, jaki los ich spotkał.

W drodze płakała królowa ciągle... ale chwilami łzy jej osychały, a myśl pracowała nad tym, jak by zwycięsko z tej walki z potwarzą wyjść mogła. Moc ducha powracała, liczyła przyjaciół, na których rachować, ludzi, na których świadectwie oprzeć się mogła. Na czele ich stał ochmistrz Nałęcz Malski.

Poważnych niewiast wiele, które na zamku nieraz czasu zabaw bywały, żony senatorów i ich córki mogła wezwać na świadectwo, a samych domowników i urzędników na zamku liczba wielka, nie pozyskana dla królowej a przyjazna Sonce, przysięgą oczyścić ją pewnie by nie odmówiła.

Zeznania dwóch biednych, strwożonych dziewcząt, Kasi i Elży Szczukowskich, gdyby mękami na nich wymożono fałsze, nie mogły przeważać świadectw ludzi poważnych i szanowanych powszechnie.

Nie wątpiła królowa, iż powszechne oburzenie musi obudzić potwarz Witolda i mściwe jego względem niej postanowienie.

Ksiązę liczył w Polsce popleczników i oddanych sobie ludzi, więcej jeszcze takich, którzy się go obawiali, lecz miłości nie miał u nikogo.

Prędej teraz nagłona przez królowę podróż z powrotem przyprowadziła pod mury Wawelu.

Sonka przybyła tu wieczorem i zaciągnęła na zamek tak cicho, iż nazajutrz dopiero dowiedziano się w mieście o jej przyjeździe.

Poprzedziły ją tu wieści sprzeczne, przesadzone, uwłaczające jej, tak że zdziwiono się, iż nie na Litwę, ale do Krakowa odesłaną została.

Znaczyło to, iż w sprawie mianej już za straconą zaszła zmiana szczęśliwa.

Ciekawość podbudzoną była, zaglądano na zamek, ale królowa chora, upokorzona, smutna,

w obawie jeszcze tego, co Szczukowskie powiedzieć mogły lub co na ich rachunek skłamać mogli słudzy Witoldowi, nie przyjmowała i nie widywała nikogo. Mszy słuchała w kapliczce zamkowej, nie wychodziła za próg, drzwi zaparła jak w klasztorze.

Nie była przecież beczynną, gotując się do uroczystego zmycia z siebie tej plamy, jaką

rzuciono na nią. Ochmistrz Malski rozpoczął starania o to. Poważny zastęp osób ofiarował

przysięgę... Czekano tylko, ażeby król powrócił, ostygnął i dał się przejednać.

O to starać się miał Oleśnicki.

Hińcza, z innymi razem zaprowadzony do więzienia, niezręcznym pokuszeniem się o

ucieczkę sobie i królowej zaszkodził. Lecz wprędce, wzięty po raz drugi, odesłany został do Chęcina z rozkazu króla zagniewanego nań wielce i wrzucony do tej strasznej ciemnicy na wieży, w której głodną śmiercią skończył Borkowicz.

Z wilgotnego tego podziemia, do którego światło i powietrze z góry tylko dochodziło przez szpary klapy, zamykającej je, mało kto żywym wychodził. W zimie przez litość spuszczano tam czasem garnek węgla, aby skostniałe ciało mógł więzień cokolwiek rozgrzać, lecz one otaczającej nie mogły osuszyć zgnilizny.

Ci, których stąd uwalniano, nie odzyskiwali już sił i zdrowia...

Wesoły i ochoczy Hińcza był może pierwszym z zamkniętych w Chęcińskiej wieży, co nie

stracił zupełnie nadziei ani ochoty do życia. Młodość i nawyknięcie do niewczasów trzymały go na nogach, krzepiły, a duch mocen nie dawał ciału marnieć.

Z wolna dopiero, po upływie miesięcy, nieszczęśliwy więzień począł omdlewać i tracić

otuchę; do ostatka przecież jedno powtarzał niemym ścianom ciemnicy: — Żywli wynijdę, nie spocznę i nie odetchnę, póki tu Strasza na miejsce moje nie posadzę!

Nie wątpił Hińcza, że nie kto inny, tylko Strasz Witoldowi zaniósł do uszu te potwarze, a choć siedział na dnie, zaparty drzwiami z góry, które się raz tylko na dzień odmykały, potrafił jednak jakimś sposobem cudownym dać znać królowej, iż nie na kim innym krzywdy swej poszukiwać była powinna, tylko na Strasz.

Inni też się domyślali, bo właśnie w tej porze zniknął i nierychło, jak gdyby u siebie tylko w Białaczowie bywał, zjawił się na służbę do królowej Jadwigi.

Ale tu wiedziano już, jaki obrót przybrała sprawa królowej i jakie na niego padło podejrzenie, znalazł więc przybywszy zimne bardzo przyjęcie i nikt z nim przestawać nie chciał.

Niedługo więc pobywwszy, przestraszony, widząc, że prędzej później zemsta go nie minie, Strasz, jak się tu okazał niespodzianie, tak równie skoro zniknął.

Cała nadzieja jego była w tym, że Szczukowskie, które Witold miał kazać badać, ze strachu królowę swą obmówią i jego potwarz potwierdzą.

Z obawą królowa oczekiwała o nich wiadomości. Stało się jednak inaczej, niż przewidywano. Rachował Witold na to, że siostrzenicę król mu na łaskę zda i odeszle. Gdy go wieść doszła, że królowa powróciła do Krakowa i o wyprawieniu na Litwę mowy nie było, wstrzymał się książę od ostatecznych kroków, widząc, że Sonka znajdzie w Polsce obrońców i środki oczyszczenia się od potwarzy.

Poprzestał więc na tym, że Szczukowskie obie na dworze księżnej Julianny zatrzymał, a sam usprawiedliwiał swe wystąpienie tym, iż mu Strasz z Białaczowa przyniósł te powieści o życiu na Wawelu i imiona winowajców. Cebulka i Małdrzyk imię Strasza powtarzali, na niego zwałając wszelką winę.

Przewidzieć już było można zwycięstwo królowej, poza którą stały panie jej dworu, urzędnicy, małżonki senatorów i grono ludzi powszechnie szanowanych... W jesieni, dziecię boleści, przyszedł na świat drugi syn Kaźmirz, którego biskup krakowski Zbyszek w ciszy i bez owych uroczystości, jakie chrzcinom pierworodnego towarzyszyły, ochrzcił na Wawelu.

Oczekiwano tylko przyścia do zdrowia i sił królowej, aby ona wraz z obrońcami swymi stanąć mogła przed najdostojniejszymi panami radą i przysięgą zmyć z siebie potwarz niepocziwą.

Jagiello nie pokazał się w Krakowie, sromął swej lekkomyślności, gniew jego zmienił się w żal i zgryzotę sumienia. Nie chciał się uznać, ale czuł się winnym. Truło mu to życia ostatek.

Zakopywał się w lasach, unikał ludzi.

Przewidzieć jednak było można, iż wkrótce zbliży się do Sonki, która wszystko gotową była przebaczyć jemu, ale nie Witoldowi. Żadna odgródka i przechwałka z ust jej nie wyszła, milczała poważna i smutna, ale patrząc na nią można było odgadnąć, że na dnie jej duszy gromadzą się zasoby siły do nowej walki z nieprzyjacioły, z życiem, ze światem...

Los dwu synów był w jej rękach i na zranionym sercu.

Tom Drugi

I

W wielkiej izbie krakowskiego zamku pierwszych dni 1428 roku zgromadzili się poważni mężowie, którzy naówczas więcej niż sam król Polską rządzą i władali.

Jagięły nie było w stolicy.

Na czele najpotężniejszy z nich, wódz i głowa, Zbigniew biskup krakowski w szatach uroczystych, z twarzą do nich zastosowaną męża, który się czuje posłannikiem bożym i tłumaczem jego słowa.

Obok niego zasiadał Krystyn z Ostrowa, pan krakowski, pierwszy dostojnik Korony, z

Janem z Tarnowa, krakowskim wojewodą, dalej Mikołaj z Michałowa, sandomirski wojewoda i kilku prałatów. Wszyscy oni składali jakby trybunał i sąd najwyższy... Sala była pustą, przez okna odbłask śnieżny dnia zimowego wpadał, blado oświetlając smutne ich twarze.

Milczeli wszyscy jakby pod brzemieniem wielkim, a z westchnień, które się z ich piersi

wyrywały, wnosić było można, iż przyszli tu dla spełnienia wielkiego i ciężkiego obowiązku.

W obliczu poważnym starego Jana z Tarnowa malowała się gorycz niewypowiedziana.

Najmniejszy szelest niespokojne jego oczy ściągał ku drzwiom zamkniętym jeszcze. Wszyscy oczekiwali z tą natężoną uwagą, z niepokojem, jaki rodzi chwila stanowcza i bolesna, którą by każdy pragnął przeżyć jak najprędzej i o niej zapomnieć.

Pierwsze krzesło zajmował Zbyszek, biskup krakowski, sparty na rękę, wyczekujący jak drudzy, a niemy i jakby w przeszłość wdumany, którą ta godzina mu przypominała...

Ani dworzan, ani ciekawych, ani nikogo obcego nie było na sali, a to może czyniło ją na

wejrzenie straszniejszą jeszcze. Poza podwojami pozamykanymi głosu żadnego słyszeć nie było.

Zamek grobową ciszą okryty zdawał się wymarłym, a ci ludzie jedynymi w nim pozostałymi, żałobą okrytymi świadkami jakiejś niewysłowionej żałoby.

Przed biskupem, okryty kobiercem bogatym, stał klęcznik, a na pulpicie jego złocisty krzyż i oprawna w okuciu sadzonym kamieniami, emaliami ozdobna księga.

Ten pusty klęcznik oczekujący razem z ludźmi na winowajcę mówił grozą jakąś, smutny był jak trumna, zdawał się katafalkiem, na którym ona złożoną być miała.

Oczy śledzących wkoło od drzwi, dotychczas zapartych zwracały się kil niemu, na krzyż, na Ewangelię i zdawały zachodzić łzami To znamię zbawienia miało być przebaczenia godłem czy potępienia?

Ciche kroki powolnym pochodem, jak by orszak pogrzebowy się zbliżał zaszemrały od strony drzwi wielkich — drgnęli wszyscy i poruszyli się niespokojni. Podwoje jakaś ręka

niewidzialna rozwarła szeroko, a za nimi ukazał się szereg postaci, na których czele z majestatem królowej, nie z pokorą oskarżonej, szła Sonka cała w szatach ciemnych, w rąbkach czarnych, jak wdowa. Zasłona na pół przejrzysta od czoła zwieszona okrywała ją całą. Szła spokojna, mężna, śmiała.

Wie była to już ta świeża, piękna, wesoła, z oczyma ognistymi Sonka, którą Jagiełło

poślubił w Nowogródku, ani ta pani szczęściem rozkwitła, co przyjmowała królowę rzymską na koronacji, ani ta matka dumna synem pierwszym, którego papież i królowie do chrztu nieśli, ale niewiasta przedwcześnie zboląła, zmężniała, smutna jak noc, a spokojna i odważna.

Piękność jej zmieniła się zupełnie, lata podwójnie się na niej wypiętnowały, rumieniec znikł, usta się zamknęły, oczy tylko nie straciły blasku i ognia.

Parami za nią szły matrony i niewiasty, strojne, klejnotami okryte, a w twarzach ich widać było przejęcie uroczystością tą jakąś tajemniczą, w której udział brać miały. Postępowały, jak by wchodziły do świątyni strwożone, onieśmielone, zawstydzone, podnosząc oczy na oczekujących panów, którzy na widok królowej z siedzeń powstali. Były to wojewodzina sandomirska, wdowa po marszałku Zbigniewie, Kachna z Konięcpola, wojewodzina sieradzka, Jadwiga, wdowa po

Głowaczu wojewodzie mazowieckim, Klichna Nawojka z Mokrska, Helena z Bogumiłowic, krakowskiego sędziego małżonka, wreszcie dziewczę z dworu Sonki, Helena.

Nikt im nie towarzyszył.

Zbliżyły się aż ku klęcznikowi, a biskup wziął kartę przygotowaną i głosem cichym, ale wyraźnym począł czytać rotę przysięgi. Z ręką na Ewangelię królowa odmówiła ją za nim, niezmiészana, spokojna... Ale głos jej i głos biskupa nie brzmiał jak dni powszednich, oba zdawały się stłumione, jak by nie chciano, ażeby się o te ściany obity i przyłgnęły do nich.

Ani słowa wstępnego, ani wyrazu żadnego nie wyrzekł nikt, bo każde słowo mogło wywołać ból nowy i nie zagojoną ranę rozjątrzyć.

Słuchali w milczeniu poważnym świadkowie nie patrząc na nieszczęśliwą królowę, której twarz śmiertelna okrywała bladość. Niewiasty, które królowej towarzyszyły, powtórzyły też samą przysięgę, ucałowały krzyż i Ewangelię.

Wejrzeniem wdzięczności pełnym Sonka podziękowała biskupowi. Gdy już odchodzić miała, zachwiała się nieco — krótka chwila siły jej wyczerpała, lecz wnet odzyskała moc całą i krokiem pewnym udała się nazad ku podwojom zamkniętym. I znowu niewidzialne ręce otwarły je przed nią, cały orszak niewieści znikł za nimi...

Biskup Zbigniew, jak by czuł potrzebę zbliżenia się do Boga w tej chwili, przykląkł przed krzyżem, złożył ręce i modlić się począł. Senatorowie stali nieruchomi, myślą się z nim łącząc w tych niemych modłach... Każdemu z nich spadło brzemie z piersi, oddychali swobodniej, ale z poruszeń wnosić było można, że chcieli co najrychlej opuścić i tę salę, i zamek.

Biskup modlił się długo, wstał nareszcie, zdjął z ramion stulę, ucałował ją, krzyż przycisnął do piersi i spojrzał po swych towarzyszach.

— Należały się Bogu dzięki — rzekł stłumionym głosem. — Pokój i zgoda powrócą może pod ten dach królów naszych; lecz dopóki żyw litewski książę, człowiek, co niczego zapomnieć, nic przebaczyć i wyrzec się niczego nie umie, czuwać musimy. Męczennicą jest królowa...

— Miły Boże — dodał Jan z Tarnowa — stary król przecie raz go poznać powinien.

— Król? — odparł biskup. — On dla całej rodziny swej i kraju ma miłość tak wielką i słabość taką, iż stokroć przekonany, że ona mu jej nie opłaca wzajemną, zawsze na nowo daje się wywieść w pole. Gdybyśmy nad nim nie czuwali...

Wtem Krystyn z Ostrowa dodał:

— Wiek też go słabym czyni... wiele mu przebaczyć należy.

— Wiek — rzekł biskup — tak samo na twarzach sędziwych nieznaczące brodawki i

znamiona powiększa, jak w duszy wady człowieka. Nad starością czuwać trzeba i ona nad sobą czuwać powinna.

— Serce mi pękało — przerwał ciszej Jan z Tarnowa — gdym na królową patrzył. Bóg ją jednak obdarzył siłą niepospolitą.

— W przyszłości wiele jej jeszcze zapewne potrzebować będzie — dodał biskup.

Zaczęli wychodzić wszyscy żegnając Oleśnickiego, który w przedsienu oczekującemu

kapelanowi oddawszy krzyż i stulę sam poszedł do królowej. Czuł, że w chwili tej słowa pociechy i pokrzepienia potrzebować może.

Ochmistrz Nałęcz Malski przyjmował panie, które wraz z królową składały przysięgę, a

Sonka wsunęła się do swej izby osobnej i tam biskup znalazł ją w krześle, z oczyma załzawionymi.

Na widok jego wstała i otarła je prędko, starając się przybrać twarz weselszą. Przyszła raz jeszcze ucałować rękę Zbigniewa.

— Ojczy mój — rzekła głosem zmienionym — winnam ci wiele, nie opuszczajże mnie

jeszcze. Są ludzie, co cierpią za mnie i dla mnie niewinni. Ja za nimi przemówić nie mogę, aby się nie podać w podejrzenie.

Spojrzała na niego:

— Przemów za nimi, ojczy.

— Słusznym to jest — rzekł Oleśnicki — ale do dworu na powrót przyjmować ich nie można. Nagrodzić, co ucierpieli, znajdzie się zrzeczność.

— Król? — zapytała Sonka.

— Doniosę mu o wszystkim, spodziewam się przejednania i zgody. Choćby winien był, przebaczyć mu należy...

— Nie dam mu uczuć nawet, że była przez niego pokrzywdzoną — odpowiedziała

królowa. — Wina nie jego; złych ludzi i nieprzyjawnego mi Witolda. Ten za to nawet mścić się zechce, iż zgubić mnie nie mógł.

Nie odpowiedział na to biskup. Kilka słów pociechy religijnych zakończyło krótką

rozmowę.

Król o wszystkim był zawczasu zawiadomiony; czuł potrzebę zbliżenia się do królowej, lecz obawiał się wymówek, a wiedział, że pożycie po tym przesileniu bolesnym dawne powrócić nie mogło. Biskup nakłaniał go do powrotu, ociągał się Jagiełło.

Zawsze tym samym trybem, przenosząc się z miejsca na miejsce, z Wielkiej Polski na

Mazowsze, w Sandomierskie, na Ruś, polował, naradzał się często po małych miasteczkach ze zwołanymi tam panami, Krakowa unikał; sprawy kraju były na rękach biskupa i rady.

Królowa, odosobniona wiodąca życie, wychowywała synów i cierpliwie znosiła wdowieństwo swoje.

Przyrzeczenie biskupa, który miał wyjednać uwolnienie uwięzionych, nierychło spełnionym

być mogło. Innym, których trzymano nie w tak ciężkim więzieniu, niewola była lżejszą,

zapomniany nieco Hińcza już z barłogu swego na dnie wieży

Chęcińskiej nie powstawał... W pierwszych dniach pobytu zuchwalszy, rozdrażniony, startł

się był ze starostą, który tym surowiej go trzymał, żadnej ulgi nie dając i odgrażając się, że nie ujrzawszy świata bożego zgnić tam i zdechnąć musi.

Głód, chłód i powietrze wilgotne, tęsknica i zwątpienie, zupełna niewiadomość o tym, co się na świecie działo i jaki był los królowej, w końcu złamały tak Hinczę, że już Boga tylko o śmierć prosił.

Katusza to była, której ni on, ani nikt przez czas dłuższy wytrzymać nie mógł. Mawiał

później Hińcza, że za wszystkie grzechy żywota Bóg mu dał w tym czyścicu odpokutować.

Na ostatek królowa, bolejąc nad niewinnymi, naprzód tych, co bliżej siedzieli, postarała się uwolnić, a i na Hinczę, do którego król miał żal największy, kolej przysła. Zwątpił był już całkiem o sobie, gdy dnia jednego w tej porze, o której mu jego chleb i wodę stróż po drabinie znosił albo na sznurze spuszczał, otwarły się drzwi całe i znany głos starosty, chrypliwy i zły, począł nań wołać, aby sobie, jeśli chce i może, precz wychodził.

Hińcza to zrazu za szyderstwo wziął, a gdyby i uwierzył w oswobodzenie, tak już złamanym był, że o swej sile powstać nie mógł.

Pomimo osłabienia podniosła go nadzieja oswobodzenia, która cudów dokazuje. Pachole

więzienne czasem ukradkiem posługujące mu spuściło się do niego po drabinie.

— Wstawajta, bo rozkaz przyszedł uwolnić!

Pierwsza rzecz, którą Hińcza zrobił, to że się przeżegnał, Panu Bogu i patronce swej Pannie Najświętszej dziękując.

Spróbował wstać i rozprostować się, lecz boleści go takie w członkach wszystkich porwały, że krzyknął i omdlały na barłóg padł.

W tejże chwili doszedł go znajomy głos z góry Jaszka z Koniecpola, który będąc wolny, a dowiedziawszy się, że Hinczę uwalniają, zbiegł do Chęciny zobaczyć go pierwszy i kłócił się ze starostą. Ten zaraz po drabinie w głąb się spuściwszy, gdy przyjaciela w takim stanie zobaczył, na czym świat stoi, Chęciny i starostę wyklinać zaczął. Przed nim w smrodzie i zgniliźnie leżał biedny Hińcza z twarzą koloru ziemi, w odzieniu poszarpanym, ledwie żywy.

Trzeba go było co prędzej z tego dołu wyrwać, na powietrze wynieść, do łaźni nieść, nakarmić, ogrzać i położyć na spoczynek.

Ludzie do pomocy za pieniądze się znaleźli, aby wynieść bezsilnego biedaka, a była z tym trudność niemała, bo drabina stara i krucha na raz trzech ludzi utrzymać nie mogła, po inne trzeba było słać na miasto, a mściwy starosta, mający ząb do Hinczy, w najmniejszej rzeczy dopomóc nie chciał.

Pocziwy Jaszko rozwiązał worek i zabrał się żywo do ratunku. Wydźwignięto jakoś biedaka do góry, na nosze musiano wziąć i tak do gospody w mieście zaniesiono.

Na powietrzu świeżym zrazu się orzeźwił Hińcza, potem natychmiast znowu omdlał. Sam się prosił zaraz do łaźni, ale tu Jaszko nie dopuścił do góry, tylko w dole obmyć kazał, przeodział i z nim do ciepłej izby pociągnął. Musiano go pod ręce wlec, bo się na nogach biedaczysko nie mógł utrzymać. Tu mu wina z korzeniem zgrzano, jeden kubek i drugi, potem polewką mięsna nakarmiono, okryto — aż zasnął.

A był sen osobliwy, z gorączką, bo się zrywał i krzyczał, ale Jaszko przy nim siedział i pilnował. Więc później twardo począł spać i dwie doby tak przeleżał.

Zaraz mu się potem lepiej trochę zrobiło i obudziwszy się, choć nie opamiętał rychło, posłyszawszy głos przyjaciela, z wolna przypomniał, co się z nim stało. Chciał opowiadać swoje męczarnie Jaszкови, lecz ten mu się nie dał szeroko rozgadywać, aby znowu gorączki nie dostał.

Poił go tylko i karmił; a po kilku dniach na wozie okrytym przewieziono go do Krakowa, gdzie mistrz Henryk Czech, astrolog i doktor sławny, wziął się do leczenia go.

Poważany onego czasu człowiek i z nauki wielkiej głośny, nieraz też bywał do zamku

wzywany i przez niego się królowa dowiedziała, jak Hinczę z Rogowa mało życia w tej wieży nie pozabawiono. Więc, choć jawnie nic dla sługi swojego uczynić nie mogła, przez drugich posyłała, czego potrzebował, i kazała mu powiedzieć, aby dobrej myśli był, że Bóg sam pomści krzywdę jego. Mistrz Henryk miał też o nim pieczę wielką, a reszty dokazała młodość, która siły przywracała powoli.

Parzono go w łaźni i okadzano ziołami różnymi, tak że naprzód o kijach począł chodzić po izbie, potem już o jednym tylko, na ostatek i bez niego.

Słaby jednak był i na twarzy bardzo zmieniony. Rumieniec i barwa młoda nigdy mu już nie powróciły, a pozostała cera więzienna, podobna do koloru tych murów, w których długo siedział zamknięty.

Powróciwszy do sił cokolwiek, przypomniał sobie Hińcza, co niegdyś mówił, iż póty spokojnym nie będzie, aż do tej samej wieży w Chęcinach Strasza nie rzuci...

Ale daleko do tego było jeszcze. Na dwór się pokazać, choć cokolwiek pozdrowiał, nie godziło mu się. Brat go więc zabrał na wieś, aby świeże, zdrowe powietrze gór i lasów go orzeźwiło. A choć nigdy do pierwszej mocy i zdrowia Hińcza nie wrócił, już i na konia mógł sięść, i nogi mu obrzęknięte odeszły.

Pozostało tylko to, że byle na słoć i wilgoć się zbierało, w kościach go łupać i rwać poczynało tak, że czasu lata z sianokosem i zniwami na niego się oglądano, a był znak pewny, gdy stękać zaczął, że ulewa za pasem.

Król długi czas Kraków omijał, choć pragnął zajechać, aby synów widzieć, a z królową znowu zacząć żyć po bożemu — wstyd go a obawa jakaś brała.

Wiedział, że juźci przy pierwszym spotkaniu wyrzutów będzie musiał słuchać, odpowiadać na nie, płaczu się napić i niewieścich skarg uszy mieć pełne.

Składało się też tak ciągle jak dawniej, że nigdzie długo miejsca nie zagrzewał, odwiedzając ziemie po kolei, a lasy plądrując, z których moc wielką pobitego zwierza rozsyłał do Krakowa i w podarunku osobom różnym. Przy czym o królowej nie zapominano, o Zbyszku, o panu krakowskim, kapitule i akademii.

W tych czasach właśnie poczęły się owe praktyki Zygmunta, wichrzącego nieustannie, a

usiłującego osłabić Polskę tym, że Witolda od niej oderwać pragnął.

Królowa wiedziała o wszystkim, ale sama nie mogła nic. Zastępował ją tu Zbigniew

Oleśnicki, który uspokoił zaręczeniem, że póki on żyw, Witoldowi się oderwać i osobnego państwa sobie stworzyć nie da.

Miała też Sonka wiernego sobie Jana Tarnowskiego, tak niezłomnego jak biskup, i innych kilku.

Poczęły się zabiegi wielkie. Z senatorów wielu kupionych było przez Witolda, aby za nim obstawali, ale choć wielkie dary odebrali, nie śmieli się odzywać i tyle tylko, że milczeli.

W Krakowie siedząc, z dala na wszystko patrzyła Sonka; nie mogła jednak i nie śmiała sama się napraszać na zjazd do

Łucka, gdzie Witold miał gospodarzyć i spodziewał się słabego Jagiełłę z pomocą Zygmunta do powolności skłonić.

W wielkim strachu i niepokoju oczekiwała stąd królowa wiadomości, całą swą ufność położywszy w biskupie Zbyszku.

Nie była tam przytomna osobą swą, ale najdostojniejsi z panów przyrzekli jej uroczyście, że Witolda do korony nie dopuszczą. Z ręki swej posłała Sonka ludzi, którzy na wszystko oko mieli, donosili jej, co się działo — i czuwali...

Przyszło do skutku umówione w Łucku spotkanie, na które król rzymski z żoną Barbarą przybył w orszaku ogromnym

Węgrów, Czechów i Niemców. Naprzeciw niemu wyjechał Witold i Jagiełło i wjazd mu uczyniono do miasta wspaniały. Biskupi, duchowieństwo obu obrządków, krzyże i relikwie, ludu tysiące wysypało się przeciw gościowi, który z wielką pychą a zuchwalstwem przyjmował te czci oznaki.

Nie bez przyczyny obawiała się królowa, aby dobrodusznego Jagiełły chytry Zygmunt i żona jego Barbara nie uplatali w swe siecie.

Chciał rzymski król z pomocą polskiego wołoską ziemię owładnąć i rozdzielić ją na dwie połowice, dla siebie i Władysława, ale się temu rozdrapaniu chrześcijańskiego państwa sprzeciwili Polacy.

- Potem o soborze zagadał Zygmunt, szydząc bezwstydnie z duchowieństwa rzymskiego, czym je sobie naraził. Na ostatek przyszło do próśb i nalegań, aby Jagiełło pozwolił się: Witoldowi litewskim królem ogłosić.

Chociaż zapewniano, że to związku z Polską rozrywać nie miało, zrozumieli panowie polscy, jaki w tej trawie wąż był ukryty...

Biskup Zbigniew i inni z nim stanęli jako mur.

Jagiełło gotów był zezwolić na wszystko, lecz do rady swej się odwoływał, bez niej nic stanowić nie chciał.

— Rady nie trzeba, zgody żadnej tylko twojego przyzwolenia, ja resztę biorę na siebie — mówił Zygmunt.

Musieli jednak panowie polscy zwołać radę. Pierwszy, co na niej do objawienia swojego zdania z urzędu był zmuszony, arcybiskup Wojciech, jak zawsze dwuznacznie i ostrożnie, zręcznymi słowy szermując, nic nie powiedział...

Za to Zbigniew Oleśnicki otwarcie, przekonywająco, stanowczo, ostro przeciwko Witoldowi wystąpił. Za nim poszedł Jan z Tarnowa. Odgrażał się Witold już, nie prosił.

Tegoż wieczora, gdy Jagiełło utrapiony wielce, zewsząd oblegany, sam nie wiedział, co miał począć, wpadli do jego komnaty Zbyszek biskup, Tarnowski i inni, ostre czyniąc mu wyrzuty. I jak wprzód uległ Zygmuntowi stary król, tak teraz im ze łzami w oczach począł się tłumaczyć i przebłagać.

Zbigniew Oleśnicki wręcz zapowiedział mu, że oni wszyscy nazajutrz Łuck opuszczają. Tak się i stało.

Król przerażony tym następnej nocy także wyjechał z Łucka.

O wszystkim tym królowa dowiedziała się w Krakowie, gdy już energia senatorów wielkiemu niebezpieczeństwu koniec położyła.

Mogli się łudzić inni, że Witold wyrzecze się myśli swej, zrażony uporem, ale nie Sonka, która go najlepiej знаła. Dla niej było jawnym, że teraz dopiero walka ostateczna rozpocząć się miała.

Jagiello, wyruszywszy z Łucka, jakby na prześląganie biskupa, który mu oprócz innych słabości i postępowanie z żoną wyrzucał, na ostatek zgotował się Kraków nawiedzić i zbliżyć do królowej.

Miała czas w ciągu tego długiego osierocenia swojego Sonka baczenie rozważyć, co powinna począć, jeżeli Jagiello przyjedzie do Krakowa.

Gdy oznajmiono przybycie, nie strwożyła się, ani rozboleła więcej; cieszyła się tym tylko, iż wpływem swoim skuteczniej przeciwko Witoldowi działać będzie mogła.

Z dwu synów, którym się poświęciła cała, jednemu Polska przypaść miała, drugiemu ta Litwa, którą chciano oderwać. Zbyszek biskup też w Łucku w imieniu ich dwu króla starał się natchnąć do oporu...

Witold przewidywać musiał i zbliżenie się Jagielly do Sonki, i nieubłaganą jej mściwość za krzywdę doznaną.

Wprzód jeszcze, nim Jagiello dojechał do Krakowa; zjawił się tu tajemny poseł Witolda,

Jan z Czyżowa Półkozić, syn sandomirskiego kasztelana, którego nikt posądzić nawet nie mógł, aby litewskie sprawy popierał.

U ochmistrza królowej Malskiego, nic się nie domyślającego, wyprosił on sobie, aby się mógł pani swej pokłonić.

Trafiało się nieraz, iż ziemianie krakowscy pod niebytność króla na zamek z czołobitnością a niekiedy z podarkami przybywali. Przyjęła więc Sonka i Jana z Czyżowa.

Młody, zręczny, wymowny, umiał on dać poznać jej, że do niej w pewnym ważnym przybywa poselstwie. Odprawiwszy świadków do komory pobliskiej, kazała mu mówić królowa.

Poseł od tego począł, że się wyjawił, od kogo był wyprawiony.

Usłyszawszy Witoldowe imię, pobladła Sonka i zadrzała, ale dumnie wstrzymując się od okazania, co doznała, mówić mu kazała.

Rzekł więc poseł — iż wielki książę posyłał go z pokojem i różczką oliwną prosząc o

pomoc i zgodę, a obiecując wzajem serce Jagielly ku królowej nawrócić, nieszczęśliwym wieściom kłam zadać i przyczynić się do tego, aby pożycie między małżonkami dawne przywrócone zostało.

Wysłuchawszy tej mowy, z uśmiechem szyderskim odparła Sonka:

— Podziękujcie wujowi mojemu za dobre chęci i ofiary, ale powiedzcie mu też, że są

sprawy, które się nie dają naprawić, gdy raz popsute zostały. Cześć niewieścia jest jak szkło, które rozbić łatwo, a skleić go nie można. Ani ja komu dziś pomocną być mogę, gdy sama sobie radzić nie umiem. Bezsilną jestem, zmuszoną się ukrywać, milczeć i płakać. Jagiełło, pan mój, rychlej posłucha Witolda i kogokolwiek bądź niżeli mnie... Nie mogę nic i nie przyrzekam nic, ale tezi niczego nie żądam...

Jan z Czyżowa starał się królowej wmówić, iż niesłusznie się zrzekała wpływu, który odzyskać musiała.

— Nie chcę go mieć, abym w nikim zazdrości nie wzbudzała — rzekła królowa. — Żyję

teraz dla synów moich, życie moje im poświęciłam. Za nimi stoję jako stróż i piastunka, więcej mi nie potrzeba nic.

Czuł poseł, że głęboka ironia kryła się w tych skromnych wyrazach Sonki, ale nie mógł na niej wymóc innego nic nad powtórzenie tego, co mu pierwszej rzekła. Z niczym więc poszedł. Gdy dano znać o przybyciu Jagiełły, królowa wdziała te szaty ciemne, do których teraz była nawykła, jak przy żałobie, wszelkich się wyrzekając klejnotów i z wielką powagą, bez łzy, prawie bez widocznego wzruszenia wyszła naprzeciw pana do przedsieni.

Jagiełło przybywał z trwogą, cale co innego przewidując, nie to, co go spotkać miało...

Błady, drżący, uskarżając się na znużenie, wszedł do komnat z królową razem i wydał się jej przez tych kilkanaście miesięcy nad miarę postarzałym jeszcze.

Przed nim stał starszy synaczek, a na ręku piastunki młodszy do kolan mu się schylał.

Królowa przemówiła tylko prostymi kilką słowy, aby na dzieci łaskaw był. Tuż obok niej musiała też dorosła już kilkunastoletnia Jadwiga przyjść ojca powitać.

Cała ta rodzina, dawno nie widziana, jakimś uczuciem przejęła starca. Począł ścisnąć

Władka naprzód, Kaźmirza małego potem, a na ostatku Jadwigę, którą znalazł wyrosłą znacznie, ale bladą i mizerną.

Sonka stała z boku, dla siebie ani żądając nic, ani starając się zwrócić jego uwagę. Z obawą niekiedy król rzucał na nią wzrokiem nieśmiałym i natychmiast czymś się zajmował innym, aby odroczyć rozmowę, której się lękał... Zdawała się ona nieuniknioną.

Wyprowadzono chłopców, wyszła królewna wejrzeniem nienawistnym zmierzyszy macochę.

Do wieczerzy nie zasiadł nikt oprócz Sonki i króla. Mowa była o łowach, podróży, potem o Witoldzie, na którego król się uskarżał, i królu rzymskim, który zdradził Jagiełłę przerzuciwszy się całkiem na stronę litewskiego księcia.

Królowa więcej słuchała, niż mówiła. Coraz bardziej ośmielający się Jagiełło, nie mogąc doczekać rozprawy, którą rad był przebyć, sam ją zagał okazując żal wielki, iż się dał Witoldowi uwieść, i prosząc, aby mu teraz królowa zapomniała uraz, a dawną swą miłość przywróciła.

Z chłodną krwią skłoniła się Sonka przed mężem, a gdy poczęła mówić, ani łez, ani gniewu w głosie jej czuć nie było.

— Nie mam — rzekła — urazy żadnej, żal mój przeszedł, Witoldowi tylko przebaczyć nie mogą, bo on był sprawcą wszystkiego.

Po czym oświadczyła się z wdzięcznością i posłuszeństwem dla króla, lecz Jagiełło uczuć mógł, iż chłodny mur jakiś stał między nimi.

Królowa wprędce wyszła, a od ochmistrza swojego dowiedział się Jagiełło, że wbrew dawnemu obyczajowi, wedle którego izby obojga królestwa, gdy na zamku się znajdowali, wspólne były, królowa pozostała w swoich komnatach i oświadczyła, że przenosić się nie będzie.

Znaczenie tego rozbratu chłodnego zrozumiał Jagiełło i nie nalegając zastosował się do woli Sonki.

Odtąd więc mieli być małżeństwem z imienia tylko, nie żyjąc już z sobą. Pochlebiał sobie król, że w czasie pobytu w Krakowie zmienić się mogą stosunki. Nazajutrz był poufalszym i czulszym, usiłując dawną śmiałość i swobodę odzyskać, w Sonce jednak znalazł taki poważny chłód i pokorę jakąś przesadzoną, a w mowie taką wstrzemięźliwość, iż wyrzec się musiał

zupełnego przejednania.

Skarżył się na to przed biskupem Zbyszkciem, który z lekka ramionami poruszywszy radził to zostawić czasowi i królowej słuszość przyznawał. Nie chciała być narażoną na nowe podejrzenia, na nowe kłótnie i pojednania. Lepiej więc było żyć w zgodzie z daleka od siebie.

Posmutniał król... i byłby może prędzej opuścił Kraków, bo już o zjeździe w Sandomirzu

mówiono, gdyby go biskup nie zatrzymał posłuchem, iż posłowie od Witolda, Rombołd marszałek jego i Gastold wileński wojewoda, w drodze byli, a należało, aby ich tu Jagiełło z radą przyjmował.

Nie tajnym było, co wieźli.

Równoważęło poselstwo to z wypowiedzeniem wojny. Jagiełło i Polska na przyjęcie korony

od Zygmunta zgodzić się nie chcieli. Witold posyłał oznajmić im, że koronę wbrew ich woli postanowił przyjąć.

Jagiełło, lękający się walki z Witoldem, zmiękły, przestraszony, prosił za nim Zbigniewa, który był niewzruszonym.

— Dziecku swojemu, miłościwy panie, odbierasz to, co mu należy...

— Witold nie ma dzieci.

— Ale ma rodzzonego brata — rzekł Zbigniew. — Im spokojniej ukryty, nie spostrzeżony,

milczący, ten przyszły spadkobierca Witolda siedzi na swym dziale, im mniej daje życia znaków, tym więcej się go obawiać należy... Księżciu nie o koronę chodzi, ale o oderwanie się od Polski...

Raz ten kraj z Rusią Uznawszy niepodległym, stracimy go na zawsze. Myśl Witolda odrodzi się w tym Zigmuncie nie znanym, schowanym, lecz wielkiego umysłu i energii panu.

Chwiał się Jagiełło jak zawsze pod wrażeniem tego, co naciskało, zmieniając zdanie dla spokoju, dla okupienia się od walki, do której sił mu nie stawało.

Przybyli oczekiwani posłowie litewscy Rombold i Gastold z pokorą, jaką winni byli

Jagielle, ale ze stanowczością nakazaną przez Witolda oświadczając radzie i królowi, że bądź co bądź pan ich koronę przyjąć postanowił.

Nie przyjmował ich król sam, nie chciał widzieć na osobności, poselstwo sprawili wobec

radę całej, a Zbyszek, któremu na męstwie nie zbywało nigdy, odpowiedział im dumnie w imieniu króla i Polski, że gdy Witold bądź co bądź koronę mieć postanowił, oni też bodaj siłą opierać się temu będą, nie lękając się nawet wojny dla utrzymania praw pana swego.

Rachowano może w Litwie na to, że postrach rzuci Witoldowe postanowienie — znaleziono niezłomny opór.

W czasie posłuchania tego, gdy Rombold z Gastoldem przed królem stali, we drzwiach

otwartych drugiej izby ukazała się Sonka, tak aby ją widzieć mogli, i słuchała odprawy.

Spodziewał się Gastold, który z panami polskimi powinowatym był i miał tu przyjaciół, że poufnie z nim mówić i roztrząsać będą tę sprawę.

Posłowie oba mieli ręce pełne darów i obietnic, lecz nikt się do nich nie zwrócił, nikt na swą rękę i

osobno widzieć się nie chciał.

Znalazłszy tu przyjęcie nie zimne, ale odpychające, nie bawiąc długo wysłańcy księcia odjechali.

Nie zasypiano w Krakowie. Posłano do Rzymu prosząc o napomnienie papieskie do

Witolda, a że Zygmunt się odgrażał przesłaniem korony i listów jakąkolwiek drogą, obstawiono czujno granice, gościńce, drogi, aby one przejść nie mogły.

Król widząc, że z żoną do dawnego pożycia nie wróci, smutny zabierał się już w podróż

zwykłą, na Miechów do Wielkopolski, a stąd do Wiślicy i Sandomirza, gdy jednego poranku [do]

leżącego jeszcze w łóżku, wedle zwyczaju na starość coraz upartszego, weszła królowa niosąc Kaźmirza na rękę.

Starła się ona zawsze w ciągu tego pobytu męża, choć żyć z nim nie mogła, okazywać mu

twarz wesołą, a nigdy najmniejszą go wymówką i przypomnieniem przeszłości nie drażnić.

Usiadłszy przy łożu, gdy on weselsze wejrzenie ku niej zwrócił i ku dziecięciu, Sonka

odezwała się:

— Jedziecie tam, gdzie się do was siła ludzi zjeżdżać będzie, gdzie łatwo ich sobie zjednać i zło, jakie się stało w Łęczycy, naprawić.

Przypomnienie rozsiekanego pergaminu wyrwało królowi westchnienie. Była to jedna z

najboleńszych chwil życia jego, której nawykły niegdyś do bezgranicznej woli w rządzeniu Jagiełło zapomnieć i przebaczyć nie mógł.

Brzęk tych szabel zbuntowanych, zuchwałych, brzmiał jeszcze w jego uszach. Wzdrygnął

się.

— Synowi waszemu starszemu, pókiście żywi — mówiła dalej królowa — trzeba zapewnić

następstwo. Później trudniej będzie się dobijać o nie. Dziś jeszcze mówią o mazowieckich książętach i Piastach swych, jako o równe z nazymi dziećmi mających prawo do tronu... —

Szlachta chce nowych przywilejów — odezwał się król westchnieniem — a dosyć ich ma i tak, by nam pokoju nie dawała i berło z rąk wytrącała.

— Zapewnijcie im zachowanie dawnych praw, przy których obstają, a biskup wyjedna, że się

tym zaspokoją — mówiła królowa łagodnie. — Inaczej spadek niepewny...

gdy i na Litwie Świdrygiełło i Zygmunt czekają nań, cóż się twoim dzieciom zostanie?

Westchnął król.

— Dajcie im, czego chcą — dorzuciła królowa — król, który daje, odebrać też może...

będzieli miał siłę, ale królem naprzód potrzeba być...

Głową potrząsał Jagiełło.

— Mów o tym biskupowi — rzekł — uczynię, co mi poradzą, bez nich ja nie mogę nic!

Zasepił się. Królowa posiedziała chwilę, ponawiając naleganie tak, aby w umyśle męża zostało. Odeszła.

W kilka dni potem opustoszał znowu zamek na Wawelu, królowa i królowna zostały

same. Przez czas pobytu swego stary król oswoił się z nowym stosunkiem do żony, która nie czyniąc mu wymówek, nie okazując żalu, wrócić już do pożycia z nim nie chciała.

Uznał może, iż miała słuszość, a rad był, iż wyszedł prawie bezkarnie z tego zamętu, jaki mu Witold zgotował. Łowy i podróże zwykle rozerwać go miały. Sprawy państwa zdawał na biskupa i wojewodę.

Nowe poselstwo wyprawiono jeszcze do Witolda, który je dwuznacznie odprawił, winę składając na Zygmunta. Duma — jak mówił — nie dozwalała mu ulec i ustąpić.

Wiedziano, że pisarz krakowski Bartek z Opawy siedział na dworze króla rzymskiego nalegając o koronę.

Królowa pozostawszy w Krakowie, na pozór zajmując się tylko dziećmi swoimi, siedząc zamknięta, nie spuszczała z oka zabiegów Witolda. Miała ona swoich ludzi czynnych, aby zapobiec groźnej koronacji.

Hińcza przyszedłszy do zdrowia, gdy tylko z braterskiego domu mógł ruszyć, udał się na

zwiady za Straszem. Szło mu o poniszczenie królowej naprzód, potem siebie. Zbierał więc dawnych towarzyszków, komorników, sługi i urzędników zanikowych, którzy przeciwko zdrajcy świadczyć mogli.

Chociaż na dworze mu się pokazywać zabronionym było, do Krakowa mógł jechać, kiedy

chciał. Przybył też tu z zamiarem naradzenia się z ochmistrem dworu Malskim.

Znał jego przywiązanie do Sonki i gotowość stawania w jej obronie.

Wieści złośliwe ustały były wprawdzie i ludzie nie śmieli powtarzać starych potwarzy,

Hinczy jednak zdawało się, że wyprzysiężenie się nie starczyło.

Malski, szczególnie mający nabożeństwo do N. Panny Różańcowej, chadzał często do ks.

Dominikanów — tu u wyjścia czekał nań Hińcza.

Gdy go powitał, z początku ledwie poznać go mógł ochmistrz i dopiero, z głosu

przypomniął. Od więzienia w Chęcinach

Hińcza był wielce zmieniony. Nie mówiąc już o tym, że mu twarz szcerniała, był cały jakby nabrzękły, ciała nabrał i zestarzał.

— Że mnie wasza miłość, starego sługi, nie poznajesz, nie dziwuję się — rzekł Hińcza. —

Jak Piotrowin z grobu powstałem i zapomnieć o tym nie mogę, com w tym grobie w Chęcinach wycierpiał... Jako człek rzetelny, nie chciałbym za to Straszowi być dłużnym...

— Mniejsza zresztą o mnie — ciągnął dalej — przebaczyłbym dla ran Chrystusowych

krzywdę własną, ale łez i sromu królowej naszej darować mu nie mogę.

— A cóż myślisz? — rzekł Malski.

— Nie dosyć na tym, że królowa przysięgła — zawołał Hińcza. — Działo się to na zamku,

mało kto wie jak, a wielu ramionami rusza. Sądu na oszczercę potrzeba jawnego.

Królowa o swą cześć publicznie się upomnieć powinna, potwarcy to nie może ujść

bezkarnie.

— Po cóż sądem tym wznawiać, co zapomniane? — rzekł ochmistrz.

— Nie zapomniana to, ani skończona sprawa, Bóg mi świadek — mówił Hińcza gorąco. —

Siedzę w Krakowie kilka dni, a com się przekąsów i gadek niepoczciwych nasłuchał, tego na wołowej skórze nie spiszę. Mówcie wy, miłościwy panie, królowej, niech każe tego łotra pozwać.

Świadków i dowody znajdziemy, niech głowanałozy, niech popróbuje tego, co mnie niewinnego spotkało... Do Chęcın go, a na dno!

Ochmistrz dumał długo, widać było, że nie zgadzał się na to, co Hińcza wnosił, obawiając się niepotrzebnego rozgłosu,

— Obawiać się rozgłosu nie potrzeba większego, jak jest i był — dowodził Hińcza —

owszem, na jaw, na jasny dzień wyprowadzić wszystko... a mało tego, że potwarca odszczeka, niech krwią zmaże plamę...

Pomimo gorących nalegań Malski, spokojniejszego ducha mąż, wytrawny, nie przystał na to, czego się Hińcza domagał.

Ten go o mało po rękach nie całował.

— Ja do królowej dostąpić nie śmiem — rzekł — choćbym nogi jej ucałować pragnął, więc o nic was nie proszę, tylko o jedno: Powiedzcie jej, że ja ją błagam, aby sądu się domagała, niech strach padnie na złych. Witold swojego sługi teraz, gdy sam w opałach jest, bronić nie może.

Nie zemsty, ale sprawiedliwości dopominać się trzeba... tylko sąd jawny tę sprawę raz na zawsze rozstrzygnąć potrafi i zmyć plamę.

Aż do bramy zamkowej prowadząc tak Malskiego nalegał Hińcza, prosił i słowo na nim

wymógł nareszcie, iż królowej powie, co od niego słyszał. Ale ochmistrz rzekł mu kończąc:

— Powiem, nie bój się, ino to masz wiedzieć, że ja radzić nie będę, ale odradzać. Licha, gdy śpi, budzić nie potrzeba.

— A dać lichu grzędę — zakończył Hińcza — wlezie na głowę!

Poszedłszy za radą królowej, której biskup nie był przeciwnym, Jagiełło potwierdził

przywileje szlachcie nadane, otrzymał za to zapewnienie następstwa po sobie dla syna, odwiedził

potem Kraków i po raz wtóry po rozstaniu się przykrym w Medyce spotkał z Sonką, która go wdzięcznie przyjęła.

Wiadomość o uzyskanym przyrzeczeniu wyboru na tron Władysława królowę uczyniła

wdzięczną, ale wszystkich, co tajemnie sprzyjali królownie Jadwidze, oburzyła. Przychodzili do niej z ubolewaniem, jak do pokrzywdzonej, wydziedziczonej, i szczepili w młodym sercu nienawiść ku macosze, żal do ojca.

Jagiełło, który brandenburskiego narzeczonego inaczej myślał wyposażyć, nie domyślał się, aby mu to za grzech poczytano. Synowie zawsze szli przed kądzielą; prawo i zwyczaj miał za sobą.

Nieprzyjaciele Sonki widzieli w tym jej przewrotność, sarkali po cichu i wskazywali ją jako wroga, który na córkę Anny, na dziecko krwi Piastów czyhał.

Wyszła do ojca królowa z oczyma czerwonymi od płaczu, blada, a gdy przy nim

przemówiła do niej Sonka, odwróciła się od niej nie dając odpowiedzi.

Jagiello powolny, choć widział i rozumiał, co się tu działo, zamilczał, zostawując czasowi zabliznienie rany.

Krótko zabawiwszy w Krakowie pociagnal król do Lublina, ku Rusi swej, nie mogac na Litwe.

Zima nadchodzila, ktora zawsze zwykl byl tam spedzac, w tych lasach, co dla niego inna woń miały, na których sam widok radował się i uśmiechał.

W tym roku wypowiedziana niemal Witoldowi wojna o nieszczęsną tę litewską koronę, narzucaną mu przez Zygmunta, który się przechwalał, że kość między nich rzucił, aby się o nią jak psi gryzli Polacy z Litwą, nie dozwalała Jagielle nie tylko do Wilna, ale nawet do Grodna i do granic

II

Litwy docierać. Obawiano się zdrady, podstępu, gwałtu, a najbardziej samej króla słabości.

Witold się głośno odgrażał, przejęto listy, które mu Zygmunt wysłał, obstawiono granice, aby korona dojść Witolda nie mogła. Wysłancy króla rzymskiego musieli się zatrzymać w drodze.

Ostatnie poselstwo, już nareszcie dla położenia końca tej sprawie, ofiarowało Witoldowi koronę polską, której Jagielle zrzec się był gotów dla niego, byle osobnej, drugiej, nie żądał.

Lecz Witoldowi panowanie nad Polską nie mogło przypaść do smaku, mieniac go na Litwe i

Ruś nie myślał.

Znając charakter jego przewidzieć było łatwo, iż sprawy, choć na pozór już skończonej, nie wyrzecz się. Nie ustępował nikomu, nie cofał się nigdy.

Siedział więc król umęczony, starzec znękany na tym pograniczu Rusi, tęskniąc, nie

wiedząc, dokąd się obróci. Sonka go zaklinała, gdy wyjeżdżał z Krakowa, aby się nie ważył na Litwę i nie popadł w ręce mściwego jej wuja.

Wtem jednego dnia rano, gdy król był na nabożeństwie w starej kapliczce zamkowej w

Lublinie, dano mu znać, klęczącemu jeszcze na modlitwie, iż od Witolda przybył jeden z pisarzów jego, Małdrzyk Róża.

Jagiello tak bardzo zgody i pokoju pragnął, iż dla nich gotów się był wyrzecz korony, a miał

taką słabość dla krwi swej i Litwy, że na wieść o pośle mogącym mu zwiastować przejednanie twarz mu się zaśmiała.

Uradował się, iż książę czynił krok jakiś, mogący do porozumienia się prowadzić.

— Niechby sobie wziął Kraków, koronę, Zbyszka i ich wszystkich, a ja bym w Wilnie siadł i polował swobodnie około Trok i Oszmiany!

Zaledwie ksiądz podał patenę do pocałowania, gdy król wyszedł krokiem pośpiesznym oglądając się za Małdrzykiem.

Ten stał, ledwie z konia zsiadłszy, w podwórku, a komornicy królewscy i dwór go witał, bo, choć Witoldowy sługa,

Małdrzyk nie zapominał, iż Polakiem był, i zaprząwszy się w służbę miłości kraju nie zaprzedał.

Znajomi widzieli go zawsze radzi, on swoich witał bratersko.

Król z dala skinął na niego, pospieszył mu się do kolan pokłonić. Jagiełło wesół po ramionach go klepał.

Jak Małdrzykowi miło było Polskę zobaczyć, tak Jagielle choć posłyszeć o Litwie.

Szli na zamek.

— Z czymże ty do mnie? — spytał król.

— Z prośbą od pana mojego — ochoczo począł Małdrzyk. — Zima za pasem, do łowów u nas pora dobra, zwierza przepaść. Książę zaprasza miłość waszą, wedle starego zwyczaju, jak co roku, na Litwę, do Wilna, gdzieby i Gody razem panowie przebyli.

Król aż zadrzał z radości, ale nie wiedział, co Odpowiedzieć.

Jeden Bóg tylko znał, jak on tego pragnął! W Wilnie dopiero czuł się u siebie, panem, w domu; tamto było zawsze gniazdo jego serdeczne... ale jak tu teraz było pomyśleć nawet puścić się na Litwę, oddać w ręce obrażonemu, gniewnemu, narażać na nowe nalegania, prośby, naciski?

W pierwszej chwili odpowiedź mu na ustach zamarła. Obejrzał się dokoła, jak by wzywał pomocy czyjej, ale nikogo z przedniejszych panów rady przy nim nie było.

Małdrzyk poczekawszy nieco, może rad temu, dodał:

— Niech się tylko miłość wasza nie lęka niczego. Pan nasz o koronie już nie myśli wcale, wyrzekł się jej. Rad by tylko w zgodzie żyć.

— Bodaj ci Bóg dobre słowo nagroził — odparł Jagiełło. — Mnie do was tak się chce jak

duszy do raju, ale, Małdrzyku ty mój, ty wiesz, ja tu nie pan. Trzeba wiedzieć, co Oni na to powiedzą! Piastunek moich słuchać muszę i na paskach chodzić. Zobaczymy, co oni na to!

— Ja dodam jeszcze od wielkiego księcia Witolda, że on o przybycie gorąco prosi, a bardzo widzieć żąda.

Zaniemógł nieco... przebolał wiele... niechby się te rany zablizniły.

— Ja bym za to więcej może niż on dziękował — przerwał król.

Pomyślał trochę i dorzucił:

— Idź no, spocznij sobie, a my radzić będziemy. Aż mi się dusza rwie.

Pilno było tak Jagielle, że po wyjściu Małdrzyka natychmiast posłał po biskupa Zbigniewa, który mu towarzyszył, i po panów rady.

Między innymi byli u jego boku w Lublinie dwaj jeszcze Oleśnicy, Dobek kasztelan wojnicki i Jan Głowacz marszałek, Jan

Łaszko z Koniecpola, Wincenty z Szamotuł i Klemens Wątróbka ze Strzelec.

Gdy wchodzącemu biskupowi król spieszył dobrą zwiastować nowinę, z pierwszych słów jego się przekonał, że Zbyszek o wszystkim już był zawiadomiony, jak zwykle.

— Cóż wy na to? — porywczo i spieszenie zapytał Jagiełło.

— Sprawa to dojrzałej wymagająca rozwagi — rzekł biskup poważnie. — Zgoda i

zapomnienie uraz byłoby pożądanym, okazać nieufność i obawę nie jest dobrze, ale zdać się na łaskę Witolda i słowu jego zwierzyć niebezpiecznie.

— Wiadomo to waszej miłości — odezwał się Głowacz z Oleśnicy zwracając do króla —

że wysłańcy Zygmunta doktor Baptysta i Roth dotąd na Litwie siedzą i nie przestają o koronację podżegać. Witold zna naszego króla dobroć i powolność i na nią rachuje.

— Tak, tak, wszystko to ja wiem i myślałem o tym — przerwał Jagiełło smutnie — ale...

Małdrzyk zaręcza, że on już się starania o koronę wyrzekł, że mowy o niej nie będzie.

— A skąd Małdrzyk wiedzieć może, co u Witolda na myśli? — wtrącił Wicek z Szamotuł.

— On się nikomu nie spowiada, a to, co mówi, nie jest wielką rękojmnią. Często obiecuje co innego, a robi potem, co mu dogodnym.

Jagiełło słuchając zaczynał się coraz bardziej zasępiac i wzdychać.

— Radźcie więc — rzekł ponuro — radźcie. Ja bez was nic stanowiąc nie chcę, abyście mi potem nie wyrzucali, żem piwa nawarzył.

Zbigniew biskup, zamyślony, czoło pocierał.

— Tej sprawie o koronę raz by koniec uczynić należało — zawołał. — Podróż królewska może by się przyczyniła do potargania tych węzłów, które Witolda wiążą ze zdrajcą

Luksemburczykiem. Ja niczego się tak nie boję, nawet samego Witolda, co dobroci i powolności pana naszego.

Na tę wymówkę król nie odpowiedział, jak gdyby jej nie słyszał. Znał siebie dobrze, przychodziło mu na myśl i to, że królowa go ostrzegła przeciw Witoldowi, zaklinała, aby się nie dał wziąć gładkimi słowy.

Naradzano się więc długo, a co było mężów przy królu poważniejszych, zbierali się przez cały dzień, powoływali i badali

Małdrzyka, chodzili do króla, myśleli, rozstrząsali z obawą za i przeciw, nie mogąc nic stanowczego wyrzec.

W końcu jednak zdanie biskupa i życzenie króla zwyciężać zaczęło.

Nie godziło się zaprosin Witoldowych odrzucać, należało jechać na Litwę.

Godzili się już na to niemal wszyscy, ale razem na potrzebę towarzyszenia królowi, dodania mu ludzi, którzy by czuwali nad nim, popierali go, nie dali zmięknąć.

Sposobniejszym do tego nikt nie był nad biskupa Oleśnickiego, ale z jego strony podróż z królem na Litwę była największą ofiarą, jaką mógł uczynić dla kraju i pana swego.

Witold go nienawidził, wiedział o tym bardzo dobrze, iż opór niezłomny, jaki w Polsce

spotykał, był dziełem Oleśnickiego. Jechać do Wilna było to narazić się dobrowolnie na najcięższe próby, na największe utrapienia, na walkę i niepokój, a nawet na niebezpieczeństwa.

Z drugiej strony, nawet najdzielniejsi z senatorów swą powagą, energią, charakterem, wymową nie mogli ani mu dorównać, ni go zastąpić.

Wszyscy więc zgodzili się na to, że jeżeli król jechać ma do Wilna, nie może bez biskupa.

Poczęto ze wszech stron nalegać na Oleśnickiego. Wiedział on, co go na Litwie czekało, ale król prosił, zaklinali wszyscy... zgodził się milczący.

Oprócz biskupa znaczny orszak panów, nie tylko dla okazałości — dla czuwania, pomocy, straży nad starcem miał mu towarzyszyć na Litwę.

Małdrzyk, który konie rozsądzone miał i gońców na posługi, został trzeciego dnia z tym odprawiony, że król zaproszeniu rad natychmiast przybywa.

Łatwo się domyśleć, że pomimo uspokajających zapewnień Witoldowego posła myśl koronacji wcale nie była zaniechaną, owszem, czyniono do niej właśnie przygotowania.

Przybycie króla do Wilna i po drodze już słuchy o wielkim zjeździe książąt i bojarów nie dozwalały o tym powątpiewać.

Nadzwyczaj wspaniały i liczny orszak towarzyszący przyszłemu królowi Litwy witał u

bram Wilna sędziwego Jagiełłę. Goście z Rusi, dwór ogromny, straże strojne, przedstawiały się świetnie i z królewskim przepychem.

Ażeby ująć Jagiełłę, zwołano co było najdostojniejszego, przyjęcie uczyniono uroczystym.

Witano go okrzykami, lud bił czołem.

Sam Witold w książęcym płaszczu, żona jego lśniąca klejnotami, wielki mistrz Krzyżaków,

który odgrywał jakby panującego i udzielnego książęcia rolę, kniaziowie ruscy: moskiewski, twerscy, odojewski i inni, zastęp ogromny kniaziów i bojarów, tatarskie straże... tłumy bojarów litewskich witały króla.

Witold występował po monarszemu, a choć nie rozrzucał i nie trwonił jak Jagiełło, tam

gdzie trzeba było okazać swą możność, sypał chętnie i miał z czego. Skarb jego był zawsze pełen.

Przy biciu dzwonów, wrzawie trąb, piszczałek i bębnow wjechał na zamek wileński król

uradowany, wesół, przyjmowany z poszanowaniem i sercem wielkim.

Jego i towarzyszących mu panów polskich ugaszczano i podejmowano od granicy... ale z

wyjątkiem biskupa Zbigniewa. O tym wiedzieć nie chciano. Jak łatwo było przewidzieć, solą w oku Witoldowi stał się biskup. Starano się zapominać o nim, nie znać go, omijać... nie liczone wcale do orszaku, jechał o własnym koszcie.

Wszystkich oprócz niego przyjmowano, chociaż ten... zaniedbany... był w istocie najpierwszym i znaczył więcej nad samego króla.

Pierwszego dnia o niczym mowy nie było, domyślać się tylko kazano, że koronacja się gotuje. Nazajutrz, zapomniawszy o tym, co Małdrzyk obiecywał, że o koronie mowy już nie będzie, przypuszczono zewsząd szturm gwałtowny.

W wielkiej izbie dolnego zamku wobec króla, Witolda, wielu książąt i nieodstępного biskupa, Paweł Russdorf, mistrz krzyżacki, pierwszy wystąpił sam od siebie z serca i przyjaźni wielkiej dla Polski i dla Litwy.

Miodowe jego słowa były jakby echem powtórzonym głosu króla rzymskiego. Mistrz bolał niezmiernie nad nieporozumieniem i rozterką, nie pragnął nic, jak powiadał, tylko obu państw pomnożenia potęgi i sławy.

Gdy dokończył, wstał Oleśnicki. Krzyżak politykował i uwodził, biskup z męską otwartością kłam mu zadał w oczy.

— Nie mówcie nam ani o miłości, ani o życzliwości dla nas — odparł śmiało. — Mamy w rękach niezbite dowody własne listy wasze, które świadczą, jak wy i król rzymski sprzyjacie nam i do czego dążycie... Wszystko to jest dziełem waszym...

Przejęte pisma z pieczęciami, których się zaprzeczyć nie możecie, mówią przeciwko wam i zapewnieniom kłam zadają.

Nie spodziewano się nigdy, aby biskup tak śmiało i jawnie mógł wystąpić, nie oszczędzając ani przytomnego mistrza, ani siedzącego tuż Witolda. Zdumienie, przerażenie było wielkie. Król oczy spuścił i pobladł, mistrz Russdorf zatrząsł się, twarz mu zapłonęła... rzucił oczyma dokoła, nie wiedział, co odpowiedzieć.

W najprzykrzejszym położeniu znalazł się Witold, który nie mogąc ani za sobą przemówić, ani Krzyżaka bronić, porwał się z siedzenia i słowa nie mówiąc wybiegł z sali.

Z wielkim spokojem, stanowczo i dobitnie biskup dodał, że o koronie i koronacji mowy nawet być nie może, bo ani król, ani rada przyzwolenia na nią nie dadzą.

Odzywiania się namiętne, dowodzenia wszelkie, wykrzykiwania, nalegania, prośby...

żadnego skutku nie miały. Król milczał wskazując na biskupa, Oleśnicki niczym się złamać nie dawał.

Wynosił pod obłoki Witolda, ale korony mu dać Polska nie mogła, bo Litwa połączona z nią była pod jedną, a stworzyć dwie, znaczyło rozerwać, co przysięgi i zobowiązania złączyły.

Dzień ten był stanowczy, rozbił on nadzieje i złudzenia.

Zmieniło się wszystko. Smutek rozpostarł się po otaczających Witolda, którzy wczoraj jeszcze byli jak najlepszej myśli, wielki książę przekonał się, iż Zbigniewa ani ujmie, ani złamie.

Zdawał się chwilami losowi swemu poddawać, ale w piersiach jego wrzała rozpacz i gniew niewysłowiony. Być zwyciężonym, zmuszonym poddać się, po tak nadzwyczajnych wysiłkach u schyłku życia... dla niego śmierci się równało.

Pobył na zamku i w mieście dla całego dworu, szczególnie dla Oleśnickiego, któremu wejrzenia wszystkie grozić się zdawały, pałające nienawiścią, brzemiennie zemstą, stawał się nieznośnym. Jagiełło na próżno starał się łagodzić, przebłagiwać, uśmierzać.

Witold z godnością i dumą nosił ten ból swój, żal i upokorzenie, ale księżna Julianna po niewieściemu wykrzykiwała, napadała z wymówkami na Jagiełłę, napastowała, kogo spotkała, podmawiała, słała, zabiegała, nie dając spokoju nikomu.

Wśród bardzo licznego orszaku książąt, nie proszony podobno, znalazł się jak gdyby przypadkiem rodzony brat króla, Swidrygiełło.

Dla Jagiełły, który całą swoją rodzinę miłował i miał słabość do niej, wielką pociechą było widzieć go przy sobie. Swidrygiełło dziki, gwałtowny, cyniczny, na pół barbarzyńca, wcale mu miłości tej nie odpłacał.

Postać to była wstrętna wszystkim oprócz tych, których pociągała podobieństwem usposobień i obyczaju.

Ze wszystkich braci Jagiełłowych w tym najwięcej poganina zostało, potomka tej krwi nie uchodzonej, wrzącej, która spokojnie w żyłach płynąć nigdy nie umiała i wybuchami piętnowała wszystkie dni życia.

Więcej Rusin niż Litwin, obyczajem, językiem, wyznaniem (choć liczył się do kościoła

rzymskiego urzędownie), Świdrygiełło miał w sobie spuściznę po tych kniaziach Rusi, którzy bez względu na związki rodzinne, na przysięgi i sojusze, dobijali się panowania bodaj morderstwą, gwałtami i zdradą.

Na Witoldzie, bracie jego Zygmuncie, na Korybucie, na innych litewskich książętach wpływ cywilizacji i stosunków z Zachodem, łagodzący, uśmierający, był widocznym. Odzywały się w nich stare prądy, niekiedy, lecz zwyciężał obowiązek i poszanowanie prawa, choćby pozorne.

Świdrygiełło różnił się od nich wszystkich jakby o sto lat spóźniony; był to człowiek prosty, dziki, namiętny, gbur, wybuchający nieustannie i żadnego wrażenia nie umiejący pohamować...

Ale właśnie to, co ludzi Zachodu odłączało od niego, na Rusi i w Litwie mnogich mu

jednało zwolenników. Zabijał wprawdzie w gniewie, rzucał się, mordował, ale za stołem, przy biesiedzie, można z nim było pić za pan brat i bluzgać słowy. Ze zbrojem tym na pół dzicy bojarowie byli śmielsi, swobodniejsi, niż z innymi książętami... Czuli w nim swego starszego brata.

Wiedział z dawna Jagiełło, że Świdrygiełło srogi miał żal do niego, urazę wielką...

nienawiść z którą się nie krył, za to, że nad niego przeniósł Witolda, że go trzymał na małej dzielnicy, odsuniętego na uboczu.

Spotkawszy się tu z nim król tym czulszym i serdeczniejszym się chciał okazać, ale zamiast go sobie pozyskać dobrocią wzmógł tylko butę Świdrygiełły.

Przybywszy tu jak kruk czujący, że się pożywić będzie mógł, ani Witoldowi, ani Jagielle

najmniejszego nie okazywał poszanowania, głośno się z tym przechwalał, że obu im zguby *życzył*, a swojej krzywdy nigdy przebaczyć nie mógł.

Nieraz za stołem odwracali się wszyscy od niego, gdy podpił, tak na każdego rzucał się i wywoływał sromotne rzeczy.

Przy pierwszym powitaniu zaraz, zmierzyszy dzikim wzrokiem Jagiełłę, na jego dobre słowo odpowiedział bezwstydnym szyderstwem.

Przy stole, gdy Jagiełło i Witold, oba trzeźwi zawsze, pili wedle zwyczaju wodę,

Świdrygiełło zalewał się miodem, winem, czym znalazł tylko i co miał pod ręką. Krwią mu

nabiegła twarz, oczy zachodziły krwią, głos podnosił, zagłuszał wszystkich wrzaskami i krzykami niesfornymi.

Nie chodził inaczej, jak otoczony gromadą bojarów mu podobnych, która tymi jego

zuchwałstwami uradowana potakiwała, przyklaskiwała, a im król i Witold więcej się zzymali, tym

większą z tego okazywała uciechę.

Nienawiść dla Jagiełły — względem Witolda potęgowała się zazdrością, która przez długie

lata rosła i doszła teraz do szafu. Zdawało się, że przybył tu umyślnie po to, aby się urągać niedoszłej koronie, napawać zemstą, cieszyć upadkiem, a może w jakikolwiek sposób starać się skorzystać z niego.

Jagiełło na próżno się go starał upamiętywać, miarkować, ugłaskać... dzika ta natura płaciła mu za jego łagodność odgrózkami i szyderstwem.

Gdy po pierwszym starciu biskupa z wielkim mistrzem Witold się musiał wyrzec nadziei

pokonania Oleśnickiego i koronacji... nie było już co wstrzymywać w Wilnie całego tego orszaku kniaziów, ściągniętych umyślnie dla spodziewanej uroczystości.

Wszyscy z kolei, obdarzeni wspaniale, żegnani poczesnie i serdecznie, rozjeżdżać się

zaczęli. Dla biskupa było to najlepszym znakiem zwycięstwa, ale nie okazał wcale, jak mu rad był i dumny z niego. Oszczędzał, o ile mógł, miłość własną wielkiego księcia.

Ze wszystkich kniaziów przybyłych Swidrygiełło jeden nie okazywał ochoty do wyjazdu.

Było coś dziwnego i podejrzanego w jego postępowaniu. Ukazywał się, znikał, robił wycieczki, gromadził około siebie tych, o których wiedział, że Witoldowi nie sprzyjali lub urazę mieli do niego. Donoszono w. księciu, że konszachty jakieś miał z bojarami, po nocach ich sprowadzając do siebie.

Witold mówił o tym Jagielle, król bronił brata.

— Pijanica! — mówił — i po wszystkim!

Korzystając zaś z tego pobytu przedłużonego Jagiełło chciał się koniecznie zbliżyć,

przejednać, zyskać go sobie.

Swidrygiełło siedział, ale tak szydził z Jagiełły jak zawsze. Co dzień znajdował tu

liczniejszych towarzyszków i przyjaciół. Co postrachem i grozą odepchnął od siebie Witold, cisnęło się do niego.

Na zamku podpiwszy, pod noc szedł zaproszony lub własnowolnie do bogatszych bojarów,

do kupców ruskich, nawet do prostych mieszczan i tam całe noce na krzykliwym biesiadowaniu spędzał.

Rzadko kiedy bez rozlewu krwi i bójkę się obeszło, bo po trzeźwemu, gdy się uniósł, bił i policzkował łatwo, a pijany, byle go, za nóż chwycił. Ale i drudzy byli nie lepsi. Wytrzeźwiwszy się,

pamiętano tylko, że książę był ochoczy i wesół.

Jagiello, dla wszystkich słaby, dla brata tego był do zbytku czułym i pobłażającym.

Swidrygiełło obchodził się z nim zuchwale i dziko.

Jeździli czasem razem na łowy, z których stary pan powracał najczęściej znękany, upokorzony, ale nigdy się nie poskarżył. Co mu we cztery oczy mógł prawić Swidrygiełło, domyśleć się było łatwo z tego, co przy ludziach nie wahał się bluzgać.

Uspokojony nieco rozjechaniem się sproszonych gości król oddychał swobodniej, gdy wcale niespodzianie, sam na sam, Witold rozpaczliwie znowu począł nalegać o koronę. Skłaniała go do tego żona.

— Na srom i pośmiewisko całego świata wydaliście mnie! — mówił Jagielle. — Szydzić ze mnie będzie Dygmunt, naigrawać się papież i wszyscy książęta, i panowie chrześcijańscy...

gdziekolwiek doszło imię moje... cześć postradam! Korony nie chcę dla władzy, ale dla ocalenia sławy mojej. Dajcie mi ją na dzień, na godzinę... złożę natychmiast, byłem mógł powiedzieć, że włożył na skronie. Jagielle wskazał na panów swoich.

— Zgódź się ty tylko, ja z nimi poradzę sobie — wołał książę.

Król, który więcej się może obawiał Zbyszka niż brata swego, ciągle szeptał niewyraźnie

jedno, iż gotów był zezwolić na wszystko, ale Zbyszek i rada się nie zgodzą, a bez nich on mocy żadnej nie ma.

— Ten biskup wszechwładny tu... jego zjednaj, ja zezwolę.

Chociaż tylekroć wypróbowana, niewzruszona stałość biskupa nowe pokuszenie się prawie

próżnym czyniła, a najmniejszego widoku przełamania go nie było. Julianna nalegała tak, iż Witold wysłał raz jeszcze na biskupstwo do ks. Macieja (bo u niego Oleśnicki mieszkał) dwóch

komorników Polaków, Mikołaja z Sępna i Małdrzyka.

Księżna Julianna nie mogła pojąć, aby człowiek nie uległ ponęce darów i skarbów, upierała się przy tym, że Zbigniewowi potrzeba było ofiarować tak wiele, ażby w końcu dał się przekupić.

Małdrzyk, lepiej znający Oleśnickiego, szedł wprawdzie posłuszny, ale nie mając nadziei, aby się poselstwo powiodło, zdał przemówienie na Mikołaja z Sępna, który pochlebiał sobie, że...

dokaże swego.

Biskup przyjął ich obu z tą powagą chłodną, której nic nigdy naruszyć w nim nie mogło.

Zaczął Mikołaj od tego, iż księżę błagał go, prosił, aby on jeden nie stawał mu na zawadzie.

Ofiarował w zamian cokolwiek by biskup żądał. Witold otwierał mu skarby swe, aby w nich sam, jaki chciał, wybór czynił dla siebie, dla kościoła, dla rodziny... Obiecywał więcej nadto, jeszcze nadanie ziem wielkich.

Być może, iż Mikołaj z Sępna rachował na to, że biskup starał się dla rodziny swej zbierać i bogacić ją... ale nie kosztem sumienia.

Odpowiedź Oleśnickiego była chłodna i rozważna. Przyznawał on Witoldowi raz jeszcze, że

był godzien nosić koronę, ale Polska mu jej dać nie mogła. On zaś za żadne w świecie skarby czci i sumienia nie mógł sprzedać.

Przez kilka godzin trwały prośby i dowodzenia próżne, iż Polska nic nie mogła stracić na koronacji Witolda, że on się ofiarował złożyć tę koronę, że jej żądał tylko, aby zmyć srom z siebie itp.

Biskup pozostał przy swoim chłodny, ale niewzruszony. Posłowie musieli powrócić z

rękami próżnymi. Usłyszawszy to Witold wpadł w gniew i roznamiętnienie szalone, ks. Julianna płakała ze złości i rzucała się odgrażając.

Oboje chcieli tym mocniej postawić na swoim, im zaciętszy był opór, a Jagiełło ciągle jedno powtarzał odsyłając do Zbyszka.

Witold raz jeszcze wezwał do siebie Macieja, biskupa wileńskiego, i przez niego znowu

zaklinał, prosił o koronę, choćby na dzień... obiecując ją złożyć natychmiast.

Jaka myśl tajemna skłaniała go do takiej natarczywości, dziś odgadnąć trudno; to pewna, że nie sama chętka osiągnięcia tytułu królewskiego.

Posunął się nareszcie w. księżę tak daleko, iż począł biskupowi grozić zemstą, zaklinając się, że wymoże, wybląga na królu, aby go z biskupstwa zrzucił jak Wysza.

Oleśnicki i tą pogrózką, zresztą niemożliwą do urzeczywistnienia, wcale się nie dał

ustraszyć. Odpowiedź brzmiała jak zawsze, iż zezwolić nie może.

Natarczywość zajadła księcia i wszelkie jego zabiegi rozbiły się pierśkapłana opancerzoną przekonaniem niewzruszonym, iż zbawienie kraju zawisło od utrzymania węzłów, które łączyły dwa narody.

Od kilku dni cierpiący Witold po ostatniej tej rozprawie z biskupem zaniemógł mocniej.

Złamał go ten ból, niepokoję, gorączka, z którą żył od zjazdu łuckiego.

Przestraszona Julianna o niego i o siebie nie wiedziała już, co począć. Razem z tym przychodziły wieści głuche, że

Swidrygiełło jawnie już do spadku po żyjącym Witoldzie czynił zachody i przygotowania.

Od kilku tygodni księżna widziała w twarzy męża zmianę, wyraz cierpienia. Krew napływała do głowy, boleści w karku i krzyżach stawały się nieznośne, na noc przychodziła gorączka.

Jednakże o życie obawy najmniejszej nie powzięto jeszcze, Witold pomimo wieku silnym był i krzepkością przechodził

Jagiełłę.

Pomimo choroby kłaść się nie myślał. Boleści, których doznawał w karku, zmusiły go tylko pozostać w izbie, w której Jagiełło siedział przy nim, a księżna niespokojna co chwila wpadała z nowymi radami i lekami.

Wrzód się robił na krzyżach, uznano to bardzo szczęśliwym, miał on wszystko złe wyprowadzić.

Po przegranej z Oleśnickim walce zaszła jednak zmiana zupełna w usposobieniu Witolda, opadł na siłach ducha, wyrzekł się już starań wszelkich, jakieś przeczucie końca owiało go.

Jagielle siedzącemu przy nim podawał dłoń.

— Zapomnijmy o wszystkim... Trzeba się wyrzec marzenia o koronie — mówił głosem

osłabłym. — Tak! wszystkich sobie ująłem, przełamałem grozą jednych, drugich kupiłem złotem, tego człowieka niczym nie mogłem pozyskać... jego i Sonki! On mi nie dał korony, ona mi nigdy nie przebaczy.

Posłyszawszy o chorobie ciężkiej Oleśnicki przyszedł do księcia, który przyjął go bez gniewu, z poszanowaniem.

— Ojczy mój — rzekł — zwyciężyliście... O koronie już nie myślę... Zazdroszczę Jagielle takiego męża, a Polsce pasterza.

Przytomni byli rozmowie podkanclerzy Władysław z Oporowa i siostrzan króla Semko

mazowiecki. Obrócił się do nich Witold powtarzając zaręczenie, że się korony wyrzeka. Oleśnicki starał się go przekonać wymownymi słowy, że wielkość jego i sława na tym nie tracą.

Witold, którego wielkie bóleści nękały, dodał po chwili:

— Zdaje mi się, że inna korona mnie czeka, na świecie nie tym.. Zbliża się koniec.

Przytomni przerwali mu dodając ducha i dowodząc, że nie było niebezpieczeństwa.

Księżnę jednak już opanowała trwoga i ta nieprzyjaciółka zawzięta Oleśnickiego, gdy wychodził od Witolda, spotkała go w progu zaklinając, aby na chwilę rozmowy wstąpił do niej.

Cała we łzach załamała przed nim ręce.

— Ojciec mój — poczęła — ratuj mnie biedną! Obawiam się o jego życie, on stary, nie

wytrzymać może, a ja, ja zostanę sierotą i ze wszystkiego mnie obedrą. Swidrygiełło czyha tylko, ma po sobie ruskich bojarów, byle pan mój oczy zamknął, pochwycą wszystko, ograbią mnie.

Zabierzcie z sobą skarbiec nasz do Polski, w waszych rękach będzie bezpiecznym.

Natarczywemu żądaniu temu zaledwie się mógł oprzeć Oleśnicki, starając się uspokoić

księżnę tym, że król nie dopuści grabieży, ani bezprawia.

Dnia tego w istocie choroba się powiększyła, rwanie i gorączka wzrosła. Przywołani lekarze niewiele mogli poradzić, natura sama musiała zwalczyć chorobę.

Troskliwy o niego król nie odstępował prawie od łoża, z którego Witold zrywał się ciągle, a skłonić go do wypoczynku, do siedzenia w izbie, żona ani Jagiełło nie mogli.

Wewnętrzna boleść oddziaływała na niego, słabł, ale siłą woli zaraz się dźwigał.

Cielesnemu cierpieniu ulec nie chciał, sromał się tego jak słabości, walczył z chorobą, jak przywykł był bojować życie całe.

Zbigniew biskup, przewidując już niebezpieczeństwo i zawikłania, chciał dłużej pozostać, ale sam król naglił, aby powracał z podkanclerzem i kilką senatorami dla spraw królestwa.

Można było prawie posądzić go, że postanowiwszy już po Witoldzie oddać Świdrygielle

Litwę, chciał usunąć, co mogło stawać na zawadzie. Biskup dla tego jednego już byłby mu przeciwny, że w nim katolika nie uznawał.

Oprócz biskupa i towarzyszących mu, dość liczny poczet zostawał przy królu, który z

większym niż zwykle wybrał się dworem.

Oleśnicki nie bez pewnej obawy Wilno opuszczał i Jagiełłę, chociaż przy nim zostawiał na straży ludzi, w których miał zaufanie.

Król wybierał się naprzód do Trok na łowy, potem lasami powoli miał ciągnąć ku Grodnu.

Nie spodziewano się jeszcze, aby choroba życiu księcia zagrażać miała.

Tymczasem Swidrygiełło, mało co pokazujący się na zamku, kręcił się po okolicy, zbiegał ku Oszmianie i Lidzie, wracał, zaglądał tu tylko i ze swymi bojarami zdawał się wyczekiwać.

W dzień św. Jadwigi, który Jagiełło zawsze uroczyście obchodził, rano miał mszy wysłuchawszy u Franciszkanów na Piasku do Trok wyruszyć.

Witold pomimo próśb króla i zaklęć żony uparł się mu towarzyszyć koniecznie. Chory nie dał się na wóz wsadzić, ale na koniu razem z Jagiełłą z zamku wyruszył. Księżna tuż jechała kolebką.

Zaledwie mały kawałek drogi ujechawszy księżę z bólu i zmęczenia tak osłabł, że ludzie go z konia musieli zdjąć i umieścić obok żony w kolebce.

Świdrygiełło, który był razem, zobaczywszy to, zniknął. Mniej na to zwracano uwagi, bo choroba Witolda zajmowała wszystkich.

Zbiegłszy z orszaku brat Jagiełły nieprędko się już ukazał.

Dojechali z Witoldem do Trok, gdzie choroba znacznie się zaraz pogorszyła. Zniesiony na łożo, księżę już nie wstawał z niego.

Jagiełło nie odstępował chorego ani dniem, ani nocą. Tymczasem Swidrygiełło na pewny już spadek rachując biegał po gródkach i dworach, po starych swych druhach i pomocnikach, przygotowując do gwałtownego opanowania księstwa, choćby wbrew woli Jagiełły.

Choroba Witoldowa przeciągnęła się. Nie było już dla nikogo tajemnicą, co Swidrygiełło zamierza. Sam chory uwiadomiony był o tym przez żonę, która się o swoją przyszłość lękała.

Dano więc znać Jagielle, ale tu wyszła na jaw cała dziwna owa słabość jego dla brata,

potajemna chęć wynagrodzenia mu za krzywdy, może obawa gwałtownego jego charakteru. Król wahał się z wystąpieniem przeciw tej samowoli. Naglony przez księżnę Julianę musiał w końcu posłać po niego.

Na ponowione raz i drugi wezwanie w końcu książ przybyć musiał. Zamiast powstać przeciw niemu i zagrozić, Jagiełło zobaczywszy nasepionego i rozgniewanego brata złagodniał i powitał go serdecznie a czule.

— Co ty tam poczynasz? — odezwał się — tu na ciebie wszyscy! Oskarżają cię, że spiski knujesz, że ludzi sobie jednasz, jak gdybyś już Witolda widziałna marach!

Pogardliwie wzruszył książ ramionami.

— Cóż ty myślisz? — odparł — że ja będę czekał na łaskę twoją? aż ty mi raczysz to puścić, co mi się słusznie i dawno należy? Trzymał naszą ojcowiznę dosyć długo stryjeczny z twojego daru, a tyś nie miał prawa nią rozporządzać. Biorę to, co moje, i pytać się ciebie, ani Polaków o pozwolenie nie będę.

Oszupiałemu królowi zamknął tym usta. Nie zaprzeczył mu, nie oparł się, dodał tylko:

— Patrzaj no, abyś się nie popadł jeszcze w ręce Witolda. Chory leży, ale dla tego mocniejszy jest od nas obu.

Splunął Świdrygiełło.

— Nic z niego nie będzie! — krzyknął. — Wrzód ten go zdusi, zje go żółć, którą mu korona po sobie zostawiła.

Rozśmiał się dziko.

— Nie boję się go. Na mnie przyszła pora, ja wam pokażę, co mogę!

Jagiełło chciał go powstrzymać, ale mówić mu nie dał. Rozsiadł się na ławie naprzeciw niego patrząc mu wyzywająco w oczy.

— Ty i on — wołał — obaście już zgrzybieli starce, do niczego. Kolej na Świdrygiełłę, który tu polskim pankom i papieskim biskupom gospodarować nie da!

Król siedział zupełnie przybity.

— Czekażże — wyjąknął — aby na ciebie przyszła ta kolej, a nie łap ryb przed niewodem.

Nie znasz tej mocy, którą sobie lekceważysz.

— Znam! znam was wszystkich i moją siłę — przerwał Świdrygiełło. — Ty mnie rozumu

uczyć nie będziesz.

I powstawszy nagle, nie patrząc już na króla zmieszanego, który go chciał wstrzymać, szedł precz. Panowie polscy ze zgrozą patrzyli na to, co się święciło.

Tymczasem choroba Witolda z dnia na dzień przybierała groźniejszy charakter. Lekarz Jagiełły postrzegł, że wrzód na krzyżach siniał i czerniał. Gorączka się wzmożła.

Miał jeszcze we dnie tyle przytomności Witold, że królowi zrozpaczoną żonę swą polecił i Litwę.

Ostatnich dni października wielki ten mąż życie w Trokach zakończył.

Było to hasłem dla Świdrygiełły do opanowania wszystkiego, na co czyhał.

Jagiełło, którego zgon ten na Litwie zachwyił, w pierwszych chwilach po śmierci Witolda oddalić się stąd nie mógł, trzeba było rząd jakiś i ład wprowadzić. Jedyne doradcy, który by mu najlepiej mógł posłużyć, nie miał przy sobie.

Świdrygiełło nie pytając o nic, wcześniej przygotowany, z pomocnikami swymi zagarniał zamki, opanowywał gródki, załogi sobie pozyskiwał.

Nie przebrzmiały jeszcze dzwony pogrzebowe, gdy do Jagiełły, który znajdował się na

zamku wileńskim ze swoim orszakiem, nie podejmując nic i nie namyślając się, co ma począć, wpadł butnie, jak pan tutejszy, Świdrygiełło. W istocie skorzystał on z czasu pogrzebu, aby z jednej strony opanować Troki, z drugiej zamki wileńskie ludźmi swymi poobsadzać.

Pałała mu twarz i oczy. Szedł nie jak podwładny, ale jako władający już Litwą, nie jak do króla, ale do swego jeńca i więźnia. Garść Polaków nic mu nie znaczyła.

— Litwa moja — zawołał — czy po dobrej woli, czy siłą wezmę ją... Rozumiesz ty to?

Jagiełło zamruczał coś niewyraźnie, a potem dodał:

— Ja sam nie mogę... Trzeba panów rady pytać. Ich tu nie ma.

— Ja ani ciebie, ani ich się pytać i prosić nie myślę! — krzyknął kniaź. — Litwa nie była twoją, żebyś ty ją Polsce oddawał za żonę. Jam taki dobry następca po ojcu jak i ty, prawo moje dziedziczenia tej ziemi nie gorsze.

— Bracie — chciał począć łagodniej Jagiełło. Posłyszawszy to imię kniaź w uniesieniu gwałtownym wybuchnął.

— Kiedyś ty mi bratem był? Teraz chyba ci się braterstwo przypomniało, gdyś się mnie

złąkł! Ja się z tobą bratać nie myślę, ja ciebie nie znam!

I pięść ściśniętą podniósł do góry.

Jagiello nie widząc innego sposobu chciał go ułagodzić obietnicą puszczenia mu Litwy, ale nie na wiele się to przydać mogło.

— Jam ci chciał i bez pogroźek a przymusu sam Litwę puścić — rzekł strwożony. —

Miejże pomiarkowanie i cierpliwość. Musisz tylko z Litwą jak Witold stać wiernie przy mnie i z Polską.

Śmiechem złym, przysiadając aż i zęby ukazując, obie ręce w boki wparłszy, zarychotał kniaź dziko.

— Nu! nu! zobaczysz, jak wiernym ja ci będę! Zobaczysz... Ja nad sobą nikogo nie ścierpię.

Taki dobry tu jestem, jak ty tam w Krakowie, a może lepszy...

Podniósł się potem, wyprostował, milcząc znowu złożoną pięść prawie do twarzy przysunął Jagielle i drzwiami rzuciwszy wyszedł z izby.

Sceny tej upokarzającej panowie polscy, choć nie byli świadkami, zebrani w sąsiedniej komnacie domyślili się z podniesionych głosów i krzyków.

Krew w nich wrzała, jeden drugiego wstrzymywać musiał, aby nie wpadli do izby.

Lecz jak tylko usłyszeli wychodzącego kniazia, natychmiast Głowacz z Oleśnicy, Andrzej z Tęczyna i Mikołaj Drzewicki, z tych, co przy królu pozostali, wbiegli i znaleźli Jagiełłę pod wrażeniem pogroźek na poły struchlałym.

Dawno już oni przewidywali, na co się zanosilo, pilno czuwając nad tym, ażeby na zamek wileński, który zajmowali, nie wpuszczają nikogo.

Dokoła Świdrygiełłowa gawiedź krążyła, otaczała, wciskała się i odgrażała coraz zuchwałej.

— Miłościwy panie — odezwał się przybliżając Andrzej z Tęczyna — źle coś z nami... Nas

tu już pod czas nie mają za nic, rozkazy wasze im, jak by wiatr szumiał... nie chcą słuchać. Po mieście wszędzie Swidrygiełło strażę postawiał, bramy pozajmował. Troki i Witoldowe skarby w jego ręku, ludzi pełno, inne zamki jedne po drugich mu się poddają. Głosi się już wielkim kniazem Litwy i Rusi.

Z wolna głowę podniósł Jagiełło, zdało mu się, że najlepiej będzie bronić brata, a Polaków

uspokajać.

— Me ma w tym złego nic — rzekł zasepiony. — Świdrygiełło dawno miał przyrzeczenie

ode mnie, że mu Litwę puszczę po Witoldzie... Inaczej nie może być... Zresztą, co? Gdybym ja mu jej nie dał po dobrej woli, sam ją weźmie gwałtem. Lepiej mu ją dać i w zgodzie żyć. Będzie rządził z mojej ręki.

Panowie Tęczyński, Drzewicki, Zaklika Tarło spojrzeli po sobie. Gorzko się im zrobiło, ale nie śmieli sprzeciwić się królowi, gdy rzeczy już tak daleko zaszły. Za późno było.

Jagięłło podrażniony, przygnieciony, siedział smutny oczu podnieść nie śmiejąc.

— Trzeba Świdrygiełłę pozyskać, złagodzić — zamruczał — i to co rychlej... co rychlej...

Obejrząwszy się po swoich, za innymi postrzegł stojącego Jana Mężyka z Dąbrowy, śmiałego człeka i zręcznego. Skinął na niego.

— Mężyk, pójdz sam tu!

To mówiąc oglądał się, jak by czegoś koło siebie szukał. A miał zawsze obyczajem swoim

skrzynkę z klejnotami pod ręką, jeździła ona z nim wszędzie, bo był tak do obdarowywania skłonny, że nikogo od siebie z próżnymi dłońmi nie odpuścił. Musiał mieć zawsze czymś przybywających obdzielać. Płacił hojnie za każdą usługę, żadnej prośbie odmówić nie umiał.

— Gdzie moja skrzynka? — zapytał nie widząc jej.

Drzewicki, który i pieczęć miał niniejszą, i pieniądze królewskie, poszedł po nią. Stała ukryta w drugim końcu izby na policy. Przyniósł i postawił przed królem, który drżącymi rękami począł otworzywszy ją przebierać między klejnotami, a było ich tam już niewiele i co

pośledniejszych, bo lepsze król porozdawał.

Znalazł się przecie na dnie duży pierścień z kamieniem zielonym, okazały, jakich naówczas biskupi i książęta używali.

Wziął go król i zawinąwszy w jedwabnicę, której szmatka w pudle leżała, podał Mężykowi.

— Na, idź mi zaraz, idź — rzekł wahając się — idź do księcia Świdrygiełły, pokłoń mu się ode mnie, a powiedz, że na znak panowania nad Litwą pierścień mu ten posyłam.

— Miłościwy panie — ośmielił się odezwać Drzewicki —

u nas na znak panowania zwykle się miecz daje, a pierścień tylko biskupom... Jagięłło się zzymnął.

— Co ty mnie będziesz uczył! Wszystko jedno... Zaduł się troszynkę i dodał głosem smutnym:

— Co czynić? Lepiej samemu dać, niżby miał wydzierać! Nie można się ratować inaczej.

Sami widzicie... wszystko ogarnął! Człowiek gorący jak ogień, gdy mu się głowa zawróci, gotów na wszystko... Inaczej nie wybrniemy. To będzie najlepszy sposób... Zaraz złagodnieje, zobaczycie.

Dwór królewski spoglądał po sobie, ale nie było już Zbyszka biskupa, aby królowi męstwa dodał i powstrzymał.

Mężyk się jeszcze, w ręku obracając jedwabny węzeł, ociągał z wyjściem, gdy Jagiełło zawołał niecierpliwie:

— Ano, idźże mi zaraz, idź! Czym prędzej, tyrn lepiej, aby się rozsierdzić nie miał czasu.

To mówiąc siadł poruszony, i niespokojny, wody sobie podać kazawszy.

Nie chcieli go trwożyć więcej panowie przy nim będący, ale położenie króla, ich

wszystkich, garstki Polaków stanowiącej straż, a teraz na zamek spędzonej, było takie, iż równało się oblężeniu.

Od pogrzebu Witolda Świdrygiełło jawnie wszelką władzę pochwycił, względem króla i

Polaków znajdując się tak, jak gdyby ich wyzywał i chciał drażnić. Służba jego i Rusini zapowiadali w głos, że stąd i noga Lachów nie ujdzie.

Na gardło im z dala pokazywali.

Na rozum i pomiarkowanie Świdrygiełły wcale rachować nie było można.

Przez pół dnia bywał pijany, a nagłe zawładnięcie skarbami ogromnymi, które po Witoldzie pozostały, ludzie do niego garnący się zewsząd, urzędnicy i bojarowie, którzy w nadziei nagród poddawali mu się i kłaniali, wbili go w pychę niezmierną.

On i jego Rusini w żywe oczy szydzili z Jagiełły, z

Polaków i umyślnie zbliżali się aż pod okna i sieni, aby ich wyzywać i łąjać.

Jeden Jagiełło pochlebiał sobie, że ułagodzić go i zagodzić potrafi; dwór się nie łudził czując, że czeka niewola lub co gorszego jeszcze.

Jedno słowo i mała bójka mogła napaść i rzeź wywołać.

Oczekiwano na powrót posłanego z pierścieniem Mężyka, który nierychło się przywłókł i

królowi powiedział tylko krótko, że kniaziowi do rąk pierścień oddał, za który on sam miał przyjść dziękować.

Jagiełło i tym się uradował.

— Widzicie! widzicie! — rzekł do swoich — albo nie mówiłem? Serce w tym człowieku

dobrze, krew tylko gorąca, a jeszcze ją tym miodem podlewa, aby się więcej rozpalą... Teraz on zaraz będzie inny.

Tymczasem Mężyk w drugiej izbie swoim po cichu opowiadał, jak go z tym pierścieniem przyjęto.

Siedział Świdrygiełło ze swoimi za stołem i pił, stół pięściami tłukąc, otoczony pijanymi jak on, którzy każdemu jego słowu pokłonami, śmiechami, okrzykami i biciem w dłonie wtórowali.

Zobaczywszy Mężyka we drzwiach zawołał namarszczony:

— A ten Lach, psiawiara, czego tu lezie?

Dąbrowa wtedy pokłoniwszy się począł zwawo poselstwo sprawiać i położył pierścień

przed kniazem. Zobaczywszy go ujął się w boki Świdrygiełło i począł się zanosić ze śmiechu.

— Co to ja baba, żeby mi pierścień z oczkiem słał?! — zakrzyczał. — Albo to ja potrzebuję, ażeby mi ten dziad Litwę dawał, kiedym ja ją już wziął?

Mężyk stał sądząc, że mu opamiętawszy się choć jakie słowo pocziwe da dla króla, ale się nie doczekał nic oprócz gorzkiego szyderstwa.

Spytał, co ma królowi odnieść.

— Powiedz mu, co słyszałeś — krzyknął kniaź — a czego ty nie zechcesz powtórzyć, ja mu sam przyniosę!

Bojarowie parsknęli śmiechem patrząc na Mężyka, w którym krew kipiała; poczęli różnymi

słowy zelżywymi rzucać, przedrzwiewać go z polska, aż w końcu poseł pokłoniwszy się musiał iść, nie było na co więcej czekać.

Król dnia tego spokojniejszy poszedł do łóżka, ale dwór jego wcale nie spał.

Andrzej z Tęczyna, który opatrzył na zamku wszystko dokoła i widział niebezpieczeństwo

nocnej napaści, rozkazał na przemiany czuwać jednej części ludzi królewskich i straż odbywać około dworca u bram. Mało kto przypadł chwilę na sianie, a nie rozbierał się nikt.

Świdrygiełłowe sotnie, ludzie nowo pozaciągani, którym pieniądze garściami sypano ze skarbcza, pili i opasywali zbrojni garść Polaków, srożąc się i odkazując...

Trzeba było świętej cierpliwości, aby zajścia uniknąć, gdy najmniejszy zatarg między ciurami i czeladzią mógł zrodzić wybuch i krwawe starcie, którego zdawano się pożądać.

Polacy mieli za sobą męstwo i lepsze uzbrojenie, ale liczba Świdrygiełłowej drużyny w dziesięcioro ich przewyższała.

Z Litwinów, którzy królowi i księżnie Juliannie, tak uciśniętej jak on, radzi byli służyć, większa część obawiając się gwałtowności Świdrygiełły znaku życia dawać nie śmiała.

Duchowieństwo łacińskie, którego kniaź nie cierpiał, choć ze chrztu katolikiem był i miał imię Bolesława, którego nie nosił, obawiało się także gwałtów i występować nie mogło.

Trzeba było ważyć się na coś, aby króla z tej toni ratować.

Radzili wszyscy. Stanęło na tym, że co najprędzej słać kogoś było potrzeba potajemnie do Polski prosząc o pomoc.

Ale wszystkich ich tak strzeżono i opasywano, że nikt za mury zamkowe nie mógł wyjść

bez opieki i zaczepki... Ścigano wychodzących, póki nie wrócili. Zaklika Tarło, Toporczyk, młodszy i śmielszy od innych na przygody wszelkie, zażył pod wieczór takiego kunsztu, gdy się ciury popiły, że ruski tułub długi wdział, czapkę ich krojem, szablę przypasał taką, jaką oni nosili, i wysunął się o mroku, do franciszkanów się chcąc dostać, aby z nimi naradzić jeszcze. Tu na Piaskach, jak za pogańskich czasów, znalazł drzwi zabite, strzeżone, że ledwie się dostukał, aby go wpuszczono.

Przełożony o wszystkim wiedział, a domyślał się łatwo, jak na zamku królowi i Polakom być musiało. Znalazł go Zaklika w smutku i niepokoju wielkim o króla.

— Modlić się będziemy dzień i noc przed Przenajświętszym Sakramentem — rzekł do

Toporczyka — ale co my więcej możemy, kiedy tu sam król nie może nic? Co rychlej trzeba

gońców do Polski słać i to nie jednego, a kilku, bo ich po drogach łapać będą, do biskupa, do królowej, do senatorów, aby wojsko bodaj wysłali na obronę króla. Świdrygiełła znają wszyscy, że

szalony jest. Nie może bratu zapomnieć, że się długo tułał a poniewierał; około niego sami tacy ludzie jak on... pijanice i zbóje. Miejcie się na baczności dniem i nocą... My modlić się będziemy.

O ucieczce z królem ociężałym i starym myśleć nie było można.

Z klasztoru nie mieli kogo wysłać do Polski, musiał więc Zaklika obmyśleć z innymi, kogo z czeladzi i w jaki sposób wyprawić, tak aby się to nie wydało i żeby go nie pochwycono w drodze.

Nazajutrz rano, gdy Jagiełło wciąż dobrej myśli będąc i sądząc, że wszystko ubił

pierścieniem, oczekiwał podziękowania i odwiedzin, zajechał na zamek Świdrygiełło z całym ludzi orszakiem, a sam wpadł hałaśliwie do komnaty króla już po rannym obiedzie, pijany i czerwony cały.

Król śmiejąc się witać go chciał dobrym słowem, gdy zaczął krzyczeć od progu:

— Co ty myślisz, stary grzybie, że ja na twoje słodkie słowa i pochlebstwa dam się wziąć, a kłaniać ci się będę? Sądzisz, że ja już zapomniał, jakieś ty mnie przez dziewięć lat trzymał w niewoli więzieniu? Teraz na ciebie przyszedł czas, popadłeś mi się w ręce, pomszczę się krzywdy mojej, pomszczę!

Król podniósłszy głowę, osłupiały, uszom prawie nie wierzył.

— Tak! ty niewolnikiem moim jesteś — dodał kniaź. — Nie puszczę cię stąd do młodej

żonki, niechaj ona sobie wczasu zażyje z Laszkami, płakać po tobie nie będzie... Ja cię w dyby okuję...

Chciał się odezwać Jagiełło, ale mu nie dał pijanica, szydersko się wciąż naśmiewając z niego.

— Król, ty król! Ja się ani ciebie, ani królestwa twego, ani Lachów nie boję. Pójdą ze mną panowie Krzyżacy i Rusiny wszystkie, a może i kto więcej... Zapowiedzą Lachy wojnę, ja cię zaraz okuję, zwiążę i do ciemnicy na chleb i wodę. Zdychaj!...

Jagiełło sparł się na rękę, oczy sobie zakrywając, nie odpowiadał nic.

Kniaź po izbie biegając głośno wykrzykiwał, aż Polakom słuchającym w drugiej komorze

krwew buchała i ścinała się w żyłach na przemiany z gniewu i rozpacz. Andrzej z Tęczyna coraz to za miecz chwycił, a drudzy go trzymać musieli, aby nie wyskoczył i nie był nieszczęścia przyczyną, bo dość było jednego zawołania Świdrygiełły, aby ich wszystkich wykluto i porznięto.

Byliby się jak lwy bronili, ale padliby do nogi.

Jagiełło z wielką cierpliwością znosił obelgi, wyrzuty i znęcania się, wzdychając tylko. Na ostatek z piersi mu się dobyło:

— Sromajże się, co czynisz ze mną! Jam dziś bezbronny, w twoich rękach, ale pomszczą się na

tobie...

— Ani ich zemsty, ani ciebie się ja nie boję! — wrzasnął Świdrygiełło. — Zostaniesz w

niewoli, a jeśli myślisz, że ja ci dopuszczę stąd listy słać i skargi, to mnie nie znasz. Ani ptak stąd *nie* wyleci. Do ciebie i od ciebie nie przyjdzie i nie wyjdzie nikt bez mojego pozwolenia... A poczniesz się ruszać, i ty, i twoje Lachy głowami nałożycie...

I pogroziwszy pięścią, z hałasem i trzaskiem, jak wszedł, tak wybiegł nazad. W sieniach mu się pode drzwiami nawinał Zaklika, którego od psów i ścierwa zaczął lżyć, że śmiał podsłuchiwać.

Zamachnął się go uderzyć, ale ten na bok się rzucił i zniknął.

Innych ze dworu królewskiego, co stali w sieniach i przed sienią, złajawszy siadł na koń z pomocą dwóch swych domowników i odjechał krzycząc.

Me śmiał nikt potem, ani Andrzej z Tęczyna, ani Drzewicki, do króla wniść, dopóki by nie ochłonał.

Gdy podkanclerzy w końcu, niespokojny, wśliznął się do komnaty, Jagiełło mu tylko rękami ukazał w tę stronę, w którą

Świdrygiełło odjechał, słowa nie mogąc wyrzec.

— Miłościwy panie — rzekł Drzewicki — nam tu już darmo się czego lepszego

spodziewać. Do królowej i do kilku panów potrzeba słać na gwałt, aby nas wyzwolono. My przypadniemy, to niewiele waży, ale was on zamęczy...

— Kogoż słać? Jak? — spytał król bardzo cicho i bojaźliwie.

— Niech miłość wasza naznaczy — szepnął podkanclerzy. — Z nas każdy na usługę gotów, choćby i gardło ważyć przyszło.

Myślał długo Jagiełło. Żal mu było tych, których miał przy sobie, i żadnego się pozbywać nie był rad, odroczył na później postanowienie.

Co żyło przy królu, na zamku do gromady się skupiało, oręż przygotowywało i lękając się

napaści czuwać postanowiło ciągle. A że król sam do stanowczego kroku łatwym nie był, na podkanclerzym, Andrzeju z Tęczyna, Dobku i Mężyku wszystko się oparło. Oni musieli obmyślać, jak by się wyrwać z tej niewoli.

Od dnia tego nie było już wątpliwości, że się za jeńców uważać musieli. Straże swoje

postawił Świdrygiełło u bram, pod samym prawie dworem, nikogo wpuszczać ani wypuszczać nie

pozwalając.

III

Z wielkim smutkiem i niepokojem dowiedziała się królowa Sonka o postanowionej podróży męża z Lublina do Wilna. Obawiała się mściwego Witolda dla siebie i dla męża.

To jedno ją pocieszało, że biskup go nie opuszczał i towarzyszył w podróży. Nie mogąc ścierpieć długiego milczenia musiała ludzi swych wysłać, porozstawiać, aby ciągle mieć wiadomości z Wilna. Na dworze Witoldowym miała starych życzliwych, przez których dowiedzieć się mogli jej wysłańcy, co się tam działo.

Chodziła jednak ciągle w gorączce, obawiając się i przeczuwając coś złego. Korona litewska, gdyby była doszła Witolda, zostałaby jej synowi wydartą, ale nad tym czuwał mąż ów żelazny, Oleśnicki, który nie mógł oderwania się Litwy dopuścić.

Co kilka dni przybywał ktoś do Krakowa. Dowiedziano się tu o rozjechaniu książąt, o chorobie Witolda, a nim Oleśnicki, który przed śmiercią jego z Wilna wyjechał, powrócił do Krakowa, dobiegł tu goniec umyślny oznajmując o zgonie przeciwnika.

Mogła królowa odetchnąć swobodniej, ale ogarnął ją jakiś smutek, żal nawet po człowieku, który niegdyś dla niej był przyjaznym, przy którym z dziecka się chowała. Jedno

niebezpieczeństwo minęło, ale komu teraz miała się dostać Litwa?

Z początku spodziewała się rychłego króla powrotu, nie wiedząc, jak Litwą rozporządzi, bo o Świdrygielle słychu jeszcze nie było.

Sądziła niektórzy, iż król powoła Zygmunta Kiejstutowicza, brata Witoldowego, księcia spokojnego, który od dawna znaku życia nie dawał, królowi nigdy w niczym się nie przeciwiał i Witoldowi nie był na zawadzie.

Ale po bracie bratu oddać Litwę było jak by przyznać prawo dziedziczenia rodowi ich, a tego i panowie polscy się obawiali, i król chcieć nie mógł.

Gdy powrót króla się opóźnił, coraz niespokojniejsza Sonka słała ciągle potajemnie dowiadując się, co się z nim dzieje.

Jechali komornicy jej, księża, czeladź dworska, posłannicy różni, nagradzani hojnie, a

królowej nigdy ich dosyć nie było.

Przez ten czas nawiązała całą siatkę około siebie sług wszelkiego stanu i cały dwór

niewidomy, który był na jej rozkazy. Ani ochmistrz dworu, ani urzędnicy nie wiedzieli o nich, stara Femka i królowa sama wyprawiały i przyjmowały listy i doniesienia słowne.

Przynoszono czasem prawdę, często baśnie i plotki, ale to podsycalo i utrzymywało życie, a królowej przynnażało służby i pomocników, których starała się mieć wszędzie.

Ostatni wysłaniec po Witoldowej śmierci, ledwie dobiegłszy do Grodna, spotkał się z

wyprawionym przez króla człowiekiem opowiadającym, że był w niewoli trzymany i Świdrygiełło się z nim nieludzko obchodził.

Wieść ta już się rozsiewała po całym kraju, kiedy na Wawel dobiegła.

Królowę raziła ona jak piorunem. Nie miała już chwili spokoju.

Natychmiast wyprawiła podkomorzego do biskupa zaklinając go, aby do niej przybywał.

W śmiertelnej trwodze, drżąca, zapłakana, spotkała go w progu, do rąk się jego rzucając.

— Ojcze, ratuj! Król w niewoli!

Oleśnicki wydawał się zupełnie spokojnym, odparł dosyć zimno, że przy pomocy Bożej nic złego stać się nie może.

— Przecierpi król za niebaczną własną — mówił — za dobroć zbytnią i powolność dla

rodziny... Zawsze mu ona szkodliwą była, bo się jej powodować dawał. Gwałtu jednak nawet ten szalenie dopuścić się nie będzie śmiał, bo wie, że on by mu nie uszedł bezkarnie.

Uspokajając Sonkę dodał biskup, że nie zaniedbał nic, listy do Rzymu do papieża wyprawił, aby Ojciec Św. słowem swym groźnym Świdrygiełłę upomniał... Wysłał też do króla

Zygmunta i do innych panów chrześcijańskich zażalenia i skargi z prośbą, aby uciśnionemu Jagielle w pomoc przyszli.

— Widzisz, miłość wasza — dokończył — zem nie zaspiał chwili i czynię, co mogę.

— Tak — odparła żywo królowa — ale po co nam wzywać pomocy cudzej, kiedy my sami

króla ratować możemy... Wszystko, coście uczynili, mój ojciec, byłoby wystarczającym, gdybyśmy z kim innym do czynienia mieli, a nie ze

Świdrygiełłą, który rozumu mało ma i zalewa go, a do Jagiełły urazę dawno w sercu

zachował i zemsty pragnie...

Biskup myślał chwilę.

— Cóż więc czynić? — zapytał.

— Mój Boże, wojsko zbierać! — zawołała Sonka zrozpaczona. — Na odgłos, że ono idzie, Świdrygiełło jeszcze nie mający sił zgromadzonych musi się ulęknąć. Tu żadne listy nie pomogą... *żelaza* trzeba.

— Za wczasu je z pochwę dobywać i wojnę wywoływać? — rzekł Zbigniew. — Bez zjazdu panów i szlachty skądże ludzi wziąć?

— Zjazd zwołajcie! — nalegała królowa.

Łagodząc ją biskup po chwili dołożył, że naprzód by posłów należało do Świdrygiełły wyprawić i groźbą go przywieść do opamiętania.

Wszystko to królowej nie starczyło, zdawało się zbyt powolnym, ale nauczyła się tak ufać biskupowi, że w końcu uległa mu i na wszystko zgodzić się musiała.

Oleśnicki znajdował wiadomości przesadzonymi, niebezpieczeństwa nie widział jeszcze.

Tymczasem po całej Polsce z oburzeniem o niewoli mówiono, a wysłańcy królowej szlachtę poruszali... umysły rozogniały się zuchwalstwem człowieka, który śmiał się tak ze swym panem, z koronowaną obchodzić głową. Cały naród czuł się tym obelżonym.

Królowa głośnymi uzaleniami, skargami, nabożeństwami umiała te uczucia rozniecać i niebezpieczeństwo wystawiać groźnym.

Hińcza i dawni komornicy jej będący na swobodzie jeździli po dworach z jej rozkazu, powiadając w głos, że źle jest królestwu temu, którego głowę może lennik trzymać bezkarnie w niewoli, że srom padnie na Polskę całą, jeżeli się nie ujmie za pana swego.

Szlachta, łącznie dająca się poruszyć, zjeżdżała się już kupkami po gródkach, odgrażając, krzycząc na senatorów, że mało o króla dbali sami sobie przywłaszczając władzę.

Nie usypiała królowa..

Gdy się tu tak przygotowywano wrzawliwie stawać w obronie Jagiełły i iść ławą, aby go

odbić, w Wilnie stało coraz gorzej.

Trzymał Witold naówczas podolskie zamki, do których Polska prawa miała i odebrać je

potrzebowała. Na pierwszą wiadomość o zgonie księcia, nim ona doszła do Dowgierda, starosty kamienieckiego, Polacy przywabiwszy go do siebie zmusili, że zamek im poddał. Inne też grodki podolskie, na których Litwini siedzieli, Smotrycz, Skagę, Czerwonogród i przyległe ziemie odebrali Polacy.

Wygnany Dowgierd przybiegł ze skargą do Świdrygiełły.

Król o niczym jeszcze nie wiedział, gdy rozwścieczony odebrany doniesieniem wpadł

kniaź na zamek do niego, od progu krzycząc, że śmierć czeka Jagiełłę i wszystkich, co z nim byli, jeżeli mu Podola natychmiast zwrócić nie każe.

Świdrygiełło pienił się z gniewu, przyskakując, lżąc króla, kajdany mu zapowiadając i męki.

Strwożył się Jagiełło ofiarując przysięgę, że o niczym nie wiedział i nie wie.

— Nie dopuszczasz do mnie żywej duszy, wysyłać mi nie dajesz nikogo, skądże chcesz, abym wiedział o tym i mógł zapobiec?

Nieszczęściem król pod pozorem odesłania do skarbu podarków, które mu Świdrygiełło

ofiarował za życia Witolda jeszcze, wysłał z nimi dawniej Janka z Oleśnicy, przez którego ustnie biskupa o ratunek prosił.

Pisma mu żadnego nie dano, ale on go nie potrzebował, bo widział na oczy swe, co się tu działo, i cierpiał razem z królem.

Kniaź posądzał, że Jan z Oleśnicy mógł zawieźć na Podole rozkazy i wściekłość jego dochodziła do szalu.

Miotał się pędzając po izbie jakby niewidomego wroga, to przystępował do króla i na niego złość swą wywierał.

— Zamki oddać mi każesz albo ci głowę z karku zdejmę! — krzyczał nad uchem starcowi.

— Ty i te psy twoje, co ci tu służą, wszystkiego nawarzyliście! Wywieszam Lachów, ciebie w dyby zabitego głodem zamorzę... Zdechniesz w moich rękach!

Król ciągle usiłował go uspokajać nadaremnie.

— Dajże mi sposób, jak ja mam na Podole słać? nie mam nikogo. Sam jestem.

— Pieczęć przecie masz z sobą, bom widział, gdy nią twój sługa dla Macieja biskupa w

Trokach przywilej pieczętował.

Oklamać mnie nie możesz; dawaj list pod pieczęcią lub zginiesz!

Jagiello gotów był na wszystko.

Nagroziwszy jeszcze, klnąc, wybiegł Świdrygiełło.

Zaledwie się za nim drzwi zamknęły, gdy Andrzej z Tęczyna wszedł a z nim Drzewicki cały drżący.

Król błagająco *do* nich ręce wyciągał. Podkanclerzy, chociaż trząśł się, nie ze strachu wszakże, ale z gniewu. Sama ta myśl, że on mógł być zmuszony pieczętować list, który królestwo o stratę całej ziemi mógł przyprawić, w rozpacz go wprowadzała.

— Ratujcie mnie! — zawołał Jagiello. — To człowiek wściekły, jak mówi, tak uczynić

gotów. I ja, i wy zginiecie, życiaśmy niepewni. Podole odbierzemy z pomocą Bożą, a żywota nikt nie wróci. Ratujcie mnie!

— Miłościwy królu — gwałtownie przerwał Drzewicki. — Czułbym się winnym zdrady i w sumieniu grzesznym, gdybym pieczęci użył do takiego listu. Me mogę! Nie godzi się! Rychlej pieczęć w studnię wrzucę i utopię.

Król się zerwał z ławy.

— Boga się bój! — zawołał — to jak byś mnie razem do wody cisnął! On mi jutro kajdany

nałoży i do ciemnicy wrzuci. Siepacze jego mnie w niej uduszą. Los Kiejstuta przyszedł mu na pamięć może, wzdrygnął się.

— Nie będzie was śmiał tknąć — przerwał Andrzej z Tęczyna. — Za nami przecie cała

Korona stoi. Me poważy się.

— On! Albo ty go znasz? — zawołał Jagiello. — Ja go pamiętam od dziecka, a wiem, że

rozjadłszy się nie zważa na nic. Swoje życie gotów dać i drugiemu je wziąć... choćby nie wiem kim był. List mu trzeba dać, na Boga, aby się wyzwolić! List...

Drzewicki królowi do kolan przypadł.

— Nie można, miłościwy panie! Złóżcie wszystko na mnie, żem ja pieczęć zgubił, zatracił, żem winien. Mech mnie biorą na męki, niech głowę mi zetną. Życie dam, a kraju nie zdradzę...

Jagiello przerwał mu jękiem.

— Twoim on życiem syt nie będzie! — krzyknął — moje weźmie... Listy na Podole trzeba wysłać, ktokolwiek je napisze, zapieczętuje główką od miecza... zamki mu trzeba dać albo głowę!

Na to błaganie królewskie nikt już odpowiadać nie śmiał, popatrzyli na siebie, ulec musieli.

— Pisz mi natychmiast list! — zawołał król — rozkazuję. Ja będę winien, nie ty... Moja

wola... Zaklika z listem pojedzie, lepiej dziś niż jutro... Zaraz niech mi się do drogi sposobi. Michno Buczacki pewnie w Kamieńcu siedzi, kto by inny, jak nie on, na to się ważył? Niech zda zamki temu, kogo Świdrygiełło naznaczy.

Tęczyński chciał się odezwać, Jagiello rękami zamachnął, nakazując mu milczenie.

— Pisz list, mnie życie miłe!

Po tej odprawie wszyscy, co przy królu byli, przybici i upokorzeni wbiegli do izby podkanclerzego.

Łamał ręce Drzewicki. Andrzej Tęczyński, rycerskiego serca człowiek, jeden męstwa nie tracił. Burzyło się w nim, ale nadziei nie postradał.

— Z każdym dniem gorzej koło nas — odezwał się — cierpieliśmy i milczeli, król w niewoli, my jeńcami, trzeba w ostatku myśleć o sobie. Mm słońce wejdzie z Polski, rosa tu oczy wyje.

— Ale jakaż rada, jeśli z Polski nam nie wyślą odsiecz? Co my pocniemy z pijanicą i szalonym? — westchnął Drzewicki. — Siły nie mamy. Chyba Bóg.

— Pewnie Bóg, Bóg pomoże — wtrącił Tęczyński — ale my też o sobie myśleć musimy, bo nim odsiecz nadciągnie, po nas tu tylko kości zostaną.

Obejrzał się dokoła. Było ich w izbie z dziesiątek urzędników, komorników i różnej służby królewskiej, wszystko ludzie wypróbowani i wierni.

Położył palec na ustach i powoławszy ich do kupy szeptać zaczął:

— Serca nam nie zabraknie, tu jedyny ratunek w męstwie. Krótko powiem, tego wściekłego

człowieka potrzeba się pozbyć. Choć trzyma z nim dużo ludzi, więcej ze strachu niż z miłości, więcej dla grosza niż dla niego. Jak go zdusimy, nikt po nim płakać nie będzie. Wpadnie tak jeszcze raz, jak

oto dziś na króla, co tu długo myśleć, jedni z tyłu drogę zaprą, drudzy się z tulichami nań rzucą i, nim krzyknie, zgładzimy go.

— Innej rady nie ma! nie ma! — gorączkowo powtarzał Tęczynski.

— Pan Bóg przebaczy, musimy w obronie króla stać!

Mężyk i inni słuchali nie okazując bynajmniej ani zdziwienia, ani oburzenia. Owszem, zdawali się wszyscy widzieć konieczność i nikt się nie wzdrygał.

— No, a potem? — spytał Mężyk.

— Nim się opatrzą, co się stało, zamek trzeba opanować, Litwinów z niego precz wysadzić, zamknąć się, obwarować i bronić, dopóki nie nadciągną nasi. Gdy Świdrygiełły nie stanie, inaczej bojarowie zaśpiewają.

Znowu milczeli wszyscy nie sprzeciwiając się, słuchali uważnie, oglądając się tylko, czy obcy ich nie szpiegują.

— Tego, co ja myślę, oni się wcale nie spodziewają — mówił dalej — króla widząc

przelektym i gotowym na wszystko, nas też mają za trusiów. Trudności więc, da Bóg, ja tu żadnych nie przewiduję, trzeba tylko paść na nich zuchwale i zniecka. Sam jeden do izby zawsze wchodzi, prawie bezbronny, nas dziesięciu się może zasadzić, bodaj piętnastu, a ja pierwszy go tak za gardło ścisnę, aby mu nawet para z ust nie wyszła. Zbroi nie nosi, ludzi, co z nim przybywają, w dziedzińcu zostawia. Nasza czeladź im da rady, a zamek... choćby na samym górnym, dolny

porzuciwszy, trzymać się przyszło, ja w tym, że dostoi, póki odsiecz nie nadciągnie. Zaklika z listem na Podole jedzie, to i dobrze. Tego nam trzeba. Ostatnim by niezdarą był, gdyby z drogi, choćby go pilnowali, nie pchnął kogo do Krakowa, że już o gardło chodzi... Szlachta musi na koń siaść.

Śmiała ta myśl Andrzeja z Tęczyna przypadła zrozpaczonemu i znękanemu, którzy nic do stracenia nie mieli, jak nadzieja wybawienia, do serca.

Jeden Drzewicki trochę sykał na nią, bo mordem zdradzieckim się brzydził.

— Trzeba go do tego przywieść przynajmniej — zawołał — ażeby się do którego z naszych porwał. Lżej będzie na sumieniu, a bezbronnego tak napaść...

— Alboż pana i króla bronić nie jest obowiązkiem naszym? — wtrącił Mężyk, który wraz z

innymi całkiem już poślubiał wniosek Andrzeja z Tęczyna. — Choćby ginąć przyszło, raz z tego obrzydłego ucisku, w którym nas gorzej chłopów trzyma, wyjść potrzeba. Lży, łaje, odgraża się. W

podworcu z nas żaden pokazać się nie śmie, aby mu Rusini szubienicą się nie przedrzeźniali, na której go powieszają... Jak Bóg miły, już tego dosyć. Człowiek by może zniósł, do ran Pańskich ofiarując, ale patrzeć, jak się nad starowiną królem znęca, włosy na głowie wstają. Dosyć już tego!

— Dosyć! Siła nadto! — poczęli potakiwać inni. — Święte słowa. Zdusić go!

Andrzej z Tęczyna sam się zdziwił tej niespodzianej zgodzie. Ochota do czynu jeszcze w nim wzrosła.

— Ano sza! — zawołał. — Król o tym wiedzieć nie ma, ani się domyślać, opatrzyć się potrzeba dobrze, rozglądnać po zamku, ludzi zwołać, podzielić, gdzie który lepszy... a kupą się trzymać. Ta pijana hałastrą Świdrygiełły nam niestraszna, połowa jej uciecze, a połowę wydusim...

Na zamku, gdy się zaprzemy, zjedzą licha, żeby nas dostali.

Drzewicki już się też nie opierał.

— A żywność? — zapytał. Uśmiechnął się Andrzej z Tęczyna i dodał:

— Za życia Witolda jeszcze górny zamek dobrzem opatrywał i obchodził. Pokazywali mi chwaląc się zasoby, które książę nieboszczyk na wszelki wypadek zawsze gotowe miał. Staną one choćby na rok oblężenia.

Wszyscy głowami poruszali, oporu nie było.

— Więc ino do dzieła, a śmiało! — zawołał Tęczyński. — Niech każdy idzie, sposobi się,

patrzy, a o tym tylko myśli. Broń trzeba na kupę poznosić, bo teraz się wala po izbach tam i sam, zbroje pogotowiu mieć. Jeden drugiemu niech serca dodaje, nie odbiera. Bydłęciu temu koniec sprawimy, na jaki zasłużył. Zakolemy go jak wieprza.

Poczynali się rozchodzić powoli naradzając z Tęczyńskim, a dla niepoznaki dzielili się po dwu, po trzech i szli w strony różne. Pan Andrzej sam został z Drzewickim.

— No a z listem co zrobimy? — zapytał podkanclerzy.

— Ah! — westchnął Tęczyński — list to wasza sprawa.

— Dałbym z życia mojego lat wiele — zamruczał Drzewicki — abym mógł nie pisać i nie pieczętować.

— Nie ma na to rady, musicie! Rozkaz króla — rzekł Tęczyński. — Biedny stary przymuszony w niewoli, nóż na gardle, pismo takie niewarte nic...Chce go Świdrygiełło, trzeba mu

nim gardło zatkać, nim inaczej nie zdusim..

Podkanclerzy po izbie się zaczął przechadzać wzdychając i ręce załamując. Wisiał obrazek Chrystusa na ścianie, który on z sobą woził ciągle, zwrócił się ku niemu z duszną modlitwą.

— Gdyby się jaki środek znalazł? — zamruczał stojąc przed Tęczyńskim. — Gdyby Zaklika rozum i męstwo miał?

— O! — rozśmiał się Toporczyk — żadnemu z naszych Toporczyków Bóg miłościw ani jednego, ani drugiego po trosze nie odmówił. Rodem kury czubate... Tyle tego, że jednym dał męstwa więcej, a drugim rozumu... Tarło nie głupi, a odwagi mu równej trudno.

— Dać by mu, choć w but albo w suknię wszywszy, drugie tajemne pismo do Buczackiego

— szepnął cicho Drzewicki. — W nim by można mu powiedzieć, że król zmuszony rozkaz wysyła, ale ani go słuchać, ani zamków zdawać nie mają.

— Ba, dobry by był sposób — uśmiechnął się Tęczyński — ale wiecie, że z nas żadnego nie

wypuszczają z zamku nie przetrząsłszy kieszeni, nie wymacawszy za pazuchą. I buty gotowi zdejmować. Posła królewskiego z listami nie odprawiają nie obszukawszy go, azali nie wiezie jakiej zdrady. Bóg wie, czy go samego puszcza? Pewnie mu przystawa dodadzą.

Zadumali się oba. Tęczyński smutno się uśmiechał.

— Miły Boże — odezwał się — wszystkiemu się w życiu spodziewałem, bo człowiekowi

rycerskiemu wszelakie przygody jak rybie woda, ano takich kolei, na jakie my tu przyszliśmy... jam nie śnił nawet nigdy.

Drzewicki, który jako podkanclerzy z woskiem do czynienia miewał ciągle, postrzegł w tej chwili na stole swoim leżącą grubą świecę żółtą woskową. Wziął ją w rękę i zadumał się obracając na wszystkie strony.

Tęczyński milcząc spoglądał na niego.

— Co myślicie? — spytał.

— Co myślę? hm — odparł podkanclerzy — myślę, że gdybym tę świecę rozerznął, pismo

w nią włożył, klepił ją dobrze na powrót, aby znaku nie było, a Zaklice ją dał na drogę, aby sobie po gospodach wieczorami przyświecał.— hm? co mówicie? Andrzej z Tęczyna objął go z radości rękami obiema.

— Ja z woskiem do czynienia nie miewam i obchodzić się z nim nie umiem — zawołał — ale jeżeli pomoc moja potrzebna, mówcie, gotowem choć zębami świecę gryźć!

Drzewicki nie czekając już noża dobywał, świecę na wpół rozcinał.

— Zaklice jednak trzeba powiedzieć — dodał śmiejąc się — aby świecy bardzo nie palił, a do rąk ją samemu Buczackiemu oddał *.

Jeszcze nad stołem tak oba nachyleni stali około świecy zajęci, gdy wszedł Zaklika.

— No — zawołał od progu — mam już wóz i przewóz, wiem, że mieć będę towarzysza podróży i jakiego. Przysłał

Świdrygiełło, aby pod gardłem na jutro listy gotowe były. Do boku mi dodaje takiego pijanicę jak sam, tylko tęższej głowy... kniazia Michajła Babę.

— No, a ty baby zawsze lubieś — rozśmiał się Tęczyński — dla ciebie to w sam raz. Pan Bóg cię słusznie pokarał... Otóż tobie — baba!

— Już mi go pokazywali — dodał Zaklika — i mówili o nim. Przez całą drogę chlać będzie okrutnie i pokoju mi nie da, bo słyszę, gada tyle, co pije.

— Tym ci lepiej, gdy pałkę zaleje — przerwał Tęczyński. — Przy pijanym trzeźwy panem zawsze, choćby ten i kniazem był.

— Pomoże ci kniaz Baba listu królewskiego strzec — dołożył Drzewicki zwracając się ku niemu. — Możesz mu go nawet powierzyć, byleś mi moją świecę dowiózł całą.

— Świecę? — zdziwiony spytał Tarło. — Co za świecę?

— Oto tę, którą ja ci na drogę dam — rzekł podkanclerzy pokazując — pamiętaj jej nie palić, a panu Buczackiemu co najrychlej do rąk oddać, nim... listy przeczyta... Rozumiesz.

* Historyczne (przypis autora).

Uśmiechał się Drzewicki; Zaklika spojrzał i zobaczył na stole sporo już wosku

wyskrobanego ze środka, a otwór w niej zrobiony nie mały... Reszty się łatwo było domyśleć.

— Nie bójcie się — rzekł — świeca dojedzie, bylebym ja żyw na miejsce się dostał... Będę ją przy sobie trzymał — choćby na sercu...

— Żyw i cały dojedziesz, nie bój się — rzekł Tęczyński — Baba nad tobą czuwać będzie.

Wiesz dla nich nadto ważne listy, aby cię w podróży nie pielęgowali.

Gdy Zaklika z Tęczyńskim wyszli, podkanclerzy izby na rygiel zamknął, przeżegnał się pobożnie Boga na pomoc wzywając i siadł naprzód list tajemny do Buczackiego pisać, aby był gotowym i w świecy ukrytym dobrze, nimby mu przeszkodzono.

Zaledwie pośpiał dokończyć, gdy od króla wysłany zastukał komornik dowiadując się, czy do Buczackiego rozkaz był napisany i zapieczętowany. Pilno mu zbyć się było... szalonego brata zaspokoić, a od prześladowania się uwolnić.

Podkanclerzy z westchnieniem dobył z woreczka pieczęci i ucałowawszy ją, jak by przepraszał, że do takiego aktu użyć jej musi, przycisnął na sznurze u pergaminu przywieszonym.

Jagięło czekał dopytując ciągle, niespokojny, znękany i strwożony.

Znał on nadto dobrze Świdrygiełłę, aby pogróżki jego lekceważył. Dosyć było, aby do

gniewu, który w sercu miał, starego dolał miodu i na zamek przybiegł rozjuszony, życia pewnym król od niego być nie mógł, a o znowie swych obrońców nie wiedział.

Boleśnie mu było Podola się zrzekać, wiedział, iż srogie wymówki cierpieć za to będzie od biskupa i panów polskich, bo ziemia była miodem i mlekiem płynąca, obfita we wszystko, ale życie ratować musiał.

Przychodziło mu na 'myśl, jak zawinił sam, podejmując tę podróż nieszczęśliwą mimo

prośb i przestróg żony... Naówczas obawiano się Witolda tylko, nikt przewidzieć nie mógł, że daleko sroższe katowanie czeka Jagiełłę od brata, którego kochał, nad którym się użalał, przez miłość dla niego poświęcając mu Litwę.

Winił innych, ale obwinił i samego siebie, bo biskup odjeżdżając namawiał go do powrotu, największy żal mając do panów polskich, że nie spieszyli z oswobodzeniem i na łup go wydawszy opuścili.

W tych myślach teraz biedny król na łowy nie mogąc jechać, boby go z zamku nie

puszczono, a i zasadzki obawiać się było potrzeba, po całych dniach prawie na łożu legiwał.

Z dworzan jego przychodził naówczas który, stawał przy nim i opowiadać musiał o

wszystkim, co słyszał, widział, a niekiedy uzalaniem króla potakiwać.

Aby rozerwać znękanego, z rana, od pogody począwszy, od pola, jakie się dla myśliwych zwiastowało, musiano mu ciągle opowiadać, co na myśl przyszło, co ludzie robili, co czeladź gadała, jaką przyszłość wróżono itp.

Nie ruszał się nikt, nie wyszedł, nie wrócił, ażeby król nie badał, nie przywołał i nie kazał sobie szeroko opowiadać o najmniejszych rzeczach. Zajmowało go wszystko, ale najmocniej Świdrygiełło i jego towarzysze, ich uczyty, bójki, gniewy kniazia i gwałty, które ciągle popełniał...

Wysyłał na zwiady, podsłuchy, ciekaw był i to go rozrywało. Ze wszystkiego, co posłyszał, po swojemu wyciągał prognostyki uspokajające.

Drugiego dnia, jak zapowiedziano, Zaklika z kniazem Babą miał do Kamieńca wyruszyć.

Przyszedł więc do króla z pożegnaniem po pismo, które już uwinięte w jedwab czekało, a obok worek na drogę.

Widok odjeżdżającego przykre zrobił na Jagielle wrażenie, choć spieszył go wysłać.

Mrucząc oddał mu, co dla niego przeznaczył, pobłogosławił na drogę i dodał w końcu:

— Powiedz Buczackiemu na Boga żywego, niech zamki zdają, o gardło moje chodzi.

Tarło więc z pismem jednym jawnym, z drugim w świecy ukrytym, w towarzystwie kniazia

Baby wyruszył na Podole.

Musiał też być na pożegnaniu u Świdrygiełły, który sobie list z pieczęcią czytać kazał, a Babie surowo zalecił, aby pospieszał.

Me miał już dnia tego czasu napaść na Jagiełłę brat, zostawiając go w spokoju, choć ciągle na czatach stojąc spodziewano go się i oczekiwano.

Wieczorem jeden z czeladzi przybiegł z dziwną wiadomością, iż na swoje oczy widział z

Polski przybywającego dawnego komornika królewskiego, Hinczę z Rogowa; ale go ludzie

Świdrygiełłowi u bram zaraz porwali, strzęśli do koszuli szukając listów i nic przy nim nie znalazłszy zaciągnęli do samego kniazia.

Wspomnienie o Hinczy na chwilę zasepiło czoło królowi, ale razem obudziło ciekawość,

skąd się tu wziął i co robił. Stał więc niespokojny Jagiełło, raz w raz dowiadując się, co się z tym Hinczą stało.

Nie skłamali donoszący, bo w istocie Hincza z wielkiej miłości dla króla i troskliwości o niego puścił się na ochotnika, nie tylko aby mu przynieść wiadomości z Krakowa, ale wioząc listy papieskie do Świdrygiełły, które tajemnie miał oddać biskupowi. Tych on już nie miał przy sobie, gdy go w bramie trzęsiono.

Po długim oczekiwaniu i próżnych wysyłkach na zwiady zjawił się w końcu Hincza na zamku, strasznie podróżą, a więcej może posłuchaniem u Świdrygiełły znękany.

Król, gdy go wprowadzono, podniósł się aż z łoża, na którym leżał, i usiadł:

— A ty tu skąd? — począł prędko i niewyraźnie. — Kto cię posłał? z czym? gadaj!

Hincza ledwie miał czas pokłonić się królowi.

Był widokiem jego poruszony, bo choć w Krakowie o ciężkim położeniu Jagiełły

wiedziano, nie spodziewał się go znaleźć w takiej poniewierce i ucisku.

Westchnął ciężko.

— A! miłościwy panie! — zawołał — nikt mnie nie posyłał — (przyznać się nie chciał do

listów). — Zaczęto u nas rozpowiadać, jako się tu na tej Litwie źle dzieje bardzo z królem naszym, ruszyłem więc na ochotnika, nuż się przydam na co. Ale, Boże mój miłosierny, nie było mi w głowie, aby tu taka sroga niewola miała naszych spotkać.

Pochwycił się za głowę. Król patrząc nań ciekawie wzdychał.

— W Krakowie co się dzieje?

Hincza, choć tam był — i do tego się obawiał przyznać, aby o dworze mówiąc znowu jakich

podejrzeń nie zbudził. Odparł, że ze słuchów tylko wie, jako tam wszyscy zdrowi są, a pana tęsknie wyglądają.

— Gdyś tu przybył, trzęśli cię i pytali? — pytał dalej.

— Mało tego, że mi wszystko w sakwach poprzewracali — rzekł Hincza — zdawało się, że

mi do wnętrzości chcą zajrzeć... tylko że brzucha nie rozerznąli. Potem poprowadzili mnie przed kniazia, abym wymyślał jego i łajania słuchał.

— Pytał cię sam? Cóżes ty mu gadał? — przerwał król przechylając się ku niemu, aby mógł lepiej usłyszeć odpowiedź.

— Przyciągnęli mnie na Gastoldowy dworzec — mówił zbliżywszy się Hincza. — Izba długa, stół przez nią całą, dzbanów las. Kniażu jednego rogu, drużyna dokoła, a wszedłszy chmiel tak czuć, że samym powietrzem upić się można. Począł kniaź od psów mnie czcić, grożąc, że i mnie, i wszystkich Lachów wywiesza, jeśli mu nie wyznam zaraz, z czym ja posłany byłem i przez kogo. Ofiarowałem się choćby na Ewangelię przysięgać, że sam z dobrej woli przybyłem zasłyszawszy, iż król mało ludzi ma przy sobie, a byłem jego dawnym sługą. Rzucali się ku mnie grożąc ciągle dybami, to stryczkiem.

— Dybami! — przerwał król smutnie — co za dziw! i mnie już nimi grożono, nie lepszyś ode mnie!

— Z próżnego nikt nie naleje — mówił dalej Hincza — nie mogłem się do niczego przyznać, nie mając nic na myśli. Zaczęli potem badać, co się w Krakowie działo.

Niespokojnie spojrział Jagiełło na Hinczę.

— A ty cóżes im mówił?

— Co jest i co prawda, że szlachta się zwołuje i wojsko gromadzi wielkie, aby iść na Litwę króla odbijać. A gdyby mu włos z głowy spadł, to tu kamień na kamieniu nie zostanie.

Król się strwożył mocno, aż ręce mu się zacisnęły.

— I tyś mu to powiedział?

— A com nie miał mówić? — odparł Hincza. — Niechaj wie, co go czeka! To nie chybi.

Prawda, rzucili się na mnie posłyszawszy to, krzyżąc, rycząc, pięści mi pod nos podsuwając, jeden nawet potracił w kark z tyłu i poczęli wołać, że oni sami wprzód pójda na Polskę i całą w perzynę obrócą. Ale sam kniaź wasy tylko zakąsił i potrząsając głową po swoich się oglądał.

— Com im powiedział, to prawda, że szlachta się do Warty zwołuje, aby wojsko zebrać co prędzej — mówił Hincza odetchnąwszy. — Złościł się, złościł, śmiali, drwili, ale w końcu im to jakoś do smaku nie było. Poczęli się z sobą ucierać, a mnie precz za drzwi kazano.

Król się zamyślił głęboko, wążąc, czy Hincza dobrze postąpił grożąc wojskiem i czy tym postrachem nie powiększył niebezpieczeństwa. Przybyły stał spokojny, ochłonąwszy już nieco po

tym, co wycierpiał.

Na odgłos o przybyciu Hinczy i pan Andrzej z Tęczyna, Mężyk i Drzewicki, i inni do izby

się cisnąć poczęli dowiadując się, z czym przyjechał. Tłumaczył się im wszystkim Hincza, iż z dobrej woli, zasłyszawszy o królu w niebezpieczeństwie, stawił się, aby mu służyć lub z nim ginąć.

Król, który sobie przypominał, jak go niesprawiedliwie w Chęcinach męczono, dłużnym się czuł w sumieniu i milczał, a potem zamruczał:

— Gdy Bóg da, z życiem uratujemy się z tej niewoli, ja ci wszystko wynagrodzę.

Nie przyznał się Hincza, gdy go badano, że w Krakowie bywał, opowiadał tylko, jako

słyszał o listach do papieża wysłanych, na które już by do kniazia Świdrygiełły upomnienie lada dzień przyjść powinno.

Chwalić się tym nie chciał, że on sam listy te w sukni zaszyte, na ręce biskupa Macieja przesłane, szczęśliwie przewiózł i, nim się na zamku zjawił, oddał je ojcom franciszkanom.

Dzień to był niezbyt wesoły dla kniazia Świdrygiełły, bo naprzód mu tego Hinczę przyprowadzono, od którego dowiedział się, że szlachta się uzbraja i wybiera ciągnąć na Litwę, a w kilka godzin potem biskup wileński Maciej zajechał przed Gastoldów dwór dopominając się widzenia z nim.

Chciano go z początku odprawić z niczym, bo Świdrygiełło duchowieństwa katolickiego nie lubił i obawiał się, ale biskup przez bojara oznajmić kazał, że ma pismo od papieża do księcia.

Posłyszawszy to Świdrygiełło zaraz się przetrzeźwił.

Hincza już dał mu wielce do myślenia, a tu poselstwo papieskie przybywało, którego celu łatwo się domysleć było.

Musieli się za Jagiełłą ujmować opiekunowie jego.

Wpuszczono księdza Macieja do kniazia, który z jadalnej izby, bo w tej ciągle przesiadywał, wyszedł do innej na przyjęcie jego.

Po kilku słowach dobył biskup pargamin z ołowianą pieczęcią, na którego widok twarz

Świdrygiełły się wykrzywiła. Czytać nie umiał sam, zapytał, co tam stało w piśmie otwartym, z udanym lekceważeniem.

— Napomnienie surowe od Ojca Świętego — odparł biskup — abyście króla Jagiełły w

niewoli nie trzymali.

Rzucił się Świdrygiełło z krzykiem, poczynając wołać to, co ciągle powtarzał, że Litwa jego była, że ona mu należała, a Polsce on ani papieżowi podlegać nie myśli; będzie miał swojego patriarchę i biskupów.

Na to gdy biskup nawet odpowiadać nie chciał, książę się zmieszał, ochłonał i list porwawszy na stół go cisnął.

Potem plótł o swoich krzywdach, o niewoli i ucisku, o tym, co przez lat dziewięć od Jagiełły cierpiał, o przywłaszczeniu jego praw nad Litwą.

Ręce zaciśnięte do góry zrywał, rzucał nimi, ale biskup Maciej milczący, znający ludzi, cierpliwy, zniósł te gniewy wiedząc, że w bucie już rodziła się obawa, zwątpienie jakiegoś, wahanie się.

Nie wdając się w żaden spór z człowiekiem roznamiętnionym i na pół pijanym, usiłującym trwożyć tylko, ksiądz Maciej przez czas jakiś posłuchawszy powtarzanych narzekań i pogroźek pokłonił się i chciał odchodzić.

Zimna ta krew, milczenie, postawa nie okazująca najmniejszego zatrwożenia więcej księcia zaniepokoiły, niżby słowa biskupa mogły.

Me śmiał go wstrzymywać i dał mu odejść, sam powracając do swych bojarów, których zastał, tak jak porzucił, za stołem u kubków, ujadających się z sobą w pół żartem, w pół naprawdę aż do pięści.

Pomiędzy Rusinami było i Litwy dosyć, którzy Polskę i jej siły lepiej znali, Jagiełłę szanować byli nawykli, a Świdrygiełło ze strachu tylko służyć musieli. Ci poczęli Rusinów, lekko biorących zajście z Lachami, opamiętywać i łagodzić, dowodząc im, że książęciu Świdrygiełło źle usłużą, gdy mu narażą króla i Polskę.

Musieli jednak ostrożnie nawracać, bo z rozpasanymi sprawa nie była łatwa.

Szczęściem dnia tego właśnie powrócił był Rusin wysłany na zwiady, co się w Polsce działo, który do Lublina dotarwszy słyszał już tam także, iż szlachta się do Warty ściągała, wojsko zwoływano i posłów z groźbą do Świdrygiełły wyprawić miano.

Księżę od biskupa powróciwszy, gdy za stół siadł, zastał dokoła rozhovor gorący bardzo.

Jedni Lachów wyśmiewali i za nic ich nie mieli, a obiecywali ich czapkami zarzucić (stare to wyrażenie), drudzy oględniejsi przypominali, że książę wojska pogotowiu nie miał, a gdyby rycerstwo polskie przyszło pod Wilno, musiałyby je poddać i uciekać, bo ani ludzi, ani zamków nie byli pewni, gdzie wielu starych Jagielle tajemnie sprzyjało.

Świdrygiełło, sparty na rękę, słuchał, pił, nie mówiąc nic, brwi mu się jeżyły, czoło fałdowało, ramiona drgały. Przez kilkanaście dni słyszeli go ciągle wykrzykującego, teraz milczał posepnie. Zachwiał się nieco.

W duchu nie zmieniło się nic, ale zrozumiał, że pośpiechem mógł sobie popsuć wszystko.

Wieczorem późnym na dobitkę nadjechał wcale niespodzianie aż z Wiazmy książę Siemion holszański, Sonki rodzony stryj.

Świdrygiełło musiał go jak gościa przyjmować, bo Rusinów rad był sobie jednać i widział w nim jednego z przyszłych swych sprzymierzeńców.

Siemion daleko siedząc od Litwy nie mieszał się do spraw tutejszych, człowiek też był niemłody, spokojny, ale ludzie wiedzieli, że mu w potrzebie ani na męstwie, ani na rozumie nie zbywało. Me rwał się on na zdobycze, do cudzego nie kwapił, ale to, co trzymał, silną dłońią umiał dzierżeć.

Świdrygielle zaraz na myśl przyszło, że stryj królowej w sprawie Jagiełły mógł być posłany, ale gdzie z Krakowa do Wiazmy??

Stary Siemion, kłaniając się wielkiemu księciu litewskiemu, na wstępie mu powiedział, iż po to przybył do niego, aby razem z nim w sojuszu i dobrej zgodzie żyć, a naradzić się w obronie wspólnej i bezpieczeństwa.

— Jak byliśmy z Witoldem — rzekł — tak chcemy z tobą być i iść, gdzie potrzeba... a oczów sobie nie wykałać.

Rad więc być musiał przyszłemu sprzymierzeńcowi Świdrygiełło, a że ten gość dawał mu jedzenia i picia sposobność, znowu stoły zaczęto zastawiać i dzbany przynosić.

Książę Siemion twardej głowy, do prostego życia nawykły, jadł też rad dobrze i napoju nie odmawiał. Nigdy go nikt oszołomionym nie widział, choć cały dzień czasem z ludźmi za stołem siadywał i kubek po kubku wychylał. Pił powoli, więc choć ciągle, a nieszkodliwie.

Świdrygiełło, gdy w końcu stoła, nieco się od bojarów swoich odsunawszy, z nim zasiadł,

nie mógł wytrzymać i począł zaraz opowiadać a chwalić się, jak to on tu niedołężnemu starcowi jeszcze za życia Witolda wszystko z rąk wychwycił, jak skarby, które księżna Julianna sobie chciała przywłaszczyć, zagarnął, zamki sztuką i zdradą opanował, a teraz już się tu czuł tak mocnym, że się nikogo nie lękał.

To zwycięstwo, które mu przyszło łatwo i bezkrwawo, więcej od miodu upajało

Świdrygiełłę. Zuchwale nad miarę prawił o podbijaniu Rusi, o objęciu Podola i Wołynia, i ziem ruskich, które Polacy trzymali. Zdawało mu się to tak łatwym jak opanowanie Litwy bez dobytca oręża, które winien był chorobie Witolda i dobroci a słabości, Jagiełły.

Siemion słuchał bacznie mu się przypatrując, nie przerywał, nie sprzeciwiał się ani

potakiwał, z tą wyższością, jaką daje rozum spokojny nad roznamiętnieniem dzikim. Świdrygiełło nawykły do tego, że mu bojarowie gorąco potakiwali i podnosili każde słowo, w końcu sam ostygając już począł. Zląkł się tego niemego słuchacza, z taką powagą i krwią zimną wyciągającego na słowa, na którym on, coraz bujniej wojując nimi, żadnego nie zdawał się czynić wrażenia.

— Słyszałem — rzekł w końcu Siemion — że wy tu króla Jagiełłę na zamku trzymacie?

Świdrygiełło głową potwierdził.

— Cóż z nim myślicie czynić?

Kniaź tym wprost rzuconym pytaniem, gdy zdawało mu się, że swą nienawiść i pragnienie zemsty całe już był wypowiedział, zdumiony zamilkł.

— Cóż z nim zrobię? — zawołał. — A cóż? On mnie trzymał w niewoli! mnie... Dziewięć

lat się męczyłem... jałmużną zbywali mnie... Witold zabierał wszystko, my mu służyć musieliśmy i kłaniać się, a on na mojej ojcowiznie gospodarował...

Cóż? teraz ja tu panem i nauczę go rozumu... Niechaj siedzi!

Siemion najmniejszego nie okazał zdziwienia.

— Sposóbcięż się do wojny nie mieszkając — odparł sucho. — No, wojna to będzie

niemała i nielekka, a pociągnie się pewnie długo. Słyszę, że się już do niej Lachy gotują.

Papież listy przeciw wam rozesłał, wszyscy już wiedzą, że Jagiełło w niewoli. Węgierskiego króla, który grosza jest żądny, Polacy kupią...

Świdrygiełło, któremu to na myśl przywiodło świeżo odebrany list papieski, z

wielomównego stał się nagle milczącym.

— Kniaziu Siemionie — rzekł po namyśle wyciągając rękę do niego. — Wy mnie bratem,

Rusinem jesteście jak i ja... no, radźcie, miłujcie, co ja mam poczynać? jak lepiej?

I zawahawszy się nieco dodał:

— Jagielle dojadłem dobrze... naprawić tego trudno, ale go trzeba było nastraszyć... On taki!

z nim grozą najłatwiej... Lachom szubienicami groziłem, trzymam ich w niewoli. Cóż, teraz ich puścić i pokłonić się! srom i wstyd... Jeszcze muszę dusić, póki Podola nie oddadzą.

Kniaź Siemion wiedział dobrze, że przekonywać słowy Świdrygiełłę próżno było; pokiwał głową i mówił dalej, jak gdyby wchodził w myśl jego.

— Co wam radzić? Zaszliście już daleko, w tył się cofać nie można... Nie dajcież się im gołą ręką wziąć. Do wojny się sposobicie, do wojny. Ani się opatrzyacie, jak ona przyjdzie. A pewni jesteście ludzi waszych i załóg po gródkach?

— Wojny! Ja się nie boję jej! — zakrzyczał Świdrygiełło rękami rzucając. — Co mnie wojna! Ano czasu potrzeba, żeby pułki pościągać. No tak! Bojarów i starszyzny, co ze mną pójda, dosyc mam, a ludzi, kto ich wie? Czy tutejszych można być pewnym? Z Lachami się kumali, trzymali, pili i jedli. Wojsko trzeba z Rusi ściągać, a załogi porozbierać i rozsadzić... Dziś ani jutro tego nie dokazać. Boją się mnie, bo morduję bez miłosierdzia, grozę muszą znać, ale co u tych Witoldowych w środku, kto ich wie!

Potargał brodę Świdrygiełło.

Holszański wciąż słuchał bacznie, a dawał mu się wypowiadać.

— Polacy się także do wojny tak rychło nie przysposobią — mówił dalej kniaź — ja ich znam! Oni dużo gadać muszą i radzić, klócić się i sporzyć, nim co postanowią. Wojska u nich teraz dużo nie ma... a ja im na kark Krzyżaków puszczę...

Rozśmiał się zmrużając oko.

— To prawda — spokojnie rzekł Holszański — ano im

O cześć chodzi, o starego króla trzymanego w niewoli. Cały świat wie, sromać się muszą...

Co ludzie powiedzą, gdyby hosudara swego nie bronili? Tyle lat im panuje!

— Mów, oni jemu, a nie on im! — krzyknął Świdrygiełło.

— Właśnie za to go lubią i kochają — odparł Holszański. — U nas na Rusi obyczaj inny i

ludzie. Miękkiego pana nie znoszą, bo sami twardzi są, a Lachy wykrętne i gładkie żelaznej ręki nad sobą nie *znoszą*... Jagiełło im miły... W Polsce, słyszę, wre i gotuje się...

Świdrygiełło przysłuchiwał się coraz baczniej, miał już ochotę posądzać Siemiona, że mógł być posłany w sprawie Jagiełły, gdy ten dodał:

— Podole wy wszakże trzymacie? Tam trzeba mocno zamki wiernymi obsadzić. Chcecie ludzi pewnych, dam wam moich Rusinów?

Świdrygiełłę ofiara ta ujęła znowu i rozproszyła posądzenie.

— Ha! Podole! — zawołał namiętnie. — Te psubraty Lachy mi je wyrwały zdradą...

Dowgierda chwycili za gardło...

i klucze puścił... Alem Jagiełłę dybami grożąc nacisnął tak, że listy musiał wysłać, aby nazad zamki powrócili namiestnikom moim. Posłałem Michajła Babę. Muszą oddać zamki, inaczej króla im z kaźni nie wypuszczę...

— Król dał listy? — zapytał Holszański.

— Musiał! — zakrzyczał Świdrygiełło — musiał!... Zląkł się...

Przez chwilę milczeli. Siemion w kubku usta umoczył.

— No — rzekł — co się stało, to się stało, ale będzieli żyw i wolny Jagiełło, nie zapomni wam tej niewoli.

Uczyniliście go sobie wrogiem na wieki... Jego jak jego, Lachów też. To już wieczny

rozbrat z nimi. Jeżeliście z królem tak poczynali, pewnie z panami jego nie lepiej... nie przebaczą oni tego! nie przebaczą!

— Pluję na nich! — dziko zrywając się wołał Świdrygiełło roznamiętniony. — Co mnie

oni? co? No, a z Jagiełłą, kniaziu mój, ja najlepiej wiem, że się zawsze zładzić można... To człowiek takiego serca, że mścić się ani lubi, ani umie. Na razie by ubił może, a drugiego dnia zapomni. Ja go znam. Mówią, że gdy Krzyżaków pobił na głowę, kiedy to im najstarszego mistrza i najlepszych wojów trupem tysiące położono, to potem na poboiszczu modlił się nad nimi i płakał.

Lachy i Niemcy gdzieś go w mleku ugotowali... Ja! ja bym był na trupy patrząc skakał, radował się i nogami ich kopał!

Prowadził tak dalej rozmowę Holszański, iż Świdrygiełły nie nawracał, ani go uśmierzał, a pytał tylko, czy się nagotował na to, co go czeka, i obawiał się dla niego wojny... Tym go więcej podrażnił i poruszył, niżby sprzeciwiając się i grożąc mógł rozjątrzyć.

Spokojnie a zgodliwie Świdrygiełło nie umiał rozprawiać. Nie było prawie dnia, by przy stole któremu ze swoich, gdy wszyscy się napili, nożem nie cisnął lub nie opoliczkował. Tu z kniazem Siemionem kłótnia była niemożliwa, a dojadł mu tym, że wciąż przypominał, iż do wojny gotów nie będąc rwał się do niej. Ponieważ Holszański z Rusi jechał, a Świdrygiełło obawiał się Zygmunta Starodubowskiego, brata Witoldowego, aby się ten o spuściznę po nim nie upominał, o zagarnięte w Trokach skarby, zwrócił nagle rozmowę na niego i pytać począł, czy o nim nie słyszał.

— Zygmunt Kiejstutowicz na swojej dzielnicy siedzi tyle lat spokojnie — rzekł Holszański

— że o nim ludzie zapomnieli. Nic nie słyhać! O niego nie macie się co troskać. Choć to Witoldów brat, ale on nigdy równym mu nie był. Z mazowieckimi się ciągle kumał i od nich nauczył się w dziurze siedzieć spokojnie.

Pogardliwie skrzywił się Świdrygiełło.

— Ja jemu ani Juliannie jednej grzywny dać nie myślę z tego, co w Trokach zabrałem! —

zawołał. — To skarb litewski. Mnie samemu teraz siła potrzeba, bo chcąc ludzi mieć, każdego potrzeba złotem brać. Nasycić ich trudno — dawaj a dawaj!

Pójdzie ten skarb prędko...

Znużony w końcu tym spokojnym biesiadowaniem kniaź kubkiem o stół uderzył.

— E! kumie Siemionie! — krzyknął — dosyć bied wywłóczyć, a tym sobie głowy

zaprzętać, czego nie ma, a może nigdy nie przyjdzie... Na pohybel wrogom! Napijmy się!

Holszański nie odmówił, bojarowie zwykle służący Świdrygielle do tej zabawy przysunęli

dzbany, zaczęto nalewać. Głosy się zaraz podnosiły, zmieszały, wrzawa zrobiła wesoła. Przybyły gość wcale nią sobie przykrzeć się nie zdawał, dotrzymywał im, przysłuchując się ciekawie, uśmiechając półgębkiem. Zdawał się zupełnie podzielać i wesołość, i myśli.

Do późnej nocy trwało takie ucztowanie, w końcu którego Holszański z za stołu trzeźwy wstał i Świdrygiełłę z jego dworcem zostawiwszy jeszcze dopijających poszedł do swojej gospody.

Nazajutrz król z rana biskupa Macieja o mszę świętą uprosiwszy słuchał jej na klęczkach pobożnie.

Był to dzień piątkowy, więc i post z suchotami, który król bardzo zawsze ściśle

zachowywał. O chlebie więc i wodzie śniadał po mszy, smutny na duszy, gdy mu oznajmiono, że książę Siemion Holszański przyszedł się pokłonić.

W osamotnieniu i niewoli ten stryj żony, choć nieczęsto widywany i zabyty trochę, był mu jak z nieba zesłanym gościem. Uradował mu się wielce.

Z rękami rozwartymi wyszedł naprzeciw niemu.

— Nu! nu! patrz, książu! patrz! — począł żałośliwie — hej! na co mnie przyszło! Od kogo jeszcze, od rodzonego brata, którego kocham, któremu dobrowolnie Litwę puściłem, choć wiem, że mnie za to Polacy głowę zmyją. Nu! patrz! Ja! król, niewolnikiem u niego!

Holszański oglądał się mówić nie śmiejąc, bo dwór królewski otaczał ich i słuchał. Poruszył tylko ramionami dwuznacznie. Jagielle na sercu ciężko było.

— Patrz! patrz! — powtarzał. — Me jak króla, nie jak brata, jak poganina mnie męczy i uciska. Stary jestem, nie zniosę nędzy tej i sromu...

I przerwawszy narzekanie zawołał:

— Widzieliście go? mówiliście z nim?

— Jeszcze wczoraj — rzekł Holszański cicho oczyma biegając dokoła. — Zawzięty jest i zapamiętały, ano, znacie go, sierdzi się niedługo, wytrwać nie umie, opadną te gniewy.

— Dałby Bóg — westchnął król.

Wtem podkanclerzy Drzewicki przystąpił i zwrócił się do księcia:

— Wasza miłość powinni byście przemówić do księcia Świdrygiełły — odezwał się. —

Niewidziana to rzecz, aby kto pana swojego więził tak i nękał. Jeżeli to zemsta, niewczesna i niechrześcijańska, przecież mu król za to, co cierpiał, wynagrodził dając Litwę.

Jagiełło i inni, obstąpiwszy Holszańskiego, poczęli z żalami i skargami obracać się ku

niemu. Książę słuchał i milczał. Z postawy jego tylko i słów niewielu domyślać się było można, że na przyszłość lepiej tuszył i zmiany się spodziewał.

— Ja tu jeszcze zostanę czas jaki — szepnął w końcu — no i za pośrednika służyć jestem gotów. Me pojedę stąd, aż doczekam, że się to na lepsze obróci.

Uradowany król, powstawszy, ściskać zaczął księcia Siemiona, który nie chcąc się podać w podejrzenie wprędce go pożegnał i nazad z zamku do dworca Gastoldowego powrócił. Chciał przy Świdrygiełło stojąc ciągle nowym gwałtom zapobiec.

Przybycie to kniazia Siemiona, listów papieskich, o których już wiedział, a nawet Hinczy z Rogowa, nieco Jagiełłę w tym ucisku podźwignęło i dodało lepszej otuchy.

Świdrygiełło, który wprzód napadał go niemal co dzień

łajaniem i groźbami, nękał bez litości, nie pokazał się przez dni kilka na zamku.

Towarzyszący Jagielle Polacy korzystali z tego, myśl swą oswobodzenia króla, choćby

morderstwem, potajemnie tak rozbierając i przygotowując się do wykonania, ażeby w chwili dogodnej mogła przyjść do skutku. Andrzej z Tęczyna i Mężyk opatrywali wszystkie kąty,

obchodzili podwórza, obliczali ludzi, rozporządzali wcześniej, gdzie kto stanąć ma i podzielili między siebie robotę.

Wszyscy zaprzysięgli, że gdyby ważył się znowu kniaz napisać na króla, lżyć go i odgrażać się, rzucą się na niego, zamordują i natychmiast hasło dadzą wyrzucenia z zamku niewielkiej załogi.

Gdyby Świdrygiełło przyjechał, jeden miał stać pod oknem i czekać znaku chustą, że

Świdrygiełło nie żyje, aby z Litwą sobie radzić i zamek osadzać. Hincza, którego przypuszczono do rady i do czynu, całym sercem przystał do nich.

IV

W niedzielę następną biskup wileński Maciej znowu w kaplicy, naprędce przy królewskiej komnacie urządzonej, odprawił mszę świętą.

Od owego piątku ani Świdrygiełło, ani Siemion Holszański na zamek nie zaglądali. Głucho było.

Wieści żadne ze dworca Gastoldowego nie dochodziły, a cisza ta dziwna niecierpliwość

Polaków i niepokój ich o pana zwiększała. Obawiano się, ażeby Świdrygiełło, podstępem jakim lub przemocą króla porwawszy, nie wysłał go na inny jaki zamek w głębi Litwy i od dworu nie oddzielił. Nie odstępowali go na chwilę.

Przebąkiwano o tym, że do Krewa albo do Nowogródka chcą Jagiełłę wysłać, a Andrzej z

Tęczyna, Mężyk, Hincza i inni przemyśliwali, jak się oprzeć gwałtowi. Nieco jednak rachowano na

kniazia Siemiona.

Po mszy świętej biskup króla na osobność wzięwszy zwiastował mu nowinę, którą miał przez ojców franciszkanów, że szlachta na zjeździe uchwaliła wszystkimi siłami natychmiast zebrać się w Kijanach nad Wieprzem i nie mieszkając stąd ruszyć na Litwę.

Świdrygiełło miał już o tym od wczoraj wiadomość i gdy goniec mu doniósł, wrzeszczano i wykrzykiwano tak na Gastoldowym dworze, że się ściany trzęsły.

Rwali się bojarowie po pijanemu, odgrażali, lecz Świdrygiełło obrachował się pono i wąsy tylko gryzł a kłął... Nie spodziewał się, aby tak prędko Polacy ruszyć się mogli.

Król uradował się i nastraszył, aby wiadomość o wojsku nieco już uchodzonego nie rozjątrzyła Świdrygiełły.

Ks. Maciej donosząc o tym wynosił pod niebiosa wielką gorliwość i starania królowej

Sonki, która nie miała spoczynku, dopóki zjazdu nie wyprosiła, a potem sama na nim nie wymodliła postanowienia zbierania się pospiesznego wojsk dla oswobodzenia króla.

Mówił, że cała Korona wiedziała, iż pośpiech ten był dziełem królowej.

Usłyszawszy to zasromił się Jagiełło i oczy spuścił, czuł się winnym. Ks. Maciej upewniał

go, iż wielkiej trwogi, boleści a niezmiernego trudu królowej ci, co świadkami byli, jak gorliwie zabiegała, wydziwić się i odchwalić nie mogli.

Ona jedna sprawiła to na zjeździe, iż się nie ociągano do wiosny, ale, póki jeszcze trzymała zima, wyruszyć postanowiono, korzystając z błot i rzek zamrzniętych.

Stali tak rozmawiając u okna, gdy Jagiełło spojrzawszy w nie pobladł.

We wrotach, które widać stąd było, zobaczył wjeżdżającego na koniu Świdrygiełłę.

Szcęściem towarzyszył mu kniaź Siemion.

Dworzanie spiskowi z daleka jadącego zobaczywszy kniazia, wedle danego słowa,

natychmiast się obwołali, aby każdy stanął w miejscu wyznaczonym. Ruch się zrobił, biegali, sykali, za oręż chwytali, a Andrzej z Tęczyna, Mężyk i Hincza, i siedmiu najsilniejszych umieścili się pode drzwiami komnaty, tak aby na dany znak piorunem wpaść do niej.

Króla ogarnął niepokój wielki, zażądał od biskupa, aby go nie opuszczał, w tej nadziei, że świadek obcy, osoba duchowna, może wybuch gniewu, do którego był przygotowany, pohamować.

Od dawna nie widywał inaczej Świdrygiełły jak z wściekłością, groźbami i słowy

zelżywymi wpadającego na zamek.

Cisza zaległa komnatę i u drzwi tylko, pod którymi stali spiskowi, uchylwszy je tak, aby klamki podnosić nie było potrzeba, ciężkie oddechy słyhać było. Andrzej z Tęczyna przeżegnał

się, westchnął do Boga i tulicha dobył. Inni poszli za jego przykładem... Na przedzie stało ich dwóch z Mężykiem.

Pod oknem chodził, hasła białej chusty czekając, Bersacz...

Jagięło wolnym krokiem wyszedł naprzeciw bratu przygotowany na wszystko, co go

spotkać mogło.

Świdrygiełło blady, z wargą zakąszoną i niespokojnie biegającymi oczyma, wszedł nie tak

spieszając jak zwykle do izby królewskiej. Zdjął kołpak z głowy, czego dawniej nie czynił, nigdy.

Postawę i twarz miał zafrasowaną, nadąsaną, złą, lecz widać było, że się silił pohamować.

Podszedłszy nieco stanął naprzeciw króla. Namyślał się, niełatwo mu było zdobyć się na

słowo.

— Nu, co? Lachy plotą, że ja ciebie trzymam w niewoli? Ja, ja chciałem tylko, abyś oddał

podolskie zamki, które się Litwie należą, tak jak Witold je dzierżył. Jam nie gorszy od niego. Dałeś listy, ja ciebie nie więzę. Bywaj sobie wolny... Jeszcze ci w podarku ze skarbu kazałem sto tysięcy rublów wydać, a dla twojego dworu soboli, kun i szub, i jedwabnic tyle, aby im na całe życie stało.

Będziesz się jeszcze skarżył na mnie?

Wszyscy słuchali uszom nie dowierzając. Świdrygiełło, jakby przymuszony, głos miarkując

mruczał dalej:

— Jaka tu była niewola? jaka? Ja ciebie nie zamykałem. Me puszczałem ino póty, pókiś nie zrobił, co należało... Teraz jedź! Bogiem się świadcę, niech i kniaź Siemion słyha... nie trzymam.

Wracaj do Polski. Lachy mnie jakimiś posłami grożą, ja z nimi gadać nie będę, nie potrzeba posłów... Na co? Wojskiem mnie grożą; albo ja wam wojnę wypowiadałem?...

Słuchającemu Jagielle twarz się rozjaśniała, wyciągnął ku niemu ręce obie, ale ich

Świdrygiełło nie dotknął.

— Ja zaraz wyprawię do Polski — rzekł król — aby ani posłów, ani wojska nie wysyłano nadaremnie...

— Ale zamki podolskie moje. Każ mi je zaraz zdać! — dodał Świdrygiełło, już głos podnosząc namiętniej.

Król oczy spuścił.

— Wszak dałem listy.

— Nu! nu! Byle twoje Laszki nie szarpały się, nie rzucali, a nie kusili się odbierać, bo naówczas wojna! — począł kniaź.

Nic mu już król na to nie odpowiedział. Nastąpiła chwila przykrego milczenia.

— Wracaj sobie do żonki — rzekł szyderczo Świdrygiełło. — O! ona tam, słyszę, rozbijała się, aby jej co prędzej męża z niewoli wypuścili. Jaka tu tobie była niewola? Ja ciebie do ciemnicy nie sadzałem. Na zamku siedziałeś jak pan, ty i Lachy twoje. Głodem was nie morzyli, dyb nikomu nie kładli. Teraz jeszcze stąd srebra jak lodu wywieziesz dosyć, a i podarków się nie powstydzę.

Nu, wrota otwarte, nie trzymam was... Z Bogiem, wracaj sobie do Polski...

Podrzucił głową Świdrygiełło i gdy król zbliżył się, aby mu dziękować, on kołpak nałożywszy, ani na niego, ani na nikogo nie patrząc już, do drzwi się zawrócił i wyszedł.

Kniaź Siemion pozostał.

Na dworze królewskim niewypowiedziana radość po niepokoju i trwodze nastąpiła. Jagiełło odżył.

Nie mając kogo uścisnąć objął kniazia Siemiona, bo jemu przypisywał tę nagłą szczęśliwą zmianę.

Holszański się wypierał i szeptał cicho:

— Z Polski przysły wiadomości o wojsku... Sonka przyspieszyła wysłanie. Jej podziękujcie.

Jagiełło ręce składał do modlitwy.

Andrzej z Tęczyna, Drzewicki, Mężyk, którzy tulichy pochowawszy weszli do izby, poczęli

króla po rękach całując nalegać, aby natychmiast do podróży się sposobić, dnia jednego nie ociążać, by człowiekowi szalonemu pod złą godzinę nie przyszła ochota króla zatrzymać.

Nie można było przewidzieć, co doniosą o podolskich zaniakach, których poddanie się świeca wstrzymać mogła, a Świdrygiełło znowu rozjuszony króla był gotów więzić. Należało więc korzystać z chwilowego usposobienia.

Król się zgadzał na wszystko, ale, powolny zawsze, znajdował, że najmniej dni kilka przygotowania zabrać musiały.

Tymczasem dla wstrzymania posłów i oznajmienia o odzyskanej swobodzie gońcem przodowym ofiarował się nazad jechać Hincza.

Tak nad wszelkie spodziewanie, w chwili gdy zrozpaczony dwór gotował się do szalonej obrony króla wając własne i jego życie, pękły cudownie okowy i zamiast prześladowania obsypano ich podarunkami.

Byli wolni!!

Poważniejsi nawet ludzie, jak Drzewicki i Tęczyński, z radości się nie posiadali, Bogu dziękując za oswobodzenie.

W pierwszej chwili, nie wyjmując króla, wszyscy poszaleli. On tylko, korzystając ze szczęśliwej zmiany, dowodził już, że dziwak, porywczy, szalony brat w sercu był dobrym i przywiązany do niego...

Na to milczeli inni; wiedziano bowiem i patrzono co dzień na tę dobroć, której ofiarą ludzie padali.

Drzewicki tegoż dnia listy do królowej i senatorów wygotował donosząc, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło, a Jagiełło z niewoli powraca.

Gdy Hincza nazajutrz rano przyszedł się z królem żegnać, a ten go wedle zwyczaju po ramieniu klepał i pytał, czym mu wynagrodzić za posługę, wierny Hincza podniósł głowę, i całując rękę królewską odezwał się:

— Miłościwy panie, gdybym to ja prosić śmiał?

— No prosz, prosz śmiało — przerwał Jagiełło.

— Ja niczego nie żądam, tylko — tu znowu rękę począł całować — tylko żeby ten, co mnie

spotwarzył i do Chęcina dałna wieżę, za swój język żmii pokutował. Pozwęgo przed sąd.

Król się zmięsział i twarz mu się przeciągnęła.

— Na co ci to? — wybełkotał — na co?

— Abym czystym był w oczach ludzi. Strasz się swobodnie chodząc przechwala, że królowę i nas bezkarnie oczernił.

— Nie pora z nim poczynać sprawę — odparł Jagiełło. — Wracaj no *do* Polski.

Już Hincza odchodził, gdy król spytał:

— A Strasz ten gdzie?

— Siedzi u siebie w Białaczowie, a włos mu z głowy nie spadł.

Z twarzy starego pana widać było, że i jemu wspomnienie tej sprawy nieszczęsnej gniew w sercu zagrzebany rozbudziło.

Dodano dwóch z czeladzi Hinczy i poselstwo ruszyło.

Jagiełło czując się już bezpieczniejszym chciał w lasy litewskie puścić się na łowy, za którymi był stęskniony, ale Andrzej z

Tęczyna i Drzewicki uprosili go, aby tego nie czynił, co rychlej Wilno opuścił, a do Polski spieszył, gdzie na niego królowa i panowie niespokojnie oczekiwali.

Może by się im nie dał tak łatwo skłonić do tego Jagiełło, gdyby tegoż dnia wieczorem nie przyszedł książę Siemion przestrzec poufnie, iż Świdrygiełło po pijanemu znowu się odgrażał na króla i, jeśliby zamków podolskich nie zdano, niewolą i zemstą się odkazywał.

Dwór więc króla, już prawie go nie słuchając, wozy wytaczać kazał, ładować je, zbierać skrzynie, wiązać sakwy, konie kuć i na gwałt się do podróży sposobić.

Podkanclerzy i to miał na uwadze, że Jagiełło z tych stu tysięcy rubli, które mu brat

ofiarował, z owych futer, szub, sukna i jedwabów tak już na wszystkie strony rzucał podarkami i szafował, poczynawszy od Siemiona Holszańskiego, iż gdyby tu cokolwiek dłużej posiedzieli, pewnie by wszystko rozdał do denara.

Powstrzymać go nie było podobna, a czyniło mu to taką przyjemność, iż żał brał go jej pozbawiać.

Dzień już był do drogi wyznaczony, gdy Jagiełło zażądał koniecznie pożegnać brata, który sam do niego przyjść nie chciał. Wziąwszy więc z sobą Drzewickiego, Tęczynskiego i trochę ludzi pojechał do Gastoldowego dworu.

Tu po całych dniach i nocach biesiadowano i, jeżeli kniaź był w domu, zawsze, o wszelkiej godzinie zastać go było można za stołem z podpiłymi bojarami przy misach i dzbanach.

Nie inaczej też znalazł go Jagiełło. Widząc go wchodzącego kniaź nawet nie raczył powstać, bojary tylko ruszyły się z czołobitnością.

Świdrygiełło był dosyć dobrej myśli, choć się jej dowierzać nie godziło. Począł do króla wołać z dala:

— Jedziesz już! To jedź... jedź, a nie okłamuj mnie, zem ja cię tu męczył i w niewoli

trzymał. Nic ci się nie stało, cały jesteś, powracasz do żony... Z innym człowiekiem, nie ze mną, nie tak by ci łatwo poszło.

Król mu wtedy, przysiadłszy na ławie, dziękując za dary łagodnie rady dawać zaczął, aby

Polaków i tak już rozdrażnionych nie jątrzył, a z królestwem i z nim wiernie trzymał.

— Mam ja swój rozum, ty mnie nie ucz — przerwał mu Świdrygiełło — będę wiedział, co czynić. Poznają mnie Laszkowie twoi... niech się tylko tu osiedzę.

Któryś z bojarów, oględniejszy, znak mu dał, ażeby się tak z tym, co myślał, nie wydawał, zamilkł więc, a potem żarty z króla począł stroić. Wreszcie nalawszy sobie kubek, a jemu drugi, zmusić chciał Jagiełłę, aby z nim pił.

— Ty wiesz, że ja nie piję miodu ani wina nigdy — rzekł król spokojnie — wodą, jeśli chcesz, przepiję do ciebie.

— Cóż ty... boisz się, abym ja ciebie nie struł? — krzyknął kniaź. — Musisz ze mną to pić, co i ja. Me gorszym ja od ciebie.

— Jako żyw nic gorącego i chmielnego do ust nie biorę — powtórzył Jagiełło. — Nie mogę.

— Ale ze mną musisz pić.

— Wodę.

— Nie... miód!

Jagiełło milcząc kubek odstawił, bo jak zapachu jabłek nie znosił, tak i napoju gorącego powąchać nawet nie mógł.

Świdrygielle już twarz zaczęła kraśnieć, usta drgać i porwawszy kubek gwałtem go Jagielle do ust tkał, aż Siemion

Holszański nadbiegł go bronić.

Wpadł kniaź na niego i na króla w okrutną złość poczynając łajać, a że w gniewie

pomiarkowania nie znał i można się było obawiać gwałtu jakiego, bo się coraz zapamiętałym stawał, chwycili pod ręce Jagiełłę Tęczyński z Mężykiem i z izby uprowadzili, a Holszański tymczasem miotającego się Świdrygiellę na ławie przytrzymał, sam się spełnić ofiarując, ile zechce, kubków za króla. Zmusił go z sobą pić i tak się to skończyło.

Starcie to niespodziane w chwili wyjazdu tym boleśniej dotknęło Jagiełłę, że miało

mnóstwo świadków, bo izba bojarów pełna była, którzy po pijanemu, ośmieleni zuchwałością kniazia, wyśmiewali i poszanować go nie chcieli.

Pierwszy raz Jagiełło uczuł się tym do żywa obrażony i wyjazdowi już się nie tylko nie przeciwiał, ale sam go chciał przyspieszyć.

Z rana nazajutrz król z całym pocztem swoim zajechał do oo. franciszkanów wysłuchać

mszy świętej, dokąd i biskup Maciej go przeprowadzał. Tu Jagiełło obdarzywszy mnichów, weselszy, puścił się w drogę na prost zmiierzając w Chełmskie.

Gdy w lasy wjechali, a powietrzem ich, do którego pierś jego tak była nawykła, odetchnął

stary... dopiero mu życie wróciło i całą swobodę i wesołość odzyskał. A że wszędzie po drodze spotykali go ludzie z poszanowaniem, cześć mu oddając, dotkliwiej teraz rozpamiętywać musiał, jak wielkiego doznał w Wilnie upokorzenia. Skarżył się też przed wszystkimi i przypominając niewolę a obchodzenie się z nim brata oburzał przeciw niemu.

Od granicy szlachta witając zabiegała mu drogę. Z Krakowa dano wiedzieć, że królowa

Sonka, biskup Zbyszek, wojewodowie krakowski i sandomierski, kasztelan krakowski, marszałek wielki i innych dosyć panów ciągną przeciw Jagielle, który na zapusty z Tura miał przybyć do Sopoty i tam z żoną i z nimi się spotkać.

Sonka wiozła z sobą dwu synaczków, dla których właśnie zjazd naznaczył był nauczyciela i nadzorcę Wincentego Kota z

Dębna, kustosza gnieźnieńskiego, i szlachcica Piotra Ryterskiego.

W Sopocie zastał król wszystkich oczekujących już nań. Królowa z dziećmi zapłakana

wyszła go witać. Starszyzna do nóg mu się kłaniała, biskup błogosławił i kropił wodą święconą, tłumy czapki podrzucały wywołując: Żywie!

Serce rosło staremu widząc, jaka go tu miłość otaczała.

Nie przechwalała się z tym, ani nawet wspominała królowa, jak niezmordowanie przez cały czas niewoli nawoływała, prosiła, nagliła o przyspieszenie odsieczy. Świadczyli o tym inni, mówił biskup, gdy odeszła, świadcząc, że nie miała spoczynku, dopóki szlachty nie skłoniła, aby się zbroiła dla skutecznej obrony osoby i czci pana swojego.

Jagiello też czulszym się stał i powolniejszym dla Sonki, dawne do niej przywiązanie wróciło; chociaż żyli teraz z sobą jako przyjaciele, nie małżonkowie, a królowa tylko o dzieciach myślała, Jagiello znowu o łowach, lasach, a zmuszony i o sprawach państwa, których ciężar spadł na niego. Oblegano go z nimi, zalegało mnóstwo; on wszystkie sprawy do biskupa Zbyszka odsyłał.

W Sopocie nie zatrzymując się długo ciągnęli wszyscy na mięsopust do Sandomierza, dokąd szlachta była zwołana. Tu poprzedził dwór Hincza, który jako świadek naoczny opowiadał o niewoli królewskiej, o znęcaniu się nad nim.

Wiedziano już z odgłosu, co Jagiello w Wilnie wycierpiał od brata, a choć samej prawdy dosyć było, aby ludzi oburzyć, Hincza niejedno do niej dołożył, tak że króla w Sandomierzu jak męczennika witać się gotowano.

Zwiększyło i to gniewy szlachty przeciw Świdrygielle, że załogi jego z zamków pogranicznych w Lubelskie i na Kuś na łupieżę wpadały, jak by wojnę wywołać chciały. Kręcąc się tak przed przyjazdem królestwa obojga Hincza po mieście i na zamku wśród tłumnego zjazdu szlachty drugiego dnia spotkał butnie z przyjaciół i bratem Czarnym przechadzającego się Jana Strasza.

Z początku mu się oczom wierzyć nie chciało, iżby on ważył się tu pokazać, o królowej wiedząc. Krew się w nim zburzyła.

Jan Strasz w przyjaciół ufając, których miał dosyć, sądząc, że sprawa była ze śmiercią Witolda ubita, umyślnie przyjechał, aby nie okazać trwogi i zatrzeć do reszty zajścia tego wspomnienie.

Hincza nie dał poznać po sobie, co zamyślał, ale w duchu rzekł, że teraz lub nigdy zemście się musi i sąd wywołać na niego.

Ocierali się o siebie kilka razy, nie mówił nic Hincza, nie zważał nań, obojętno udął, ale czekał na przybycie królowej.

— Sam Pan Bóg zrządził, że mi tu winowajca wpadł w ręce — mówił cicho — albo teraz, lub nigdy.

Nadjechał król witany radośnie i gorąco; przeprowadziły go tłumy na zamek górny, a gdy nazajutrz wyszedł do izb natłoczonych senatorami i szlachtą, witany okrzykami serdecznymi, dziękować począł, potem opowiadać sam po prostu, jak go tam męczono i co cierpiał... za grzechy swoje (wyraził się tak z pokorą), wołaniem i odgrózkom przeciwko Świdrygielle nie było końca.

Tuż za tronem siedziała królowa przysłuchując się, a serce jej rosnać musiało widząc, jak się tu przywiązanie do Jagiełły i do rodu jego objawiało wymownie.

Ona też królowi doradzała, gdy wychodzić miał, aby się skarżył i opowiadał, jak za naród swój cierpiał, aby tym serca jego skłonił ku sobie.

Wpływ jej przywrócony wzrósł teraz i wzmocnił się, Jagiełło czuł, że w niej miał najlepszego doradcę.

Narady w Sandomierzu burzliwe były w początku, zwłaszcza z powodu Podola i Łucka, Koronie należącego, które sobie

Świdrygiełło gwałtem przywłaszczał.

Wysłano stąd poselstwo do niego wzywając na zjazd wspólny i układy, na co, jak

przewidzieć było można, kniaź drwiąc odparł, że nie potrzebuje ani zjazdów odprawiać, ani się o nie układać, a to, co trzyma z prawa krwi i spadku, tego nie odda nikomu.

Oburzenie przeciwko przywłaszczytelowi było już wielkie, ale wzrosło do najwyższego stopnia, gdy potem wysłanego z wyrzutami Lutka z Brzezia rozłoszczony Świdrygiełło w twarz uderzył.

Mm zjazd sandomirski się rozproszył, Hincza przez ochmistrza Malskiego do królowej z

bląganiem i naleganiem zgłosił się, aby o sąd na Strasza króla prosiła, gdyż lepszej na to pory nie było, a winowajca w Sandomierzu się znajdował.

Już w Wilnie Hincza, jak wiemy, Jagiełłę o sąd ten prosił, teraz królowa myśl poddaną chwyciła gorąco. Na próżno ochmistrz, a z nim wielu innych, wznawianie odradzało, Sonka żądała koniecznie być jawnie oczyszczoną, król się opierał, wypraszał, przystał wreszcie. Królowa błagając całowała go po rękach, klękała przed nim, powtarzała, że inaczej nie obmyje się z tej plamy...

Stańło na tym, iż sąd został wyznaczony rycerski, a zasiadać na nim miał Piotr z Widawy, sędzia sieradzki.

Strasz nie mając najmniejszego przeczucia, co go tu czekało, zabawiał się wesoło bezkarnością długą ubezpieczony, gdy jak piorun z jasnego nieba pozwy nań spadły.

Znalazły go one wśród wielkiej gromady przyjaciół, krewnych, powinowatych, których Strasz zawsze hojnie podejmował i jednać sobie lubił.

I stał się niespodziany cud, że w okamgnieniu izba i dom opróżnione zostały, pierzchło, co żyło, wypierając się wszelkiego stosunku z nieszczęśliwym.

Jedyny jeden, wstydząc się go opuścić, brat rodzony Strasza, Czarnym zwany, wiernym mu pozostał. Oba rozumieli dobrze, iż z królową walczyć było trudno i na srogą kaźń musiał się gotować. Nie wiedzieli, co począć, i Jan głowę ratując myślał zbiec na Litwę do Świdrygiełły lub do Czech między husyty... ale i ucieczka trudną była, bo domu pilnowano, kroku już zrobić nie mógł.

Teraz Strasz dopiero przypomniał, że Hinczę tu widział i spotykał, a pewnym był, że nikomu innemu, tylko jemu winien był pomstę, jaką nad nim wywierano.

Całą noc spędzili dwaj bracia przy kaganku naradzając się po cichu, jak bronić się mieli.

— Choćbym się odprzysięgł — rzekł Jan — nie pomoże to, a gdyby sędzia uwolnił, i tak nie ujdę kary.

Poważni ludzie stawali ze strony królowej jako świadkowie i oskarżyciele. Na czele ich ochmistrz dworu jej Wojciech Nałęcz Małski, kasztelan łęczycki, Mszczuj ze Skrzynna, Klim Wątróbka ze Strzelec, Piotr Kurowski, Jaśko z Koniecpola, Hincza z Rogowa i mnodzy urzędnicy, komornicy a dworzanie.

Sąd na zamku był zwołany.

Z jednej strony stała cała ta gromada oskarżycieli, z drugiej Jan Strasz samiuteńki jeden, bo mu nikt w pomoc nie śmiał przyjść prócz brata. Wszystko, co go wczoraj otaczało, pochowało się strwożone, niektórzy znajomości z nim się zapierali. Potępienie oszczercy, przeciw któremu tyle głosów się podnosiła, nie mogło ulegać wątpliwości. Stańał Strasz upokorzony, biedny, zdając się sędziego o

miłosierdzie tylko prosić. Stracił postawę, głos, butę, drżał i oczów podnieść nie śmiał.

Na drodze, gdy z bratem na zamek szli, Hincza go spotkał jakby umyślnie i drwiąco mu się pokłonił.

— Jeżeli pochlebiacie sobie — krzyknął — że odszczekaniem spod ławy, jak Gniewosz z

Dalewic, zbędziecie się strasznej kary, mylicie się srodze! Musicie zakosztować tego, co my z łaski waszej cierpieliśmy!

Świadczyli przed sądem z kolei sam ochmistrz Malski, potem inni, że Strasz wieści

kłamliwe po Krakowie rozsiewał, przed ludźmi dworskimi królowę czernił... Wiadomo też było wszystkim, bo sam książę Witold tego nie taił, że do niego Strasz jeździł do Wilna oskarżając królowę i z naprawy jego książę przed królem obwinił ją.

Wszyscy zgodnie zeznali to na Strasza.

Winowajca na obronę swą nie umiał powiedzieć nic więcej nad to, że o niczym nie wie, że nie skarżył, że nie mówił nic.

Wszystkiego się zapierał.

Gdy świadkowie skończyli, Strasz nie mogąc więcej, podniósłszy prawicę, wyzywać ich począł na rękę, na sąd Boży.

Lecz sądy te już nie były w obyczaju i Hincza pierwszy odparł butnie:

— Żaden rycerski mąż z człowiekiem obwinionym, bez czci, pod oskarżeniem takim zostającym, w szranki wyjść nie może, zmazałby się z nierównym sobie i bezczesnym potykając.

Inni też powtarzali za nim, że z oszczercą nikt w pole nie wyjdzie.

Milczenie nastąpiło złowrogie. Sędzia nie mogąc inaczej, kazał się przysięgą oczyścić Straszowi.

Chociaż jawnym było krzywoprzysięstwo, winowajca życie ratując musiał drżącym głosem wyprzeć się tego, czego ludzi poważnych wielu byli świadkami wiarogodnymi.

Nie oczyściło go to ani mogło uwolnić od kary za krzywą przysięgę. Hincza z Rogowa stał

już pogotowiu z rozkazem króla, aby natychmiast wydany został staroście sandomirskiemu i w wieży na dnie zamknięty. Ledwie mu się z bratem dano pożegnać, gdy ode drzwi ciury zamkowe pochwycili go i powlekli z sobą. Chciał Hincza, aby do Chęcina był odprawiony, lecz wieża sandomirska nie

lepszą była od tamtej, w której siedział, a przewozić go nie było potrzeby.

Tak pomszczoną została niewinnie spotwarzona królowa, chociaż nieprzyjaciółom jej ust to nie zamknęło. Królestwo oboje byli już w Krakowie, gdy pokrzywdzony Lutek z Brzezia, ledwie z życiem wyrwawszy się Świdrygiełło, z Wilna powrócił o pomstę wołając.

Zapowiadała się już otwarta wojna z tym bratem niewdzięcznym. Łamał ręce Jagiełło nie wiedząc, co począć, a czując, iż sam winien był powolnością swą Świdrygiełło uzuchwaliwszy w początku.

Oleśnicki i inni co dzień mu to wyrzucali.

Na jedną z tych chwil goryczy i utyskiwań weszła królowa. Dała naprzód mężowi żale rozwodzić i narzekać długo, potem, gdy bezradny żalił się na dolę swą, mówić zaczęła:

— Radzić potrzeba na to, dopóki czas, bo dalej trudno będzie. Słuchajcie mnie tylko. Jako niewieście samej mi do tych spraw mieszać się nie przystało, uczyńcie wy, co doradzę, nie mówiąc, że to macie ode mnie...

— Radź! — zawołał król zwracając się do niej — aby skutecznie.

— Świdrygiełło bratem ci jest — rzekła królowa — ale takim, jakim Kain Ablowi był.

Gdyby się nie obawiał pomsty, kto wie, czy z Wilna byłby cię z życiem puścił. Nie chce on Litwy z rąk twoich dźwierać i być tobie podległym chociaż tyle, ile Witold był, a i ten się z lenności wyłamywał... Zrzucić go musisz, a innego na jego miejsce postawić.

— Alem ja mu pierścień dał i uczyniłem go wielkim księciem.

— Tak samo mu to, coś dał, odebrać możesz...

— A jakże dokazać tego? — zawołał Jagiełło. — Wszystko w rękę trzyma, Ruś z nim cała...

Zamki opanował wszystkie... Wojnę bym prowadzić musiał.

— I bez wojny się go pozbędziesz — mówiła królowa ciszej. — Dostyc skinać na Zygmunta

Kiejstutowicza, ten znajdzie chwilę sposobną i Świdrygiełło pochwyci lub wyżenie. Siemion, stryj mój, pośrednikiem będzie najlepszym w sprawie... Witoldów brat człek spokojny, trzeźwy,

poważny, a winien ci będąc księstwo nie powstanie przeciwko tobie... On i na Rusi przyjaciół ma, Świdrygiełło obali łatwo... Skiń nań tylko.

Słuchając król zadumał się głęboko.

— Rozum masz, kobieto moja — odezwał się po namyśle. — Rada twoja dobra, ale bez

Zbyszka nic, jemu to powiedzieć potrzeba...

— Sam mu to mów — przerwała królowa. — Nie moja rzecz się w to mieszać. Mówić i

działać wymusicie. Niewieście się nie przystało do spraw państwa wtrącać, bo nieprzyjaciół i zazdrosnych sobie przyczynia, a tych i tak jest dosyć. Nawet gdy co chce uczynić, musi przez innych... Niechaj mnie w tym nie widzi nikt ani wie, że to wyszło ode mnie.

— A Siemiona ty jesteś pewna? — zapytał król.

— A któż go skłonił, aby on do Świdrygiełły jechał do Wilna? — odezwała się Sonka z

uśmiechem, w którym duma się przebijała. — Ja się przecie sama musiałam starać o to, ale tak, aby nikt o mnie nie wiedział.

Zmłczał Jagiełło. Nazajutrz już na radzie potajemnie o Zygmuncie mówiono. Za nim było

to właśnie, co od innego by odstręczało.

Nie znał go bliżej nikt, niewiele o nim słyszano, tak przez czas rządów Witoldowych

spokojnie na swej dzielnicy gospodarzył nie dobijając się o nic więcej nad to, co mu dano...

I nie bez słuszności powiadano o nim to, cośmy już powtórzyli, że z mazowieckimi

księżniczkami się żeniąc mazowieckich książąt przejął obyczaje, swojej ziemi strzegł, o cudze się nie kusząc, aby pokoju zażywał...

Zbyszek biskup i wielu senatorów za nim było, choć wprzódby by pewnie na niego nie

głosowali, aby spadek po bracie dziedzictwem się nie zdawał.

Zrażało tylko wielu, że z Kiejstutowiczem potajemnie się umawiać było potrzeba i

przywłaszczyciela pozbywać się cichaczem, zdradą. Do tego stryj królowej - Siemion na rękę był jako pośrednik.

Musiano zgodzić się na to, aby Świdrygiełłę w jakikolwiek bądź sposób obalić i wygnąć.

Pierwszą wzmiankę o Zigmuncie Kiejstutowiczu sam Jagiełło uczynił, lecz dla tych, co go

znali, było jawnym, że myśli tej sam z siebie nie wziął, bo niewdzięcznego Świdrygiełłę kochał

zawsze, słabość do niego miał i nawet zrzucić go zamierzając pomrukiwał, że mu coś na Rusi wydzielić przyjdzie. Zbigniew Oleśnicki, a z nim inni odgadli w tym radę królowej. Przyjęto myśl, a

choć dobrą była, że od Sonki wyszła, o wpływie jej świadczyła, wielu ku niej źle usposobiła.

Nieprzyjaciele rośli razem z potęgą i wpływem, który co dzień sobie jednała. Nie była to już bojaźliwa pierwszych dni Sonka, kraju i ludzi nieświadoma, pośród których żyć miała, ale niewiasta nieszczęściami i cierpieniem wypróbowana, zahartowana walką, silnej woli, matka stojąca u kolebki swych synów, o prawa ich troskliwa.

Potwarze, broń zazdrosnych, lały się na odważną niewiastę ze stron wszystkich pozory

chwytając wszelkie, jak czasu burzy potoki płyną wszelkimi norami i rozpadlinami wyrywając ziemię i nowe sobie torując drogi.

Korybut i czescy husyci, którzy do Krakowa na rozprawę o prawdzie chrześcijańskiej

przybyli, zgromieni i wygnani przez Oleśnickiego, w mniemaniu niechętnych Sonkę mieli za potajemną opiekunkę i doradczynię.

Gdy Jagiełło zwłóczył z wystąpieniem i wyprawą przeciwko Świdrygielle dla odebrania

Wołynia, nieświadomi tego, co królowa czyniła, jej przypisywali, że się ociągał, choć ona Zygmunta popierała.

Był to rok wojen i klęsk, bo w pomoc oszalałemu Świdrygielle rzucili się wszyscy Polski nieprzyjaciele.

Zniszczenie, pożary, mordy i łupieże szerzyły się dokoła. Król stary wojował na Rusi,

Sonka sama jedna czuwała w Krakowie.

Kielicha goryczy, który jej był przeznaczony, do dna jeszcze nie dopiła.

Na tym samym zamku królewskim, obok dzieci Sonki, chowała się Jadwiga, owa wnuczka

Kazimierzowa, na którą oczy wszystkich Piastom jeszcze sprzyjających były zwrócone.

Pomimo dobroci serca i rozrzutności Jagiełło serc sobie wszystkich kupić nie mógł. Po

kilkudziesięciu latach panowania widziano w nim zawsze obcego, przywłaszczyciela... Po cichu dotąd niektórzy poganinem go zwali, królowę przezywano Rusinką, tęskniono za Piastami

zniedołączniałymi.

Chociaż tej starszej córki Jagiełły zrękowiny z Fryderykiem Brandenburskim były tak jak

zerwane, zawsze jeszcze trwały jakieś zobowiązania; przyjaciele Piastów spodziewali się na tronie widzieć Jadwigę, a przy niej woleli Brandenburczyka niż Litwina.

Z czego się to rodziło, dziś określić trudno. Duchowieństwo władało wszystkim, nie mogło się uskarżać na upośledzenie swoje, częstokroć jednak z królem staczać musiało walki, znajdowało w nim opór i zachcianki samowoli.

I stąd może ta niechęć do Jagiełły i krwi jego płynęła. Nie zapomniano mu biskupa Wysza, ani w czasie wojny zajętych dóbr biskupich dla nakarmienia ogłodzonych; posądzano jego i rodzinę o tajemne sprzyjanie husytom, to znowu o sympatie dla wschodniego obrządku.

Winy Witolda, Korybuta, Świdrygiełły zrzucano na ramiona starego króla, a z nich część na królowę spływała.

Ciekawie, z dala, skrycie spoglądano na ten kątek zamkowy, w którym jak zakonnica odosobniona tęskne dni spędzała królowa Jadwiga.

Pokładano ciche na niej nadzieje, że kroplę krwi Piastów miała na tron przywrócić.

Sonka miała dwóch synów i mogła się spodziewać, że korona na kądziel nie zejdzie.

Posądzano ją więc... o nienawiść, o pragnienie pozbycia się Jadwigi, która też do tronu miała prawa.

Nowa potwarz miała karm gotową. Gdy król wybierał się jeszcze na Litwę i przejazdem był

w Krakowie, spojrzawszy na swą starszą, znajdując ją smutną i bladą, pytał niespokojny, co jej było?

Starsze panie jej, piastunki, dwór, spuszczały oczy nie chcąc i nie umiając odpowiedzieć...

Szeptali, że chorą była.

Wezwany mistrz Henryk popatrzywszy na królownę zawyrokował, że to była choroba

młodości, z której sam wiek ją uleczy. Wzrost nagły wycieńczył królownę, dojrzewanie

wyczerpało.

Ale stare kumoszki i złośliwe baby sądziły inaczej. Gdy królowna blednąc zaczęła, rumieńce gasnąc, kaszel suchy z piersi się dobywać, szeptały do uszu sobie: otruta!...

Ten wyraz na wiatr wyrzeczony przez złośliwe usta z potwarzy nazajutrz stał się prawdą,

pewnością, dowiedzioną rzeczą. Wszakże pierwsze to wypowiedziały te, co tam najbliżej były, co najlepiej wiedzieć mogły.

A któż mógł zatruć królewskie dziecię, jeżeli nie ta, której potomstwu ono groziło odebraniem korony?

Mówiąc o truciźnie nie wazono się mianować trucicielki, ale z ukosa, znacząco... spozierano w tę

stronę, gdzie Rusinka mieszkała.

Księża wzdychając podszeptywali po łacinie: *Is. fecit, cui prodest.*

Nikt się nie spytał, czy posądzenie było na czym oparte. Królowa w oczach nienęła...

bladła, kaszłała, słabła... więc zadano jej truciznę.

Gdy słabość Jadwigi coraz jawniejszą być poczęła, wymyśliły sługi, że w przytomności

narzeczonego, jej małego Fryderyka, po wypiciu czegoś dostała mdłości, a potem zaraz poczęła się ta nieuleczona choroba. I... ciągnęła się rok cały... co najlepiej dowodzi, jak ta nikczemna potwarz głupim była wymysłem.

Odpierać jej nikt się nie ważył.

Królowa czuła ją w powietrzu, choć nikt nie śmiał jej o tym uwiadomić. Nie mogąc sama

zbliżyć się do chorej, aby posądzoną nie była, bo wiedziała, jak jest znienawidzoną macochą, posyłała lekarzy, modliła się do Boga, ażeby cios ten od niej odwrócił. Ale królowa gasła w oczach.

Chodziła jak cień smutny po zamkowych komnatach, ścigana ciekawymi oczyma,

opłakiwana zawczasu jak ofiara.

Ofiarą tej fatalności była w istocie królowa Sonka, której los nową boleść gotował, któż wie? może nawet w sercu ojcowskim najokrutniejsze posądzenie.

Biednej niewieście danym było doznać wszystkich męczeństw i wszelkich potwarzy.

Potrzebowała męstwa i siły nadludzkiej, aby je znieść, przeżyć i nie upaść pod nimi.

Tej siły tajemnicą były... dzieci. Zbroiło ją macierzyństwo.

Sierotami porzucić ich nie mogła, żyć dla nich musiała.

Jakby dla przedłużenia męczarni choroba królowej przewlokła się przez rok cały, a były w ciągu niego chwile złudzenia i nadziei, zdające się zwiastować ocalenie.

Jadwiga odzyskiwała rumieńce, wracała jej wesołość dziecinna. Uśmiechała się do swych

służebnic, chciała żyć i zrywała się do życia.

Ale te ostatnie prądy sił młodych przepływały prędko i uchodziły. Bladła znów królowa,

kaszłała i słabła. Trwoga wracała, łzy ukrywane, modlitwy potajemne, przeczucia złowrogie.

Królowa rzadko widywać ją mogła, bo dziewczę niechętnie szło do niej, powracało rozgorączkowane. Wszczepiono jej tak silną, nienawiść dla macochy, że nawet łagodność i dobroć Sonki zwały się obłudą i zdradą.

Stare piastunki w oczach królowej czytały wyczekiwanie śmierci, gdy się pytała o zdrowie, mówiono, że się niecierpliwiła, aby jak najprędzej doczekać końca.

Śmierć też nieubłagana nadchodziła. Musiała się położyć królowa. Cierpiąc biedna powtarzała może to, co słyszała szeptane około siebie:

— Otruto mnie! otruto!

Piastunki, co same myśl tę poddały, potem jako z ust Jadwigi pochwycone świadectwo, oskarżenie, roznosiły po świecie.

Jednego wieczora stara Femka zapłakana przyszła do królowej, ale pytana przyczyny łez wyznać nie chciała.

Narzekała tylko na dzień i godzinę, która je tu przyprowadziła, na tę koronę rozpaloną, którą jej pani włożono na skronie.

— O bogdajbyśmy były nie widziały kraju tego, grodu tego i ludzi tych o językach wężów i zmij! Łzami polewamy drogi nasze i poić się musimy łzami.

— Femko moja, cóż się stało? — zapytała królowa.

Z gniewem zerwała się, z osychającymi nagle oczyma stara piastunka.

— Niepocziwe te Lachy! Śmiać mówić, żeś ty ją otruła! Powtarzają, że ona sama cię obwinia, że to z ust jej własnych słyszały. Brakło nam tego jeszcze!

I zalała się łzami. Królowa już nawet płakać nie mogła. Dawniej umiała się wyszłochać i to jej ulgę czyniło, teraz łez brakło... paliły się gdzieś we wnętrzu i piersi jej piekły żarem. Spojrzała pogrążona w myślach na swą starą i poszła do okna z załamanymi rękami.

Dwaj kanonicy krakowscy, ksiądz Adam Świnka i ks. Jan Elgott, co dzień prawie odwiedzali królową.

Pierwszy z nich zabawiał ją czytaniem pobożnym, drugi był jej spowiednikiem, doradcą i pocieszycielem. Obaj do niej przywiązani byli wielce.

Ks. Elgotta znała królową, na myśl jej przyszło, dopóki żyła Jadwiga, odwołać się przez kapłana do jej sumienia i uzyskać świadectwo, że o otruciu jej nie posądzała.

Lecz dziewczę, w którym żywiono i podsycano nienawiść ku macosze, będzieli chciało dać świadectwo prawdzie? Uwierzali ludzie, nawet gdyby je wydała?

Król się jeszcze znajdował w Krakowie. Co dzień dowiadywał się troskliwie o swą starszą, donoszono mu, że źle była... i wzdychał smutny. Sonka ukrywała przed nim łzy swe i niepokoje, było ich i tak dość zawsze. Przychodził niemal co dzień Oleśnicki, prawie za każdym razem przynosząc gorzkie wymówki i straszne groźby.

Pewien władzy swojej nad królem biskup go nie oszczędzał. Karciał zdziecinniałego starca jak wyrostka. Czasem krew Litwina na chwilę się zburzyła, oparł się, ofuknął, pogroził, ale nazajutrz upokorzony przepraszał. Królowa nadto potrzebowała jego potęgi na dziś i na jutro, aby nawet w obronie męża śmiała przeciw niej wystąpić.

Otoczona nieprzyjaciółmi, w jednym Oleśnickim znajdowała opiekę i obrońcę; w nim pokładała nadzieję, że synów jej przy tronie utrzyma.

Biskup nawykłym był do rządzenia, chciwym władzy, jeśli nie dla siebie, to dla Kościoła, a opieka nad małoletnimi i królową zapewniała mu panowanie na długie lata.

Ale ufając Oleśnickiemu, idąc za jego radami, skarżyć mu się nie śmiała nawet na tę potwarz nową, od pierwszej może straszniejszą, której twórcy ani dośledzić, ani go ukarać było można.

Biskup odgadnąć musiał jej myśli, bo sam rozpoczął rozmowę o Jadwidze.

— Ojczy mój — odpowiedziała królowa ze łzami w oczach — nic o niej nie wiem, oprócz, że jest chorą, zbliżyć mi się do niej nie godzi, bom macocha i jestem posądzaną...

Biskup domyślał się reszty... zadumał się trochę.

— Wezwij, miłość Wasza, kanonika Elgotta do siebie — rzekł — mąż zacny, on na to poradzić może, aby królowa sama dała świadectwo prawdzie.

Rada taka była zgodną z myślą samej królowej, utwierdziła ją w tym, co zamierzała.

Kanonik Elgott i Świnka byli jedynymi z duchowieństwa najbliższymi Jadwidze, obudzał w nich litość żywą ten kwiatek na królewskiego szczepu łodydze, rozwinięty ledwie, a już

więdniejący. Obaj byli ludźmi wielkich zdolności i odznaczali się już wówczas między mistrzami w bujnie rozrastającej się akademii krakowskiej. Pierwszy z nich, Elgott, więcej teologią, drugi poezją się zajmował łacińską i z niej słynął. Królowa nazajutrz prosić do siebie kazała Elgotta.

Chociaż pobożna i wszystkie obowiązki religijne spełniająca gorliwie, królowa posądzana o to, że więcej wschodniemu sprzyjała obrządkowi, niezbyt lubioną była przez duchowieństwo łacińskie.

Spozierano podejrzliwie, gdy się żegnała wchodząc do kościoła, bo byli ludzie, co utrzymywali, że się żegnać po katolicku nie nauczyła.

Kanonik Elgott bardzo rzadko ją widywał, na zamku się pokazywał tylko dla Jadwigi, zresztą nie miał tu żadnych obowiązków.

Wezwaniu królowej jednak natychmiast zadość uczynił. Chciała mówić z nim na osobności.

— Ojciec mój — odezwała się, gdy weszli do bocznej komnaty — zwracam się do was jako

do ojca duchownego w sprawie tak ważnej, a boleściwej, żebym jej nikomu w świecie zwierzyć nie chciała. Widzicie postępowanie moje, patrzycie na stosunek mój do królowej Jadwigi... Stoję z dala, aby nie dać powodu do obmowy, a jednak złośliwi ludzie obwiniają mnie, że pragnę jej śmierci, a nawet, że ja ją zadaniem trucizny przyspieszyłam. Powtarzają na dworze, jakoby sama Jadwiga, czując się gasnącą, mnie o to oskarżała... Bóg świadek, unikałam pozoru... kochałam to dziecko męża mojego, gwałtem je ode mnie odepchnięto, w młodym jej sercu szczepiąc nienawiść.

Ojciec mój, zaklnijcie ją, jako stróż sumienia, jako duchowny ojciec, niechaj powie, czy może mnie posądzać? Niech z grzechem tej potwarzy nie idzie na sąd boży!

Kanonik cały się wzdrygnął z oburzenia słysząc, co królowa ze łzami mówiła.

— Miłościwa pani — przerwał gorąco — ja z ust królowej, która jest aniołem dobroci i cierpliwości, nigdy nic podobnego nie słyszałem.

— Proścież jej, żądajcie, niech powie jawnie, że mnie nie posądza, niech ze mnie zdejmie ten ciężar. Przy was w przytomności biskupa uczynione zeznanie ulży jej duszy, a mnie oczyści.

— Pewny jestem, że królowa to uczyni chętnie — rzekł Elgott poruszony błaganiami. —

Dusza to czysta, którą może dlatego pan Bóg chce odjąć ziemi, że na niej wśród zepsutego świata życie by jej męczarnią się stało.

— Być może — dodał kanonik — iż otaczające ją rozżalone a nierozumne niewiasty obyczajem pospółstwa niedorzeczności plotą, ale ona!

Westchnęła królowa.

— Niestety — odparła — nie dali mi się zbliżyć do niej, ani poznać jej lepiej... Stawiono umyślnie zapory między nami, ją do mnie zniechęcając, mnie odstręczając od niej.

Elgott powtórzył jeszcze:

— Spełnię rozkaz miłości waszej, chociaż sędzę, że takiego świadectwa i oczyszczenia nie potrzebujecie.

— Gorszi są ludzie, niż sądzicie, mój ojciec — odpowiedziała królowa — a ja więcej mam wrogów niż przyjaciół, choć zła nie wyrządziłam nikomu.

Pożegnawszy królowę kanonik Elgott pod wrażeniem rozmowy tej szedł wprost do królowej Jadwigi.

Ta już z łóżka nie wstawiała prawie. Ubierano ją co dzień w białe szaty, trefiono długie jej piękne włosy, sadzano potem na łożu obstawiając wezglówkami.

Woskowo blada, z oczyma wielkimi okolonymi obwódka ciemną, uśmiechała się jeszcze czasem do życia, zapominała o cierpieniu, to wpadała w smutek, obawę i zwątpienie o sobie. Pół dnia modliła się sama lub z którymś z kapelanów. Białe jej rączki, z długimi chudymi palcami, żadnej już roboty utrzymać nie mogły, najmniejszy wysiłek o mdłości ją przyprawiał.

Dwór ciągle otaczał łożo, mieniały się sługi dzień i noc, starając się rozrywać i zabawiać.

Spowiednika swego Jadwiga powitała uśmiechem, dnia tego czuła się lepiej. Kanonik przemówiwszy słów kilka dał znak kobietom, aby się oddaliły.

Zdarzało się nieraz tak, że im dla spowiedzi odchodzić kazano.

— Pani moja miłościwa — odezwał się kapłan — dzisiaj przyszedłem do was, aby skłonić do spełnienia świętego obowiązku.

Nastraszona tym wstępem niezwykłym lekko się zarumieniła.

— Czysta dusza twoja niczym obciążona być nie powinna — mówił dalej. — Ludzie źli

dręczą królowę tym, że ją pomawiają o umyślne przyczynienie się do choroby waszej, gorszi jeszcze kłamliwie śmiać twierdzić, że z ust waszych słyszeli to obwinienie... Byćże to może?

Jadwiga zapłonęła złęknona i cała drzeć zaczęła, łzy napęłniły jej powieki.

— Nie, nie! — odezwała się głosem, w którym płacz czuć było. — Ja ani jej, ani nikogo nie obwiniam... Bóg chciał...

Spuściła oczy i zamilkła.

— Miałażeś kiedykolwiek powód posądzenia? — rzekł Elgott baczenie się w nią wpatrując.

Jak by szukała czegoś w pamięci, królowna się ociągała z odpowiedzią.

— Nie! nie! nigdy! — zaczęła mówić prędko.

— Ażeby wyrwać żądło potwarzy — dodał Elgott — należy, abyście to wyznanie powtórzyli w obecności biskupa.

i mojej.

Jadwiga rzekła cicho:

— Dobrze, mój ojczu, uczynię wszystko, co mi każecie.

Nadto przykrym był przedmiot, a udręczenie na twarzy chorej zbyt widoczne, aby kanonik natychmiast go nie zmienił, rozpoczynając mówić o Bogu, o niebie i szczęśliwości wybranych Pańskich.

Z rozkoszą zdawała się słuchać zwrócona ku niemu pilnie dziewczeczka, zapominając o smętnym życiu swoim na ziemi.

Drugiego dnia kanonik Elgott przywiódł z sobą biskupa, a Jadwiga cichym, ale śmiałym głosem powtórzyła przed nim, wyznanie, że królowej posądzać nie miała powodu.

Wiść o tym rozeszła się po dworze, bo niektóre z kobiet stojąc u drzwi były przytomne temu i słuchały.

Mogła więc swobodniej odetchnąć Sonka, ale co znaczyło to świadectwo nie wszystkim znane obok już rozpuszczonych i zadawnionych pogłosek, które zawsze im poczwarniejsze są, tym więcej zyskują wiary u tłumu.

Niższe zwłaszcza duchowieństwo, nie rozumiejące takich ludzi jak Oleśnicki, widząc go w

ciągłych z królem sporach strofującym, narzekającym, nabierało wstrętu jakiegoś do Jagiełły i jego rodziny. Szerzyło wieści natchnione nienawiścią nie tylko przeciwko królowej, ale przeciw mężowi jej, którego o obojętność dla swej pierworodnej posądzano.

Zawsze i wszędzie lud bierze stronę słabych i uciśnionych i tu też całe współczucie zwracało się ku umierającej w kwiecie wieku królownie... Tłumy zbiegały się pod zamek dowiadywać o jej zdrowie, okazywano miłości dla niej więcej teraz, gdy żyć nie mogła, niż gdy żywą była i zdrową.

Na dwa dni przed Niepokalanym Poczęciem, we czwartek, lekarze zapowiedzieli zbliżającą się chwilę zgonu. W katedrze na Wawelu i u Świętego Michała nieustannie odprawiały się modlitwy. Nieodstępny przy chorej siedział Elgott, a wyręczał go

Świnka.

Leżała już obezwładniona, oddychając ciężko, rączką uciskając piersi, rwąc na sobie sukienkę i nakrycie, ale usteczka jej jeszcze powtarzały za kapłanem modlitwy.

Pokarm wlewano jej w usta, ocierano skronie, godzina ostatnia się zbliżała. W sobotę, w sam dzień Najświętszej Panny, gdy na jutrzni *Te Deum* śpiewano, czysta jej dusza do lepszego uleciała świata.

Na zamku płacz i żal ozwał się głośny oznajmując królowej i Jagielle, że Jadwiga nie żyła.

Uderzono w dzwony, duchowieństwo, senatorowie, wszyscy mniej królowej przychylni, nieprzyjaciele jej i rodu jagiellońskiego okazywali strapienie wielkie, jak by ostatniego tracili potomka, któremu tron należał. Potwarcy znajdowali, że ojciec i macocha za mało śmierć tę uczuli, że łzy nie wylano nad tą mogiłą. Ludność miejska za to cisnęła się ze łzami, narzekaniem, współczuciem do ukwieconej trumienki, którą obok zwłok matki złożono.

Kanonik Świnka zapisał na jej kamieniu grobowym: „Tyś była smaragdem czystym, lilią białości śnieżnej, fiołkiem niebieskiej woni, hiacyntem, co wdziękiem gasił róż purpurę... Gdzie dziś ta piękność twoja? gdzie lica wdzięcznego uroku, gdzie z czoła jasnego promieniejące blaski?...” „Spoczywaj, dziewico zacna, pod tych kwiatów wieńcem, których zima nie zwarzy, skwar nie spali słoneczny, ani oddechem paszczy krwawej ozionie zapieniony dzik z kłębem krzywym.”

Bogu tylko jednemu wiadomo, co ten srogi dzik ze swą paszczą krwawą miał oznaczać na grobie...

Ciężkie były lata ostatnie króla starzejącego, bezsilnego, w walce ze zbuntowanym

Świdrygiełłą, z Rusią, z korzystającymi z pory dogodnej dla nich wiarołomnymi Krzyżakami, a w ostatku z panami i duchowieństwem, które cisnących się pod opiekę Polski Czechów dla kacerstwa ich odpychało.

Nauka ta nowa, którą głosili z fanatyzmem dzikim czescy reformatorowie, orężem ją i krwią swą popierając, dla takich umysłów jak Jagiełły i świeżo nawróconej jego rodziny, dla Rusinki Sonki, dla niedojrzałego a spragnionego czynu Korybuta, miała wiele powabu. Doniosłości jej i wszystkich następstw tego rozbratu z Rzymem, oderwania się od spółki jednego Kościoła wiernych, nie mógł widzieć ani poczuć zestarzały Jagiełło. Czescy kapłani, gorąco mówiący o Chrystusie, zdawali się głosić czyste słowo Boże, ową ewangelią prawdziwą, którą później reformatorowie XVI wieku wywołali rozłam chrześcijańskiej społeczności na dwa nieprzyjacielskie obozy.

Korybut, może potajemnie Jagiełło sam, może milcząca królowa mieli współczucie dla tych

ludzi, co w zrozumiałym dla nich języku domagali się swobody sumienia, nie znając granic, do których ona doprowadzić miała.

Im uśmiechało się też pewnie i zapowiadane przez husytów wyzwolenie spod władzy duchowieństwa i Rzymu. Nie widzieli daleko.

Oleśnicki znając usposobienie Jagiełły nieustannie nad nim czuwać musiał, który jawnie

Czechów zachęcał do pojednania z Rzymem, a po cichu litował się nad nimi.

Korybut, który już skąpał się w tej gorącej łaźni rokосу religijnego, był jego rzecznikiem przed królem i apostołem w Polsce. On i jego Puhala zdobywali tu już prozelitów w tych, którym ciążyły dziesięciny, zachciewało się dóbr kościelnych lub bezkarnego plądrowania.

Były to więc dni walki gorzkiej, czuwania nieustannego, obaw i rozdrażnienia

obustronnego. Stary Jagiełło pod tym brzemieniem coraz opadał na siłach. Królowa czuwać musiała patrząc posłuszna w oczy biskupa Zbigniewa.

Jawnie czynną być nie śmiała. Starania jej i zachody zdradzają skutki, lecz nie widać ich nigdzie.

Pokrywa je milczenie i umyślne ciemności. Wszystko się dzieje podszeptem, tajemnym prądem, zabiegami skrytymi.

Im bardziej starzał król, tym pilniej potrzeba' było zapewnić synom jego następstwo...

Jagiełło nie myślał o tym, ociągał się jak zawsze, odkładał, królowa pobudzić go musiała, aby na święty Wojciech zwołał walny zjazd do Sieradza. Nie przeciwiał się Oleśnicki.

Wybrali się królestwo oboje, bo samego króla Sonka puścić nie mogła, zabrali z sobą

synaczków obu...

Król zasiadł na tronie, stanęła przy nim matka z chłopiętami swymi przed zgromadzonymi z całej Polski panami i szlachtą, prosząc za dziećmi wejrzeniem i uśmiechem.

Siłą a przemocą zawsze w Polsce ciężko było co otrzymać, ale za serca chwytając wszystko łatwo przychodziło.

A matka z nieletnimi pacholętami tak wymowną była milczeniem swym pokornym!

Kłaniał się stary król, królowa, ich dzieci, a ci, co w Łęczycy posiekali pergamin w kawałki, gdy Jagiełło chciał moc swą okazać, teraz uroczyście, z pokłonem zapewnili pana swego, że spadek tronu krwi jego nie minie.

Sonka z dziećmi wyszła naprzód dziękować i królewicze kłaniali się od ust śląc pocałunki sędziwym panom, a widok tych niewinnych robaczków kazał zapomnieć na czas, że w nich krwi Piastów nie było.

Włodek starszy, ośmioletnie chłopię, podobne do ojca z twarzy, miał już prawie rycerską

postać, a pięknym był jak niegdyś matka i miecz mu już u pasa nie ciążył. Obiecywał, że wodzem być potrafi.

Szczęśliwie obszedł się ten zjazd w Sieradzu, jechał potem król z żoną i dziećmi do

Poznania, aby sobie Wielkopolan zjednać i tu zamiast w Krakowie wyprawił wesele córce ulubionej siostry swej, żony a wdowy dziś Ziemowita mazowieckiego, którą dał Bogusławowi książęciu na Słupi.

Emilkę tę król sam wypiastował na kolanach, rosła w jego oczach, sprawiał jej ochędóstwa różne, cieszył się nią, bo

Olga-Aleksandra albo z dziećmi do króla przyjeżdżała, lub on do Płocka przybywał,

przesiadywał tam długo, lubił gościć. W

Płocku było mu swobodniej i mógł o troskach królowania zapomnieć.

Królowa nie opuszczała teraz małżonka, a miała słuszne do tego powody. Wiedziano już o

nadciągających posłach czeskich, pragnących pozyskać Jagiełłę. Ofiarowali mu oni posiłki przeciw Krzyżakom, aby go z Korybutem pojednać i sprawie swojej zjednać.

Królestwo czeskie w tych warunkach, co Litwa, cisnęło się pod skrzydła Polski, pragnęło się z nią zjednoczyć.

Królowa stała w cieniu, nie widać jej tu było, ale czterech biskupów, a w ich liczbie

Wojciech, arcybiskup gnieźnieński, nie odtrącał Czechów, którzy dowodzili, że ich dotąd ze społeczeństwa chrześcijańskiego nie wyłączone, że z kościołem pojednać się mogli.

Za tymi czterema biskupami, do których nie należał bystrzej widzący, sądzący ostrzej

Oleśnicki, za wielu panami świeckimi, którzy tylko na pomnożenie państwa i sił patrzeli, stała może królowa, która skłoniła Jagiełłę, że Czechom pozwolił jechać do Krakowa.

Spodziewano się potężnego oporu od Oleśnickiego, ale czterech biskupów stało przeciw niemu z prymasem na czele, a król sądził zapewne, że jeden Zbyszek im nie podoła.

Zawrzała przewidywana walka i rozjątrzyła się do tego stopnia, iż mężnemu a nieustraszonemu biskupowi zagładę grożono.

Tarnowski ostrzegł go o spisku na jego życie. Radził mu mieć się na baczności lub uchodzić.

Biskup męstwem i zimną krwią, którą pokonał Witolda, zwyciężył i husyckie groźby.

Podziękował Tarnowskiemu.

— Bóg zapłać za życzliwą przestrozę — odparł spokojnie — zwyczajów moich zmieniać

nie myślę ani uciekać. Jak co dzień pójdę do mojej sypialni na spoczynek, a gdy na jutrznią do kościoła udać się zechcę, wezmę z sobą, jak zawsze, jednego księdza i jedno z latarką pacholę.

Głowy przed siepaczami nie uchylę. Jeżeli ofiara krwi mojej ma być Bogu miłą, niech ją przyjmie.

Rozbiło się wszystko o tę odwagę niezachwianą.

Widoczniejszym był udział królowej w naznaczeniu tajemnym Zygmunta Kiejstutowicza na przyszłego Litwy księcia, bo Siemion Holszański z jej ręki był tu czynnym.

Napadnięty w Oszmianie Świdrygiełło, żonę porzuciwszy, sam uszedł na Ruś, u której miał mir wielki, oderwał ją od Litwy i długą walką Polsce groził.

Królowa ciągle nad mężem czuwać musiała, a teraz, gdy dla podeszłego wieku i osłabionego wzroku na wyprawach wojennych groziło mu niebezpieczeństwo, ona czuwała nad tym, aby go oszczędzano. On sam byłby chętnie szedł na wojnę, jak jeździł na łowy, ale drogie dla

dorastających synów życie osłaniać musiała Sonka.

Nie poszedł też przeciw Krzyżakom Jagiełło, zastąpili go wyznaczeni polscy wodzowie.

Siedział w Koninie, ciągle prawie żonę mając przy sobie, pociągnął potem do Sieradza, gdzie korzystając z oddalenia Oleśnickiego czescy wysłańcy się przybłąkali.

W ciągu tej podróży, zabawiając się jak mógł, stary pan przypuszczał ich do stołu, sadzał przy sobie i dawał publicznie apostołować czeskim kapłanom.

W dobrej wierze mówiących z zapalem o religii Jagiełło słuchał nie umiając w niej

kacerstwa dopatrzeć. Niezrozumiałe były dlań różnice pojęć, a Czesi tak pięknie o braterstwie ludzi i miłości Chrystusa opowiadali. Jemu zdawało się, że tak dobrych chrześcijan Rzym nie powinien był odpychać.

Oleśnicki gniewny znowu gromić musiał, czynić wymówki i oświecać. Wszystkim już teraz

u schyłku panowania był ks. biskup krakowski. On miecz, oznakę władzy w imieniu króla i Polski oddawał nowemu w. książęciu Litwy, jego w sprawie z Krzyżakami wysyłano na sobór w Bazylei.

W chwili wyjazdu niespokojny o przyszłość Oleśnicki musiał królowi wyrzucać znowu jego winy, z których największą była starość i zwątlone siły.

Gwałtowną napaść biskupa król odparł niemal ze łzami, ale obraził się śmiałością i odezwał z tym, że większe prawo upominania go miałby arcybiskup gnieźnieński niż biskup krakowski.

Ale ten biskup miał za sobą wszystkich — król nikogo.

Sam nawet arcypasterz Wojciech Jastrzębiec nie śmiał występować przeciwko potężnemu

Oleśnickiemu w obronie starca.

Jagiełło, królowa, biskupi, panowie słuchać musieli tego człowieka żelaznej woli i męstwa, ale zarazem, gwałtownego i dającego do zbytku czuć, że on tu jeden miał rozum i władzę. Razi niemal to nieustanne Oleśnickiego narzucanie się z gotowością męczeństwa i wstąpienia w ślady Stanisława Szczepanowskiego...

Odetchnął król, gdy ten nieubłagany stróż oddalił się sposobiąc w podróż do Bazylei.

Święta wielkanocne spędził król z królową w Krakowie (1434).

Nadchodziła wiosna, zazielenieć miały lasy. Wielki ich miłośnik starzec już nie mógł

usiedzieć w murach swojej stolicy. Na próżno go tu starała się utrzymać królowa, mająca nad nim

więcej władzy, lecz nie śmiejąca zmieniać starego trybu życia, za którym tęsknił Jagiełło.

Pozoru do tej podróży w lasy na Ruś dostarczył zjazd w Haliczu ze Stefanem, mołdawskim gospodarzem.

Ciągnął więc król do swej ulubionej Medyki powoli, a sprzyjało podróży łagodne powietrze i zdradliwie przyspieszona wiosna.

Lecz gdy przybył na miejsce, powiało mrozem nagle. Rozwinięte już liście, kwiaty, podrosłe zboża ściał i zwarzył chłodny wiatr Północy.

W połowie maja, co się u nas często trafia, wróciła na krótko zima, oziębilo się powietrze, a choć potem błysnęło słońce, ciepło rychło powrócić nie mogło.

Króla jednak w jego dworcu w Medyce towarzyszący mu panowie, czeladź, komornicy powstrzymać nie umieli. Rwał się im i prosił do lasu.

W głębiach puszczy chłód nie wszystko zwarzył; ulubione Jagielle słowiki zawodziły pieśni przypominające staremu jego młodość, Litwę, lepsze czasy.

Już nie na łowy, bo pora nie była po temu, a sił do nich nie starczyło, jechał król tylko się gdzieś na kłodzie wśród gąszczów i słuchać ptactwa, któremu wiosna śpiewać kazała. Tu on mógł i o wiarołomnym Świdrygielle, i o biskupie, co go tak karcił, o wszystkich niewdzięcznościach i zawodach zapomnieć. Marszałek, łowczowie, wierna czeladź na próżno ostrzegali go, że w lasach wiosenną porą siedzieć niezdrowo.

Niewiele miał już do stracenia, a słowiki śpiewały tak ślicznie.

Dnia jednego pojechawszy z południa w lasy nie dał się z nich wyciągnąć aż nocą. Noc była przejmująca chłodem, król w jednym swoim starym kożuszku wytartym.

W powrocie dreszcze go porwały, ale na to byle jaki ciepły napój mógł poradzić.

Nazajutrz musiał król ciągnąć do Gródka, dokąd na dzień naznaczony posłowie od hospodara przybyć mieli. Zwłókł się biedny z posłania i, choć zmęczony a niezdrów, pojechał...

Siadł tam jeszcze z Mołdawianami do stołu w nie opalanej izbie chłodnej, gdy wśród obiadu zimnica strasznie trząść go zaczęła.

Nie można już było na zjazd pewnego dnia naznaczyć, musiał się położyć Jagiełło.

Znana choroba, na którą lekarstw jest tysiące, leczą ją baby, każdy ma na nią niezawodny środek. Nie tracono więc nadziei, że król mimo wieku swojego wyzdrowieje.

On sam pierwszych dni nie trwożył się wcale. Pojono go bobownikiem i goryczką, zadawano jako lekarstwo wino korzenne. Wszystko to wzmagalo gorączkę, ale zimnica uparta wracała.

Siły wreszcie starca opuszczać zaczęły. Strach teraz ogarnął towarzyszących mu... Liczono lata i trudy... Po lekarzy wysłano na wszystkie strony.

Nie było już ratunku.

Znużony życiem, on pierwszy poczuł, że się ono wyczerpało. Dawno mu było tęskno za spoczynkiem.

Zażądał spowiedzi i kapelan Mikołaj kilkakroć go spowiadał. Pobożnie przysposabiał się do śmierci, a z wielkim pokojem ducha.

Prosty a dobroduszny, nigdy przed sobą win swych i słabości nie taił, znał je. Nie czynił się wielkim, pragnął być czystym.

W ostatniej godzinie ten, co tak szczodra dłonią sypał dobrodziejstwa wkoło, jednym się tylko niepokoił, czy jakich krzywd nie wynagrodzonych nie pozostawił po sobie.

Zwracał się ciągle do spowiednika przypominając mu, zaklinając go, aby na duszy jego nie ciążyły łzy ludzi.

— Pożegnaj żonę i dzieci, pobłogosław je ode mnie... Módlcie się za duszę moją, wszystkim wszystko przebaczyłem.

Chciał spocząć potem. Była to noc ostatnia, rozeszli się ci, co go pilnowali znużeni. Jeden Janek Słabosz, łożniczy, stał przy nim jeszcze, to poprawując wezgłowia, to układając okrycie... a popłakując za dobrym panem, który każdy swój gniew i popędliwość chwilową sownicy opłacał.

Nagle poruszył się król niespokojnie.

— Janek Słabosz, pójdź tu sam — odezwał się głosem stłumionym.

Wierny sługa schylił się ku niemu.

Król drżącymi, bezsilnymi rękami niespokojnie przebierał. Usiłował nadaremnie ściągnąć z palca pierścień, który nie opuszczał go nigdy.

Była to ślubna Jadwigi obrączka.

— Weź ten pierścień — rzekł — najdroższa to dla mnie ze wszystkich pamiątka. Nigdy

jej nie zrzucił z ręki. Oddasz pierścień ten Zbyszkowi, biskupowi krakowskiemu; niech on ją po mnie zachowa, a niech mi przebaczy, jeśli przeciw upomnieniom jego w uniesieniu opór stawiał.

Jeżeli go obraził, niech mi zapomni. Jemu polecam pamięć o duszy mojej, królestwo, wdowę, synów... zwłaszcza starszego... oddaję mu w opiekę wszystko, niech pomni, że mu łask moich nie szczędził.

I znużony, ale uspokojony przymknął powieki.

Noc się zapowiadała wcześniej ostatnią — a była dni majowych poślednią. Śpiewały jeszcze umierającemu słowiki w drzewach dwór okalających... Izba znowu napełniła się cicho napływającymi ludźmi. Każdy pragnął spojrzeć na dogorywającego i pożegnać go jeszcze.

Słabnącymi oczyma on też po jednym zegnał wierne służby swoje, niekiedy niewyraźnym jakimś odzywając się do nich słowem. Łzy wszyscy mieli na powiekach, jak by tracili ojca.

Księża odmawiali ostatnie przy konających modlitwy, poruszanie ust okazywało, że je za nimi powtarzał.

Przez okna wciskał się pierwszy brzask dnia, gdy król wyzionął ducha spokojnie, jak by po długich usypiał trudach.

W izbie panowała cisza, przerywana łkaniem przytomnych. Uklękli księża pierwszy odmawiając Anioł Pański za duszą jego.

Tak skończył marzeniem słowiczej pieśni król ten czystego serca, prostego ducha, który ciężarowi panowania nad siłą, nad państwem ogromnym, nie zjednoczonym jeszcze, podołać się starał — i nie mógł. Męczennik biedny, dziecko puszczy tęskniące za lasami, za swobodą, musiał być niewolnikiem obowiązku, skuty złotą obręczą, która czoło jego opasywała.

Śmierć tego człowieka, który królem już był tylko z imienia, jak grom pełen gróźb rozległa się po osieroconym kraju.

Jeden biskup Zbigniew mógł teraz podołać ciężarowi bezkrólewia, a ten był w drodze do Bazylei.

Szczęściem i on, i kanclerz Koniecpolski zatrzymali się byli w Poznaniu. Też nocy gońce biegli do królowej i do niego.

W Krakowie nic nie dozwalało nawet przeczuwać wieści, która miała spaść na wdowę, król

opuścił ją zdrów zupełnie a wesół, bo całe swe życie spędziwszy w nieustannych podróżach po kraju, w drodze tylko czuł się swobodnym, a mógł małymi podarkami i ludźmi, i siebie cieszyć.

Wiosna zapowiadała się piękna, królewicze ze swym mistrzem i dozorcą siedzieli nad książkami lub zabawiali się ochoczo w podworcach. Sonka cieszyła się nimi.

Nagle po mieście jakby drzenie przebiegło. Głos jakiś, nie wiedzieć skąd, nie wiadomo przez kogo przyniesiony, rozległ się — król umarł!

Szeptano sobie z trwogą do uszu tajemniczo, nie dowierzając. Kupki ludzi zbiegały się w rynku i rozpraszały po domostwach. Nie można było dośledzić, człowiek czy wiatr przyniósł żalobną nowinę.

Jeźdźców kilku przemknęło się przez miasto ku zamkowi.

W chwilę potem uderzyły głucho dzwony.

Nigdy znaczenie jednego człowieka, w którym naród złożył wszystkie swe nadzieje i losy, który sobą uosabia państwo, silniej się czuć nie daje, jak gdy nagle wodza tego narodowi zabraknie.

Może on za żywota nie mieć władzy, stracić moc, przelać ją na innych, w chwili zniknięcia i zgonu zdaje się, jak gdyby pękło ogniwo, które wszystko jednoczyło i trzymało.

Królowa Sonka, spokojna, zajęta była chłopcami swymi, którzy w dolnej komnacie zamkowej przy otwartym oknie siedzieli jeden za księgą z Kotem, drugi z Ryterskim zabawiając się na pół szabelką małą, na pół wielkimi głoskami, które mu ten ukazywał i tłumaczył.

W godzinach nauki królowa przychodziła tak często czuwać nad dziećmi, rozpytywać nauczycieli i słuchaniem uczyć się sama. Księgi i nauki obchodziły ją żywo, znała ich ważność dla swych synów, a ciągły pobyt wykształconych cudzoziemców na dworze wpoił w nią potrzebę nauki języków i oświaty w ogóle.

Z boleścią nieraz postrzegała, że Niemcy szczególnie z barbarzyństwa się polskiego wyśmiewali, chociaż u nich też nauka więcej rozpowszechnioną nie była i zamykała się w ciasnym kółku duchownych, kleryków, pisarzy kancelaryjnych i obcowaniem z nimi wykształceńszych magnatów.

Postawić synów swych na równi z ludźmi najoświeceńszymi owej epoki i w ogóle krzewić oświatę, której ogniskiem była żywo się rozwijająca akademia krakowska, stało się zadaniem

ulubionym królowej od chwili, gdy dzieci dorastać zaczęły.

Dobroduszna prostota Jagiełły, który musiał się ciągle posługiwać drugimi, wielu rzeczy nie będąc świadomym, budziła w niej pragnienie, aby Włodek i Kazko samoistniejszymi być mogli.

Ponieważ wszelka ówczesna mądrość płynęła i zasadała się na znajomości Pisma świętego, a dotąd nie było przekładu jego na język polski, królowa pierwsza dla siebie i synów z Biblii słowiańskiej i czeskiej polskie tłumaczenie kazała przygotować.

Dla niej też wymowny ks. Paweł z Zatora rozpoczął co niedziela kazania miewać na Wawelu po polsku do ludu mnogiego, przysłuchującego się im z uniesieniem.

Gdy który z profesorów akademii potrzebował drogiego rękopisu, udawał się przez ks.

Kota, nauczyciela królewiczów, do Sonki, pewien, że mu ona nie odmówi pomocy.

Na ostatek, ażeby zaskarbić sobie u ludzi miłość dla swych dzieci i z litościwego serca, królowa dozwalała, aby ubogie pacholęta z miasta przychodziły śmiało do synów jej po tę jałmużnę dla nauki, która później weszła w obyczaj w Krakowie. Pauprowie z garnuszczkami chodzili od drzwi do drzwi i żywili [się] miłosierdziem poczciwych mieszczan krakowskich.

Lecz zwyczaj ten zrodził się po raz pierwszy na zamku królewskim, pod oczyma królowej, pod jej opieką, za pośrednictwem jej synaczków.

Dopuszczano umyślnie pacholęta na zamek pod okna tej izby, gdzie Włodek i Kazko

abecadła się uczyli, a królowa przez ręce ich rozdawała biednym suknie, bieliznę, obuwie, jedzenie...

Szczególniej sieroty z dalekich *stron* dla nauki do Krakowa przychodzące znajdowały tu opiekę, dzieci biedne Szlązaków, Pomorzan i sąsiednich krajów...

Zwykle się gromadka takich obdartusów, na pół bosa, nędznie odziana, skupiała pod

znajomym oknem; królewicze uśmiechali się temu biedactwu, a ks. Kot wychyliwszy się do nich słuchał po trosze egzaminu, aby się przekonać, że to byli istotnie studenci, a nie żebracy uliczni.

Trudno bo było z powierzchowności rozeznąć paupra od nędznego włóczęgi, tak większa

część ich biednie wyglądała, a niejeden przecież z nich doszedł później nauką i pracą do najwyższych dostojęństw. Jak niegdyś w Paryżu chciwa nauki młódź w ulicy na słomie legła, byle słyszeć mistrzów sławnych, tak naówczas już w Krakowie tłumy się schodziły zasłyszawszy, że się tu źródło otworzyło, z którego czerpać mógł każdy.

Szkółki przygotowawcze istniały już po wszystkich kościołach i parafiach, a szczególnie w Krakowskim było ich mnóstwo. Zaledwie skończywszy w nich początkową naukę, bosy, o głodzie ciągnął biedny pauper do tej *alma mater*, która nie odpychała nikogo.

Tu... na bruku zasypiało się gdzieś pod kościołem, pod murem, u plotu, a we dnie z garnuszkiem szedł chłopak wypraszać trochę stawy i wciskał się tak na ławę szkolną w prostym kubraku i chodaczkach.

Czasem stary jaki ksiądz wziął do posług, przyjęto do bursy, żywiło się jak mogło, byle uczyć.

Pomiędzy tymi pauprami były i blade chłopięta zaledwie wychodzące z dzieciństwa i draby pod wąsem opóźnione na drodze...

Była to nowa ludność uliczna krakowska, dawniej nie znana, a teraz się co dzień pomnażająca, z którą wkrótce szczególnie nieszczęśliwi Żydzi rachować się musieli, bo od nich się studentom kozubales należał...

Ileć paupry gromadniej się zbierały pod oknami królewiczów, królowa zawsze wychodziła każąc nieść za sobą przygotowaną odzież, obuwie, jadło i inne podarki, nawet najdroższy ze wszystkich papier prosty i tabliczki do pisania rozdawano ubogim, ale ks. Kot wprzód słuchał katechizmu i czytania.

I tego dnia wiosennego królowa Sonka miała przyjemność przypatrywać się obrazkowi ślicznemu rozdawania jałmużny gromadce.

U okna stało z dziesiątek chłopaków z odkrytymi głowy nie bardzo starannie przyczesanymi, w połatanych kubrakach, sznurkami powiązanych chodakach na nogach, z garnuszkami na sznurkach przewieszonymi przez plecy. Niektórzy z nich jak tyczki od fasoli chudzi a słusni, inne pędractwo małe, oczy i ręce mieli wszyscy ku oknom zwrócone.

Ks. Kot z królewiczem Władysławem siedział w jednym oknie, Ryterski z mniejszym Kazimierzem w drugim...

Królowa też stała z daleka ze sługami zwykłą niosącymi jałmużnę.

Niektórych pauprów znał już ks. Kot i oni jego, innych zaczepiał śmiejąc się królewicz.

Odpowiedzi na zapytania płynęły z ust gromadki żywo, wszyscy się wyścigali z nimi śmiejąc, zbliżając śmiało, bo pewni byli dobrotliwego przyjęcia.

Nauczyciel królewiczów dowiadywał się o ich potrzeby. Jedni pokazywali podziurawione opończe, drudzy nogi bose, dobywające się z podartych chodaczków, innych twarze znędzniałe same powiadały, że ich nakarmić trzeba było...

Wyszła stara niewiasta z misą ogromną i łyżką garnuszki im napełniać, a że królewska kasza i kluski smaczne były, głodne dzieci cisnęły się z garnkami jedne przed drugimi — a mnie! a mnie! — wołając.

Odzież sami królewicze z okna podawali tym, co jej potrzebowali.

Radość była niezmierna, okrzyki wesołe... a królewiczom też serce rosło, gdy się tak miłosierdzia uczyli, choć mieli je ze krwi ojca i dla nich nie było szczęśliwszej godziny nad tę, gdy rozdawać mogli...

Już się rozchodzili pauprowie podskakując i ciesząc z obłowu, a niektórzy po drodze garnuszki swe opróżniać zaczęli, królewicze wracali do nauki, a królowa Sonka weszła do swych komnat, których okna także na podwórce patrzyły, gdy postrzegła zamęt na nich jakiś niezwykły.

Ludzie się zbiegali, kilku konnych wjechało i opodal z koni zsiadłszy rozpowiadali coś nadchodzącym... Czeladź podnosiła ręce i chwytiała się za głowy. Ze wszystkich drzwi zaczęli się wysuwać komornicy ciekawi i skupiali w gromady...

Inni ledwie tu schwyciwszy coś od przybyłych pędem powracali na zamek...

Nie usłyszała jeszcze królowa nic, lecz serce jej uderzyło jakimś przecuciem, zakryła sobie oczy.

Wewnątrz szeptał głos jakiś natarczywy, okrutny.

— Król umarł!

Stała tak osłupiała oczekując, pytać nie śmiejąc, drżąc, nie przywołując nikogo. Wołała tę chwilę niepewności przedłużyć, niż wyrok usłyszeć straszny, którego się lękała.

Po korytarzach zamkowych tętniało bieganie, szepty i wykrzyki ją dochodziły, ale drzwi stały zamknięte i do niej nikt nie przybywał.

Serce coraz żywiej biło w piersiach królowej.

Zdawało się, że wszyscy ją odbiegli, zamiast się skupić koło niej.

W podworcach gromadziło się coraz więcej ludzi, szmer coraz się wzmagający je napełniał.

Królowa musiała wesprzeć się o krzesło, bo ustać dłużej osłabła nie miała siły... Zdawało się teraz, że z dziedzińców przez okna otwarte z wiosennym powiewem płynęły głosy powtarzające:

— Król umarł!

Ręce miała załamane, spuszczone, głowę na piersi zwieszoną jak winowajca oczekujący głosu sędziego.

Otwarły się drzwi nareszcie, blady, wzruszony ochmistrz dworu jej Nałęcz Malski wszedł i, jakby się zbliżyć nie śmiał, został u progu.

Królowa chciała go spytać i już otworzyła usta, gdy z nie domkniętych drzwi ukazał się występujący śmielszym krokiem kanonik Elgott, ale i na jego twarzy wyryta była boleść i przestrah.

— Woli Bożej i zrządzeniu Opatrzności poddać się musi wszelkie stworzenie — rzekł głosem drżącym. — Módlmy się za duszę pana naszego; król umarł!

Słaby okrzyk wyrwał się z ust Sonki. Oczyma potoczyła dokoła, jak gdyby szukała dzieci.

Właśnie ks. Wincenty Kot obu chłopców do izby wprowadzał. Strwożone i zapłakane królewicęta szły ku matce... Starszy łzy cisnące mu się połykał...

Obu ich jednym uściskiem objęła królowa, przytuliła do piersi i dopiero wybuchła jękiem i płaczem.

Mistrz Wincenty kazał uklęknąć wychowañcom, ukląkł sam i za duszę króla modlitwę głośno odmawiać zaczął. Padła na kolana królowa i twarz ukrywszy w dłoniach szlochała milcząca...

Wtem na Wawelu i po mieście całym zaczęły bić dzwony.

W godzinę potem z oschłymi, nabrzmiałymi oczyma siedziała Sonka z dziećmi w głębokich myślach pogrążona.

Męstwem wielkim musiała swą żalność i ból opanować, aby czuwać i bronić dzieci, zyskać im opiekunów, zapewnić spadek po ojcu...

Wszystko od niej zawisło, na jej ramionach ciążyło...

Uchwały szlachty, jej obietnice, nadzieje mogły się rozbić o jeden zjazd burzliwy, ulecieć z jednym

namiętym okrzykiem.

Ona tu stała osamotniona, obca, wpośród tłumów obojętnych, wśród zazartych

nieprzyjaciół, z niewielką garstką ludzi, na których liczyć mogła. Lecz na czele tych, co jej przyrzekli koronę dla starszego syna, stał przepotężny biskup Zbigniew...

Z nim i za nim szli rodzony jego Jan, marszałek koronny, stryj Dobiesław, Jan stryjeczny, Topory i Leliwy spokrewnione, Koniecpolscy i Tarnowscy, cała niemal Małopolska i znaczna część Wielkiej Polski...

Goniec pędził i stąd do Poznania do Zbyszka biskupa: — Weź wszystko w swe dłonie, ratuj!

VI

Pędził gościńcem orszak rycerski ku Rytwianom zmierzając wiosennego wieczora czerwcowego, tak jak by szło mu o gardło, z pośpiechem.

Koni było wszystkich z dziesiątek, a ani one, ani ci, co je dosiadali, nie odznaczali się wielką wytwornością stroju i uzbrojenia.

Zbierana to była naprędce drużyna i pod owe czasy, gdy na gościńcach i gonitwy za podróżnymi, i zasadzki na nich nie były rzadkie, można było posądzić gnających w tumanach kurzu lada jako zbrojnych jeźdźców, że za jakimś łupem pędzili.

Na czele ich, niestary jeszcze, słusznego wzrostu, straszliwie blady i wynędzniały, skóra a kości, biegł szalonym cwałem człowiek z oczyma płonącymi ogniem, na którego spojrzawszy

pomyśleć było można, że wstał z grobu. Na twarzy miał wypiątnowany szal jakiejś żądy, pomsty, chciwości, pragnienia nienasyconego.

Pomimo wychudzenia, schorowania, ta koścista postać rycerza, na którym zbroja wisiała

mimo kaftana luźno i zsuwała mu się z rąk i piersi, ogromną siłą była obdarzona, bo ludzie, co za nią w ślad gnali, ledwie podołać mogli jej w pędzie, a koń smagany zdawał się pod razami i ostrogami ostatnich dobywać sił, by starczyć woli okrutnej jeźdźca.

Rytwiański zameczek już widać było i brzegi Czarnej, i mięscinę, gdy dwóch ludzi spokojnie na koniach jadących przeciw sobie spotkał czwalujący pan.

Byli to dworscy słudzy pana Derśława na Rytwianach Jastrzębca, synowca arcybiskupa gnieźnieńskiego Wojciecha.

— Jest pan doma? — rozległo się gromkim głosem przy spotkaniu z nimi i jeździec zwolnił nieco koniowi.

Dwaj młodzi a strojni bardzo wykwintnie komornicy Derśławowi stanęli. Jeden z nich krzyknął głośno bardzo:

— Nie ma!

Cała gromadka, która ogromny tuman kurzu pędziła, zatrzymywać się zaczęła. Chudy i blady jej przywódzca rozpaczliwym, wysiłonym głosem zwracając się do stojących zawołał:

— Gdzież się dziewa u kata?

Dworzanie dziwnie spojrzeli po sobie, milczeli zrazu, nie wiedzieli spełna, czy odpowiadać mieli. Coś ich wstrzymywało.

— Gdzież jest? gdzie? mnie go na gwałt potrzeba! — powtórzył nagle jeździec, którego koń dychał ledwie i rozparł się, jak by już dalej iść nie chciał.

Jeszcze dworzanie patrzeli po sobie i zdawali się chcieć naradzać, gdy nieznany ów mąż z wielką jakąś namiętnością konia zmusił, aby się zbliżył do stojących, natarł i groźnie wołać zaczął:

— Mówcież! Co wam gęby zamalowało? Pana waszego przyjacielem jestem, nie wrogiem, widzieć go potrzebuję, muszę. Dobędę go, gdziebykolwiek był.

Domaganie się było tak natarczywe, że śmielszy z dwu popatrzwszy na towarzysza odparł wreszcie:

— Pan nasz w Orzelcu jest!

— W Orzelcu! — powtórzył oczyma błędnymi wodząc dokoła jeździec — w Orzelcu...

Spojrzał na konia swego, na tych, co jechali za nim na szkapach równie zhasanych, i westchnął ciężko mówiąc do siebie:

— Licho go do tego Orzelca poniosło!

Ręką się chwycił za włosy, ramionami dźwignął i nie spojrzawszy nawet na dworzan, którzy mu się z nadzwyczajną przypatrywali ciekawością, wolno, stępią powlókł się ku miasteczku.

Dworzanie pana Derśława stali jeszcze na gościńcu, gdy kupka jezdnych, która ich

zatrzymała, oddaliła się i za wierzbami nad groblą zniknąć zaczęła.

Tuż niedaleko była miejscina, a ponad nią nowo zbudowany gródek na pagórku. Wiedząc, że

pana nie zastanie w domu, popędliwy ów podróżny wprost szukał gospody w mieścinie, a była tylko jedna, w której z biedy konie pokarmić i wiązkę siana pod głowę dostać było można. Rzadko kto wówczas z rycerstwa i szlachty gospody potrzebował. Stawiano je dla chłopów i włóczęgów.

Szlachcic, pan, wprost do dworu mierzył, pewnym w nim będąc gościny, duchowny zajeżdżał na probostwo. Szlachcicowi też zasiąść za stół tam, kędy chłopstwo uczęszczało i lada jaka gawieź, nie godziło się.

Z konia się zsunawszy podróżny ani nań spojrział, ani się troszczył o ludzi, co z nim jechali, krokiem jakimś chwiejnym wyszedł przed gospodę, której wrota na obszernej pustą dawały

targowicę. Pasło się na niej kóz kilka i chuda krowa. Z dala dzieci bosych w czarnych koszulinach widać było kilkoro kryjących się za węgły.

Nie było się tu czemu przyglądać, lecz w dali niewielkiej, za miasteczkiem, drogę i wrota do zameczku miał przed sobą.

Drogą tą właśnie jechał jak on zbrojny mężczyzna kilka koni mając za sobą. Wydało się to może dziwnym patrzącemu, że z zamku, w którym pana nie było, wyjeżdżał ktoś pańsko dosyć i strojno.

Ten też najrzawszy z dala zbrojnego mężczyznę w gospodzie wpatrywał się w niego jadąc, ale kroku nie przyspieszając. Oba byli sobie ciekawi.

Z zamku jadący miał butną i dziarską postać. Człek był młody jeszcze, ogorzały, rysów

twarzy pospolitych, ale rycerskiego i zuchwałego wyrazu. Wąs mu się jeżył w górę, a oczy siwe, duże, lśniły odwagą.

Drgnął patrzący nań, rękę przyłożył do oczów. Właśnie tamten wolno jadąc się zbliżył.

Stojący przed gospodą zawołał nań głosem zmęczonym:

— Kuropatwa!...

Zatrzymał się powołany, oczy w niego wlepił i dodał:

— Jaszko z Łańcuchowa, służby powolne! A któż wy?

— Nie poznaliście mnie? Kuropatwa głową pokręcił.

— Na Boga! Jan Strasz ja jestem!... Jan Strasz! Łańcuchowski pan stanął zdziwiony i zlął z konia prędko.

— Strasz! — I zbliżwszy się począł mu się przypatrywać.

— A co? prawda? — wyjąknął Strasz — widzisz! widzisz, co się ze mną stało! Co oni zrobili ze mną! Czym podobny do żywego człowieka, czy do trupa? Trupem już byłem i z tamtego świata powracam...

Stali chwilę przeciwko sobie milczący, głowami potrząsając. Bolesć nie mogła długo tłumiona w piersi Strasza się zamknąć. Wybuchnął znowu namiętym głosem,

— Strasz jestem... czy cień Strasza... Trzymali mnie zbóje na dnie wieży w Sandomierzu czekając, rychłoli ducha wyzionę. Jan z Czyżowa dobrym starostą grodowym! Głód, chłód, smród, wszystko przeciw mnie obrócił, abym tam zdechł. Na koniec z wielkiej łaski, gdy były najtęższe mrozy, przysłał mi kociołek węgla na dno wieży... a węgle mnie o śmierć niemal przyprawiły.

Dobyli potem z wieży skostniałego, ledwie cudem do zdrowia powrócił.

Podniósł chudą, kościstą dłoń do góry.

— Ano żyje Strasz, żyje! A gdy się na królu nie może pomścić, bo go nie ma już, pomści się na królowej za kaźń swoją, na dzieciach jej, aż do...

Głosu mu zabrakło, zadławił się złością swoją. Kuropatwa słuchał zimno.

— Toś ty pewnie do Derśława jechał czując w nim sprzymierzeńca? — zapytał.

— Nie tylko z nim, ale z diabłem bym się związał dla pomsty! — krzyknął Strasz.

Krew mu chudą twarz zalała i stał się straszny namiętnością.

— Gdzież Derśław? W Orzelcu? — spytał.

— Mówią, że w Orzelcu — odparł Kuropatwa chłodno. — I jam go szukał. My też myślimy z drugimi, o których pewnie wiesz, przeciw klechom i temu biskupowi, co tu nam na głowach chce kołki ciosać, wystąpić...

— Ja z wami! ja z wami! Zmiłuj się, Jaszko — namiętnie począł Strasz. — Dawajcie co robić, mówcie, gdzie iść! Głowę poniosę... byle pomstę mieć!

Spokojniejszy Kuropatwa słuchał tych wybuchów dosyć obojętnie.

— Mnie się widzi, że my tu oba do tych Rytwian i do Derśława darmośmy się spieszyli — rzeki ciszej. — Juściż nie przeczę, pójdzie on z nami, ale tego człowieka prowadzić trzeba i...

To mówiąc obejrzał się Kuropatwa i dodał:

— Wnijdźmy gdzie pod dach, trzeba się rozmówić. Ty niedawno z wieży, tyle tylko wiesz, żeś zemsty głodny, a gdzie jej i jak szukać, nie obmyślałeś. Zdasz się nam i my tobie. Droga mi nie pilna. Chodźmy gdzie do izby.

Ludzie Straszą, nawykli pewnie do tego, już dla swojego pana komorę jakąś oczyścili, wyrzucili z niej gospodarza, rupiecie jego, dwoje dzieci i właśnie na pościel siano nieśli, gdy Kuropatwa ze Straszem na próg wstępowali.

Przybyli rzucili się na siano. Strasz kazał podać podróżną baryłkę, bo był zmęczony i spragniony, a Jaszko mówić zaczął:

— Króla nie stało w samą porę, Zbyszek w drodze był do Bazylei...

— Tak — przerwał gwałtownie Strasz — właśnie miał z Koniecpolskim nazajutrz puścić się w podróż i bylibyśmy mieli prawdziwe bezkrólewie, gdy licho nadało, że go z Gródka goniec z wiadomością o śmierci króla napędził.

— Toć wiem! — zawołał Kuropatwa.

— A tego nie wiesz, co chytry klecha uczynił. Ja stamtąd jadę — rzekł rzucając się po sianie Strasz. — Jednej godziny nie stracił. Śmierć króla to na jego młyn woda!

Małoletni królik, matka posłuszna... czego żądać więcej? Zwołał natychmiast w Poznaniu

zjazd ze swoich i uwinął się tak, że już tam na razie, nie pytając Krakowian, bo on ich wszystkich ma w garści, ogłosił dziecko królem i naznaczyli dzień koronacji!

Strasz się zerwał z siana równymi nogami.

— Co my byśmy byli warci, żebyśmy na to pozwolili? — krzyknął. — Zwołali oni zjazd do Poznania ze swoich, my się postaramy o inny, a dzieciom tej Rusinki nad sobą panować nie damy!

Nie damy! nie damy! — coraz głoś podnosząc wołał Strasz. Kuropatwa nań patrzył uważnie.

— Dałby Bóg — rzekł. — Nam nie o te dzieci idzie, czy one nam, czy tam jakie inne

panować będą, ale o daleko większą i ważniejszą sprawę. Patrzajcie na Czechy, co się spod biskupów i klechów, spod dziesięcin i panowania rzymskiego wyzwoliły. Dostyc oni nam

przewodzili... Kto u nas panem? Ani król, ani senatorowie, ani szlachta, tylko księży, biskupi z papieżem... A czym my? Niewolnikami! Nie! nie! my musimy u siebie ten porządek zaprowadzić, co

Zyska i Prokopy w Czechach!

Strasz nawzajem tego wyznania wiary husyckiego tak obojętnie słuchał jak Kuropatwa jego

mściwych pogroźek. Łączyło ich widocznie jedno tylko, że oba przeciwko królowej, jej dzieciom i biskupowi, co się nimi opiekował, równie byli rozsierdzeni.

— Cóż Dersław? — zapytał Strasz — będzie on z nami?

— Pewnie — odparł Kuropatwa — i jam jechał do niego, aby się o tym ubezpieczyć, ale ja na długi czas nie rachuję, byśmy go z sobą mieli. Szalona pałka — mówił dalej — a na takich jak on ludziach polegać nie można.

— Dlaczego? — spytał Strasz.

— Tyś na dnie wieży siedział — ciągnął Kuropatwa — a co Dersław dokazywał, mało do ciebie doszło.

Poruszył ramionami.

— Rozmiałował on się w ślicznej Ofce, córce Bolka księcia mazowieckiego i szaleje za nią.

Dla niej na wszystko gotów, a reszta dla niego nie znaczy nic. Dziewka, prawda, jak anioł piękna, no i księżniczka, ale gdyby prostą była chłopianką, szaleć by za nią warto. Dersław rozum stracił...

majątkości, jakie miał, wszystkie poszły na tę miłość, ale arcybiskupa mając w rodzie, który umie grosz do grosza ściągać i skąpi kościołowi, aby swój ród dźwignął, nie zabraknie Dersławowi...

Śmiać się począł Kuropatwa.

— A wiesz, co on w Orzelcu robi?

— Kat go wie — odparł niechętnie Strasz.

— No, i ja też wiem — mówił Kuropatwa. — Orzelca mu arcybiskup nie puścił przecie, a on go zajął, wiesz dlaczego?

Tu Jaszko z Łańcuchowa za boki się wziął i ze śmiechu mówić nie mógł. Musiał długo zachodzić się tak, na co Strasz dziwne oczy robił, nim dalej opowiadać począł.

— Stary arcybiskup skarby ogromne zebrał, to wszystkim było wiadomo, ale gdzie je chował, o tym wiedziało dwóch tylko. Jednym z nich był ten ukochany synowiec. Wojtuś w

Orzelcu piękną fundował kaplicę na zamku, wrzeko na chwałę Panu Bogu, a w istocie dla

swoich grzywien złota i srebra... Gdy się Derśławowi przebrało do ostatniego denara, a Ofki nie dostał i dalej musi dworować koło niej... pomyślał sobie, że juści staremu arcybiskupowi stryjowi zakopane skarby na nic, a nikomu one przeznaczone, tylko jemu. Otóż Orzelec zajął, posadzkę w kaplicy wyłupił i grzywiny dostał.

Strasz ramionami ruszył.

— Żebyż ich choć na dobrą sprawę, a nie dla tej dziewczki użył! — zawołał.

— Mówili mi — dodał Kuropatwa — że arcybiskup dziś miał ciągnąć z wojskiem swym

Orzelca dobywać, a Derśław się zaprzysiął, iż gotów zamku bronić do upadłego..

Po chwili milczenia, której zadumany i w sobie pogrążony Strasz nie przerywał, Kuropatwa dokończył:

— Widzisz, że z tego Derśława my pociechy wielkiej spodziewać się nie możemy. Stanieć

on z nami, choćby na przekorę stryjowi, ale ja mu nie wierzę. Arcybiskup się z nim przejedna, wezmą go na jaki lep i jeszcze do nich przystanie. O wiarę mu nie chodzi, o to, kto królować będzie, niewiele, by mu Ofkę dano i pieniędzy dużo ... A Ofki on nie dostanie i pieniędzy, gdyby sto tysięcy grzywien złota mu dać dziś, prędko je puści.

Zzymnął się Strasz.

— Jak nie Derśław, to któż z nami? — zapytał. — Ja, choć łbem o ścianę, pójdę dokąd

każecie, ujadać się będę, a tych pacholąt Sonki nie puszcze królować. Ja wszystko dam, żywot położę... ale ja jeden, wy, a choćby i Derśław trzeci, mało nas na Zbyszka.

— Jest bo więcej — odparł Kuropatwa. — Ja niewiele zrobię, wy, gdyście z gardłem

gotowi, może więcej, przecie inni też nasi coś warci.

— Jacy? — zapytał Strasz.

— Myślisz, że Abram (Zbąski), sędzia poznański — mówił Kuropatwa — mało znaczy i w

kaszy go łatwo zjeść? A Spytka z Melsztyna, a Janka z Rogowa Działoszę?

Strasz się strząsnął.

— A ten nam na co? Toć to tego łajdaka Hinczy powinowaty?

— Ale dlatego pójdzie z nami — mówił spokojnie Kuropatwa. — A Jana Mężyka Dąbrowę

za nie liczysz, a wojewodę

Sędziwoja z Ostroroga, a Piotra Korczboka...

— Aż tylu! ho! ho! — weselej przerwał Strasz. — Aleście ich pewni?

— Jeszczem Mikołaja Kornicza nie dołożył — kończył Kuropatwa — a ten dzielny jest i nie ulęknie się.

— Ja z wami! z wami! — począł Strasz zamyślony. — Rozumiem to, że wam o co innego niż mnie idzie, ja tego plemienia nie chcę, ja tej królowej rad bym krwawe łzy wycisnąć, wy się potykacie z klechami... ale mi wszystko jedno, bylebym miał sprzymierzeńców.

Wyciągnął chudą rękę Kuropatwie, który ją ujął i potrząsnął.

— Nasza sprawa święta — odezwał się Jaszko z Łańcuchowa. — Dobijaliśmy się ciężko swobód dla siebie za króla Loisa, przy wstąpieniu na tron Litwina, za panowania jego, gdyśmy w Łęczycy pargamin rozsiekali, a to się wszystko na nic nie zdało. Klechy prawa tak pisały, że im się tylko swoboda i panowanie dostało, a nam dziesięciny i niewola. Czechy nam przykład dały. Raz trzeba się z jarzma ich wybić.

— A królowa ze swoimi..... niechaj rusza, skąd przybyła — dokończył Strasz.

— I biskupa Zbyszka jej dodać za opiekuna — rzekł Kuropatwa.

Strasz po izbie żywo się przechadzać począł.

— Z tym człowiekiem sprawa będzie trudna — rzekł. — Zmógł on wielu, boją się go.

— Do czasu dzban wodę nosi — wtrącił Kuropatwa. — Z dobroduchem Jagiełłą łatwo mu było... z nami przyjdzie trudniej, tamtemu Rzymem groził i papieżem, a my, się ich lękać nie będziemy.

— Rzym przecie całym chrześcijaństwem włada — zamruczał Strasz.

— Was jeszcze na naukę słać trzeba do Czechów! — rozśmiał się Kuropatwa. — Znać, żeście w wieży siedzieli, a nie wiecie, co się w świecie dzieje. Husyci tacy dobrzy chrześcijanie jak i ci, co papieża słuchają.

Zatopiony w myślach Strasz nie do rzeczy zakończył:

— Byle królową precz wypędzić, a Hinczę z Rogowa powiesić, róbcie sobie z resztą, co

chcecie.

Siedli na sianie wygadawszy się, spokojniejsi już, ale Kuropatwa, gorący zwolennik husytów, choć rozmowa wyczerpaną była, apostołować nie przestał.

— Patrzaj ino — mówił — gdybyśmy my dziesięcin nie dawali, a te ogromne dobra biskupie, kanonicze, klasztorne pozabierali, nie byłoby nam lepiej? Duchowieństwo prawi o ubóstwie, niechaj żeby nas nauczyło przykładem, jak się postem i jałmużną żyje.

Strasz się skrzywił, nie chciał się w dysputę wdawać i zamknął powtarzając swoje:

— Byle Rusinka ze swymi dwoma pędrakami szła precz.

— Ty jedno to masz na myśli! — rozśmiał się Kuropatwa. Noc się zrobiła, wstał Jan z Łańcuchowa, przeciągnął się, oknem wyjrzał i pokiwał głową.

— Chyba do dnia podnocuję z tobą — rzekł — bo dalej w drogę po ciemku mi się nie chce.

A ty dokąd stąd myślisz?

— Do Dersławam ciągnął — odpowiedział Strasz — a widzę, że tu robić nie mam co...

Pojadę, gdzie każecie, gdym się raz z wami na jedną służbę wpisał. Wszystko mi równo dokąd, byle przeciw królowej i Zbyszkowi, a tych dzieciaków nie dopuścić.

Zamyślił się Kuropatwa.

— Zbyszek zwołał do Poznania zjazd i tam samowolnie króla nam narzucił, my musimy drugi ściągnąć. Szlachtę wielkopolską i Małopolan trzeba żgać, aby się biskupowi wodzić za nos nie dała. Jedź z tym po ludziach.

— Ja jeden? — spytał Strasz.

— Nie będziesz sam, przyjdą w pomoc inni — mówił Jaszko z Łańcuchowa — ale ty się też przydasz, boś człowiek gorący i nie dasz się niczym ująć.

— Tego pewni być możecie — zawołał Strasz — jakom żyw i pókim żyw, zemsty im mojej nie podaruję.

Gwarzyli tak do rana prawie, a gdy się zdrzemnęli za ledwie, zbudziło ich wołanie, wrzawa i skrzypienie wozów przed gospodą. Strasz, który się nie rozdziewał i ciągle był w gorączce jakiejś, wybiegł do wrót.

Dniało już, a gościńcem podle gospody wiodącym na zamek ciągnęły wozy ładowne i ludzie zbrojni, trochę podpili, zagrzani, śmiejący się, jak by im wyprawa się bardzo powiodła pomyślnie.

Za szeregiem całym wozów, na których widać było skrzynie, wory i sprzęt różny, jechał w orszaku kilkunastu towarzyszków Derśław z Rytwian, którego Strasz poznał z daleka.

Łatwo go było pośród wielu rozeznąć, bo postawą i twarzą nie miał sobie równego

naówczas, choć młodzież wychowywana inaczej cała była rześką i kwitnącą. Celował wśród niej sławny ze swej męskiej urody Jastrzębczyk, chłop tęgi, silny, jasnowłosy, niebieskooki, tak pięknych rysów twarzy, iż mu się dziwowali wszyscy, a napatrzeć nie mogli. Miał w sobie coś szlachetnego, pociągającego, ale też i szalenie butnego a śmiałego. W stroju rycerskim

porównywano go do obrazów św. Jerzego bojownika. Wiedział on pewnie o tym, próżnym był tą pięknością swą i stroił się z prawdziwie pańskim przepychem, a secinami grzywien zbroje

francuskie i hiszpańskie, suknie szyte, ozdoby dla siebie i koni swych przepłacał.

Wszystek też jego dwór zawsze musiał być do miary z nim przybrany wytwornie, na co kosztu nie żałował.

Przyczyniało się do tego zamiłowanie w zbytku, staranie o względy pięknej Ofki księżniczki mazowieckiej, której już znaczną część majątności poświęcić musiał... zabiegając o jej łaski, a nie chcąc się nikomu dać zaćmić... weszło potem w nałóg to życie pańskie, otaczanie się dworem licznym, sadzenie na koniec drogie na suknie coraz inne i wspanialsze, a wytworniejsze coraz.

Cała gromada powinowatych, uboższych Jastrzębczyków z Mazowsza otaczała go i składała

dwór na wzór pańskich ułożony. Miał marszałka, podkomorzego, podczaszego, łowczego,

koniuszych a nawet klechę, który pisał za niego i listy mu układał. Był i cytarzysta, i śpiewak nadworny.

Chociaż się jeszcze z księżniczką nie ożenił i rozsądni ludzie powątpiewali, czy mu ją

dadzą, mimo że miał stryjem arcybiskupa, już po książęcemu występował. Był przy tym

zuchwalstwa i śmiałości niesłychanej, a w naturze to miał, że im mu się co trudniejszym wydawało, tym uparciej się za tym uganiał.

Jechał Derśław na koniu pod kapą, jakiej drugi chyba na uroczysty dzień zażył,

kosztowną i piękną, z ręką w bok, podniesioną głową, uśmiechnięty i triumfujący.

Ponieważ zaledwie dniało, a pod wrotami gospody niedobrze było można Strasza rozeznąć i chudą tylko jego postać dojrzał Dersław przypatrującą mu się pilnie, podpędził konia tuż, pochylił się i wykrzyknął:

— Upiór czy żyw! Strasz...

— Jam jest, a zaprawdę nie wiem sam, czym żywym, czy upiorem, bo oto z grobu tego w sandomirskiej wieży się wydobyłem...

— Cóż tu robisz?

— Przybyłem do was!

— I w gospodzie stałeś! Zabieraj się a żywo na zamek do mnie... Ja cię odkarmię!

Rozśmiał się i powtórzywszy: — Bywaj rychło — konia ścisnął biegnąc ku zamkowi.

Strasz wnet rozbudził Kuropatwę i kazawszy konie na zamek prowadzić sami pieszo za Dersławem zdążali.

Zameczek był nowy prawie, mały, ale bardzo pięknie zbudowany. Znać w tym było rękę arcybiskupa, który co tylko czynił, wykonywał z myślą o przyszłości i dbał, by dla oka było piękne. Gotyckiej budowy, z komnatami niezbyt wielkimi, ale pięknie zasklepiionymi, malowanymi i złotonymi, wyglądał jak cacko, bo Dersław go dla siebie z przepychem przyozdobił.

Marnotrawny panicz nie żałował na to stryjowskich oszczędności, sam na nie pracować nie potrzebując.

Tam gdzie malowań nie było po ścianach, wspaniale okrywały je opony, a wszędzie, gdziekolwiek police i szafy stanąć mogły, gromadziły się przepyszne złociste, srebrne, miedziane i cynowe naczynia. Jedna izba na zbrojownię wyglądała, cała zawieszona orężem, w innej szkarłatem, aksamitem i złotogłowy okryte siedzenia, na koniec i rzędy sadzone były poustawiane.

Gdy Strasz z Kuropatwą weszli na zamek, służba liczna a przygotowana na przyjęcie pana już stoły zastawiała. Dersław zrzuciwszy zbroję i zmieniwszy suknię, w stroju cudzoziemskim, wytwornym, jak wszystko, cokolwiek nosił, na wpół siedział, wpół leżał w krześle wyciągnięty, kręcąc węża i wydając rozkazy. Towarzysze jego stali dworując mu dokoła.

Nie ruszył się na powitanie Strasza i Kuropatwy, ręką tylko dając im znaki.

— Wracam z tęgiej wyprawy i rozprawy — począł śmiejąc się do nich — i choć nawykłem do niewczasu, ale wszystkie kości w sobie czuję.

To mówiąc rękę podniósł.

— Musieliśmy do wojsk stryja arcybiskupa, którym bodaj on sam dowodził, dać ognia!

Była to fatalna konieczność. Nie mogłem go wpuścić do Orzelca, boby mi skarb swój wydarł, a ja go zaprawdę lepiej niż stary ten grzyb użyć potrafię. Daliśmy więc z jedyne działą strzał pusty, na postrach... i arcybiskup z całym wojskiem swym spod murów własnego zamku pierzchnąć

musiał. Widziałem go, jak stojąc na wozie rękę podniósł i oczy sobie zakrył potem... Nie kusili się już o odzyskanie Orzelca... Ale ja go stryjowi oddam, bramy zostawiłem otwarte, teraz gdy dobyłem z gniazda złote jaja! W Rytwianach grzywnom jego weselej będzie niż pod zimną

posadzką w orzeleckiej kaplicy.

I rzucał a śmiał się pan Derśław.

— Powiedzcież, nie tęgom się ja spisał? nie dobrze postąpiłem? Szczury by były grzywny rozniosły, a ja ich tak bardzo potrzebowałem...

— Powinszować — przerwał kłaniając się Kuropatwa — obłowileś się dobrze, będzie za co

weselić przy pięknej Ofce. Wszystko to dobre, a jednak, gdybym ja na waszym miejscu był, nie cieszyłbym się bardzo. Ma arcybiskup pewnie dwa albo i trzykroć tyle, co w kaplicy zakopał, i na krewniakach mu nie zbywa, musicie się ze spadkiem po nim pożegnać. Szkoda!

— Oh! com wziął, to moje — śmiejąc się dodał Derśław —

jutra człowiek niepewien, a starowina nie rozgłosi wypadku, bo mu wstyd będzie. Utrze się cała sprawa i ja się z nim przejednam...

Wnoszono już misy i Derśław się podniósł z siedzenia przechodząc do stołu, do którego zapraszał gości.

Straszowi jeść się nie chciało, ale pić był gotów.

— No — odezwał się niecierpliwy — macie skarbiec pełen, na ochocie nie zbywa, czas nam

począć inną wojnę z biskupem Zbyszkim i królową. Jam z tym do was przybył. W Poznaniu już koronację naznaczyli... a my powinniśmy tego rodzaju... nie dopuścić do panowania nad nami. Dość go

mieliśmy przez długie królowanie Jagiełły! Wojna przeciw Jagiełłowiczom...

pędraków tych... precz... Piasta sobie znajdziemy...

— Bolka, ojca Ofki na tron! — gorąco zakrzyczał Dersław. — To dopiero myśl złota. Ja mu koronę dam, on mnie córkę.

— Niech Bolko panuje, niech Dersław, kto chce, byle nie synaczek Sonki! — zawołał Strasz. — A więc, gospodarzu miły, wy z nami przeciw nim.

— O to i pytać nie potrzebowaliście, bo się zbieram nie na żart; i ja, i wielu ze mną.

Klechom nad sobą panować nie damy, dosyć ich już mieliśmy.

Kuropatwa odchrząknął.

— Tak, tak — rzekł — na tym waga cała. Nowy porządek zaprowadzić trzeba. Precz z dziesięcinami, dobra im poodbierać, słudzy boży nie potrzebują tych światowych marności.

Włosiennicę i dyscyplinę im zostawimy nie naruszoną!

Dersław śmiał się.

— Wojna przeciw klechom! — zawołał kubek podnosząc do góry.

— Przeciw królowej! — poprawił Strasz.

— Tobie ona tylko w głowie — przerwał gospodarz.

— Popatrzże się na mnie — odezwał się Strasz — nie będziesz się dziwował nienawiści...

Ząb za ząb. Hinczę z Rogowa powiesić...

Gospodarz słuchał, wesoło się uśmiechając.

— Aby wojna — rzekł — zawsze dobrze... Biskupowi Zbyszkowi, jego rodzinie i

przyjaciołom berło potrzeba wyrwać z rąk. Bili nas nim dosyć po łbie... Dobra biskupie naprzód zajechać i pożywić się. Co będzie, to będzie, pierwsza rzecz ograbić ich, jak ja mojego stryjaska...

Spokornieją zaraz...

Tu zwrócił się do Strasza:

— Co do królowej i tych, jak ty ich nazywasz, pędraków, o imię się sprzeczać nie będę,

choćby jeszcze gorzej brzmiało, trudniej nam przyjdzie z nimi bodaj niż z biskupem...

— Ho! ho! — wykrzyknął Strasz — a to dlaczego?

— Ba! — odparł Derśław. — Gdy kamień czterdzieści lat leży na jednym miejscu, to sobie łożysko wyrobi i uściele. Tak samo Litwin też ludzi sobie i rodowi swemu pozyskał. Posłuchaj no tych, co po drodze widzieli ciało nieboszczyka prowadzone do Krakowa, co oni o tym opowiadają.

— Ano? — spytał Kuropatwa — cóż tam się za cuda działy?

— Od samego Gródka, słyszę — mówił Derśław —. po całej drodze tłumy ludu

zapłakanego towarzyszyły zwłokom do Krakowa. Około dębowej trumny, przyozdobionej koroną i oznakami królewskimi, cisnęło się, co żyło... wysypywały się wioski i miasta na spotkanie.

Duchowieństwo z chorągwiami, z krzyżami, z relikwiami stało po całej drodze. Nieustannie musiał się pochód zatrzymywać dla nabożeństw i mów żałobnych, dla natłoku ciżby, która się do trumny choć przybliżyć pragnęła. Szlachta, panowie, księża, nawet lud prosty ze szlochaniem wszędzie mary królewskie spotykał.

— Bodaj umarłego pokochali więcej niż żywego niegdyś — dodał Derśław — aliści pewna, że się przywiązanie i do rodziny, i do pędaków wzmoże przez to... Me tak to łatwo będzie wymieść Litwinów precz...

Strasz burczał słuchając.

— Co to wszystko znaczy? — odparł dziko. — Co lud rozumie? Jemu, aby w dzwony uderzono a chorągwie powiały, biec gotów... Tak samo się będzie cieszył, gdy ich precz wyżeniemy, jak teraz płacze chowając starego niedołęgę. Kuropatwa głową pokręcał.

— Nadto wy łącznym wszystko widzicie — rzekł. — Trzeba naprzód od cienkiego zaczynać końca. Duchowieństwo trzyma Jagiellończyków, uderzmy na duchownych wpierw, zmieni się wszystko, a mają Jagiellony czy Litwa panować koniecznie, weźmiemy Korybuta, który husytą jest w duszy.

— Mamy Piastów — zawołał Derśław — po co szukać cudzych bogów.

— Litwa przepadnie — kręcąc głową dodał Kuropatwa — a jużci jej szkoda.

— Co ma przepadać! — przerwał Derśław — albo to Bolko nie urodzony z Litwinki!

Właśnie w nim dwoje krwi razem... Ja Bolka poprowadzę.

Strasz wychylił kubek i mocno nim o stół uderzył.

— Prowadźcie, kogo chcecie, byle się królowa wyprowadziła...

Z tego uporu Strasza zaczęli się wszyscy uśmiechać, co go bynajmniej nie mieszało.

— Wy wszyscy, wielu was tu jest, tej kobiety nie znacie — rzekł — i dlatego ją sobie

lekceważycie. Me było jeszcze na tronie w Polsce jej podobnej... Patrząc na nią, gdy dumna a chłodna stoi w kościele albo na zamku, spokojna, obojętna, nie odgadłby nikt, że ona w małej ręce swej wszystko trzyma. Ani Zbyszek nawet, co się Witoldowi oparł, jej się nie obronił. Robi on to, co ona chce, bo jego własny interes zaprzęła do swojego wozu przebiegła niewiasta... Z dala wydaje się tak, jak by ona do niczego się nie mieszała, nie wiedziała o niczym, słabą była i bezsilną... A gdzie nie ma jej ręki i oka? czego ona nie dokáže, gdy zechce? Tylko nigdy sama, jej nie widać za drugimi. Robi za nią ksiądz, wojewoda, jakiś człeczek niewielki jak Hincza, jakiś duchowny, urzędnik, poza nimi stoi ona. Trzeba jej było synów, ma ich, zawadzała Jadwiga, musiała umrzeć. Odda rządy biskupowi na czas małoletności i jego druhom., byle dla syna korony dostać... Potrzeba jej, żeby ją kochali, potrafi sobie miłość kupić, będzie pokorna, ani poczuje jej nikt... a rękę jej na karku wszyscy dopiero uznamy, gdy już tchnąć nie będzie można!

Strasz mówił gorąco, z zapalem niezmiernym, a słuchali go wszyscy zrazu uśmiechając się, później coraz poważniej, w końcu głowami dając znaki potakiwania.

— Widzisz — rzekł Derśław, gdy Strasz skończył — że z taką niewiastą, jakąś ty ją nam

ukazał, i królową jeszcze, nie tak łatwo będzie, jak się tobie widzi... Zbyszka też biskupa lekceważyć się nie godzi... Poza nim też gromada siłaczów.

— Tak jest — począł Strasz — ale i my też siły mamy... Trzeba swój naród znać. U nas

jeden taki śmiały człek jak biskup ciągnie za sobą tysiące... Odwagę tylko potrzeba mieć i głos donośny. Jak szli za pogrzebem tłumami, tak pójdą przeciwko królowej, byle się znalazł, kto ich poprowadzi.

— Na prowodyrach nie zbędzie — wtrącił Derśław. — Sędziwój Ostroróg, Spytek z

Melsztyna, Abram Zbąski... a w ostatku i my też...

To mówiąc podniósł się dumnie... Skończyła się narada, bo płochemu a gorącemu

gospodarzowi już było dosyć mówić o tym. Wrócił do swej przygody z arcybiskupem, którego miał

jeszcze na sercu i pamięci. Na próżno Strasz i Kuropatwa chcieli na nim wymóc, aby coś zawczasu postanowił i obmyślił, co czynić potrzeba. Derśław ich odsyłał do Spytka i Ostroroga, na jedno się godząc tylko, aby jak najprędzej zjazd szlachty zwołać opodal od Krakowa, tam się zgromadzić i na

nim postanowić albo wybór nowego króla, lub przynajmniej odłożenie koronacji.

— Nade wszystko temu zapobiegajcie, aby na zjazd Zbyszek biskup przybyć nie mógł, bo nam szyki pomieszać gotów. Niech Strasz jedzie do Poznania, do Krakowa, kędy chce... a nawołuje, by się szlachta co rychlej zgromadziła pod hasłem — koronacji nie dopuścić...

Tymczasem my

Piastowi przygotowujemy ludzi, okrzykniemy go i ukoronujemy.

Wszystko to Derśławowi teraz gdy on sam to wymyślił, zdawało się łatwym, jak gdyby już kraj cały miał w ręku.

Kuropatwa a. nawet Strasz inaczej się zapatrywali na to, ale wiedzieli, że z Derśławem rozprawiać było próżno. Upewnić się, iż pójdzie z nimi, naznaczyć mu bodaj najtrudniejszą rzecz do spełnienia, starczyło. Zagrzany mógł być pożytecznym, lecz pokierować nim musiał ktoś inny...

Za to najszałeńszy poryw pewnie on najlepiej mógł dokonać...

Strasz z Kuropatwą podzielili między siebie roboty i pierwszy z nich, jako lepiej obeznany z Krakowem, miał się tam udać potajemnie dla namawiania do zjazdu, na którym i Małopolanie znajdować się musieli; drugi obowiązał się jechać do sędziego poznańskiego i do wojewody Ostroroga, aby ich pobudzić do działania.

Zjazd musiał nastąpić jak najrychlej... zwołanym być nagle i odprawionym tak spiesźnie, aby przeciwnicy udziału w nim wziąć nie mieli czasu.

Tegoż dnia Strasz niez mordowany, gdy szło o zemstę, którą żył i dyszał cały, wyruszył do Krakowa.

Spieszył tak, że nim powoli ciągnący pochód pogrzebowy dostał się do stolicy, on już go

wyprzedził. Wjeżdżając, choć się teraz niczego lękać nie potrzebował, nie chciał być poznanym i śledzonym, obawiając się, aby go zwolennicy królowej nie szpiegowali lub na niego jakiej nie uczynili zasadzki, umiał więc wśliznąć się nie postrzeżonym, a przy ulicy Grodzkiej miał swą starą gospodę u piekarza Wirszowca, w której bezpiecznie się czuł jak u Boga za piecem.

Wirszowiec, pochodzeniem Czech, skrycie sprzyjający husytom, nieprzyjaciel duchownych

i wszystkiego, co się połączeniu Polaków z Czechami przeciwowało, ze Straszeni był od dawna w stosunkach, równie jak z tymi, co biskupowi i królowej stawali skrycie na zawadzie. Człowiek był zamożny, przebiegły, na pozór nie mieszający się do niczego, ostrożny wielce, ale gorliwy bardzo...

Nie widział on Strasza od czasu, jak go uwięziono, i przeraził się zobaczywszy tak strasznie zmienionym. Przyjął go troskliwie, umieścił bezpiecznie i zaraz w pierwszej chwili zdał mu sprawę z tego, co się w Krakowie działo.

Strasz nie taił, z czym przybywa. Wirszowiec głową potrząsał.

— Dla zmarłego króla okazują miłość bardzo wielką, bodaj że ją tak rozpalają umyślnie, aby wdowa i dzieci przy niej się przygrzały. Zobaczycie jutro... gdyż zwłoki właśnie tu przybywają.

Działo się to we czwartek, w dzień św. Małgorzaty, a dnia następnego w piątek przywiezienie zwłok zapowiedzianym było.

Z rana już miasto całe na ulice wyległo, a Strasz tak się przyodziawszy, ażeby go poznać nie było łatwo, wyszedł też z innymi.

W uroczystym milczeniu czekały tłumy. Piękny, jasny dzień czerwcowy oblewał blaskiem wiosennym ten obchód żałobny. Na twarzach wszystkich widać było przejęcie smutkiem, który rodził i żal po królu, i niepewność losów, jakie teraz kraj spotkać miały.

Strasz z dala mógł się przypatrzeć z gniewem w sercu, jak w żałobnych szatach królowa z dwoma synaczkami wyjechała na spotkanie mar królewskich. Blade jej lice zalewały łzy, ale mężnie podnosiła głowę i piękne zawsze lice, prawdziwie królewskim majestatem i powagą napiętnowane.

Z wolna zbliżał się wóz żałobny, otoczony dworem niosącym pochodnie. Królowa, wiodąc synów, z płaczem się rzuciła ku niemu i zawisła nad trumną. Oba chłopcy za jej przykładem, płacząc i szlochając, podtrzymywani przez ks. Kota i Ryterskiego, pochylili się nad zwłokami ojca.

Nie można już było ich i Sonki oderwać od wozu i z nim. razem, w obliczu tysięcy, postępowała królowa i dzieci przez miasto.

Strasz patrząc na to ze złości rwał odzienie na sobie.

W tej chwili ze wszystkich kościołów przy biciu w dzwony zaczęły wychodzić procesje z chorągwiami, długie szeregi zakonników, bractwa, cechy, pokutnicy... Ludność miejska cisnęła się także i ogólny żal, tak jak powszechna radość zaraźliwy, dał się czuć wszystkim. Przypominano sobie dobroć Jagiełły, jego zwycięstwa, pokój i swobodę panowania, a zapomniano wad i słabości człowieka.

Na próżno Strasz szukał tu sobie kogoś, z kim by mógł swą niechęć dla królewskiej rodziny

podzielić, każdy ubolewał nad jej bólem i rad by był go osłodzić.

W tydzień potem odprawił się pogrzeb królewski z całym przepychem i ceremoniałem zwyczajami uświęconym.

Wszyscy niemal polscy biskupi ze swym prymasem na czele, niezliczone zastępy duchowieństwa, zbiegły się dla oddania ostatniej posługi zgasłemu panu.

W licznym orszaku niewiast przybranych żałobnie, otoczona dworem, dwoje pacholąt splekanych trzymając przy sobie, stała przez cały czas smutnego obrzędu królowa, lejąc łzy ciche na oczach zgromadzonych panów i mnogiego ludu, obudzając współczucie powszechne.

Mistrz Paweł z Zatora wyszedł na kazalnicę, polską mową, wszystkim zrozumiałą i dostępną, poruszając serca całego ludu. Żądała tego po nim i prosiła o to królowa pragnąc, aby nie tylko wybrani, lecz wszystek ten tłum mnogi posłyszał słowo natchnione i wziął je do serca. Płacz rozległ się w kościele...

Z trzaskiem wpadli na koniach chorążowie, krusząc drzewce u trumny i padając przy niej sami. Zdawało się w tej chwili, że nie panowanie jego, ale losy całej kraju szły z tymi zwłokami do grobu.

VII

Niepróżne były zabiegi Strasza i jego sojuszników. Sam on zaledwie pogrzeb potrwawszy, dowiedziawszy się, że koronacjaznaczona na dzień św. Piotra i Pawła odłożona została przez senatorów tu zebranych na dzień św. Jakuba, pobiegł po cichu i tajemnie ściągać wszystkich królowej i biskupowi niechętnych na zjazd zapowiedziany w Opatowie.

Czasu pogrzebu króla umysły wszystkich tak nim i co najpilniejszymi sprawami były zajęte, tak nikt nie przeczuwał i nie domyślał się zuchwałego powołania na zgromadzenie, o którym rada i senatorowie przedniejsi nie wiedzieli wcale, iż najmniejszej wątpliwości nie miano o tym, że koronacji postanowionej nic nie stanie na przeszkodzie.

Z wielką troskliwością tajono zjazd przed tymi, którzy albo mu zapobiec, lub znaczenie jego wpływem swym zmienić mogli.

Sam Zbigniew biskup, zwykle najlepiej zawiadomiony o wszystkim, co się działo lub gotowało w kraju, był w zupełnej nieświadomości pokątnych knowań swych przeciwników.

Wszystko zdawało się iść po myśli jego. Za życia króla otrzymano zapewnienie wyboru

następcy: Władysław był na tron wyznaczony. Koronacja stawała się tylko potwierdzeniem tego, co przyobiecane uroczyście zostało.

Jakkolwiek biskup uspokojony był o przyszłość i królowę starał się ubezpieczyć, pozostawało tyle do obmyślenia spraw na czas małoletności króla nowego, iż narad na chwilę nie przerwano.

Po całych dniach, często w nocy schodzili się tu przedniejsi senatorowie roztrząsając kwestię opieki, wielkorządów, rozdziału władzy, oddania różnych ziem i części kraju w ręce ludzi, którym by zaufać było można.

Biskup Zbigniew znał dobrze przeciwników swoich i ich siły, lecz nie przypuszczał takiego zuchwalstwa i rozpasania z ich strony, jakie go czekało.

Pierwszy Wojciech Jastrzębiec ze łzami uskarżający się na synowca Derśława postępowanie jego starał się biskupowi przedstawić jako bezkrólewem spowodowane i oznajmujące, iż innych bezprawców spodziewać się należało.

Oleśnicki wybryk Derśława z Rytwian lekceważył, miał on go za jedną z tych spraw domowych, za zajście familijne, któremu zbytniego nie godziło się przypisywać znaczenia.

Z tego ubezpieczenia się i ufności w siebie zbudził go nagle wypadek niespodziewany, nie do wiary prawie, oznajmienie, iż znany warchoł i husytów druh Mikołaj Siostrzeniec Kornicz, niegdy burgrabia w Będzinie, zajechał mu dobra sławkowskie.

Oleśnicki, gdy mu oznajmiono o tym, uszom swym prawie zawierzyć nie chciał.

Me ochłonał jeszcze z podziwu i zgrozy, gdy dworzanin królowej nadbiegł do niego z prośbą usilną, aby do niej pospieszał. Sprawa była najmniejszej nie cierpiąca zwłoki.

Wezwaniu przytomny rodzony brat biskupa Jan z Oleśnicy, marszałek koronny, który tylko co zamek opuścił i z królową się widział, zapytany, czyby nie wiedział, dlaczego tak go pilno wzywano, nic powiedzieć nie umiał.

Pozostawił królowę czuwającą nad dziećmi, jak zwykle, zaprzątniętą tysiącem drobnych trosk, które na nią wdowieństwo jej włożyło.

Pomimo żalu Sonka nie miała czasu we łzach się rozplýwać i trawić dnie na narzekaniach.

Musiała być czynną sama, chociaż wierzyła w czujność i opiekę Oleśnickiego.

W jej też komnatach zbiegały się nici mnogich sieci po całym rozciągniętych kraju. Co chwila przyjeżdżali gońce, przychodziły doniesienia, odprawiano posłańców roznoszących rozkazy. Działo się to wszystko za wiedzą biskupa, z jego przyzwoleniem, w myśl jego, ale królowa sama obmyślała środki, wyznaczała ludzi, wprawiała w ruch mnogie koła tej maszyny. Była niezmordowaną, a kto wie, jak praca leczy w cierpieniach, jaką im ulgę przynosi, pojmie, że Sonka zamiast się czuć tym obciążoną lżejszą czuła boleść w sercu. Pomimo zapewnień nie uznawała się jeszcze bezpieczną. Donoszono jej co dzień o odgrózkach ludzi, których znała nieprzyjaciółmi swymi i biskupa. Drżała przewidując, że się oni na wszystko ważyć się mogą.

Jednym z tych, którzy jej teraz najgorliwiej służyli, był Hincza z Rogowa. Jest w ludzkiej naturze przywiązywać się do tych, dla których się cierpiało. Hincza oprócz tego zawiadomionym był o oswobodzeniu Strasza i lękał się go dla siebie. Postanowił więc śledzić wszystkie jego kroki.

Natychmiast po pogrzebie zniknął on z Krakowa, zawiadomiwszy tylko królowę, iż dla pilnych spraw oddalić się musi. I tak samo, jak wyjechał nagle, zjawił się dnia jednego nazad, pomimo niezwyklej godziny domagając, aby go natychmiast do królowej wpuszczono.

Cały jeszcze kurzawą podróżną okryty, z twarzą potem oblaną, stanął przed nią. Postawa jego i pośpiech, z jakim się natrętnie do drzwi dobijał, nastraszyły Sonkę.

— Miłościwa pani — rzekł zaledwie się skłoniwszy Hincza. — Wieli co biskup albo ktokolwiek o zwołanym zjeździe szlachty do Opatowa, która się chce koronacji opierać?

Sonka cofnęła się przestraszona żegnając.

— Ani biskup, ani ja, ani nikt o nim nie słyszał!

— Na rany Pańskie — począł Hincza — a toć ledwie czas zapobiec temu, a Bóg wie nawet, czy w porę się co da uczynić. Zjazd w tych dniach, niezawodnie. Gromadzą się nań wszyscy nieprzyjaciele biskupa i wasi.

Królowa bez długiego namysłu gorączkowo klasnęła na sługi i nie przestając wypytywać Hinczę wyprawiła dworzanina do biskupa.

— Czyimże ten zjazd jest dziełem? — zapytała.

— Dość powiedzieć, że Strasz w to rękę umoczył — zawołał Hincza — a z nim, co jest

najzuchwalszych, wszyscy jadą i biegną. Sprawiono to tak zręcznie, że gdy dadzą znać panom senatorom, jeżeli im oznajmić o tym raczą, już na rozsadzonych koniach nie czas będzie dobiec do Opatowa.

Usłyszawszy to królowa znowu z tym pośpiechem i energią, który ją cechował, uderzyła w rękę.

— Koniuszego mi wołać! — krzyknęła do wchodzącego dworzanina — w tej chwili!

Hincza jeszcze rozповідаł dalej, gdy już koniuszy wchodził na próg komnaty, nawykły do tego, że królowa prędko być usłużoną chciała.

— Wszystkie konie moje tej godziny niezwłocznie rozsadzić po drodze do Opatowa! — zawołała *.

Koniuszy zaledwie przebaknął coś koni żałując, gdy Sonka mu przerwała:

— Słyszałeś rozkaz, nie ma wymówki. Odpowiesz za każdą chwilę straconą. Wszystkie konie moje na drogę do Opatowa, a najlepsze zostaną do mojej lekkiej kolebki. Idź! spełń!

Wyszedł zdziwiony koniuszy.

Z niecierpliwością Sonka oczekiwała na biskupa, który nadjechał, nie spiesząc zbytnio, zawsze spokojny i nie lubiący okazywać gorączkowego czymkolwiek zajęcia. Cierpiałaby na tym powaga jego.

Królowej wejrzenie szukało w jego twarzy śladów niepokoju, jaki by wiadomość o zjeździe w Opatowie musiała wyrzeć.

— Opiekunie mój — zawołała żywo — wiecie już o tym, co zamierzają nieprzyjaciele moich dzieci?

Mówiła głosem tak poruszonym i zrozpaczonym, że biskup stanął zdziwiony.

— Miałożby coś nowego się stać, o czym bym ja nie był zawiadomiony? — zapytał.

— Zwołali zjazd do Opatowa... i to w tych dniach, aby koronacji przeszkodzić, któż wie? może aby wybór Władysława podkopać?

— Kto? — odezwał się biskup nadzwyczaj zdumiony. — Zjazd? bez senatorów? cóż to ma
znaczyć i kto go zwołuje?

Królowa dała znak Hinczy, aby wystąpił.

— Mów — rzekła.

* Historyczne (przypis autora).

Biskup czekał w milczeniu.

Natychmiast rozpoczął swoje opowiadanie Hincza, a w miarę jak mówił, czoło biskupa się
ściągało.

— Zjazd ten nie będzie miał żadnego znaczenia — rzekł wysłuchawszy.

Królowa łamała rękę.

— A! opiekunie moich dzieci, ty, któremu je ojciec powierzył! — zawołała. — Uczyniłeś
już dla nich i dla mnie wiele, zrób jeszcze tę ofiarę, abys się na tym niebezpiecznym zjeździe
znajdował... Inni też senatorowie...

Dumał biskup zasmucony. Spytał Hinczy o termin zjazdu... i zamruczał, że nawet o konie
będzie trudno, bo w pospiesznej podróży z Poznania na śmierć swoje pozamęczał.

— Ja już moje rozsadzić kazałam — odparła drżąca królowa, ręce ciągle załamując. —

Ojczy mój, nie opuszczaj nas.

Choćby ten zjazd postanowić nic nie mógł, zawsze ośmieli, otworzy do innych wrota,
zachwieje tym, co wy z panami senatorami postanowiliście... Wasza przytomność jedna ocalić nas
może. Nieprzyjaciele nasi już o Bolku mazowieckim mówią, za nic sobie mając przyrzeczenia
uczynione nieboszczykowi.

Niepokój wycisnął łzy królowej, płacząc zbliżyła się do biskupa, całując ręce jego i prosząc go już
łzami swymi. W tej chwili wchodził dziesięcioletni jej syn, na którego skinęła...

Przybiegł i on na rozkaz Sonki, choć nie wiedząc przyczyny, dla której miał biskupa błagać, i rękę
jego do ust podniósł. Zbigniew był poruszony...

— Ponieważ czas jest tak krótki — odezwał się — muszę natychmiast iść naradzić się z

bratem i z innymi, a proszę miłości waszej, abyście nie trwożyli się nadaremnie. Walka z warchołami jest równie moją jak waszą, wypowiedzieli oni i mnie wojnę zajechawszy Sławków.

Będziemy mieli wiele do czynienia, lecz z pomocą Bożą i ludzi uczciwych, kościołowi wiernych, zwyciężymy.

To mówiąc rękę podniósł, pobłogosławił królowę i jej syna i szybko się oddalił.

Na biskupstwo zajechawszy znalazł tam Spytka z Tarnowa wojewodę sandomirskiego i

Jana, brata swojego, którzy go w ganku przywitani wiadomością o naznaczonym zjeździe w Opatowie.

Oba oburzeni byli zuchwalstwem tych, co nikogo nie pytając samowolnie zwołali zgromadzenie rachując na to, że sami w nim przewodzić będą.

Jan Głowacz z Oleśnicy, brat biskupa, gniewny i nadąsany począł z tego, że nikt na ten

zjazd jechać nie powinien z poważniejszych ludzi, aby mu nie nadać znaczenia. Lekceważą oni nas, tym bardziej my ich powinniśmy ważyć mało. Niech krzyczą i niech stanowią uchwały, kto ich posłucha?

Nadchodzący tuż Wawrzyn z Kalinowy Zaręba, kasztelan sieradzki, miał minę zasepioną mocno i posłyszawszy, co mówił

Głowacz, dodał:

— Pewnie, że nam tam nie jechać. Ja mam wiadomość, iż zjazd jest zasadzką. Mogą senatorów pochwyć i uwięzić. Na wszystko się tacy ludzie ważą.

Biskup słuchał.

— Choćby i było niebezpieczeństwo dla innych — rzekł — ja go dla mnie nie widzę, a królowa prosi i jechać muszę.

Zakrzyknęli wszyscy, a szczególnie Głowacz.

— Bój się Boga! Ja nie puszczę. Uchowaj Boże na ciebie nieszczęścia, cóż my poczniemy!

Lepiej, aby nas dziesięciu poszło w ich niewolę niż ty jeden!

— Nie będą śmieli uczynić mi nic! — zawołał biskup. — Przypomnijcie sobie, gdy tu Czesi

z Korybutem byli, jak mi śmiercią, zasadzką, napaścią grozili, przecie sam na jutrznią chodziłem i nie stało mi się nic. Pojadę do Opatowa w paszczę im, a wyjdę cało. Jechać zaś, powtarzam, muszę i to jednej godziny, bo zjazd się już poczyna.

Wszyscy tym stanowczym wyrzeczeniem biskupa stali zmieszani. Śmielszy brat, marszałek, ciągle głową potrząsając sprzeciwiał się jeszcze.

— Ja — rzekł Spytek z Tarnowa — jechać nie myślę. Nic bym. tam nie sprawił, zostanę tu lepiej na straży.

Zaręba nie okazywał chęci do podróży także.

— Jeżeli jest co do zrobienia, biskup jeden może temu zaradzić — rzekł. — My byśmy idąc pod rozkazy panów szlachty, husytów, co najeżdżają majątności duchowieństwa i łupią po gościńcach, albo na napaść się narazili, lub na pośmiewisko. Oni tam już się większości pewnie spodziewają i nas zakrzyczą.

Gdy to mówili, poczęli i inni się schodzić senatorowie, bo wieść o tym niespodzianym zjeździe w Opatowie piorunem się po mieście rozeszła i przeraziła wszystkich. Lecz zgodni byli w tym, że jechać im nie należało. Tegoż zdania był Jan z Koniecpola, kanclerz, i Jan z Tęczyna, kasztelan biecki, i inni.

Biskup swoje zdanie wypowiedziawszy milczał i słuchał zadumany.

Brat na próżno go starał się odwozić od zamiaru udania do Opatowa dowodząc, że dosyć posłać kogo, aby był, słuchał i przywiózł wiadomość pewną, co się tam stanie.

— Dałem słowo strwożonej królowej — rzekł w końcu spokojnie Oleśnicki — jechać muszę. Wezmę z sobą kapelana i sług niewiele. Nic mi się tam stać nie może. Nikogo z was zresztą przeciw przekonaniu jego nie namawiam.

Głowacz chodził po izbie z rękami załamany; trwożył się on o brata.

— Zważ, co czynisz — rzekł. — Na tobie dziś wszystko... Wiedzą oni dobrze, iż gdyby głowy nie stało, gdy pasterza nie będzie, owce się rozsypią. Mogą się dopuścić gwałtu. Wszystko u nich możliwe. Derśław z Rytwian do rodzonego stryja arcybiskupa strzelać kazał skarb mu wylupiwszy. Co innego było stawać oko w oko Jagielle i narażać się na gniew jego, który prędko przechodził, boć to był monarcha baczny i wierny syn Kościoła, inna rzecz z tymi ludźmi, co nie poszanują ani człowieka, ani infuły. Zmiłuj się.

— Widzisz, że zupełnie spokojny — zawołał biskup nie okazując wzruszenia. — Ludzie

są zli i zuchwali, kupka, co ich otacza, więcej lekkomyślna niż występna. Nie uważają się targać na mnie, bo wiedzą, że nawet ich własni przyjaciele takiej napaści na pomazańca bożego by się wzdrygnęli.

Ktokolwiek znał biskupa Oleśnickiego, wiedział dobrze, iż raz powziąwszy myśl jaką nie odstąpi od niej i bądź co bądź spełni, co zamierzył. Brat więc, kanclerz Koniecpolski i inni radzili tylko, jak by bezpieczeństwo osoby zapewnić. Biskup niemal z uśmiechem odpowiadał ciągle, że najlepszy opiekun Pan Bóg, a owi szatani może nie są tak czarni, jak się wydają z daleka.

Stosował to Oleśnicki do Spytka z Melsztyna i Dersława z Rytwian, do Abrama Zbąskiego i

Strasza, którzy głównymi byli przewodzcami zjazdu. Z zupełną swobodą potem biskup zasiadł do wieczerzy z gośćmi swymi, kazał gotować wszystko do podróży o świcie i odprawivszy w

kapliczce swej mszą świętą, jak rzekł, tak uczynił, sam z kapelanem i kilku czeladzi tylko w kolebce królowej i jej końmi wyruszył do Opatowa.

Było to już naówczas miasto dosyć znaczne i handlowe, na dwie a raczej na trzy dzielnice rozpadające się, z których jedna stara przy klasztorze bernardynów się skupiała, druga przy kolegiacie, trzecią zaś sami prawie Żydzi zajmowali. Mury opasujące część jedną i bramy w nich tak były liche, iż za żadną obronę od nieprzyjaciela służyć nie mogły.

Pomimo pośpiechu przybywający Oleśnicki już miasteczko pełnym znalazł, gwarnym, rynek cały namiotami zajęty, gospody rojące się ludźmi, wszędzie koni, służby, wozów bez miary.

Wielka ilość szlachty koczowała pod gołym niebem; inni po chałupach i domach żydowskich się ściskali. Ponieważ wiosenna pogoda gorąca sprzyjała dotąd, narady nawet odbywały się w podworcach.

Gdy jadącego biskupa spostrzeżono i poznano, widomie popłoch poszedł po wszystkich...

Ci, co pierwsi go zoczyli, ponieśli się dać znać starszyźnie, Spytkowi i Dersławowi. Właśnie on pierwszy raz ze szlachtą się zetknąwszy owe zapowiedziane obrady rozpoczynać mieli, gdy zziąjany Guba Nałęcz nadbiegł do Dersława i za rękaw go pociągnąwszy w ucho mu rzucił:

— Biskup Zbyszek przyjechał.

Widzieliśmy już, że zuchwała sztuka, Dersław, który do własnego stryja strzelać kazał, niełacno się czym dał ustraszyć.

Spytek z Melsztyna może go jeszcze butą i rozpasaniem przechodził i wziął po ojcu

zarówno dzielność wielką, jak dumę i pewność siebie niezmierną. Sądził się on, syn tego, co dwudziestu nie mając lat był panem krakowskim, godnym dostojenstw najwyższych. Gorącej krwi, pychy nieubłaganej, bogaty, młody, mężny, sądził, że stając na czele ludzi równie śmiałych i na wszystko się ważących całym może wstrząsnąć krajem i co najmniej zmusić królowę i senatorów do układów i zwrócenia mu stanowiska, do którego przeznaczonym się sądził.

Oba wszakże ci przewodzcy, przed chwilą już rokujący sobie zwycięstwo pewne,

wiadomością o przybyciu biskupa rażeni zostali jak piorunem. Spojrzeli po sobie, lecz w tejże chwili zawstydzeni, jeśli nie odzyskali buty, chcieli jeden drugiemu okazać, że jej nie stracili.

Pierwszy Spytek przebaknął:

— Cóż nam do niego? Przybył, niech, kiedy chce, siedzi przy kościele i modli się, my o nim możemy nie wiedzieć...

Tuż przy nich stał Strasz, który był niezmiernie czynnym, a nieco dalej staruszek Goworek z Chrobrzan. Człowiek to był szanowany powszechnie, z rozumu słynący, niegdyś wymowny,

niemałego wpływu u swoich, którego Dersław i Spytek pozyskać się sobie starali, aby stronnictwu swemu nadać powagę pewną.

Goworek nie był zbyt bystrym, a trochę próżnym. Rozum, z którego słynął, w ciasnym się

dosyć kółku obracał, młodzieży dawał się oszukiwać i wodzić. Byłe mu się kłaniano, naprzód go wysadzano i szanowano, niewiele dalej widział. Było to winą podeszłego wieku.

Piękny starzec z siwym włosem, patriarchalnej powierzchowności, z uśmiechem łagodnym,

był młodym warchołom potrzebnym jak pieczęć u pargaminu. Nadawał im wagę. Wodzili się więc z nim i tu się nim też posługiwać myśleli.

Usłyszawszy wyrok Spytki, który biskupa znać nie chciał, ni o nim wiedzieć, Goworek

głową potrząsnął, jak by nie bardzo to pochwalał.

Tymczasem Strasz wtrącił żywo:

— A nam co do biskupa? Zechce przybyć na zgromadzenie, nie zaprzemy mu drogi, ale zapraszać go nie ma obowiązku.

— Ja też tak sądzę — rozśmiał się Dersław — raz się nam z tych oków potrzeba uwolnić, aby u nas biskupi nie przewodzili. Dobry biskup w kościele, a tu świeckie sprawy...

Odchrząknął stary Goworek.

— Biskup czy nie biskup — rzekł — ale senator jest. Nie słuchano go. Spytek tylko, lękając się go obrazić, coś mu do ucha szeptać zaczął, a staruszek usta zacisnąwszy zamilkł.

Wiadomość o przybyciu Zbigniewa w jednej chwili z ust do ust przebiegła po wszystkich gromadkach. Podawano ją sobie.

— Wiecie? Biskup przybył.

— Jaki?

— Ano Zbyszek!...

Na twarzach szlachty malowała się troska tak widomie, że Spytek się nią zatrwożył.

Przybrał więc tym śmielszą i pewniejszą siebie postawę i głośno począł się z tym odzywać, że oni tu żadnych biskupów nie potrzebowali.

Dersław obracał w żart trwogę tych, którzy nawykli byli Oleśnickiego się lękać i nadzwyczajną mu przypisywać potęgę.,

— To nie za Jagiełły — mówił — pana nie mamy... My tu teraz panowie...

Niektórzy mu potakiwali, lecz na boku między sobą widać było, że wszyscy niespodzianym przyjazdem mocno byli zmieszani.

Kuropatwa z Łańcuchowa, jeden z najgorliwszych husytów polskich, miał w sobie to, że duchowieństwa się lękał i może dlatego tak by był rad zrzucić z siebie jarzmo jego. Zbigniew zaś biskup dla niego uosabiał całą tę potęgę Kościoła i nikt mu nad niego straszniejszym się nie wydawał.

Na Kuropatwie wiadomość ta zrobiła wrażenie przygniatające.

— Skoro on tu jest — rzekł — wszystko diabli wzięli. My nie zrobimy nic. On ma więcej w palcu rozumu niż my wszyscy w głowach... Przyjechał, to nie darmo. Gdyby nie wiedział, że nas zmoże, nie pospieszyłby się z Krakowa.

Drudzy, którzy osobistymi stosunkami byli tu pociągnięci, a z Kościołem zrywać nie

myśleli, szanowali krakowskiego biskupa jako świątobliwego i mężnego kapłana, inni na ostatek widzieli w nim magnata blisko spowinowaczonego z Tęczyńskimi, Tarnowskimi, z Koniecpolskimi i znali świecką potęgę tych rodów.

Mógł Spytek z Melsztyna powiedzieć sobie, że biskupa znać nie chce i nie myśli doń żadnego uczynić kroku, nie sprzeciwiano mu się wbrew, lecz spoglądano niespokojnie ku kolegiacie.

Derśław z Rytwian i Kuropatwa byli tego przekonania, że biskup pychę z serca zrzuciwszy sam do nich tegoż dnia przyjedzie.

Tymczasem obradowano...

Lecz wiadomo, jak u nas podobne się zjazdy obchodziły z dawien dawna. Mówiono wiele i głośno, do ostatniego słowa przyjść było trudno, a gdy wszyscy znużeni już radzi końca czekali, ktoś zręcznie podrzucał uchwałę i okrzykami ją przyjmowano, zagłuszając przeciwników... Tu zaś właściwie oporu nie było i wszyscy niemal się na jedno godzili. W długiej mowie Goworek z Chrobrzan wyłożył, historycznymi się popierając wywodami, że małoletnich rządy są dla kraju niebezpieczne, koronację więc odłożyć należało, a ob, myśleć dla kraju silną władzę i złożyć ją w rękę doświadczonych i pewnych...

Zupełnie pomijając obietnicę uroczyście daną królowi Jagielle w Brześciu, nie wspominając nawet o niej, i Goworek, i inni domagali się rzeczy nowych. Domyślać się było łatwo, że wybór króla innego mieli na widoku...

Rozprawiano tak, aż dopóki się wszyscy nie znużyli. Dzień zaczynał być coraz gorętszy, pragnienie i głód dokuczały.

Zamknięto więc narady, a Spytek z Melsztyna jednych, drugich Derśław zabrał do siebie na poczęstowanie. Inni się gromadkami po namiotach i gospodach porozkładali.

O nowym posiedzeniu dnia tego mowy nie było, ale umysły przy piwie i miodzie, jedne z drugimi się ścierając, jedne podbudzając drugie, rozgrzewały się, ośmielały, i ci nawet, co w początkach milczeli, w końcu głośno o niebezpieczeństwie panowania pędraka rozprawiali.

Nie zwracano na to uwagi, że niektórzy ze szlachty, ostrożniejsi, wieczorem do biskupiego dworu pociągnęli... Derśław i Spytek tak hojnie swych gości przyjmowali do późnej nocy, iż niektórzy, śpiwając, dopiero o brzasku poszli szukać swych namiotów i wozów, a usnąwszy twardo nie zbudzili się aż bardzo późno.

Pomimo to na rannej mszy biskupa Zbyszka w kolegiacie dosyć było pobożnych, co

Derśławowi do myślenia dało. Spytek też dnia tego zły był i niespokojny, ale trwał w tym, żeby biskupa nie zapraszać na radę i o nim nie wiedzieć.

Doszło to do Oleśnickiego.

Na jego stanowisku, przy nawyknięciu tym do panowania i poszanowania za Jagiełły, dla

męża, co zwyciężył Witolda, który umiał wrazić we wszystkich cześć dla siebie i uznanie władzy swej, takie lekceważenie musiało być wielce dotkliwym. Ale dać poznać obrazę, znaczyło to być osiągnięciem przez małych ludzi, których Zbigniew Oleśnicki z sobą na równi wcale stawiać nie myślał.

Drzwi swe zostawił tylko otworem a ze szlachty zgromadzonej licznie bardzo wielu

korzystało ze zręczności, aby się potężnemu biskupowi pokłonić, dworować i względy jego sobie zapewnić. Ci wszyscy pierwsi wyrazili mu zdziwienie i oburzenie, że wiedząc tu o nim nie wezwano go na zgromadzenie.

Biskup nie odpowiadał nawet na to, nie przywiązując wagi do rzeczy. Mówił z

przybywającymi o sprawach ogólnych, chłodno, spokojnie, jak by mu one żadnej nie dawały troski.

Ta niewzruszona powaga zawsze wywiera wrażenie i każe się domyślać siły.

Przez cały dzień ten znowu rozprawiano szeroko o koronacji, o małoletności, o potrzebie

obmyślenia przyszłości, a Derśław z boku podmuchiwał o Bolku mazowieckim.

Skończyło się na tym, iż nic jednak nie postanowiono i zjazd nie ważył się obalić tego, co poprzednie uroczyściej od niego wraz senatorami przy królu uchwałyły.

Starowina Goworek z Chrobrzan, który na pozór rej tu wiódł i cieszył się tym, że go

słuchano pilnie, a wymowa jego ocenioną była jak zawsze, uczuł w końcu żal jakiś, że nie mógł się z nią też popisać przed księciem Kościoła i mężem równie słynącym z wymowy jak Oleśnicki.

Wieczorem nie mówiąc nic nikomu stary za innymi udał się do biskupa, którego znał

dawniej.

Oleśnicki, wiedzący jaką on tu rolę odegrywał, przyjął go ze zwykłą swą biskupią powagą, ale zarazem uprzejmością.

Goworek powitawszy go uważać się począł nad trudem, jaki miał, wśród tego zjazdu, starając się ład pewien i porządek utrzymać.

— Nie zaszczylicie, miłość wasza, zjazdu naszego przytomnością swą — dodał. —

Wielka to szkoda, a ja nad tym szczególniej boleję, bo tak znakomitego męża mając tuż obok nie widzieć go wśród nas... było dla wszystkich upokarzającym. Nie raczyliście.

— Miły mój panie — odparł biskup. — Wszakżeście wiedzieli o mnie? Nie godziło mi się wam narzucać, zwłaszcza że między wami jest wiele zbłąkanych owieczek... Dlaczegoż, jeżeli sądzicie, że wam się na co przydać mogę, nie wezwaliście mnie, jak przystało i należało? Winienem to mojej dostojności biskupiej, bym pewnego jej poszanowania wymagał. Byłbym poszedł na zgromadzenie i narady, alem próżno czekał na jakie słowo z waszej strony. A to mi się przecie należało.

Zmieszał się nieco stary.

— A! bo ta niewytrawna młodzież! — zawołał. — Ludzie dopiero w pałkach, gorącej krwi a swawolni! Wiele im przebaczyć należy.

— Bo nie wiedzą, co czynią — dokończył śmiejąc się biskup. — Ale cóżeście uradzili? Rad bym wiedział.

Goworkowi trudno to było określić. Mówiono dużo, a nic nie postanowiono. Wszystko to, co tam Kuropatwa i inni przeciwko duchowieństwu, jego sile i panowaniu pletli, nie mogło być powtórzonym biskupowi.

Staruszek poplątał się w opowiadaniu. Milczący słuchał go biskup długo, dał mu się wypowiedzieć i popisać. Niekiedy nawet potakiwał Goworkowi, co mu wielką czyniło przyjemność, a że co do kwestii koronacji biskup umyślnie wstrzymywał z wypowiedzeniem całej swej myśli, stary sądził może, iż go sobie pozyskał.

Rozmawiali dosyć długo, aż Oleśnicki odezwał się wreszcie.

— Nie wezwaliście wy mnie do siebie, ja będę względniejszym dla was i zapraszam na rozmowę do mnie jutro. Zbierzcie się tutaj. Rad bym posłyszeć, czego chcecie, i rozprawić z wami o tych rzeczach, które wam się wątpliwymi wydają. Uprzejmie więc wzywam was, szanowny panie, i celniejszych spomiędzy szlachty, aby jutro zebrali się u mnie.

Pochlebiało staremu Goworkowi, że biskup do niego z tym jako do głowy się zwrócił, wziął gorąco do serca rzecz i przyrzekł uroczyście, że jutro z sobą przyprowadzi do biskupa co przedniejszych ze zgromadzenia. Wyszędłszy od biskupa Goworek pospieszył do Spytka i

Derśława nie tłumacząc się im, jak do tego zaproszenia przyszło, zapowiadając tylko, iż jego wezwał biskup wraz z innymi, którzy zechcą uczestniczyć w naradach, do siebie. Zakrzyczał

naprzód Spytek:

— A co mi to ten biskup, aby on mnie wołał do siebie? Wtórował mu Derśław równie zuchwale, krzyknął coś

Strasz, reszta zamilkła. Zaczęły się głosy odzywać nieśmiało:

— Przecie senator i biskup... jak ono jest, to jest...

Inni poszli za tym głosem. Goworek też radził umiarkowanie, a rozdrażniać nie życzył.

Spytek i Derśław mocno skłopotani, widząc, że za sobą większości nie mają, musieli burcząc zamilczeć. Postanowiono, ponieważ to do niczego nie zobowiązywało, iść jutro do biskupa.

Tu dopiero postrzegli Spytek i Derśław, jak wielki błąd popełnili biskupa nie prosząc na zgromadzenie ogólne, gdzie by za sobą tłum mieli. Do biskupa zaś mieli iść wybrani przedniejsi, i ci, co już skłonni byli mu się pokłonić i posłuchać go, a potem oni mogli za sobą pociągnąć resztę.

Błąd był nie do poprawienia.

Derśław wnosił po oddaleniu się Goworka, aby oni ze Spytkiem i Straszem nie szli do biskupa.

— To by znaczyło, żeśmy się go zlekli i dali mu za wygrane — odparł Spytek. — Nie może to być. Ja idę.

Jakkolwiek Derśławowi przykrym to było, i on iść musiał. Strasz zapowiedział, że do klechy nie pójdzie. Dano mu pokój. Inni wszyscy w obawie, aby starego Goworka i innych

stateczniejszych ludzi nie przewiódł na swą stronę, oświadczyli się, że pójdą.

Przez cały jednak wieczór, jak by przewidywali, że zostaną pobici, Spytek z Derśławem jeden na drugiego winę zrzucali, iż biskupa nie wezwali.

Goworek chodząc wieczorem po namiotach i domach zaciągał co najwięcej starszych ludzi, aby mu towarzyszyli.

Nazajutrz rano, gdy zebrałszy się wszyscy pod wodzą starego Goworka wyruszyli ku

dworowi, w którym biskup przy kolegiacie przebywał, milczenie kwaśne panowało między nimi, a na twarzach niepokój był widoczny... Spytek i Derśław chcieli być przytomni i szli z innymi, ale umyślnie w tłumie się skryli, nie chcąc występować naprzód.

Spora izba i przedsię w biskupim dworze, połączone otwartymi na oścież drzwiami, ledwie mogły przybywających pomieścić. Biskup przyjmował ich w szatach uroczystych, z całą powagą swojego dostojęstwa, lecz zarazem wesoło, uprzejmie i bez najmniejszej troski.

Spytek, który się zaczynał lękać starego Goworka, aby zbyt powolnym nie był, na pierwszego oratora wyznaczył Jana

Działoszę Nadobnego z Rogowa.

Nie był on tak wymownym jak Goworek, ale gorętszym i śmielszym od niego. Wystąpił wprost w imieniu szlachty z tym, że ona postanowiła uchwałę koronacji odwołać i zniweczyć.

— Nam — rzekł — potrzeba monarchy dzielnego, mogącego nieprzyjaciółom stawić czoło, a nie dziecka... Wiemy, co to małoletnich rządy! Dostaną się one w babskie ręce albo faworytom i wielkorządczom, z których łaski my już dosyć cierpieliśmy. Głośno mu potakiwać zaczęto... Biskup milczał.

Odezwał się i Jan Mężyk z Dąbrowy w tej samej myśli ukazując, jak niebezpieczna była chwila, na którą nieprzyjaciele czyhali.

Inni też domagali się głośno, aby nie dopuścić koronacji dziesięcioletniego wyrostka...

Słuchał Oleśnicki bardzo cierpliwie tych wywnętrzań.

Nie mógł przepuścić i Goworek tak dobrej zręczności popisu z wymową i odchrząknawszy począł długi wywód historyczny o bezkrólewiach, o rokoszach, o niepokojach, jakich się za panowania małoletniego spodziewać było można.

Dano mu mówić, a Oleśnicki nie przerwał i teraz jeszcze. Po kilku tych mówcach, gdy się już argumentów nowych przebrało, a powtarzano jedno, zabrał głos w końcu.

— Niebezpieczne są może rządy małoletnich, to prawda — rzekł — ale opieka starszych a wiernych synów Korony tej czuwać będzie nad niedorośłym monarchą. Stokroć niebezpieczniejsze są spiski, sprzysiężenia, pokątne zabiegi, które rozrywają jedność i zgodę i gotują wojnę domową.

Stoimy na skraju, może ta chwila albo długie lata pokoju i pomyślności nam dać, albo zgubę nieochybną sprowadzić. Do was należy wybierać, i na ramiona wasze spadnie odpowiedzialność cała ... O koronacji nam dziś mówić się już nie godzi ani ją podawać w wątpliwość, bo jest rzeczą postanowioną. Za życia nieboszczyka króla uroczyste mu zaręczyliśmy w Brześciu, że syna weźmiemy po nim. Winniśmy jego pamięci a własnej czci naszej, słowa dotrzymać.

Szemrać zaczęto... Sędzia poznański Abram Zbąski zawołał z kąta:

— *Salus reipublicae suprema lex* .

— Ale tu właśnie zbawieniem kraju jest dotrzymanie słowa — zawołał biskup. —

Wiarołomstwo kala, a nigdy do celu nie prowadzi. Godziż się nam szukać obcych bogów, mając po panu dziedzica, który już wybranym został?

Dersław syknął żartobliwie na dziedzica, ale go zahukano. Zmilczeć musiał.

— Nie co innego grozi, jeżeli część narodu się odszczepi od nas wiernych słowu i uchwale, jak wojna domowa. Uważcie więc, co ona za sobą prowadzi, gdy do niej się Krzyżacy i Zygmunt Luksemburski wmiesza, gdy i Kuś, i Litwa oderwać się mogą... Używaliście długo spokoju i bezpieczeństwa, chcecie więc znów powrotu tych czasów, gdy po śmierci Loisa na łup bratniej wojnie wydany był kraj? Jagiełło złamany wiekiem sam przez się w ostatniej wojnie występować nie mógł, bezwładnym był, a kraj się przecież bronił i ostał cały. Przede wszystkim słowa dotrzymać należy, a na zapasy pretendentów do korony kraju nie wystawiać. To, co tu uchwalicie, pomnijcie dobrze, będzie uchwałą życia lub śmierci rodzin waszych, bezpieczeństwa majątności, spokoju. Jutro wojna się zapalić może. Z wrogiem obcym rozprawa niestraszna, z domowym i grzeszna w oczach Boga, i zgubna a nieskończona...

Mówił, a głębokie milczenie panowało w izbie. Spoglądano po sobie. Powaga i

namaszczenie jego słowa, pewność, z jaką je wygłaszał, działały na umysły, potrzęsano głowami.

Goworek pierwszy nie przeciwiąc się i niemal potakując rozłożył ręce, podniósł je,

westchnął.

Pomiędzy sobą zgromadzeni zaczęli z cicha rozprawiać, ale Oleśnickiemu nie odpowiadali.

Biskup gdziekolwiek dosłyszał coś takiego, przeciw czemu by mógł protestować, zabierał głos.

Tak pojedynczo ludzi sobie jednał, przystępując do nich i nie wahając się z każdym na nowo poczynać dysputy.

Spytek i Dersław stojący z dala, sami nie chcąc się odzywać, na próżno popychali innych

naprzód. Widocznym było, że biskup sprawę wygrywał.

Przypominano walkę Nałęczów z Grzymałami, spustoszenie kraju...

Wszyscy powoli godzili się na to, iż lepiej zgodnie ukoronować małoletniego niż wojnę

prowadzić o koronę, a kraj na pożogę i zniszczenie wystawiać.

Z wolna mniej śmieli a strudzeni wymykać się zaczęli z biskupiego dworu. Została mała kupka, z którą biskup swobodnie już rozmawiał jako z przekonanymi i przeciągniętymi na swą stronę.

— Jedźcie do domów, nie dajcie się opanować warchołom, którzy kraj gotowi poświęcić, aby do najazdów mieć dogodną porę i sakwy naładować, a na rozpusztę je opróżniać.

Kilkodniowymi próżnymi rozprawami znużona szlachta radę tę przyjmowała wdzięcznie.

Wychodzili z dworu biskupiego powtarzając sobie, iż czas do domów było, a tu już nie ma co robić.

Spytek i Derśław spostrzegli się w końcu, że nie mieli już na co czekać. Pobici byli na głowę, prawie bez walki.

Z szaloną zaciętością przeciwko biskupowi Spytek się wyrwał ze dworu. Derśław spieszył za nim. Chcieli łapać rozpływającą się szlachtę, ale głosy ich nie miały już znaczenia, nie słuchano, rozjeżdżali się wszyscy.

We trzech ze Straszem, prawie opuszczeni, dopadli do gospody Derśława, który kłął klechów nie wyjmując stryja.

— Podszedł nas! Zdrajca!

Strasz na szlachtę wymyślał, że lada komu się daje za nos wodzić, że doma żony, a za domem klechy czynią z nią, co chcą. Ale wszystkie te krzyki i łajania do niczego nie służyły.

Zgromadzenie w oczach się już rozpraszało, niepodobna go było powstrzymać.

Spytek i Derśław poczęli pytać się, co począć dalej.

Strasz jeden nie stracił głowy.

— Nie ma tu co myśleć — krzyczał. — Koronacja na św. Jakuba ogłoszona. Trzeba

hurmem, cizbą jechać na nią i nie dopuścić. Me może to być, aby mimo krzyków i przeciwienia się tylu szlachty gwałtem pędzaka koronowali... Na zamek pójdziemy, do kościoła... i nie damy... nie dopuścimy! nie pozwolimy!

— A wielu nas tam będzie? — zapytał Derśław.

— Jak sobie pościeleni, tak się wyspiemy — krzyczał

Strasz. — Cóż to, trudno szlachtę spędzić o swym koszcie i poprowadzić ją? Musi śpiewać piosenkę tego, na którym wózku przyjedzie.

Spytek zaczynał mu potakiwać, lecz gorzko mu było.

Wielu z tych, na których rachowali, biskupowi uległo. Znani ze skłonności do husytyzmu w ostatniej chwili zamilkli.

— Mogą nam tak samo usłużyć przy koronacji! — zawołał.

Strasz zaprzeczył.

— Składacie winę na nich, wy sami winniście — zawołał. — Ja nie chodziłem do biskupa,

wyście szli i cóżeście zrobili. Oba milczeliście stojąc w kącie. Niejednemu by męstwo przyszło, gdybyście go przykład dali... Wyście stchórzyli.

Dersław porwał się ku niemu groźnie, ale Strasz się nie cofnął.

— Pytałem tych, co wracali od biskupa — rzekł. — Nie odzywaliście się, odpadła drugich

ochota od ucierania się. Alboście to nie mogli klesze w oczy prawdą smagać?... a odjąć mu tę jego butę! Wy staliście jak trusie, nie miałyście zwyciężyć?

Spytek pierwszy po namyśle przyznał słuszność Straszowi.

— Na koronację, jeśli jechać mamy, gotować się trzeba gardłować, bodaj łajać i wymyślać, to lepsze niż złość cicha. Zuchwalstwem człek zawsze wygrywa, a milczenie na nic się nie zdało.

Dersław przerwał tłumacząc się zdradą Goworka, którego nazwał „grzybem”, narzekał na sędziego poznańskiego, na

Działoszę, że raz się ozwawszy wszyscy potem stali milczący.

Znowu więc męstwo wstąpiło w spiskujących, a dał go im Strasz, w którym zemsta tym się

więcej rozżarzała, że jej zadość nie mógł uczynić.

Spytek liczył swych wiernych, Dersław namyślał się, kogo ma wziąć z sobą. Chciano

korzystać z tego, że szlachta jeszcze się nie rozjechała, ale za późno już było. Wprost od biskupa, obawiając się wymówek od Spytki i innych wodzów, kto mógł wyruszał z Opatowa. Nawet stary Goworek nie żegnając się z Dersławem, nie tłumacząc, zniknął z miasta. Innych znaczniejszych połapać nie było podobna, a z drobniejszymi butna młodzież mówić nie chciała.

Strasz natychmiast wybierając się począł do Krakowa, aby tam w miejscu pozawiazywać

stosunki i sprzymierzeńców sobie jednać skrytych.

VIII

Gorącego dnia lipcowego nad wieczór wjeżdżał do Krakowa wspaniały orszak młodego

rycerstwa, na którego czele jechał strojny, z podniesionym hełmem, twarzy dziwnie urodziwej młodzian, oglądający się dokoła, a mówić się zdając do ciekawych, których po ulicach było pełno:

— Albow nie piękny?

A był w istocie nie tylko pięknym, ale tak się stawił pańsko, a ci, co mu towarzyszyli, byli tak dobrani, liczni i strojni, że go za jakie książątko z Mazowsza lub Szląska wziąć było można. Na hełmie, którego przyłbicę umyślnie podniósł, siedział ptak ze skrzydły rozpostartymi jak do lotu, jastrząb w szponach trzymający podkowę.

Mieszczanie, którzy nie bardzo mogli odróżnić jastrzębia od orła, gotowi byli Derśława z Rytwian wziąć też za udzielne książę.

Świeżo zdobyty stryjowski skarbiec w kaplicy w Orzelcu dostarczył mu grzywien na

świetne wystąpienie w Krakowie czasu koronacji, której on, Spytek, Strasz i wielu innych przybywali zapobiec i nie dopuścić. Nie kłopotalo to wcale młodzika, że się tu oko w oko miał

spotkać ze stryjem, którego złupił w sposób tak zuchwały i niewdzięczny. Był prawie pewien, że starzec trwożliwy dla uniknięcia zgorszenia da się przebłagać i lada czym uspokoić.

— Z grzywnami się swymi starowina nie zobaczy — mówił do przyjaciół — ale siodła ze

srebrnymi strzemionami i inny łom, który się w dole znalazł, gotówem mu oddać!

Krakowscy mieszczanie już od kilku dni coraz mieli nowe widowiska, przypatrując się

nadciągającym do stolicy posłom i mnogim panom, biskupom, prałatom, których koronacja do Krakowa sprowadzała. Od Zygmunta Kiejstutowicza z Wilna przyjechali już byli wysłani dwaj panowie, gdyż on sam jeszcze ze Świdrygiełłą wojując przybyć nie mógł. Drugiego dnia

mołdawscy posłowie, potem mazowieccy książęta: Ziemowit, Kaźmirz, Bolesław stawili się do Krakowa.

Nie odzywali się oni sami z niczym, a przybycie ich było tylko na pozór uczczeniem

młodego króla, ale na nich oglądało się wielu i oni wiedzieli o tym. Derśław chciał

Bolesława do korony popierać, inni z cicha Ziemowitowi myśleli powierzyć nad małoletnim opiekę.

Na zamku, w mieście, w dworcu biskupim ruch był, zajęcie wielkie, niepokój; a choć

Oleśnicki ze zwykłym spokojem patrzył z góry na to, co wkoło nurtowało, ruszało się, szemrało i groziło, królowa w śmiertelnej trwodze liczyła godziny dzielące ją od koronacji.

Była ona postanowioną, zdawała się pewną, a w ostatniej chwili coraz to mniej spodziewane podnosiły się przeciwko niej głosy i rodziły wątpliwości. Nawet w kole senatorów, nawykłych iść za skazówkami Oleśnickiego, znajdowali się przeciwnicy...

Królowa Sonka modliła się i płakała. Przez cały dzień trzymała przy sobie syna starszego, zawsze pogotowiu prowadzić go, polecać, okazywać wszystkim i prosić za nim.

Posłańcy z zamku biegali ciągle na biskupstwo, do miasta, przynosząc to pocieszające, to trwożące wieści.

Hincza, który tu czuwał, wiedział o każdym obrocie Straszą, śledził wszystkie jego kroki; nie było mu tajnym, że on, Spytek i Derśław przy pomocy swoich przyjaciół mieli wywołać opór stanowczy. Lecz nie tyle może obawiano się tych niespokojnych ludzi, nie mających znaczenia, a osławionych jako husyckich sprzymierzeńców, co kilku siwych głów w radzie senatorskiej

odzywających się z powątpiewaniem, czego Oleśnicki nie ukrywał przed królową.

Czym tylko pozyskać sobie zdołała Sonka ludzi, o których wiedziała, że przeciwni być

mogli, nie zaniedbała nic. Sypała obietnicami i podarkami, lecz nie wszędzie mogły one pozyskać tych, którzy o kraju, nie o sobie myśleli.

Zbliżał się dzień św. Jakuba.

W piątek biskup z radą senatorów, której królowa z synami z dala była przytomną,

uroczyście na zamku przyjmował posłów Zygmunta i hospodara multańskiego. Naradził się on pierwej z nimi i wpoił w nich to, że powinni byli głośno się oświadczyć, iż życzą jak najprędszego wyboru starszego Jagiełły syna.

Poselstwa przygotowywały przytomnych panów do głosowania w tejże myśli. Zaledwie

odeszli mołdawscy posłowie i królowa się oddaliła, gdy wśród zasiadających panów poczęły się odzywać nieśmiało zarzuty przeciw temu pośpiechowi, z jakim w sprawie koronacji postępowano.

Ostroróg, wojewoda poznański, poszlakowany o bliskie stosunki z Derśławem i Abrahamem

Zbąskim, pierwszy zagaił sprawę drażliwą.

— Miłościwi panowie — rzekł odwracając się od biskupa ku innym. — Czas jest rozważyć

jeszcze, czy nie grzeszymy pośpiechem. Koronujecie pacholę. Dziesięcioletnie chłopię nie podoła

rządowi królestwa tak rozległego. Potrzeba mu będzie dodać opiekunów i radców... zważcie, ile to obudzi współzawodnictw, zazdrości, niechęci?

W ślad za Ostrorogiem począł Melsztyńskich pokrewny, Jan z Górki.

— Dobijaliśmy się wiekami praw nam przysługujących, swobód, za które ojcowie nasi krew przelewali... Mamy prawo dopominać się ich potwierdzenia; małoletni król, choćby nam je zaręczył, nie będzie to mieć wagi żadnej. Może doszedłszy do lat odwołać i rzucić nam w oczy, że nie miał prawa się wiązać... A zechcemy czekać z potwierdzeniem pełnoletności, któż nam zaręczy, że nie odmówi?

Oleśnicki był rozprawom tym nie po raz pierwszy w ciągu tych dni powtarzającym się przytomnym. Przypomniał koronacją

Każmirzową.

— Rzecz nie bezprzykładna ukoronowania małoletniego — rzekł. — Sama wdzięczność

matki i syna nie dopuści, aby nas zawieść mógł. Czuwać nad nim będziemy, wpoić potrafimy mu wierność zobowiązaniom. Przypomnijcie łagodność i dobroć ojca, którą on po nim odziedziczył.

Stał za biskupem kapelan jego młody, któremu Oleśnicki słowo jakieś szepnął do ucha, a ten natychmiast wyszedł.

Mikołaj z Michałowa, pan krakowski, począł mówić o młodym panu, którego często widywać miał zręczność, wychwalając jego przymioty rycerskie i serce szlachetne.

Potwierdzał to marszałek Jan Głowacz. Przeciwnicy zamilkli chwilę, gdy wysłany przez

biskupa kapelan powrócił na salę niosąc wielką księgę, w białą skórę ze złożonymi kłamrami oprawną.

Wszystkich oczy zwróciły się na nią. Księga ta miała być rzecznikiem młodego króla i w tych dniach, co o przyszłości rozstrzygały, głos swój dać za nim.

Był to zbiór praw nadanych przez Kazimierza, wzięty z biblioteki katedry na Wawelu. Na

pierwszej jego stronicy współczesny iluminator odmalował króla, którego pamięć czcili wszyscy, siedzącego na tronie z mieczem obnażonym, jakby w obronie praw, które dał narodowi.

— Patrzcie i posłuchajcie mnie — odezwał się Zbigniew biorąc księgę do ręki. — Niech

ona przemówi do was lepiej, niżbym ja potrafił.

Umilkli wszyscy.

Czytał biskup ze statutów Kaźmirzowych, jako pospolitemu człowiekowi, około którego ani czuwania tyle, ani takiej w wychowaniu troskliwości być nie może, jak około królewskiego dziecięcia, piętnasty rok już dojrzałość przyznaje. Pięć lat więc tylko czekać trzeba było, aby Władysław pełnoletności doszedł, lubo dzieciom panujących i wcześniej ona była przyznawaną.

Cóż znaczyły te lata przy powszechnym czuwaniu i czy one większym mogły grozić

niebezpieczeństwem niż wybór nowy, niepewny, na który by jedności i zgody nigdy nie było? A krzywda wdowy królowej i sieroty nie miałaż brzemieniem całego narodu sumienia obciążyć?...

Mówił tak wielce poruszony Oleśnicki i księgę rozłożoną z wizerunkiem Kaźmirza na stole

rozpostarł. Oczy senatorów zwróciły się na te karty, na ten wizerunek z jakimś poszanowaniem i rozrzewnieniem. Serca ich zmiękły. Zamilkli wszyscy...

Korzystał z tego Oleśnicki i dodał poważnie a smutnie:

— Losy państw są w rękach Boga. Żaden rozum ludzki nie może przewidzieć ich ani

uchronić od tego, co

Opatrzność im zgotowała. Jedno tylko jest w mocy człowieka, spełnienie obowiązku,

dochowanie słowa, dotrzymanie przysięgi. W łonie tej rady zgodne powinny się odezwać głosy w chwili, gdy garstka wichrzycieli chce pokój nam zamącić i rzucić państwo na łup nieprzyjaciołom.

Skupmy się około tronu, bądźmy wszyscy stróżami jego i opiekunami. Niech ten wizerunek

wielkiego króla będzie świadkiem zobowiązania naszego względem rodziny zmarłego pana!

Wszyscy uczyli się poruszonymi i nikt nie śmiał się sprzeciwić.

Senatorowie powstali. Był wieczór już, biskup wprost szedł do królowej, która w niepokoju ciągłym na wiadomość oczekiwała.

Zwycięstwo uczyniło go spokojniejszym i weselszym. Z twarzy mogła wyczytać królowa, iż jej pociechę tak pożądaną przynosił.

— Przychodzę z rady — rzekł wesoło. — Jeżeli były jeszcze jakiekolwiek wątpliwości co

do dnia jutrzejszego, sądzę, że są zniesione. Król Kaźmirz pomógł mi do przewyciężenia ich.

Senatorowie wszyscy są zgodni.

Złożyła ręce królowa, a na dany znak młode chłopię w milczeniu przyszło ucałować rękę biskupa.

— Pomimo zapewnień twych, mój ojczy — odezwała się ciszej Sonka — dzień ten

jutrzejszy nie będzie do przebycia łatwym. Gotują się nieprzyjaciele. Niepocziwy Strasz, burzliwy Spytek, płochy Derśław i cała gromada ich przyjaciół zapowiadają, że na koronację nie pozwolą.

Odgrają się, że gotowi u drzwi kościelnych krzyżeć i lud podburzać...

Oleśnicki pogardliwie twarz zmarszczył.

— Wszystkiego się po tych ludziach spodziewać można, którzy ani Boga, ani kościoła nie

szanują, a zerwali z wiarą, na której łonie się wychowali. Okryją się ohydą, ale nie dokażą nic. Ze wzgardą odwrócą się od nich ludzie... a my wcale na ich hałasy i krzyki zważać nie myślimy.

Zmuszeni jesteśmy poszanować ich prawo wolnego głosu, lecz słuchać go nic nas nie obowiązuje.

— Ah! gdyby można uniknąć tego! Ubłagać ich, obdarzyć! — rzekła królowa niespokojnie.

— Ani prosić, ani w targi z nimi wchodzić nie możemy — odparł biskup. —

Uzuchwalilibyśmy warchołów, okazalibyśmy słabość i nieufność w prawa nasze. Cóż znaczą głosy kilku ludzi?

Tu biskup niższy głos wyraził się dobitniej jeszcze:

— Psy na księżyc szczekają... świeci on dla tego...

Noc to była, której nikt nie spoczął w Krakowie. Nazajutrz gotował się dzień wielki. Nie widać było jednak na twarzach radości nigdzie, a na wielu posępne przecucia przyszłości. Na zamku przygotowania czyniono dla uroczystości jutrzejszej, w kościele służba stawiała tron i zaścielała dla senatorów ławy. W rynku mieszczanie sposobili się w poniedziałek hołd oddawać zwykły młodemu królowi. Po gospodach panowało milczenie w jednych, gorączkowy w drugich

niepokój.

Wszyscy, co nazajutrz do zażartej gotowali się wojny, widząc już zawczasu, iż ona dla nich przegrana skończyć się musi, gniewni i bezsilni się rzucali. Jechali tu w nadziei, iż daleko silniejszym zastępem staną. Obiecywało się wielu. Kraków co chwila im odbierał

sprzymierzeńców, odpadali i chowali się. Najśmielsi nawet ulegali tej atmosferze, wśród której się tu znaleźli. Przekonywali się, że są garstką nic nie znaczącą, która zaburzyć może, ale nic dokonać nie potrafi.

Strasz tylko nieubłagany, Spytek, który przez dumę nie chciał się cofać, i Derśław

lekkomyślny a rad, że szeroko rozgłosi swe zuchwalstwo, trwali w zamiarze opierania się koronacji wbrew wszystkim. Całe zresztą ich stronnictwo składało się z wymienionych już osób, które w Opatowie czynne były, a z tych nawet Ostrorogowi niewiele ufano, bo go senatorowie uchodzili, a Abram Zbąski, choć obiecywał nie ustąpić, zbyt jednak czynnym być nie chciał. Kupka ludzi bez imienia i znaczenia miała otoczyć przewódców, ale na nich oni sami nie liczyli wiele. Byli to tacy, których powaga większości, sam odblask i majestat magnatów rozproszyć miały.

Lipcowa noc przy oknach otwartych na Grodzką ulicę, w gospodzie Derśława, zeszła na urywanej rozmowie, którą Strasz przekleństwami podsycał. Wychudły bardziej jeszcze, z

wypieczonymi rumieńcami, znużony wysiłkami próżnymi, coraz to sięgał do kubka, pił i chodząc po izbie odgrażał się.

— Zobaczą, zaprawdę zobaczą, że nas ustraszyć nie zdołają!

Spytek milczał, Derśław podśpiewywał. Ostatni wieczorem widział Ostroroga i przyniósł od niego słowo zimne... nic nie obiecujące. Wojewoda odradzał im nawet próżne zawichrzenie.

Dnieć już dobrze zaczynało, gdy Spytek leżący na ławie usnął. Strasz rzucał się po izbie, Derśław gospodarz siedział zadumany ziewając, gdy zza drzwi dla gorąca otwartych ukazał się jego powinowaty Jastrzębczyk, który przy nim się wychował, zwano go Czubem. Był to najzwawszy z jego dworu, którym się on najchętniej posługiwał, choć często się waśnili. Gdy Strasz zwrócony był tyłem, Czub dał znak porozumienia cichy Derśławowi, wzywając go, aby wyszedł.

Nie wiedział on, co ta tajemnica znaczyć miała, ale wstał leniwo z ławy i wysunął się z izby.

Czub poprowadził go do bocznej komory, której drzwi otworzywszy wskazał, iż tam ktoś czekał na niego. W istocie w mroku porannym widać było słusznego wzrostu mężczyznę, który za pas ręce złożony stał, a zobaczywszy wchodzącego pospieszył ku niemu. Zdziwiony

Derśław poznał w nim bratanka swego Staszka, który przy arcybiskupie przesiadywał i na jego dworze marszałkował.

Od czasu napaści na Orzelec i porwania skarbu Derśław nikogo z bliskich swych przy

arcybiskupie będących nie widywał. Zerwać musiał z nimi dopuściwszy się gwałtu. Widok Stacha zmieszał go niepomału.

Starszy od niego wiele krewniak poprowadził go nic nie mówiąc od drzwi do okna.

— Człowiecze — zawołał poważnie — co ty najlepszego czynisz! Srom rodzinie całej!

Opamiętaj się! Dla jednej głupiej dziewczki gładkiej, choćby i księżniczką była, a której ci nie dadzą, zapomnieć o tym, coś winien stryjowi, zawołaniu swemu, Bogu i ludziom! Na zgubę idziesz... w przepaść!

Derśław się obruszył, rzucił, ale odpowiedzieć nie miał co. Sądząc, że chce uciec, Stach go zatrzymał za rękę.

— Co się stało ze stryjem, to nasza sprawa domowa — rzekł — wszystko się da zatrzeć i zagodzić, ale gorzej będzie, gdy z warchołami się sprzęgłszy, jak słyhać, wystąpisz przeciw biskupowi i królowej! Po co ci to? Zamykasz sobie drogę do wszystkiego... Stryj ma do ciebie żal, ale jego ubłagać można, a gdy z husytami pójdiesz a zwiążesz się ze Spytkiem i

Zbąskim, toś przepadł!

Derśław spojrział dziko na mówiącego.

— A cóż czynić mam? — krzyknął.

— Arcybiskup się lituje nad tobą, jam z tym przyszedł — dodał Stach — abym cię od skraju przepaści odciągnął. Miarkuj się póki czas.

Zadumał się smutno Derśław.

— Słowom dał... iść muszę.

— Iść na salę nikomu nie wzbroniono, ale milcz i nie wrywaj się — mówił Stach. — Niech inni krzyczą, to nie twoja rzecz... Strasz, Spytek, a choćby i Zbąski husyty są i nieprzyjaciele Kościoła, ale ty... ty, synowiec arcybiskupa... On ci tego nigdy nie przebaczy...

Derśław słuchał milczący. Nadzieja przejednania się ze stryjem, którego złupił, w widoku dziedziczenia po nim... uśmiechała mu się powabnie. Ofiarę dla niej uczynić było warto.

— Najlepiej by było, żebyś nie szedł z nimi — rzekł — mógłbyś się uczynić chorym, ale nie potrafisz się uwolnić, milcz i zaszyj się w kącie, a słowa nie piśnij. Tym sposobem choć cokolwiek stryja ułagodzisz, by cię nie wyklął i nie wydziedziczył.

Powiedziawszy to chciał ująć już bratanek nie czekając odpowiedzi, gdy Derśław po wahaniu się i namyśle zatrzymał go.

— No, zgoda — rzekł — jeżeli stryj tego wymaga po mnie, gotówem milczeć. Niemniej jednak na sali z nimi być i stanąć muszę.

— Ale gęby nie otwieraj i patrz, aby cię tam jak najmniej widać było. Wszystkie wasze

zabiegi daremne, królewicza

Władysława ukoronują dziś, a będzie on i matka jego pamiętała tym, co się sprzeciwiają koronacji, nikt z nich nie dojdzie do niczego.

Nie mówiąc nic gospodarz podał rękę bratankowi, przeprowadził go do drzwi, oddał

Czubowi w ręce, a sam wrócił do izby większej, po której Strasz chodził jeszcze winem sobie dodając animuszu.

Spytek drzemał, ale dzień się robił coraz jaśniejszy. Zawczasu potrzeba było znajdować się na sali Białej w zamku, bo późno przybywając i dla tłumu pewnie trudno by się było docisnąć i znaleźć się mogli tacy, co by umyślnie nie dopuścili znanych wichrzycieli.

Straszowi pilno było. Ten też do wyjścia żadnego nie potrzebował przygotowania ani stroju.

Przez rodzaj wzgardy dla zgromadzenia, lekceważenia senatorów i dla okazania, ile wycierpiał, umyślnie chciał na zamek iść w codziennych sukniach wyszarzałych, tak jak stał.

Spytek przeciwnie, dbał wielce o strój pański i świetny. Derśław także miał wdziac szaty co najparadniejsze, ale po widzeniu się ze Stachem zobojętniał.

Zbudzony przez Strasza Spytek poszedł do gospody swej dla zmiany sukni. Derśław także zawołał szatnego, ale mu szepnął, że w ciżbie tej najlepszych swych sukni szarzać nie myśli, i kazał sobie dać mniej okazałe i pośledniejsze.

Gdy się to działo, miasto budziło się i ożywiało. Na zamek ku Wawelowi, do 'kościółów,

kto żyw się włókł zawczasu, aby sobie miejsce zapewnić. Rozpowiadano, że biskup życzył, aby koronacja zawczasu się mogła począć, bo ceremonia długa dość przeciąg czasu zająć musiała.

Wiedzieli wszyscy, że kościelny obrzęd poprzedzić miała rada wielka na Białej sali, gdzie królem okrzyknąć miano

Władysława, a natychmiast potem wyprowadzić go do katedry i rozpocząć koronację.

Właśnie tu Strasz, Spytek i ich poplecznicy opór mieli wzniecić, przeciągnąć go tak, aby msza już się rozpocząć nie mogła dla pory spóźnionej, wszystko do następnej niedzieli odłożone zostało, a tydzień im służyć miał do pozyskania sobie ludzi i przeciągnięcia ich na swoją stronę.

Z obu stron gotowano się do walki, lecz Oleśnicki, który i arcybiskupa, i innych duchownych, i senatorów miał za sobą, niemal pewnym był zwycięstwa.

Poprzedzającego dnia królowa Sonka obawiając się, aby przeciwko synom, jej Piastów mazowieckich nie stawiono, umiała tak zabiegać, błagać i obiecywać im stąd korzyści, że mazowieccy stanęli po jej stronie i przyrzekli za młodego króla z nią razem ręczyć narodowi.

Bardzo wczesnie dolna Biała sala zaczęła się napełniać, lecz wchodzono i wychodzono, a senatorów nie było jeszcze. Dla królowej stało pod baldachimem przygotowane siedzenie, dla senatu świeckiego i duchownego ławy okryte... dla innych proste, ile miejsca starczyło.

Szlachta i pomniejsi urzędnicy już zaczęli napływać i sadować się, obierając sobie siedzenia dogodne, gdy z niezmiernym przepychem strojny, z dumną miną, okolony liczną dosyć gromadą nadjechał Spytek z Melsztyna.

Obok niego z jednej strony wychudły i straszny roznamiętnieniem Strasz, z drugiej Abram Zbąski, sędzia poznański, dalej nieco Derśław z Rytwian i pomniejsi różni cisnęli się kupą na salę... Było tu już ludzi dosyć.

Spytek chciał zaraz miejsce sobie jak najbliżej tronu i senatorów obrać, ale mu ich nie dał marszałek, opowiadając, że dla wojewodów i kasztelanów zachowane były. Musiał więc ku jednemu oknu cofnąwszy się z gromadą swą zająć pośledniejsze miejsce, zawsze jeszcze dosyć bliskie, aby się głos jego dał słyszeć.

Derśław milczący stanął za nim, z wielkim podziwieniem Strasza nie zdając się ubiegać o to, aby bardzo był na oku. Uderzyło to jego, a może i innych, lecz na sali sporu rozpoczynać z nim nie pora była.

Sala coraz się więcej napełniała i cichy szmer tylko w niej słyhać było... Spozierano po sobie. Z lic widać było, że walka musiała zawrzeć gorąca...

Koronacja dnia tego zależała od godziny ukończenia głosowania i sporów.

Przed południem musiał ze mszą wyjść arcybiskup. Zostawało więc zaledwie parę godzin na zwalczenie nieprzyjaciela.

Wszyscy urzędnicy koronni byli zawczasu na swych miejscach, gdy arcybiskup ukazał się w szatach swych uroczystych, a obok niego Zbigniew krakowski, Władysław, włocławski nominat, Stanisław płocki i Jan chełmski biskupi. Zgromadzenie powitało ich powstaniem, w milczeniu zajęli miejsca.

Z twarzy smutnej i wylękłej arcybiskupa Wojciecha niewiele było można wyczytać,

Zbigniew szedł z głową podniesioną dumnie i choć prymasowi miejsca ustępował, nikt się omylić nie mógł na tym, kto tu z nich w istocie większe miał znaczenie i siłę.

Oleśnicki zająwszy miejsce rzucił wejrzeniem śmiałym w stronę Spytka, zmierzył oczyma jego i tych, których prowadził, westchnął i odwrócił wzrok, jak by niewiele sobie ważył tych ludzi.

Arcybiskup oczu podnieść nie śmiał, po cichu rozmawiał z plockim biskupem, aby nie okazać wzruszenia, jakiego doznawał. Spojrzeć w tę stronę, gdzie się stojącego synowca spodziewał, nie śmiał.

Wtem drzwi za tronem otwarły się, powstali wszyscy, weszła w żałobie, w długich zasłonach, z powagą i smutkiem blada królowa. Chciała być mężną, ale się pod nią chwiały nogi.

Obok niej szli dwaj synaczkowie. Za nią czterej książęta mazowieccy.

Już to, że oni jej towarzyszyli, miało znaczenie...

Chwila milczenia nastąpiła...

Biskupi naradzali się między sobą...

Zagał słabym głosem Wojciech gnieźnieński wzywając senatorów do głosowania...

Zaledwie skończył mówić, powstała królowa i postąpiła naprzód kroków kilka... Cisza wielka panowała w sali...

Zaczęła mówić głosem tak cichym w początku, iż najbliżsi zaledwie usłyszeć ją mogli.

Prosiła wszystkich zgromadzonych, aby dotrzymując słowa danego nieboszczykowi królowi, jednego z synów jej na następcę po nim wybrali. Za dotrzymanie wszelkich zobowiązań i potwierdzenie przywilejów po dojściu do pełnoletności ofiarowała porękę swoją i książąt mazowieckich.

W końcu tego przemówienia, które niełatwo jej przyszło, podniosła oczy ośmielona nieco, powiodła po zgromadzeniu i dwie łzy otrzeć musiała.

Głos jej przebrzmiał i nikt się nie odezwał rychło. Wstawał już do przemówienia Zbyszek, biskup krakowski, gdy Abram

Zbąski, wydobywszy się naprzód, głosem namiętym, choć wyrazami niby umiarkowanymi, począł te same wywody i argumenta, jakimi szermowano w Opatowie.

Były to słowo w słowo też wątpliwości, te obawy, ta nieudolność małoletniego do rządów podnoszona, ten sam strach o przywileje szlachty, które król nowy mógł samowolnie odebrać...

Zbąski dosyć wymownie i zręcznie to wyraził. Nie przerywano mu.

Nie dając odpowiedzieć przeciwnikom i przyjsć do słowa po Zbąskim począł gwałtownie a niezręcznie mówić Strasz. Złości i ognia w przemówieniu jego dosyć było, lecz namiętności najwięcej.

Gromadka tylko okalająca jego i Spytka wystąpieniu temu wtórowała i dawała znaki przyzwolenia.

Szmer i gwar powstał w sali.

Spytek, który już niecierpliwił się tym, że go wyprzedzono, w boki się wzięwszy krzyczeń począł:

— Zmusić nas chcą księża biskupi i panowie senatorowie do tej koronacji. My jej nie

chcemy i nie możemy dopuścić. Mówią nam, żeśmy królowi przyrzekali w Brześciu, ale

warunkowo... Nie ma komu przywilejów naszych potwierdzić. Gromadce ludzi, co tron oblegają, na rękę sobie małoletniego ukoronować, urzędy między siebie i panowanie rozebrać, a resztę

rycerstwa w niewolę wziąć. Ale my nie damy się okuć, króla tego nie chcemy i tych, co się nim opiekują... Zwołaliśmy na to zjazd w Opatowie, aby się sprzeciwić, i tu stoimy i stać będziemy opornie. Króla sobie narzucić nie damy... Wybierzemy go sami i ukoronujemy, gdy pora

przyjdzie...

Spytkowi przyjaciele poczęli wołać:

— Nie damy sobie króla narzucać.

— Nie damy...

— Nowy zjazd powszechny zwołać.

— Koronacji nie dopuścimy...

Na próżno Zbyszek, potem Mikołaj z Michałowa, Tarnowski i Koniecpolski głosy zabierać

chcieli. Wrzawa wzrastała, a choć gromadka, co ją wywoływała, niewielką była, liczbę zastępowała burzliwym nieustannym występowaniem.

Gwałtowność, z jaką Spytek się odezwał, krzyki i wywoływania Strasza, wymowa zręczna Abrama Zbąskiego, jak się często w podobnych zgromadzeniach trafia, na mniej śmiałych, spokojnych i niepewnego zdania ludzi widocznie działać zaczynały...

Bystre oko Oleśnickiego czytało w twarzach zachwianie się, zwątpienie. Nie można było dopuścić do dłuższych rozpraw, które groziły oniesmieleniem bardzo wielu...

Wystąpił więc podnosząc głos, tak że zagłuszył Spytka, Jan Głowacz z Oleśnicy, nie z tą powagą i majestatem słowa jak brat jego, ale z czysto polską rubaszością, której skutku na umysły był pewnym.

— Wielka to cnota taka pieczołowitość o dobro powszechne, jaką okazują ci, co króla nie chcą, a żądają bezkrólewia!

Znamy ją, bo czasu kapturów można dobra duchownym zajeżdzać, pana i prawa nad sobą nie znać, gródki brać, skarby łupić... czego nawet za małoletniego nie wolno... Znamy tych, co się boją o swe przywileje, że im nie o swobody szlacheckie, ale o wszelaką idzie bezkarność. My też, starsi senatorowie, cośmy u boku króla nieboszczyka stali, dbamy o swobody nasze. Daliśmy dowody tego broniąc ich nieraz a karki nasze ważąc... Miałożby zdanie kilku niespokojnych ludzi przeważać tam, gdzie najznacniejsza część narodu jest zgodną.

Jan z Koniecpola, kanclerz, dodał za nim:

— Krzyczeć łącno, ale krzyk nie jest dowodem czego innego, tylko dobrego gardła... Zatem, komu miło wołać, nikt nie broni, a my precz to, co postanowione, dokonamy.

— My tak samo prawo mamy nie dopuścić — zakrzyczał Spytek — jak wy samowolą chcieć na swym postawić!

Podniósł rękę do góry. Wszyscy jego poplecznicy huknęli za nim.

Jan Głowacz, stojący naprzeciw, spojrział na nich wyzywająco i na głos się rozśmiał. Narada poważna przerodzić się groziła w namiętą wrzawę i walkę. Wstawali jedni powstrzymując, drudzy domagając się milczenia. Me pomagało nic. Królowa, która siedziała na tronie blada odprawiwszy dzieci, bo królewicza Władysława musiano ubierać do koronacji, z załamanyimi rękami wyszła z sali.

Zbyszek biskup z zupełną pewnością siebie, nie tracąc cierpliwości, czekał chwili, aby się mógł

odezwać. Nie przemógł jednak hałasu i krzyków, wstał podchodząc do senatorów i Spytkowi z Tarnowa szepnął, aby oni marszałkowi zlecili przemówić raz ostatni do zgromadzonych stanowczo.

Godzina była spóźniona, czas upływał, gdyby spór się przeciągnął, koronację musiano by odłożyć, a naówczas za przyszłość odpowiadać nie mógł nikt.

Obdarzony głosem donośnym Jan z Oleśnicy podniósł rękę, głosu się dopraszając.

Uciszać się zaczęło, nie żeby ustąpili i przełamać się dali

Spytek i Strasz, lecz że ciekawi byli, co miał marszałek ogłosić.

— Z polecenia panów senatorów królestwa tego — zawołał Głowacz — oznajmuję

zgromadzonemu tu narodowi, że starszyzna Korony tej i wszyscy prawi synowie kraju starszego królewicza Władysława na stolicę królewską postanowili wynieść i koronować. Komu się ta

uchwała nie podoba, niech wystąpi i stanie po lewej ręce, ci, co są z nami, po prawej staną. Okaże się jawnie, jaki jest lik tych, co chcą się powszechnemu sprzeciwić głosowi.

Ruszyło się wszystko, co żyło, na sali cisnąc na prawo i wołając: Niech żyje król

Władysław!

Ten ruch jednozgodny, powszechny, pociągnął za sobą ośmielonych i tych, co się wahali.

Strasz na próżno krzyczał, Spytek się niecierpliwił, Zbąski głos chciał zabierać. Nikt ani patrzył na nich. Oglądając się za siebie postrzegł Strasz, że i Dersława mu nie stało. Zniknął.

Melsztyński, on i Zbąski powyskakiwali na opustoszone ławy na próżno nawołując.

W milczeniu uroczystym duchowni i świeccy ciągnęli wszyscy pomijając ich, nie patrząc i

nie słuchając, na pokoje do królowej, aby jej oznajmić o wyborze, zabrać z sobą Władysława i natychmiast z nim iść do kościoła gdzie od dawna wszystko przygotowanym było.

Scena zaprawdę dramatyczna, a jedyna może w dziejach, odegrała się w tej chwili na Białej sali.

Spytek wściekły, widząc się opuszczonym przez wszystkich, z pięściami pościskany, nogami

bijąc o ławę, ponad głowy przechodzących miotał obelgi. Bezsilny gniew jego wyrażał się w sposób grubiański, dziki, oszalały. Strasz mu dopomagał. Miotali się tak na próżno. Zbąski nie opuścił stanowiska, stał i patrzył, lecz milczał.

Żaden z przechodzących nie zwrócił nawet oczów, nie dał poznać po sobie, że słyszał

łajanie Spytka i klątwy Strasza.

Przyszła na koniec kolej na Jana z Oleśnicy, marszałka, przejść pod tą burzą obelg, a

potrzebował cierpliwości prawdziwie nadludzkiej, aby nie rozpocząć kłótni, znieść nie obracając się, jakby nie słysząc, co Melsztyński dla niego przeznaczył:

— Słuchaj ty, Głowaczu, ty naszych swobód szlacheckich i praw kacie, oprawco...

siepaczu... ty służalcze klechy... ty rabie plugawy... Myślisz, że ci to ujdzie bezkarnie...

Gwałcicielu... Tchórze podły... Jeśli masz odwagę... wyjdź, zmierz się ze mną. Jam gotów życie dać za prawa nasze... Tobie w oblicze naplwać można bezkarnie...

Marszałek byłby miecza dobył i krew by się poląła, a koronacja spełzła na niczym, gdyby go idący przy nim kanclerz i inni nie powstrzymywali.

Z zimną krwią, w polskim szlachcicu niesłychaną, Głowacz z usty zaciśniętymi szedł

krokiem powolnym nie drgnąwszy, nie zwróciwszy się, zmuszony udawać, że nie słyszy... Ofiara z jego strony była prawdziwie bohaterską...

Ostatni wreszcie wypłynęli z wielkiej sali Białej, która stanęła pustką... Głos Strasza i Spytka rozlegał się po niej tym ogromniej, ale nikt go nie słuchał.

Zostali sami we trzech tylko... zwyciężeni, sromotnie pobici. Strasz na sobie suknie darł ze złości. Spytek się odgrażał pomstą i łupieżą na Oleśnickich. Ale największy gniew opanowywał go, gdy oglądając się widział, że z mnogich tych, co mu pomoc obiecywali, co przyrzekali stać wiernie, wszyscy uszli, nie było nikogo.

— Dersław! Dersław! Gdzie ten łotr... gdzie, ja mu przy pierwszym spotkaniu łeb rozbiję!

— O! tego mazowiecki Bolko, który przy królowej stoi, jednym skinieniem uchodził — począł Strasz. — On dla tej swojej Ofki rodzzonego by się zapał ojca.

— Psubrat! — mruczał Spytek. Cisza wielka zaległa salę.

Melsztyński skoczył z ławy. Byłby może na tym skończył, zemsty szukając gdzie indziej, gdyby nie Strasz. Szli powoli ku drzwiom.

— Cóż? na tym ma być koniec? — krzyknął. — Albo to kościoła nie ma, w którym oni

wszyscy będą i swego pędraka tam sprowadzą. Nie możemy to iść do kościoła tak im krzyczeć nad uszami jak tutaj?

Spytek nie chciał się mniej odważnym okazać. Staął.

— Idźmy do kościoła! — zawołał.

— Ja nie pójdę — rzekł zimno Zbąski. — Dopóki mój głos słyszany być mógł i

usłuchany, mówiłem chętnie, i widzieliście, że się ich nie uląłem, ale próżnej wrzawy jak ulicznik pijany czynić nie będę.

Strasz się obraził.

— Na takich bezwstydnym ludzi i kamieniami, i słowami ciskać wolno — zakrzyczał. —

Niech wiedzą, że się ich nie lękamy i nie ustępujemy!

Spytek nie dał się odwieść Zbąskiemu, wyszli razem w dziedziniec spiesząc, aby się

wcisnąć do kościoła, który już był pełen.

Tymczasem kruzgankami duchowieństwo i senatorowie wiedli już przybranego w szaty

duchowne królewicza: albę, dalmatykę, humerał, sandały, manipularz, stułę i złocistą kapę zwierzchnią, do katedry. Za nim szła matka, Kaźmirz mały i mnogi dwór, który razem z Sonką w śmiertelnej trwodze, słuchając wrzawy, czekał na tę godzinę.

Ściągnęło się to do południa, tak że arcybiskup Wojciech zaledwie miał czas mszę świętą rozpocząć.

Kościół niewielki naówczas nabity był cały, podwórce zalegał lud ciekawy. Spytkowi ze

Straszem z początku do drzwi się trudno było docisnąć, cóż dopiero do wnętrza.

Ale Strasz, którego zemsta czyniła szalonym, a szaleństwo dawało mu siłę nadzwyczajną,

począł od progu rozpychać i rozbijać ludzi torując Spytkowi drogę, którego strój i pańska postawa zmuszała bojaźliwszych do ustępowania.

Tak oba wichrzyciele, nie umiejący poszanować domu bożego, dostali się niemal do środka

i potrafili zająć miejsce takie, z którego senatorom, a szczególnie marszałkowi Oleśnickiemu pięściami grozili, naigrawali się i łajali.

Królowa musiała na to patrzeć, lecz że wszystko już przezwyciążonym zostało, a obrzędu

koronacji nic już przerwać nie mogło, łatwiej zniosła tę obelgę, którą wiedziała komu zawdzięczać, Strasz bowiem nie tylko się nie krył z sobą, ale równie zuchwale jak Spytek naprzód wyrywał.

Oburzało to wszystkich, lecz przykład marszałka Oleśnickiego, wyzywanego a cierpliwego na obelgi, innym też posłużył za wzór, tak że nikt nie okazywał nawet, iż widzi ich i słyszy.

Odwracano oczy, śpiewy księży i głos organów tłumiał ich wywoływania. Tylko w czasie przysięgi, którą powtarzał król za arcybiskupem, cisza dozwalała szyderskim śmiechom i odgrózkom Spytka rozchodzić się po kościele.

Duchowieństwo mogłoby się było domagać wyrzucenia precz tych ludzi, którzy spokoju

domu bożego nie szanowali, lecz biskup Zbyszek wolał im dać bezkarnie znęcać się nad sobą i drugimi, wiedząc, że najstraszniejszym dla nich sędzią będzie ogół ludzi, których uczynili świadkami swego szału.

Tak się też stało. Spytek i Strasz nie znaleźli tu jednego człowieka, który by ich

warcholstwo usprawiedliwił. Rozstępowali się od nich wszyscy, jak by otrzeć o nich obawiali.

Raz wszedłszy do kościoła, gdy długi obrzęd koronacyjny przeciągnął się do samego

wieczora, musieli pozostać do końca, znużeni i zasromani wreszcie. Spytek się upierał jeszcze na drodze, gdy król młody do zamku będzie powracał, zastąpić mu i krzyczeć, lecz Strasz był na pół

omdlały, schrypły i w końcu on nawet widział, że szaleństwo ich, którym ludzie gardzili, nie mogło mieć skutku żadnego.

Ostatni śpiew kościelny skończył się prawie o mroku. Strasz i Spytek wyszli, a Melsztyński jeszcze najrzawszy marszałka z laską poprzedzającego króla nałajał mu z daleka.

Duchowni, senatorowie, wszyscy na koronacji przytomni na zamek szli biesiadować z

młodym panem i matką jego. Spytek i Strasz sami powlekli się do gospody.

Melsztyńskiemu z pamięci Dersław nie wychodził. Co się z nim stało, gdzie i jak zniknął, tak się wprzód odgrażając i panosząc?

Zaszli więc naprzód do niego.

Pusto tu prawie było. Z czeladzi znaczniejsza część przypatrywała się w dziedzińcach

zamku pochodowi króla i panów. Na łożu, rozebrany, z rękami pod głową podkurczonymi leżał

Dersław na strop patrząc...

Ujrawszy nadciągającego Spytka ziewnął i rozśmiał się.

— A co? — rzekł — ochryplście? Koronacja dlatego się odbyła i króla mamy...

Spytek chciał począc łajac, gdy Dersław dodał zimno:

— Ja na darmo krzyzczyć nie lubię. Dopóki spodziewałem się, że na naszą stronę przeciagniemy z połowę senatorów...

gotówem był. A tu, w dodatku, i stryj mój by mnie wydziedziczył.

Melsztyński patrzył nań z pogardą.

— Siadajcie i dobrze zasłużonego używajcie spoczynku. Na ucztę do zamku wątpię, by was proszono, a u mnie bodaj czy co jest, oprócz wina i chleba...

Strasz padł na ławę jak długi i jęknął tylko.

Melsztyński poruszył ramionami i nie odpowiadając gospodarzowi klasnął w ręce, jak gdyby w domu był, rozkazując sobie dać wina i jadła, jakie było.

Nie chciał zupełnie zrywać z Dersławem i odezwał się:

— Naprawdę za zdrajcę bym cię powinien mieć, ale z tobą jak bez ciebie nie poczęlibyśmy nic, bo nas ci gwałtownicy liczbą przemogli. Tyłem miał, spytaj Strasza, że wobec wszystkich marszałka Jana Głowacza katem i podłym nazwałem, na rękem go wyzywałem i tchórzem uczyniłem.

— A on co na to? — spytał Dersław. Strasz jęknął. Spytek splunął.

— Nie koniec na tym — rzekł. — Zasadzę się na niego i łeb mu zetrę. On, on a biskup winni wszystkiemu! Poczęło się dobrze, ludzie się wahali, Zbąskiego słuchano z poszanowaniem...

Spuścił głowę Spytek, przerwał i dodał:

— To nie koniec! Mnie nie zmogą tak łatwo...

Powoli do Dersława zaczęli się ściągać i inni, ci, co występować do końca odwagi nie mieli, a teraz znowu do swoich spieszyli, żeby choć zabołec razem. Przywłókł Kuropatwa z Łańcuchowa, Nadobny z Rogowa i nawet Zbąski. Z obliczem ponurym, wzdychając, zbierali się do gromady, jedni drugim czyniąc wyrzuty.

— U nas nigdy nic począc nie będzie można skutecznie, póki klechy nam panować będą. Od

nich się naprzód wyzwolić trzeba jak w Czechach, a inny ład zaprowadzić... Wszystko to Zbyszka robota, on tu król i pan... Marszałek Głowacz, jego brat rodzony, kanclerz Koniecpolski z bratanka żonaty, Dobiesław, lubelski kasztelan, stryj jego, kasztelan radomski żonaty z siostrą, marszałek z Tęczynską, Jan z Tęczyna Dobiesława szwagier... wszyscy się trzymają za ręce i stoją pod infułą

jego.

Zwrócił się do Derśława.

— A waszej miłości stryj — dodał — choć *primas*, drży przed Zbyszkiem i przed nimi, cóż dopiero inni biskupi, kiedy on w Rzymie plecy ma?

Splunął Kuropatwa.

— Zyski nam trzeba lub Prokopa — westchnął. Posiadali kołem stękając.

— A my — rzekł Nadobny z Rogowa — jak niczym nie byliśmy, tak do niczego nie dojdziemy!

Wypowiedział nie chcący to, co podobno najmocniej wszystkich bolało, że niczym nie byli i nie spodziewali się już nic zyskać...

— Za Derśława nie ręczę — przerwał trochę szydersko Spytek spoglądając na niego. — W czas się z sali wyniósł, a stryj mu może przebaczenie wyprosić, byle orzelecki skarb oddał

— Z tego skarbu, jak ze zgryzionego orzecha — rzekł Derśław — jeśli co oddać mogę, to chyba łupiny.

Uśmiechnął się smutnie.

Strasz leżał i jęczał. Tak, gdy na zamku biesiadowano wesoło, wspominając ranne burze w sali Białej, gdy młody pan wraz z matką ugaszczał biesiadników, muzyka przygrywała i okrzyki rozlegały w podwórcach, zwyciężeni rozpamiętywali swój upadek.

Spytek się nie poddawał.

Nazajutrz rano młody król miał w rynku krakowskim hołd wiernych swych przyjmować na majestacie siedząc, otoczony wszystkimi dostojnymi pany i posłami. Przez całą noc pracowano około przygotowania tronu, siedzeń dla dworu i wspaniałych stopni, które objano szkarłatem. W ulicach nie było spokoju do rana. Derśław usnął nierychło, bo mu goście nie dali spocząć.

Gdy się mało co zdrzemnąwszy nade dniem obudził, przypomniał sobie mazowieckich książąt, a nade wszystko Bolka, ojca ukochanej Ofki. Nie widział ich wcale i nie pokłonił się.

Później w dzień trudno pochwycić było. książąt, którzy królowi towarzyszyć mieli na rynek.

Ubrał się więc co prędzej i pospieszył do gospody, którą przy zamku mieli.

Znali go dobrze książęta z tych szaleństw, jakie dla pięknego dziewczęcia wyprawiał, i

śmiano się po trosze z synowca arcybiskupa, który nad miarę tracił nosząc się z nadzieją pozyskania ręki księżniczki.

Ostatni jego czyn, napad na Orzelec, choć sporo grzywien mu przyniósł, nie poprawił sławy...

Chciał Dersław sam na sam widzieć się z księciem Bolesławem, ale ich wszystkich zastał razem na bardzo ożywionej rozprawie.

Chmurni byli książęta. Zniewoliła ich wprawdzie królowa i biskup, że przy młodym królu stanęli, lecz do końca mieli jakąś nadzieję, że koronacja rozchwiać się może.. Teraz, gdy ona przysłała do skutku, wszyscy czuli się, nie przyznając, odarci z tajemnej nadziei, jaką żywili...

Śmieli się przy uczcie na zamku, lecz smutnymi oczyma spoglądali po sobie.

Bolko był szczególnie zrażonym.

Gdy Dersław kłaniał mu się, wybuchnął właśnie do Ziemowita się zwracając:

— Cóż myślicie? Biskupom my ustąpić mamy? Dersław drgnął posłyszawszy, nie zrozumiał, o co chodziło. Ziemowit przy obcym zachował ostrożne milczenie, Bolko gorętszy a bliżej znajomy z Dersławem zwrócił się ku niemu:

— Król młody jedzie zasiąść na majestacie w krakowskim rynku, aby hołd od mieszczan odebrać. Z prawa się nam książętom, ojczycom polskim, należy po prawicy jego zasiąść, bośmy po nim pierwsi. Biskupi nas chcą posiąść! Na to nie można zezwolić.

Dersław miał już spytać o stryja, czy i on przy tym obstawał, gdy Ziemowit, jak by odgadł myśl jego, rzekł dumnie:

— Waszmoścín stryj, ksiądz Wojciech, jak zawsze tak i teraz na dwu stołkach rad by siedział. Nas nie chce sobie zniechęcić i obrazić, a Zbyszka się lęka... więc, słyszę, królowi towarzyszyć nie będzie. Tylko biskup krakowski i mój płocki wystąpią.

— Oleśnicki pewno nie da się posiąść nikomu — odezwał się Dersław.

— Ani my też! — gorąco zawołał Bolko mazowiecki. — Dość zaprawdę uczyniliśmy dla

królowej i na prośby biskupa, dając porękę za króla i stając przy nim u tronu, który by się może rychlej nam niż małemu temu należał. Zasiądziemy po prawicy lub... pójdziemy stąd.

Ziemowit się namarszczył.

— Iść stąd za wcześnie by było — odparł. — Właśnie się o to będą rozbijać w senacie, kogo opiekunem naznaczyć

Władysławowi. Słuszna więc, gdyśmy ręczyli za niego, abyśmy my, nie kto inny się nim opiekował.

— Słuszna, to prawda — przerwał z cicha Derśław — ale u nas nie to wygrywa, co słuszne, a to, co... biskup krakowski powie. Mnie się zaś widzi, że on w książęce ręce opieki *nie* da, gdy ją sam dzierżyć może.

Książęta zamilkli, spoglądali po sobie; a Bolko o podłogę nogą uderzając dodał:

— Ja podczas do opieki nie mam ani ochoty, ani nadziei dostąpienia jej, ale miejsca przy tronie należnego nie ustąpię!

— Ani ja! — rzekł Ziemowit, a za nim drudzy powtórzyli toż samo.

W Derśławie, choć przyrzekł się do warchołów nie mieszać i w części słowa dotrzymał, zawsze drgała żyłka ta przekory a przeciwieństwa, którą niemal cała szlachta miała w sobie.

Nadzieja nowego zatargu między duchowieństwem a książętami, gdy zaledwie jedna burza była zażegnana, uśmiechała mu się. Rad jej był tym więcej, że mógł na nią patrzeć z dala nie narażając się na żadną odpowiedzialność i niebezpieczeństwo.

Dolał więc chętnie oliwy do ognia i odezwał się gorączkowo:

— Zaprawdę, możecie miłości wasze pewnymi być, że w tym sporze będziecie mieli po sobie szlachtę całą niemal, bo wszystkim już się przewaga duchownych naprzykrzyła, którzy sami nad nami panować chcą.

Gdy to mówił, młody Sławicz, sługa księcia Ziemowita, którego w sprawie tej wysyłano do biskupa Zbyszka, powrócił z twarzą przeciągniętą.

— Mówiłeś biskupowi — począł natychmiast Ziemowit — że my prawa naszego nie zrzecemy się?

— Wedle rozkazu miłości waszych sprawiłem poselstwo — odparł Sławicz — ale mi się nie

powiodło.

— Jak to? — zagadnęli razem Semko i Bolko.

— Biskup przy swoim obstaje — rzekł Sławicz. — I tak jako okazując stary statut

Każmirzowski zwyciężył raz, znowu mi tym samym statutem dowiódł, że arcybiskup lub najstarszy po nim z biskupów nie tylko po prawicy króla zasiadać ma prawo, ale na takim samym tronie jak król i na równi z nim króluje. Jeden mieczem, drugi krzyżem władając narodem. A prawdą jest, że na pierwszej karcie statutu namalowany król i arcybiskup na równych tronach dwu, reszta zaś poniżej...

Ziemowit stał milczący...

— A któż to malował? — spytał po chwili. — Taki klecha jak i oni! Nie dziw, że swojego biskupa z królem na równi posadził... My nie ustąpimy.

Sławicz westchnął.

— Biskup powiada, że nie dla siebie, ale dla dostojności swej, która tu władzę nad duszami Ojca Świętego przedstawia, ustąpić też nie może.

Wszyscy umilkli. Gorętszy Bolko począł mruzczyć.

— Pojedziemy precz!

— Nie — przerwał Ziemowit — nie pojedziemy, owszem przy królu do majestatu w rynku i aż do tronu będziemy z królem, a tu się rozstrzygnie sprawa...

Sławicz stał skłopotany. Derśław widząc, że tu już więcej do czynienia nie ma, skłonił się i wysunął.

Pojechał zaraz na miasto, Spytkowi z Melsztyna i Straszowi wioząc pożądaną wiadomość, że choć wszystko zdawało się skończone, z książętami mazowieckimi nowy spór obiecywał rozdwojenie, którego tak pożądanego.

Gdy z wiadomością tą wpadł do Melsztyńskiego, porwał się uradowany Spytek nakazując wołać po wczorajszym dniu chorego Strasza, aby obmyśleć, jak z tego sporu korzystać.

Abram Zbąski i wszyscy nieprzyjaciele biskupa krakowskiego gotowi już byli popierać książąt mazowieckich, widząc w nich przyszyłych swych sprzymierzeńców.

Ponieważ ani jedna, ani druga strona ustępować nie chciała, spodziewano się w rynku

wobec tysięcy ludu... jeśli nie zawichrzenia i kłótni, to przynajmniej jakiegoś wybuchu książąt mazowieckich.

Tak ci, co już stracili byli nadzieję wywołania rozbratu i domowej wojny, znowu się poraszyli następczą zęczością do wystąpienia przeciw biskupowi.

Gdy się to działo w mieście, na zamku królowa, która wszystkim potajemnie kierowała i wiedziała o każdym poruszeniu umysłów, odgródce i zamiarach przeciwników, od rana zawiadomiona była o sporze, który zagrażał tam właśnie, gdzie pospolity lud, niewiele rozumiejący, mógł być świadkiem przygody uwłaczającej powadze młodego króla.

Przelekła się, gdy jej o tym oznajmiono, ale ani do biskupa ślać z nadaremna prośbą, ani do książąt nie śmiała i czasu nie było.

Pod jej okiem właśnie szatni i służba odziewali królewicza, a Sonka ze łzami radości i dumy macierzyńskiej patrzyła na śliczne swe pacholę w królewskim stroju uśmiechające się do niej.

Mały Kaźmirz ciekawie obiegał dokoła brata, przyglądając mu się i radując też po dziecinnemu.

Matka przycisnęła go do piersi.

— Czeka — szepnęła mu po cichu — i ciebie czeka korona! I ty włożysz ją... ja to czuję i widzę!

Na stole leżała przygotowana dla Władysława korona, którą na purpurową wdziać miał czapeczkę, gdyż była na głowę jego za wielką.

Królowa, której świeże doniesienie pokoju nie dawało, zbliżyła się do triumfującego synaczka i całując go w czoło szepnęła:

— Patrz, abyś tak uczynił, jak- mówię... słuchaj mnie dobrze i zrozumiej.

Władysław zwrócił oczy iskrzące się i ciekawe na matkę dając znak głową, że spełni jej przykazanie.

— Gdy w rynku zsiądziesz z konia, aby zająć miejsce na tronie, uważaj to dobrze, jeśli książęta mazowieccy spór rozpoczną z biskupami, kto ma sięść po prawicy twej...

Podniosła rękę do góry królowa.

— Koronę twoją winieneś biskupowi, byłbyś niewdzięcznym, gdybyś przeciw niemu stanął,

ale mazowieccy i tak ci są niechętni, a zniechęcać ich się nie godzi.

Władysław oczyma zdziwionymi zdawał się szukać, jakim by środkiem dwie potęgi te przejednać.

— Raczej nie siadaj na tronie, niżbyś sobie pierwszego dnia, na pierwszym kroku, miał uczynić nieprzyjaciół. Stojąc przyjm mieszczan, na majestat nie wstępując.

Władysław usłyszawszy tę radę rękę matki pochwycił i pocałował.

Uścisnęła go królowa.

— Idź, jedź, czekają na ciebie już wszyscy!

I w powietrzu krzyżem go przeżegnała drżąca.

W rynku stały tłumy tak gęste, iż cały wydawał się usypany głowami ludzkimi. Pełne były okna, okryte dachy... Dzień

słoneczny oblewał złocistym światłem obraz ten różnobarwny, ożywiony i wesoły. Bo choć

wśród mnogiego tego natłoku była gromadka niechętnych i zwyciężonych, z zawiścią w sercu patrzących na to, co się mimo nich stało, mniejszość ta ginęła wśród niezmiernie większej liczby narodu rozweselonego, szczęśliwego tym, że znowu miała swojego pana, swą głowę ukoronowaną, swego widomego wodza.

Spytek, Strasz, Abram Zbąski i ci, co z nimi trzymali, starali się dostać jak najbliżej tronu i wschodów suknem szkarłatnym obitych, prowadzących do niego. Obrachowali oni miejsce, w

którym młody król miał zsiąść z konia. Tu spodziewana była kłótnia, którą oni rozżarzyć i krzykiem rozdmuchać chcieli.

Lecz w rynku oczekiwać musiano długo... Senatorowie poważniejsi, Jan z Tęczyna,

kasztelan biecki, Spytek z Tarnowa, Klemens Wątróbka starali się po drodze do rynku jeszcze książąt mazowieckich do ustępstwa skłonić.

Przeciągnięto umyślnie triumfalny pochód młodego pana wstępując z nim do kościołów,

aby zyskać czas i z pomocą pośredników księcia Ziemowita ubłagać. Dumny pan jednak okazał się niewzruszonym.

Zbyt wiele oczów patrzyłoby na jego upokorzenie. Stał więc przy swoim, że jemu z braćmi prawica należy.

Z wolna, o ile możności przeciągając nadejście stanowczej chwili, jechał król ku rynkowi, tu jeszcze wprowadzono go do Panny Marii, gdzie duchowieństwo ze święconą wodą, krzyżem i pieśniami nań czekało.

U drzwi jej siadł na koń zmierzając ku tronowi, który z dala przed ratuszem widać było.

Powiewały nad nim chorągwie państwa, ziemi krakowskiej i miasta. U stóp z darami widać było stojących mieszczan.

Młody król na przemiany zwracając się to do biskupa, to do książąt, badał ich twarze i rad był odgadnąć usposobienia.

Oleśnicki jechał tak spokojny jak zawsze, mazowieccy z oczyma zaiskrzonymi i skrzywionymi twarzami... Zdawało się jednak Władysławowi, że bądź co bądź spór musiał być już zażegnany.

Chciał bardzo zasiąść na tym tronie wśród rynku, w swej koronie i płaszczu, dając się widzieć tysiącom i z tej wyżyny usłyszeć okrzyk powitalny ludu, prawdziwego ludu... Dotąd tylko dostojne piersi panów i rycerstwa obwoływały imię jego, tu w rynku pierwszy raz miał uszu jego dojsć głos tego mnóstwa... tej ómy wielkiej, złożonej z maluczkich, biednych i podrosłych zaledwie, ludzi od pługa i rzemiosła... z chat i dworków...

W chwili, gdy koń się zatrzymał, a młody pan zsiadł z niego, księżę Ziemowit, milczący dotąd, odezwał się głosem stanowczym:

— Prawica się nam należy...

Chwilę trwało milczenie. Oleśnicki rzekł powoli:

— Tylko arcybiskup może zasiąść przy królu po prawej, a ja dziś go tu zastępuję...

Mierzyli się oczyma. Młody król krótką chwilę stał, jak by oczekując rozstrzygnięcia, lecz napastnicy milczeli, jak by je zdali na niego.

W tej chwili Władysław pieszo kilka kroków podszedł do oczekujących nań mieszczan, z twarzą pogodną i wesołą, przemówił do nich kilka słów nie dosłyszanych, zwrócił się do konia, którego sobie podać kazał, i nie wstępując na tron w dalszą po mieście puścił się drogę.

Milczenie oczekiwania trwało czas jakiś... Lud sądził, że ujrzy króla na wysokościach, gdy siadł na koń, na dany znak przez mieszczan naprzód cichszy, potem stutysięczny zabrzmiał okrzyk:

— Niech żywie! Niech żywie!

IX

Przy ulicy Św. Anny, w kamienicy, która się stykała z jednym z kolegów wskrzeszonej przez Jagiełłę Akademii, mieszkał naówczas sławny z nauki mistrz Henryk, Czechem zwany.

Był on w istocie na pół Polakiem, pół Czechem, po ojcu i matce, a nadane mu nazwisko odnosiło się do tego, że za młodu w Pradze się uczył, mieszkał tam czas jakiś, później dopiero przeniósłszy się do Krakowa.

Należał on do tych umysłów ciekawych a prawdy żądnych, jakie prawie każdy wiek wydaje, chociaż nie każdy czas, nie każdy grunt dozwala im po sobie pamięć wielkich pracowników na wiekuistym polu trudu ludzkiego zostawić.

Ginie wielu zapomnianych, co jałowe jeszcze pola trzebią, co drogi nieznane prostują, a lada ognikiem dają się z nich sprowadzić. Nie kości ich, ale umysłowa spuścizna użyźnia rolę, staje się nawozem dla przyszłych pokoleń. W lat wiele na potem ich przesiąkłej ziemi wschodzą plony, rozwijają się kwiaty.

Był swojego czasu mężem wielkiego trudu i nauki mistrz Henryk, ale trafił na epokę, która następnej plac oczyszczać była przeznaczoną.

Zwiastowało się już nauk odrodzenie, w umysłach budziło się to życie, które jutrzeńkę zapowiada, wszyscy mieli żądzę wiedzy, ale mało z nich mogło podnieść się ponad rumowiska i schwycić nie zerwaną pracę ludów starożytnych.

Nie był to jednak wiek tak bezpłodny, jakim go później nierozważne sądy uczynić chciały.

Cała ta scholastyka, to szermowanie i subtylizowanie pojęć a słów, znaków i rzeczy, rozróżnianie, zabawianie się pozornymi drobnostkami, przygotowywało i usposabiało umysły, rodzajem gimnastyki ducha wyrabiało siły do wielkich walk i zdobyczy w _ przyszłości.

Żadne z tych uderzeń motyki, która rozbijała stwardniałą ziemię, nie zostało stracone.

Ziarno, choć miało leżeć wieki zamarłe, nie zginęło. W piętnastym wieku gotowało się odrodzenie szesnastego.

Mistrz Henryk Czech, na którego z wyżyny czasów naszych patrząc, możemy go nazwać

marzycielem w obłędzie, tak był potrzebnym w tych latach trudów przygotowawczych, jak

najuczeńsi mężowie dzisiejsi. Był on astrologiem, a astrologia drogi torowała astronomii, tak jak alchemia gotowała chemii pole jej przyszłych zdobyczy.

W oczach ludzi tamtych czasów, mających wiarę głęboką, nie było najmniejszej istoty na ziemi, która by w wielkiej całości wagi i znaczenia nie miała. Wszystkie one były z sobą w związku ścisłym, a zatem wierzone, że gwiazdy i ciała niebieskie wpływają na losy wszelkich stworzeń i ludzi.

Wedle tej prastarej nauki, przez Arabów wznowionej, dzień i godzina narodzin stanowiła o przyszłości. Wiara w opatrzność łączyła się tu z fatalizmem, w którego głębi tkwi ta idea praw niezłomnych, nieuniknionych, rządzących światem.

Mistrz Henryk był astrologiem, ale był zarazem lekarzem, matematykiem i badaczem tajemnic przyrody, na które jeszcze przez oczy Arystotelesa i Pliniusza patrzano.

Nade wszystko był to człowiek, wedle naszego właściwego wyrażenia, ciekawy, żądny pochwycenia tajemnic natury na wszystkich drogach znanych i nie znanych.

Ale w epoce tej do samej natury nie zwracano się jeszcze dopytując o jej tajemnice; chciano naprzód wiedzieć to, co o niej starożytni dobadali się i pozostawili. Badanie tonęło w księgach, a to, co one podawały, przyjmowano z poszanowaniem nie poddając krytyce. I mistrz też Henryk, zamiast w niebo i na ludzi, patrzył i zagłębiał się w księgi.

Był to człowiek już stary, ślęczeniem nad rękopismami zgarbiony, z twarzą pargaminową, z oczyma wpadłymi, światu obcy, zatopiony w sobie i pisanej mądrości.

Niedostatni, wszelki grosz, jaki miał, obracał na nabywanie rękopismów, których naówczas wszyscy żądni byli, które przepisywano, przepłacano jak relikwie i klejnoty.

Biedak powtarzał często przysłowie stare: Sprzedaj płaszcz, a kupuj książki (*Vende pallium, eme libros*), ale płaszcz nie miał nawet do sprzedania i od ust sobie odejmować musiał.

Mieszkanie jego nosiło na sobie wszystkie cechy pracy ówczesnej, encyklopedycznej, nie uporządkowanej, plądrującej we wszystkich sferach za jakimś światła promykiem.

Stosami leżały rękopisma najrozmaitszej treści, obok nich astrolaby, w słojach zachowane poczarne istoty, wypchane zwierzęta, skóry ściągnięte z nich, zasuszone kwiaty, przepisywane formuły różnych tajemnic...

A że mistrz Henryk nie miał jak dwie izby, a w tej, w której pracował, przynoszone mu obiady spożywał, bo do wspólnego stołu rzadko mógł zasiąść, wśród rękopismów widać też było i miseczki gliniane z kośćmi od ryb, resztkami kaszy, okruszynami chleba...

Wśród tego nieładu pozornego, którego żadna ręka profana tknąć nie śmiała, mistrz Henryk jeden był

jak w domu. Wiedział on o każdym świstku, o najmniejszym złomku, nawet o kartce, na której czytać przestał i założył ją znakiem.

Przybywający tu, nie wyjmując chłopaka paupra, który służył mistrzowi, musieli się trzymać przy progu, a nie wkraczać dalej w ten labirynt stolików, pulpitów, półek i skrzynek, których tykać nikomu nie było wolno.

Uczony nie lubił też gości i natrętów, każda chwila była mu droga, bo od tych, co się, cisnęli, nic nauczyć się nie mógł. Nieuniknionym jednak sławy następstwem było, że często do drzwi jego stukano. Znaczniejsze rodziny rade mieć były horoskopy nowo przybyłych na świat, a mistrz Henryk nie tylko za biegłego astrologa uchodził; utrzymywano, że ten stan ducha, w jakim ciągle zostawał, wyrobił w nim dar proroczego jasnowidzenia. Chociaż mniej to sobie cenił, znał też chiromancję, naukę wróżenia z ręki, na której także charakterami nie dla wszystkich czytelnymi losy człowieka wypisane być mają.

Niewiele obcując z ludźmi miał też znakomitą władzę poznawania charakterów z twarzy i rzadko go zawodziło wrażenie, jakie one na nim czyniły.

My, co żyjemy w wieku zastygłym, który w nas inne władze wyrabia, a wiele dawniej pod wpływem czasu rozwiniętych zaciera, możemy się uśmiechać z tych widzeń wieszczych, jakie dawniej miewali ludzie, niemniej jednak były one możliwe i dar jasnowidzenia mieli wybrani.

Za takiego i mistrz uczony Henryk Czech uchodził. Ale uczoność ta jego nie tylko nie ostudzała pobożności wielkiej, łączyła się z nią najściślej. Praktyki religijne służyły jej jako bodziec do wyrabiania siły, do utrzymania ich w natężeniu bezprzestannym.

Modlitwa i prośby wprawiały go w rodzaj gorączki, która umysłu działalność potęgowała.

W czasie tych wypadków, których teatrem był Kraków, narad o wybór i koronacją młodego króla, wyniesienie go na tron, uroczystości towarzyszących obrzędom, a później rad i uchwał senatu, który rząd tymczasowy dla Polski obmyślać musiał, mistrz Henryk siedział zamknięty. Nie wiedział nic, a słuchy o tym, co się w stolicy działo, dochodziły go ułamkowe i niewiele poruszały.

Daleko więcej obchodziło uczonego, w jakim stosunku stały planety, w jakim która z nich znajdowała się domu i czy aspekty koniunkcją czy opozycją zapowiadały; kto panował, czy smutny i zimny Saturn, czy Księżyc wilgotny i tęskny, czy Mars pałący i suchy, lub Jowisz błogosławiony a jasny...

Schylony nad rachunkami swymi lub nad starymi rękopismami, mistrz Henryk wiedział zaledwie, że nowego pana dostało królestwo.

Ucichło już było w stolicy, goście się porozjeżdżali i pokój zapowiadał się równie na ziemi jak w niebiosach, gdy jednego dnia sierpniowego zastukano do drzwi mistrza Henryka, właśnie zajętego rękopismem, który go najżywiej zajmował. Z niechęcią i smutkiem podniósł głowę zamruczawszy coś niewyraźnie, poruszył się z krzesła, na którym siedział skulony, i ujrzał we drzwiach wchodzącego średnich lat poważnego mężczyznę w sukni duchownemu stanowi właściwej.

Przybywający był mu nieznajomy, choć zdawało się mistrzowi Henrykowi, że twarz już kędyś widywał z daleka. Postawa i ubiór opowiadały, że niepoślednie musiał zajmować stanowisko. Po chrześcijańskim powitaniu uczony czekał skromnie, aby mu gość powód przybycia swego objaśnił.

— Mistrzu — rzekł przybyły — twoja sława sprowadza mnie do ciebie... Nie dla siebie pragnę twej zasięgnąć rady, ale dla osoby wysoko położonej, którą los jej dzieci obchodzi. Nietajno to nikomu, że choć przeznaczeń swych człowiek uniknąć nie może, wiedząc o nich, potrafi czasem zapobiec i złagodzić to, co go czeka... Serce macierzyńskie czuwające nad dziećmi...

Mistrz Henryk nie dał dokończyć mówiącemu.

— Czegóż się wy ode mnie dowiedzieć chcecie? — zapytał. — Ja wam tylko to, czego mnie gwiazdy nauczą, powiedzieć mogę. One są nieubłagane... A jestli to z pożytkiem dla człowieka, gdy zawczasu zna przyszłość swoją? Gdyby Opatrzność widziała z tego korzyść i potrzebę dla nas, czyżby nas władzą tą nie obdarzyła?

— Wszystkim jej dać nie mogła — odezwał się duchowny — boć dzieciom się nożów nie daje; ale niektóre umysły i ludzi wybranych ubłogosławiła widzeniem przyszłości.!. Czemuż by tym darem się nie podzielili?

Stary uczony westchnął.

— Niewiasta owa chce was widzieć i mówić z wami — dodał nieznajomy — ale tak, aby o niej nie wiedziano...

Zamyślił się mistrz Henryk.

— Słyszałem — dodał gość — iż pożądamie mieć rękopism pewien, o którym rektor uniwersytetu opowiadał, iż ma kilka kop groszy kosztować. Mogę wam zapewnić nabycie jego dla was w Wenecji, jeżeli proście mej nie odmówicie.

Słyszając to zadrżał cały mistrz Henryk, ręce podniósł i o mało nie uścisnął mówiącego.

— O! błogosławionaż to godzina, gdyście próg mój przestąpili! — zawołał. — Mówcie, co uczynić mam... Całą biedną mądrość moją składam u nóg waszych i dobroczynnej tej niewiasty...

— Dziś nad wieczór czekajcie na mnie — dodał rozweselony duchowny i już się miał ku drzwiom zawrócić, gdy myśl go jakaś wstrzymała.

— Ojciec mój — rzekł ciszej — jeżelibyście w przyszłości zbyt smutnego dopatrzili się obrazu, nie zakrwawiajcie nim serca matki.

Stary podniósł ręce.

— Bądź spokojnym — rzekł — doświadczenie nauczyło mnie ważyć, co czyje barki znieść mogą. Nie włożę na nie brzemienia nad siły...

Po wyjściu gościa mistrz Henryk nie powrócił już do swej księgi, cieszył się jak dziecię nadzieją rękopismu... Potem stał czas długi zadumany usiłując rozwiązać jakąś zagadkę...

Czoło mu się pofałdowało, pot otarł z niego, uśmiechnął się i uderzył w ręce... Zdawało mu się, że odgadł to, czego się dowiedzieć pragnął.

Szybkim krokiem poszedł do stolika i z kupki papierów i pergaminów zamkniętych w nim dobył, przetrząsnąwszy je, trzy horoskopy. Jeden z nich, popatrzywszy nań, nazad zachował, dwa u okna począł badać i rozmyślać nad nimi.

W kącie wielkiej izby mało widocznym i zaciemnionym stał prosty z drzewa sosnowego klęcznik, a na nim mały

Chrystus ukrzyżowany, dar zapewne uczyniony mu przez kogoś, bo rzeźba była kosztowna i piękna. Stary ukląkł, złożył ponad głową ręce i modlił się czy dumał w myślach zatopiony długo, rozpoznać było trudno...

Szelest w korytarzu wiodącym do jego mieszkania rozbudził go. Przeżegnał się i powstał.

Drzwi się rozwarły i w towarzystwie duchownego, który ją zapowiedział, weszła krokiem-

powolnym, zakwefiona cała, poważna, słusznego wzrostu niewiasta. Czarna zasłona z czoła spadała jej na twarz białą i bladą, wśród której ciemne, pełne ognia jeszcze, świeciły oczy... Mistrz Henryk nisko się skłonił przed nią stając w pokornej postawie na rozkazy.

— Przychodzę was spytać o losy synów moich — odezwała się głosem męznym przybyła.

— Powinnam je znać, aby do nich moje i ich życie zastosować... Bóg dał wam naukę i dar proroczy...

Umilkła. Mistrz Henryk chwilę, jak by ducha skupiając, stał także milczący.

— Nauka ludzka — rzekł — niewiele waży, jeśli ją nie wesprze moc Boża, a światło z niebios nie zawsze spływa, bo człowiek nie zawsze go jest godnym..

Zatrzymał się wzdychając ciężko...

— Pozwólcie mi spytać — odezwał się nieśmiało. — Bóg wam dał synów, trzech? Jednego wziął do siebie?

Niewiasta drgnęła zdziwiona.

— Tak-li jest? — dodał.

— Zaprawdę, w istocie trzech miałam, dwu mi pozostało.

Mistrz Henryk spiesznie sięgnął ręką drżącą po dwa zrynki papieru, które był przygotował na stole.

Wpatrzył się w nie długo, jak by. w nich czytał... Każdy ruch jego i wyraz twarzy

niespokojnie śledziła oczekująca pani. — Starszy — rzekł — dziecię szczęścia... dziecię wesela, złożony w srebrnej kolebce... bohater będzie... Dwie złote gwiazdy widzę nad jego głową, dwie jak korony jasne koła.

Księżyc przeciwko niemu... niechaj się strzeże księżyc...

Tu zamilkł.

Niewiasta słuchała nie mówiąc nic, drżący rąbek zdradzał wielkie wzruszenie...

Mistrz Henryk papier jeden położył na stole i czytał w drugim długo.

— Drugi syn, dziecię łez i boleści...

Słaby okrzyk wyrwał się z piersi słuchającej, a starzec powoli, jak by nic nie słyszał,

zatopiony w sobie, mówił dalej;

— Dziecię łez i boleści, i nad nim korona świeci... Widzę życia drogę długą, ciężką,

najeżoną cierniem, zawaloną głazami, ale u jej skraju znużony stoi zwycięzcą... Obok niego niewiasta, której nie chciał, a ukochał i rodzina... Wśród niej też gwiazdy pałają...

Tu głos mu słabnąć zaczął i papier wypuścił z rąk.

— Błogosławioną jesteś matką — dodał — choć łzami i boleścią opłacisz a trudem

straszonym szczęście dzieci.. Męstwa ci potrzeba do końca na długie jeszcze życie, a wszystko, co obiecane, widzieć będziesz oczyma własnymi.

To mówiąc krzyż uczynił w powietrzu. Głos mu się zmienił, jak by nagle otrzeźwiał i zstąpił z wyżyny.

— Nie widzę już nic — dodał. — Ufajcie Bogu, który wszelki trud, miłość i wytrwałość a

ufność w siebie opłaca. Słuchająca odetchnęła, jak by ciężar wielki spadł z jej piersi... Przejęta była i jeszcze drżąca... Stojący za nią duchowny worek, który przyniósł z sobą, z cicha położył na stole.

— Bóg niech wam płaci — odezwała się niewiasta. — Pokój daliście duszy mojej. Jeżeli

kiedy zapotrzebujecie pomocy... wezwijcie jej u mnie. Wiecie, kto jestem, bo wam nic zakrytym nie jest...

Schyliła głowę powoli i ręką skinąwszy we drzwiach znikła...

Duchowny, który pozostał w progu, z cicha, zwrócony do pochylonego pokłonem Henryka, rzekł:

— Królowa!

Stary uśmiechnął się smutnie, widywał ją na zamku z dala, a poznałby nie wiedząc, kto jest, po majestacie oblicza.

— Królowa! — szepnął skłaniając się raz jeszcze. — Tak! męczennica! I przyszłość nawet grobu jej nie poszanuje...

Drezno 1882

Document Outline

- [Tom Pierwszy](#)
- [I](#)
- [II](#)
- [III](#)
- [IV](#)
- [V](#)
- [VI](#)
- [VII](#)
- [VIII](#)
- [IX](#)
- [X](#)
- [I](#)
- [II](#)
- [III](#)
- [IV](#)
- [V](#)
- [VI](#)
- [VII](#)
- [VIII](#)
- [IX](#)